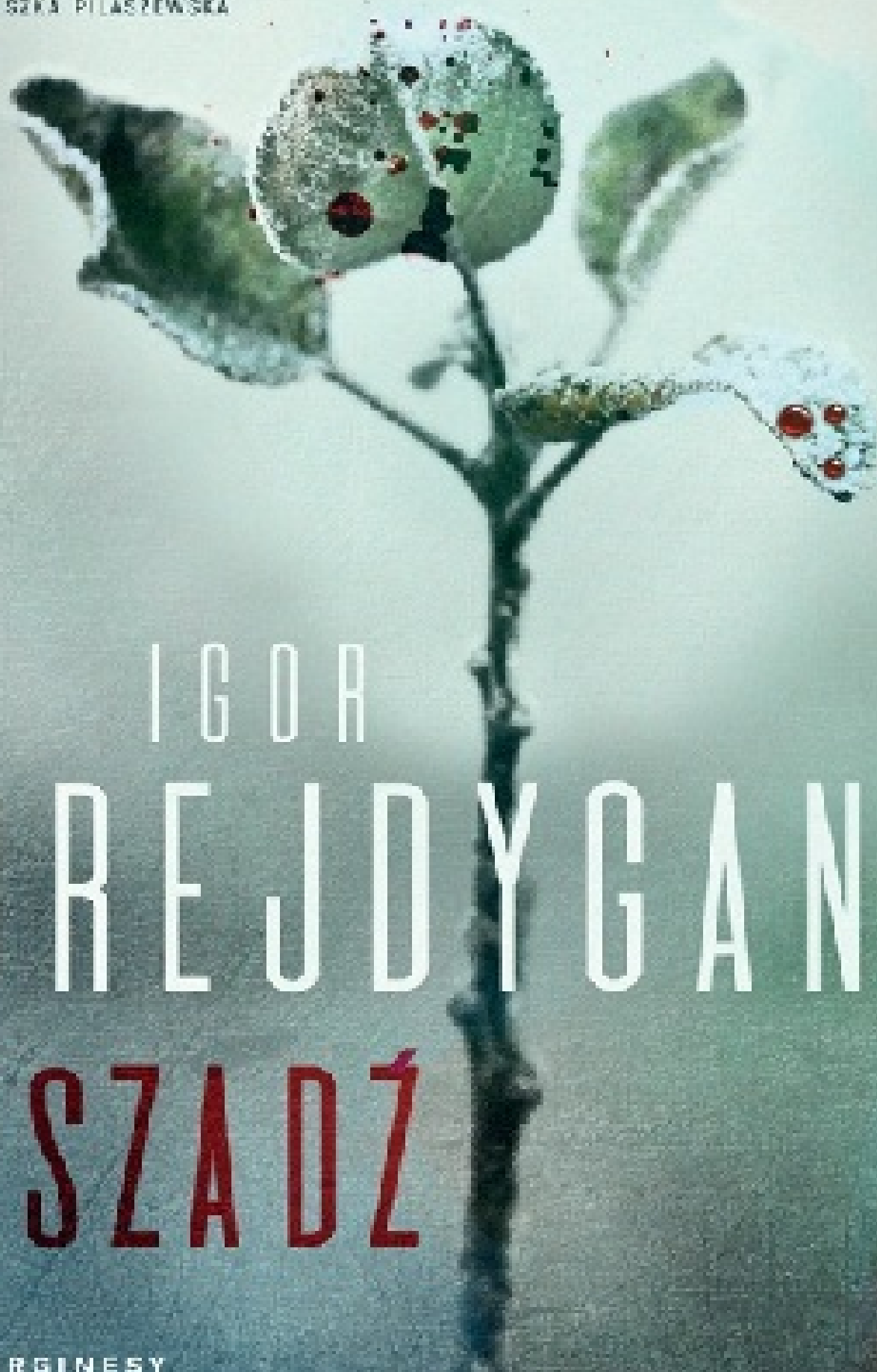


Podwójna moralność i wściekłość prowadzą  
śmiertelną grę z młodością i niewinnością.  
Świetne postaci kobiece, a w tle polskie demony.  
Czyta się, jakby się oglądało **NAJLEPSZY CZARNY KRYMINAŁ**.

AGNIESZKA PILASZEWSKA



IGOR  
BREJJDYGANT  
SZADŹ

MARGINESY



IGOR  
BREJDYGANT  
SZADŹ

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

SZADŹ

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja KAROLINA MACIOS  
Korekta JOLANTA KUCHARSKA, BEATA WÓJCIK  
Projekt okładki i stron tytułowych MARIUSZ BANACHOWICZ  
Zdjęcie na okładce © s. kopansky / Shutterstock  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Igor Brejdygant  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-65-2

Wydawnictwo Marginesy  
ul. Forteczna 1a  
01-540 Warszawa  
tel. 48 22 839 91 27  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Magdzie, Gabrysi, Kalince. Moim mądrościom.*

Tej nocy była pełnia.

Agnieszka próbowała przypomnieć sobie, skąd właściwie wzięła się w tym dziwnym wnętrzu. Miało w sobie coś z porzuconej dawno temu hali fabrycznej, a jednocześnie przypominało ogromną chłodnię ze ścianami pokrytymi grubą warstwą narosłego przez lata szronu. Było jej zimno, ale bardziej niż chłód doskwierał jej silny niepokój, który nie wiązał się jednak bezpośrednio z nią samą, tylko dotyczył kogoś innego, bardzo bliskiego, kogoś, kto zagrożony był znacznie bardziej od niej i kto, miała wrażenie, był gdzieś w pobliżu. W tym momencie usłyszała rozdzierający krzyk swojej córki Joli.

– Mamo! – Krzyk rozniósł się po hali, odbijając się po wielokroć echem od stalowych, pokrytych szronem ogromnych podpór, po czym zapadł się w martwej ciszy równie nagle, jak się pojawił.

Wtedy się obudziła. Skądś, jakby z innej rzeczywistości, do której jeszcze nie dotarła, choć opuściła już poprzednią, dobiegał drażniący dźwięk telefonu. Otworzyła oczy, spojrzała za okno, za którym świtało, i w tym momencie zapomniała, co jej się śniło przed chwilą. Telefon na moment przestał dziurawić ciszę, ale już po kilku sekundach odezwał się znowu. Agnieszka próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest aparat, który z reguły wyłączała przed pójściem spać, ale tym razem zapomniała. Po chwili zlokalizowała źródło dźwięku pod przeciwległą ścianą, przy której stało biurko, a przy nim krzesło. Telefon tkwił w kieszeni spodni przewieszonych przez oparcie. Kiedy odezwał się po raz trzeci, nie wytrzymała i wstała z łóżka. Chciała tylko wyciszyć dzwonek i jak najszybciej schować się z powrotem pod ciepłą kołdrę. W pokoju było przeraźliwie zimno, znowu zostawiła otwarte okno. Chłód spowodował, że nagle wróciła do niej jakby jedna klatka z zapomnianego snu. Agnieszka przez moment zobaczyła przed oczami pokryte grubą warstwą lodowej szadzi ściany i uczucie nieokreślonego lęku wróciło. Spojrzała na wyświetlacz telefonu, na którym pojawiło się jedno słowo „Szwagier”. Zawahała się. Szwagier nie miał nic wspólnego ze szwagrem, którego nigdy nie miała, nawet kiedy przed wielu laty była przez chwilę zamężna. Szwagier był używaną przez cały wydział do spraw zabójstw i terroru kryminalnego komendy powiatowej w Skarżysku-Kamiennej, a może też i przez inne wydziały tej samej komendy, ksywą jej przełożonego, inspektora Włodzimierza Misiaka. Agnieszka spojrzała na zegarek na wyświetlaczu, po czym nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Jest za piętnaście siódma – odezwała się.

– Wiem, pod lasem przy wsi Orzechówka znaleziono nagie zwłoki młodej kobiety. Jadę, pomyślałem, że zechcesz dołączyć. – Chropowaty głos Szwagra, który normalnie wydawał się przynajmniej przez telefon dosyć ponętny, teraz drażnił jej błonę bębenkową niepotrzebnymi drganiem.

– Może... – Przez moment znów wyobraziła sobie chłód, który ciągnął się za nią ze snu. – Orzechówka? Gdzie to jest?

– W otulinie Lasu Sieradowickiego, wyślę ci koordynaty, ale generalnie pojedziesz na Mnichów, potem...

– Potem włączę sobie GPS. – Agnieszka zamknęła okno i się rozłączyła. Po chwili wahania

wróciła jeszcze pod kołdrę, gdzie postanowiła doczekać, aż temperatura w pokoju zbliży się choćby do pokojowej.

Za oknem zrobiło się już całkiem jasno, ale w kuchni wciąż jeszcze paliło się światło, co oznaczało, że Bożena Wałkoń, która właśnie zalewała w szklankach przygotowane zawczasu zwitki herbaciane, wstała już co najmniej godzinę temu, kiedy za oknami panowały wciąż nieprzeniknione ciemności.

– Cześć, mamó. – Ładna dwudziestoletnia blondynka o niebieskich oczach i nieco bladej cerze uśmiechnęła się do Bożeny pakującej kanapki do torebki. – Czemu mnie nie obudziłaś? Pomogłabym ci.

– W czym, Ewuś? – Kobieta spojrzała na stos przygotowanych kanapek i uśmiechnęła się do córki.

– W tym. – Dziewczyna kiwnęła głową w stronę stołu.

Jej matka, która przez trzydzieści lat uczyła w szkole, pół roku temu przeszła na emeryturę i zajęła się produkcją oraz dowozem kanapek do okolicznych firm, a nawet na nieodległą stację benzynową. Robiła to nie tylko po to, by nie stetryczeć, nie zwariować i nie popaść w depresję, ale również by poprawić ich sytuację finansową.

– To moja praca. Czy ja pomagam ci w twojej? Chodzę za ciebie na studia, wystaję za barem, stoję na zmywaku?

– Mamy zmywarkę. – Ewa doskonale wiedziała, że nie ma szans w jakimkolwiek sporze z matką, bo ta, gdyby chciała, udowodniłaby jej nawet w pięć minut, że Ziemia jest płaska. Dlatego nie wchodziła już w dalszą dyskusję.

– Siadaj. – Bożena postawiła przed nią talerz z kanapkami, które różniły się od spakowanych już w szarokremowe papierowe torebki nie tylko jakością, ale też tym, że wykonano je z miłością.

Ewa usiadła i zamyśliła się, patrząc na mamę.

– Śniło mi się coś dziwnego. – Próba przypomnienia snu zaabsorbowała ją na tyle, że łyżka z cukrem transportowanym z cukiernicy do szklanki z herbatą zawisła nagle w kuchennej czasoprzestrzeni.

– Pełnia była, zawsze dziwnie się śni w pełnię. – Bożena z ciekawością przyglądała się zastygłej nad szklanką łyżeczce z górką cukru, z której na razie nie spadło nawet ziarenko. – Rozsypiesz.

Ewa posłodziła, a mieszając, usilnie starała się przywołać jakieś obrazy ze snu. Matka zaczęła tymczasem pakować przygotowane kanapki do wielkiej niebieskiej torby. Przez znajdujące się od południowej strony okno wpadły do kuchni pierwsze promienie wschodzącego słońca. Na ścianie pojawiły się cienie drzew.

– Byłam w lesie, było bardzo cicho... Chyba byłam sama, nie czułam strachu, ale trochę mnie to dziwiło, bo wiedziałam, że tak naprawdę powinnam się bać.

– Byłaś sama? – Mama trochę udała zainteresowanie, bo bardziej absorbowało ją już teraz to, że za dziesięć minut musi być z torbą z kanapkami na stacji, a za kolejny kwadrans w pierwszej firmie oddalonej dziesięć kilometrów od ich wsi. Tam zaczynały się obrzeża Garwolina, a na



obrzeżach obrzeży liczne hurtownie i magazyny.

– Nie wiem... – Ewa skupiła się, żeby przypomnieć sobie coś jeszcze, ale przychodziło jej to z ogromnym trudem. – Pamiętam tylko, że było zimno i nad ziemią snuła się mgła, więc nawet jeżeli ktoś tam był, to nie mogłam go zobaczyć.

– Jedziesz ze mną? – Matka była już gotowa do wyjścia. – Podwiozę cię na przystanek.

Ewa pokiwała głową, wypila dwa łyki herbaty, wzięła do ręki pieczołowicie zapakowaną kanapkę i ruszyła za mamą.

Sławomirowi Wolskiemu nie śniło się nic. Pół godziny temu wrócił z pięciokilometrowej przebieżki i teraz kończył poranną toaletę, stojąc przepasany śnieżnobiałym ręcznikiem frotté w zaparowanej łazience. Mgiełka powoli schodziła z powierzchni lustra i ten czterdziestosześcioletni postawny mężczyzna mógł znów z zadowoleniem skonstatować, że upływ czasu właściwie go nie dotyczył. Miały na to wpływ intensywnie uprawiane ćwiczenia fizyczne, prawidłowo zbilansowana dieta, oczywiście kosmetyki oraz zabiegi odmładzające przeprowadzane w zaprzyjaźnionym gabinecie przy studiu fryzjerskim, do którego Sławomir uczęszczał raz na dwa tygodnie. Mężczyzna zerknął na leżący na blacie obok umywalki zegarek. Było wpół do ósmej. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, nie mogło zresztą być inaczej, bo w życiu Sławomira od najwcześniejszych lat wszystko zawsze toczyło się zgodnie z planem i zmierzało ku jasno wytyczonym celom, które jeden po drugim cierpliwie i do znużenia osiągał.

– Tato? – Zza drzwi dał się słyszeć nieśmiały dziewczęcy głosik.

– Zaraz wyjdę. Zjedzcie owsiankę, mama naszykowała.

– Ale mi się strasznie chce...

– To idź do łazienki na górę. – Sławomir nie lubił, gdy cokolwiek zakłócało jego rytuały.

– Ale tam jest Piotrek i nie chce mnie wpuścić!

Mężczyzna pokręcił głową, spojrział jeszcze raz z zadowoleniem na swoją twarz w lustrze, po czym otworzył drzwi.

– Tylko raz, raz. – Uśmiechnął się do siedmioletniej, lekko puciołowatej blondynki, która trochę bała się na niego spojrzeć, bo doskonale wiedziała, jak bardzo tata nie lubi, gdy rano mu się przeszkadza. Dobrze się złożyło, że nie spojrzała na ojca, bo jego uśmiech był tyleż serdeczny, co nieszczerzy.

– Tylko siku, zęby potem. – Dziewczynka weszła do łazienki i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Sławomir spojrział w kierunku jasnej, umeblowanej jakby w technice renderu 3D kuchni, gdzie przy zlewie z białej żywicy epoksydowej stała jego młodsza o kilka lat, atrakcyjna żona, której nie kochał, ponieważ nigdy nie kochał nikogo.

– Dzień dobry, kochanie. Dobrze spałaś?

– Tak sobie, chyba pełnia była. – Monika, która już wiele lat wcześniej zorientowała się, że nie jest kochana, ale uznała, że tak prawdopodobnie musi być, wyłączyła palnik pod gotującą się owsianką i odstawiła garnek na blat obok, starając się nie zachłapać przy tym płyty indukcyjnej.

– Przesady, zabobony. – Uśmiechnął się nieco protekcjonalnie. – Pełnia ma wpływ na poziom wód w oceanach, ale nie na jakość snu. Może coś cię trapi?

Udał zainteresowanie, choć tak naprawdę myślami był już w zupełnie innym miejscu, na spotkaniu, które miało zacząć się za godzinę. Z jednej strony nieco się go obawiał, z drugiej czuł pewną ekscytację. To właśnie owo pobudzenie dawało mu największy napęd, sprawiając, że właściwie nie można było go zatrzymać.

– Odwiozę dzieci – odezwał się, zmieniając temat. – Potem mam spotkanie. Pamiętasz, że

idziemy wieczorem na kolację do Nowickich?

– Oczywiście, kochanie. – Monika, mówiąc „kochanie”, od jakiegoś czasu czuła dyskomfort, ponieważ wcale nie była pewna, czy Sławomir rzeczywiście jeszcze nim jest. On, choć jej nie kochał, zwracając się do niej „kochanie”, nie miał podobnego dylematu.

Dziesięć minut później na doskonale skrojony, szyty na miarę garnitur włożył stalowoszary płaszcz z wełny z domieszką kaszmiru i opuścił mieszkanie. Za nim wybiegła dwójka dzieci w eleganckich mundurkach z herbem szkoły przyszytym do granatowych sweterków w serek. Sławomir pozostawił za sobą smugę zapachu męskiej wody z wyraźną nutą paczuli, woni używanej przez mężczyzn na całym świecie, którzy niejako za swój obowiązek poczytywali sobie zdradzanie żon. Monika stała chwilę przy drzwiach, próbując sobie przypomnieć, po co właściwie tu przyszła, po czym wróciła do salonu, otworzyła barek i nalała sobie pierwszy tego dnia kieliszek wina. Za oknem w kierunku wyjazdu z posesji sunęło eleganckie bmw 740L kupione przez Sławomira głównie dlatego, że dokładnie takim samym do pracy i w delegacje funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu wozili jego starego znajomego, obecnego prezydenta.

Dwunastoletni saab 9-5 aero komisarz Agnieszki Polkowskiej kilka minut wcześniej skręcił z drogi asfaltowej w leśny dukt i teraz, trąc niemiłosiernie osłoną silnika o kępy trawy porastające środek drogi, brnął coraz głębiej w gęstwinę lasu spowitego poranną mgłą. Co kilkadziesiąt sekund z głośniczka w smartfonie odzywała się sympatyczna Ivona, sądząc po głosie, lekko wcięta barmanka z nocnego klubu, oddalonego od centrów kulturalnych świata.

– Skręć lekko w lewo.

– Ale gdzie? – Agnieszka podjęła rozmowę. – Tu nie ma nic w lewo.

– Teraz skręć lekko w lewo.

Zatrzymała samochód, opuściła boczną szybę i spojrzała przed siebie. Zauważyła, że od leśnego szlaku, którym posuwała się od kilku minut, rzeczywiście lekko w lewo odchodził jeszcze bardziej zarośnięty i jeszcze węższy kolejny dukt. Powoli ruszyła w lewo, a dźwięk tarcia osłony o trawę zmienił tonację i teraz przypominał torowanie drogi w stwardniałej glinie. Agnieszka była przekonana, że za moment utknie po wsze czasy w gęstwinie lasu, mgły, traw, szadzi i gliny.

– Za dwieście metrów na końcu drogi jesteś u celu – wybąkała Ivona, a Agnieszce wydało się nagle, że jej głos utracił wszelką pewność siebie.

– Sama w to nie wierzysz – odparła Agnieszka i w tej samej chwili dostrzegła w oddali inny, obcy dla tego otoczenia kolor. – A niech mnie, Iwonko, chyba znowu masz rację.

– Dojechałaś do celu.

Teraz plama nabrała kształtu i okazała się granatową furgonetką z charakterystycznym mikroskopem wymalowanym na prawej burcie. Agnieszka zwolniła i po kilku metrach zatrzymała samochód. Nie wysiadła jednak od razu. Najpierw sięgnęła po torebkę i po kilkunastu sekundach wytrwałych poszukiwań wyciągnęła blister xanaxu, następnie spod siedzenia pasażera wydobyla butelkę nie wiadomo od jak dawna leżącej tu wody mineralnej. Wycisnęła dwie tabletki prosto do ust, popiła je wodą, w której – wnioskując ze smaku – zdążyły się już zadomowić pierwsze strzępki pleśni, głęboko odetchnęła i dopiero wtedy wyłączyła silnik, otworzyła drzwi i wysiadła z auta. W nozdrza uderzył ją od razu zgnięty zapach wilgoci snującej się w wacianych smugach mgły.

Gdy zaparkowała wśród darni, okazało się, że oprócz granatowego vana kryminalistyki stały tu jeszcze trzy inne samochody – służbowy ford mondeo należący do Szwagra, oznakowana kia przewencji i czarny mercedes kombi przedłużony tak, by mogły się w nim zmieścić doczesne szczątki nawet bardzo wysokiej osoby. Na boku mercedesa widniał wyklejony starannie ze złotych liter napis „Hades”. Kiedy Agnieszka zaczęła się zastanawiać, czy taka nazwa jest aby na pewno do końca adekwatna, z zamyślenia wyrwał ją ten sam głos, który kilka godzin wcześniej obudził ją ze snu.

– Jesteś wreszcie, królowo. – Szwagier szedł w jej kierunku od strony skupiska drzew opasanych biało-czerwoną taśmą policyjną. – Chyba jeszcze pospałaś troszkę?!

– Nic nie pospałam. – Pokręciła głową. – Ale ja w przeciwieństwie do ciebie nie śpię na wszelki wypadek w mundurze i nie myję zębów na stacjach benzynowych.

– Kobieta. – Szwagier stał już przed nią i uśmiechał się od ucha do ucha. – Poza tym byłaś chyba po drodze u kosmetyczki.

– Nie, po drodze jechałam godzinę przez kretyński las, bez początku ani końca, tylko z samym, cholernie zamotanym środkiem.

– Gdybyś mnie posłuchała, zamiast odkładać słuchawkę, to z domu dojechałabyś tu w piętnaście minut, ale ty nigdy nie słuchasz nikogo, przez co każda życiowa czynność jest dla ciebie sto razy bardziej skomplikowana.

– Radzę sobie. – Agnieszka miała już dosyć ustalania przyczyn i skutków życiowych niepowodzeń, było na to za wcześnie i za zimno, a xanax nie zaczął jeszcze działać. – Co mamy?

– Trupa. – Szwagier czerpał wyraźną przyjemność z używania słów, które inni wypowiadaliby z odrazą. – Chodź, co ci będę gadał.

Pokiwała głową, bo wołała, żeby Szwagier już nic nie mówił, i ruszyła za nim między konary powalonych drzew. Przez myśl przebiegła jej myśl, że za milion lat te konary zmienią się w węgiel, a to nie wiedzieć czemu cholernie ją przeraziło.

Po trzech kwadransach podróży busem, który Niemcy skonstruowali do przewozu lekkich ładunków, a Polacy przerobili tak, by wozić zdecydowanie zbyt wiele osób, Ewa wysiadła przy stacji końcowej metra na Młocinach. Miała stąd sześć minut autobusem albo tramwajem do skrzyżowania Marymonckiej z ulicą Dewajtis. Potem czekał ją jeszcze siedmiominutowy spacer środkiem Lasku Bielańskiego do głównego kampusu Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie od dwóch lat studiowała teologię. Do rozpoczęcia wykładów została prawie godzina, którą jeszcze przed dwoma tygodniami spędziłaby prawdopodobnie w towarzystwie Roberta, a teraz musiała ją zagospodarować sama. Namysliła się i uznała, że najlepiej będzie, jeśli dotrze tam prosto na zajęcia. W innym wypadku istniało ryzyko, że spotka Roberta, a on w ramach leczenia wyrzutów sumienia zdecyduje się podjąć z nią jedną z przyjacielskich pogawędek. Nie znosiła tego. Przez ostatnie dwa lata rozumieli się właściwie bez słów, ale od momentu, gdy poinformował ją bez ogródek o swojej skłonności do osób płci tożsamej z płcią własną, okazało się, że rozmawiają w języku, którego w ogóle nie znają, udając jedynie, że potrafią się nim posługiwać. Wszystko, co było dotychczas tak uroczo szczere i prawdziwe, teraz stało się sztuczne, egzaltowane i absolutnie fałszywe.

Ewa studiowała teologię na UKSW w tajemnicy przed starszymi zboru świadków Jehowy. Podjęcie decyzji o rozpoczęciu studiów na uczelni katolickiej zajęło jej mniej więcej rok, wcześniej coś takiego nie przemknęłoby jej nawet przez myśl, ale ostatnio, a właściwie od mniej więcej półtora roku, zaczęła żyć w poczuciu jakiegoś ograniczenia. Wszystkie prawdy przekazywane jej przez lata, odkąd mama przyprowadziła ją do zboru po raz pierwszy jako siedmioletnią dziewczynkę, zaczęły jej się wydawać monotonne i mało odkrywcze. Zapragnęła dowiedzieć się o Panu Bogu czegoś więcej niż tylko tego, jak jest dobry i jakie nakazy wynikają z bezpośredniego i rzetelnego czytania Pisma Świętego. Mama, która do świadków Jehowy trafiła w najtrudniejszym momencie swojego życia, uznała, że to właśnie stamtąd przyszło dla niej wybawienie. To, że córka rozpoczęła poszukiwania w innym kierunku, stanowiło dla niej niemały problem, ale jako osoba z gruntu tolerancyjna, a przede wszystkim kochająca prawdziwie, nie próbowała czegokolwiek jej narzucać. Ewa zresztą nadal uczęszczała do zboru co tydzień, a czasem nawet dwa razy w tygodniu, prowadziła też działalność ewangelizacyjną, była tak zwanym głosicielem, choć w ograniczonym ostatnio wymiarze godzin. W miarę jednak zapoznawania się ze znacznie bardziej elastyczną i jakby wyrozumiałszą doktryną katolicką przesuwiała się coraz bliżej tradycyjnego chrześcijaństwa w obrządku rzymskim. O różnych aspektach wiary, o Robercie i jego nagłym zwrocie, trochę też o sukience, którą upatrzyła sobie ostatnio, właśnie rozmyślała, idąc ulicą Dewajtis w stronę widocznych już wież pokamedulskiego kościoła parafii Błogosławionego Edwarda Detkensa, przy którym znajdowały się zabudowania uczelniane. Kiedy chwilę później zmierzała do głównego wejścia na uczelnię, minął ją elegancki samochód z przyciemnianymi szybami. Ewa pomyślała nawet, że być może do księdza rektora przybyła jakaś oficjalna delegacja rządowa. Samochód skręcił jednak na parking i rozpoczął poszukiwania miejsca pomiędzy autami cywilnymi, co wykluczało taką możliwość.

Sławomir zatrzymał auto i przez jakiś czas obserwował ładną, szczupłą blondynkę, która wydała mu się niezwykle ponętna. Dopiero kiedy dziewczyna zniknęła w wejściu do budynku, wyłączył silnik, spojrzął na siebie w lusterku umieszczonym w osłonie przeciwsłonecznej, po czym wziął skórzaną teczkę leżącą na siedzeniu obok i z równie delikatnym i chłodnym uśmiechem wysiadł z samochodu, zamknął drzwi, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu bentleya na szwajcarskich numerach. Auta nie było, więc wolnym ruchem wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę, a z niej brązową cygaretkę, którą przypalił, delektując się tym, co wokoło, oraz samym sobą przede wszystkim.

Nagie zwłoki leżały na wznak z rozrzuconymi na boki ramionami. Gdyby nie zsinienie i widoczne już miejscami od spodu rozszerzające się plamy opadowe, na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że ta młodziutka dziewczyna z jakiegoś powodu położyła się nago na leśnej ściółce i zasnęła. Po chwili Agnieszka zauważyła jednak, że kończyny i głowa ofiary, choć przylegały do ciała, były od niego odcięte. Ktoś musiał użyć do tego niezwykle ostrego narzędzia, bo rany z wierzchu wyglądały jak wąziutkie nacięcia żyłką. Kiedy pochyliła się nad zwłokami, skonstatowała dodatkowo, że trawa pod nimi była nasiąknięta krwią, co – choć nie znała się na tym za bardzo – mogło świadczyć o tym, że członki i głowę odcinano ofierze, kiedy ta jeszcze żyła i serce wciąż pompowało krew do naczyń. Najbardziej jednak zafrapowała Agnieszkę szczególnie woń niepasująca ani do leśnego otoczenia, ani do nagiego poćwiartowanego ciała, leżącego teraz przed nią na wyciągnięcie ręki.

– Dziwne – odezwała się po raz pierwszy, odkąd inspektor doprowadził ją na miejsce.

– Co dziwne? – Szwagier zaciągnął się papierosem. – Nic dziwnego. Jakiś lokalny retard, alkoholik wypatrzył dziewczynę, jak wracała z przystanku PKS-u, zaciągnął ją do lasu, zgwałcił, udusił, potem chciał pociąć i pewnie zakopać szczątki, coś go spłoszyło albo po pijaku zapomniał, o co mu chodziło. Koniec.

– Jakbyś tu był. – Agnieszka nie ukrywała ironii. – Tylko że nie widzę śladów duszenia, dziewczynę ktoś pociął chyba laserem i to pewnie, jak jeszcze żyła, nie wiem też, przynajmniej na razie, nic o gwałcie.

– Ale wkrótce się dowiesz.

Komisarz przykucnęła ponownie nad zwłokami. Doskonale wiedziała, że inspektor Misiak sam nie wierzył w to, co mówił, a mówił to, próbując jedynie zakłąć rzeczywistość, by była jak najprostsza do zinterpretowania. Żywił zapewne szczerą nadzieję, że sprawę uda się rozwiązać przed upływem czterdziestu ośmiu godzin, bo później dojście do prawdy mogło już zająć lata. Agnieszka się nie łudziła. Gdy już zobaczyła ofiarę, miała przeczucie, że przyjdzie im spędzić długie noce nad tą sprawą, a nawet i to może nie przynieść skutku. Najbardziej bała się tego, że nigdy nie znajdą zabójcy. Takie sprawy prześladowały ją potem latami.

– Dziwny zapach – powiedziała, patrząc uważnie na ściółkę.

– Nic nie czuję.

– Nie czujesz, bo stoisz pięć metrów od zwłok, palisz tego śmierdziela i zaraz nikt tu już niczego nie będzie czuł. – Pochyliła się nad ciałem tak bardzo, że nosem dotknęła prawie biodra dziewczyny. – Skądś znam ten zapach, ale nie mogę sobie przypomnieć.

– Kadzidło. – Za plecami usłyszała nagle męski głos.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła stojącego w pewnej odległości mężczyznę w za ciasnej granatowej marynarce i koszuli z mocno pożółkłym kołnierzykiem.

– Kim pan jest?

– Pracownikiem Hadesu. – Wskazał na nieproporcjonalnie długiego czarnego mercedesa.

Szwagier przyglądał się całej sytuacji z lekkim rozbawieniem.



– Czuć nawet stąd. – Mężczyzna wrócił do porzuconego tematu. – Znam ten zapach, bo czasami nacierają tym ciała.

– Nacierają? – zdziwiła się.

– Tak, ziomale od przygotowania zwłok, szczególnie jak ktoś leżał trochę za długo, to nacierają.

– Lokalny pijak opóźniony w rozwoju pociął ciało laserem, a potem natarł je mirrą? – Agnieszka znów spojrzała na inspektora Misiaka.

Ten wzruszył tylko ramionami, jego nadzieja na rychłe wykrycie sprawcy wśród lokalnych troglodytów malała tyleż powoli, co nieubłaganie.

– Kto zawiadomił? – zapytała i wreszcie poczuła delikatnie rozchodzącą się po ciele obojętność. To xanax zaczął sadzić się w jej głowie.

– Jakiś chłopaczek. Jego babcia zbierała chrust i znalazła, ale że nie ma telefonu, to poprosiła wnuczka czy prawnuczka – odpowiedział Szwagier od niechcenia.

– Zbierała chrust? – Agnieszka miała wrażenie, jakby nagle ktoś przerzucił ją do innej epoki historycznej.

– Nie wiem, co zbierała. Jakie to ma znaczenie? – Misiak chciał już wracać do komendy.

– Jakies tam ma. – Agnieszka natomiast poczuła narastające zaciekawienie. – Gdzie ona jest?

– We wsi, a gdzie? – Inspektor coraz bardziej tracił entuzjazm, a nawet zainteresowanie, ale widząc karcące spojrzenie Agnieszki, trochę się zreflektował i wskazał na kręcących się przy oznakowanej kii dwóch mundurowych. – Oni dadzą ci adres.

Komisarz ruszyła w stronę policjantów, po drodze zatrzymując się jeszcze przy wanie z mikroskopem na boku. Mężczyzna w środku pakował narzędzia i plastikowe torebki z pobranym materiałem do szufladek w starannie zagospodarowanej szafeczce na kółkach, przytroczonej do ściany auta.

– Cześć, Władziu. – Uśmiechnęła się do całkiem łysogo, pozbawionego jakiegokolwiek zarostu na twarzy technika, który wyglądał, jakby wykonano go w technice komputerowej animacji i jeszcze nie do końca dopracowano. – Macie coś ciekawego?

– Na obecnym etapie nic nie mogę ci powiedzieć. – Emocjonalność Władzia idealnie pasowała do jego prezencji. – Pobraliśmy wszystkie próbki, będę badał.

– A ten zapach? – Agnieszka liczyła na to, że jednak uda jej się choć trochę poszerzyć mocno na razie ograniczony zakres wiedzy.

– Jest w tym czymś, czym wysmarowane są zwłoki, ale na razie nie mam pojęcia, co to jest.

Zakres się nie poszerzył, ale sama świadomość, że podkomisarz Eugeniusz Wilczyński, zwany z nieznanego nikomu powodu Władziem, tak jak ona wykrył obecność zapachu, stanowiło już pewne pocieszenie.

– Dasz znać, jak coś z tego wyciągniesz? – Znów się uśmiechnęła. Lubiła Władzia między innymi dlatego, że tak trudno było go polubić.

Pokiwał głową, zasunął ostatnią z szufladek w regale na kółkach i wysiadł z samochodu.

– Myślę, że więcej będzie ci miał do powiedzenia zimny doktorek – ożywił się nagle, tak jakby to ciasne wnętrze furgonetki odpowiadało za jego wcześniejszą mrukowatość. – Dla mnie trochę dziwne jest to, że tam wokoło jest tak czysto.

- Czysto? – zdziwiła się komisarz.
- No w sensie właściwie nie ma żadnych śladów oprócz tych zostawionych przez staruchę i naszych. Poza tym wszystko wygląda tak, jakby dziewczynę ktoś tam opuścił z góry i ułożył delikatnie pośród mchu i paproci.
- Jakie to poetyckie. – Agnieszka była pod wrażeniem, nie znała Władzia od tej strony.
- Przestań. – Podkomisarz nie miał poczucia humoru, a nawet jeśli, to uważał demonstrowanie go za coś wyjątkowo nieprofesjonalnego. – Ktoś morduje dziewczynę, być może ją gwałci, potem albo w trakcie tnie na kawałki, a wokoło nie ma żadnych śladów walki, przemocy, nic, nawet śladów obuwia.
- Czyli raczej nie pijany chłopek-roztropek? – Agnieszka upewniała się, choć i tak była już co do tego przekonana.
- Nigdy w życiu.
- Dzięki – odpowiedziała pospiesznie, bo chciała już porozmawiać ze staruszką, która zbierała chrust nad ranem w dwudziestym pierwszym wieku. – Wpadnę do was za jakiś dzień, dwa, może coś jednak znajdziecie.

Spotkanie, którego Sławomir nieco się obawiał i które jednocześnie wzbudzało w nim przyjemną ekscytację, rozpoczęło się wprawdzie z kilkugodzinnym opóźnieniem, ale przebiegało w miłej, niż się tego spodziewał, atmosferze. Siewa, czyli oficjalnie, choć raczej nie naprawdę, Wsiewołod Garugin, nad wyraz rosły mężczyzna, prawdopodobnie zanim zajął się mało transparentnymi interesami rosyjskich firm w Szwajcarii, praniem pieniędzy mafii i działaniami wspierającymi aktywność wywiadu Federacji Rosyjskiej w zachodniej Europie, był lekkoatletą reprezentującym barwy swojej ponad wszystko ukochanej ojczyzny. Ta zaś wśród wielu innych zalet miała tę jedną, główną, że urodzony w niej bandyta, jeśli tylko wykazywał jakąkolwiek przydatność dla systemu, mógł czuć się w niej zupełnie bezkarny. Nie dość, że bezkarny, Siewa oprócz zajmowania się biznesem, lobbowania i mafią był także dyplomata, a konkretnie konsulem Rosji w Bernie. Znajomość Sławomira z Siewą miała długą i burzliwą historię, zakorzenioną jeszcze w schyłkowej fazie zimnej wojny, kiedy Polska należała do strefy wpływów Związku Radzieckiego, a tak naprawdę stanowiła po prostu jego lenno. Związek Sowiecki był wtedy kolosem i potęgą, który wprawdzie kilka lat później runął, ale – jak wielu uważało, pewnie nie bez racji – owo runięcie nie było ani przypadkowe, ani do końca pozbawione kontroli. Za tą tezę przemawiał zresztą także życiorys Siewy. Po raz pierwszy panowie spotkali się w 1988 roku. W tamtym czasie Sławomir należał do wąskiej grupy współpracowników pozyskiwanych przez służbę bezpieczeństwa PRL-u spośród co ciekawszych i co bardziej pokręconych młodocianych pensjonariuszy zakładów poprawczych. Młody Sławek, który nawiasem mówiąc, wtedy miał na imię Mirek, a imię wraz z nazwiskiem zmienił jakiś czas później, czyszcząc wszelkie ślady swojego wcześniejszego istnienia, okazał się kandydatem idealnym. Nie dość, że miał wysoki iloraz inteligencji, to jeszcze nosił w sobie cechy tak głęboko psychopatyczne, że prowadzący go oficerowie SB byli pod wrażeniem. Pewnej nocy w drzwiach sali, w której nocował, zamiast prowadzącego go porucznika Wolniaka stanął mówiący po rosyjsku kolos. Mirek początkowo zinterpretował ten fakt jako omen zwiastujący coś złego. Jak jednak szybko miało się okazać, nie taki omen straszny, jak go malują, i już po kilku godzinach chłopak wiedział, że właśnie spotkał kogoś, z kim znajomość pomoże mu ustawić się w życiu tak, jak zawsze tego chciał, czyli wygodnie.

– *Inacze, szto u ciebia, Mirko?* – Siewa, który może trochę z przekory, a może by podkreślić szczególnie rodzaj ich wzajemnej relacji nigdy nie przestawił się z Mirosława na Sławomira, zadarł głowę i oglądał korony drzew pomalowane teraz kolorami jesieni. – *Wsio w pariadkie?*

– *Kanieszno w pariadkie.* – Sławomir pokiwał głową i uśmiechnął się do Siewy, który wcale na niego nie patrzył.

– *A co masz dziś dla mnie, Mirku?* – Siewa nagle spojrzał mu prosto w oczy i ten od razu przestał się uśmiechać, bo wiedział, że kiedy Rosjanin przechodzi na kresową odmianę języka polskiego, oznacza to, że nadszedł czas wymiany handlowej, której ewentualne niepowodzenie mogło być dla niego brzemiennie w skutki.

Sławomir miał jednak tę jakże przydatną przypadłość, że kiedy stawka rosła i pojawiał się tak zwany czynnik ryzyka, zaczynał się czuć jak ryba w wodzie.

– *Być może już w tym tygodniu zostanie wycofany ambasador z Kijowa.*

Siewa z kamienną twarzą pokiwał głową.

– A kto na nowego? – odezwał się po chwili. – Znowu jakiś sympatyk sprawy ukraińskiej, jak to u was *gawariat*?

– Nie sędzę, raczej ktoś z lepszą pamięcią dziejową. – Sławomir tak naprawdę wiedział już, że na następcę odziedziczonego jeszcze po poprzedniej ekipie ambasadora Wiśniewskiego zostanie mianowany zagorzały wróg ukraińskich czarnych podniebień, znany ze swoich proputinowskich przekonań wieloletni redaktor naczelny jednego z czasopism ksenofobiczno-narodowych, ale wolał sprawić towarzyszom radzieckim miłą niespodziankę dopiero przy następnym spotkaniu. Takie dozowanie przyjemności stanowiło jeden z kluczy jego dotychczasowych sukcesów, wymagało to wprawdzie sporej dyscypliny, ale wartość dodana była trudna do przecenienia.

– *Nawierno.* – Siewa wrócił do mieszanki słowiańskiej, kończąc tym samym rozliczenia i wymianę handlową oraz przechodząc do realizacji programu rozrywkowo-artystycznego. – *Tak szto? Nam tiepier udawletworjatsia?*

– *Kanieszno.* – Sławomir pokiwał głową, myślami był już jednak nieobecny. W jego głowie też wprawdzie pojawiła się chęć wynagrodzenia sobie trudów udanych negocjacji, ale on wynagradzał się w zasadniczo odmienny sposób od tego, jaki na myśli miał Siewa. Różniło ich bowiem to, że o ile Rosjanin był jedynie psycholem, który zapewne odrąbał w życiu niejedną głowę i wydlubał niejedno oko, o tyle on był psychopatą, i to psychopatą należącym do kasty najbardziej przemyślnych i wymagających.

Gdy Wsiewołod ruszył w kierunku swojego bentleya z czerwonym, szwajcarskim krzyżykiem na rejestracji, Sławomir podążył za nim. Wiedział doskonale, że będzie zmuszony zostawić tu swoje auto, po które wróci prawdopodobnie dopiero kolejnego popołudnia, choć po tego typu wieczorkach tak naprawdę za kółko nie należało siadać przez co najmniej kilka dni. Kiedy już zbliżali się do auta, raz jeszcze zerknął w stronę wejścia do gmachu uczelni. Miał szczerą nadzieję, że nie dostrzeże w nich dziewczyny, którą zobaczył tam tego ranka, wtedy bowiem wszystko stałoby się zbyt proste i oczywiste. Dziewczyny w drzwiach nie było, co potraktował jako zdecydowanie optymistyczny zwiastun.

Ewy w drzwiach nie było, ponieważ godzinę wcześniej opuściła sale wykładowe UKSW, żeby udać się na spotkanie zboru, na które szła trochę z przyzwyczajenia, trochę, żeby nie sprawić przykrości matce, ale też dlatego, że nie zdecydowała jeszcze, jaki obrać kierunek duchowych poszukiwań. Sala królestwa świadków Jehowy mieściła się na parterze nowoczesnego apartamentowca stojącego na styku Woli i Żoliborza. Kiedy zjawiała się na miejscu, ludzie dopiero zaczynali się zbierać, do rozpoczęcia zebrania zostało jeszcze dobre pół godziny. Znała tu wszystkich, ale tylko z garstką utrzymywała relacje na tyle bliskie i przyjazne, żeby mieć ochotę na nawiązanie rozmowy. W końcu w znajdujących się w rogu obszernej sali drzwiach pojawiła się Basia, a chwilę później także jej mąż Marcin. Na ich widok Ewa wstała z wyłożonego miękką niebieską tkaniną krzesła i pomachała im. Przyjaciółka od razu ją zauważyła i ruszyła w jej stronę, a na jej twarzy pojawił się ciepły, serdeczny uśmiech. Ewa myślała czasami, że gdyby nie ona i właśnie ów szczerzy uśmiech, być może już dawno przestałaby przychodzić na zebrania zboru. Basia i jej mąż byli tymi, których obecność trzymała ją tutaj najmocniej. Ewa potrzebowała wokół siebie przyjaznych ludzi, bo to właśnie oni często pomagali jej przetrwać najtrudniejsze momenty, kiedy cały świat oddalał się od niej, a ona nie miała siły rano podnieść się z łóżka, a wieczorem i w nocy sen nie nadchodził przez długie godziny.

– Cześć, Ewuś, jak tam? – Basia powtórzyła to samo pytanie, które zadawała przy każdym spotkaniu, po czym otoczyła ją potężnymi ramionami, a Ewa jak zawsze poczuła błogie zadowolenie.

– Dobrze, dobrze, a co u was? Słyszałam, że Marcin dostał propozycję na starszego zboru – powiedziała, gdy tylko Basia wypuściła ją z energetyzującego uścisku.

– Też coś słyszałam, ale niewiele ponadto. – Uśmiechnęła się nieco tajemniczo. – A jak mama, będzie dzisiaj?

– Nie, dzisiaj nie może, nogi wciąż nie dają jej spokoju. A poza tym – dodała już nieco bardziej konfidencko Ewa – bardzo dobrze jej idzie z tymi kanapkami, może nawet zacznie też dostarczać obiady. Zarobiona jest, może przyjdzie w niedzielę.

– A jak tam twoje sprawy sercowe? – Basia nie znała wprawdzie pikanterii szczegółów jej rozstania z Robertem, ale przeczuwała od jakiegoś czasu, że sprawy nie idą w dobrą stronę.

Przez moment Ewa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie lubiła kłamać, a na powiedzenie całej prawdy nie była jeszcze gotowa. Na szczęście z dylematu wybawił ją prowadzący zebranie, który w tym momencie wszedł na mównicę i wszelkie rozmowy ucichły.

Agnieszka wjechała do wsi. Droga niewiele różniła się od leśnego duktu, z którego zjechała przed momentem, a domy sprawiały wrażenie, jakby postawiono je jeszcze w XIX wieku. Najgorzej prezentowały się murowane, bo były nieotynkowane i wyglądały na sztukowane z co najmniej kilku różniących się wielkością i kolorem rodzajów cegieł. Pozostałe zabudowania były drewniane, i gdyby nie fakt, iż większość z nich chyliła się ku upadkowi, wyglądałyby właściwie urokliwie, bo znacznie bardziej harmonizowały z otaczającą je bujną, choć nieco już po jesiennemu schyłkową roślinnością. Miejsce wydawało się Agnieszcze bardzo dziwne, choć początkowo nie potrafiła znaleźć przyczyny i dopiero po przejechaniu mniej więcej połowy wsi dotarło do niej, co było tu nie tak. Rzecz w tym, że ani na głównej i jedynej zresztą drodze, ani przy budynkach i zabudowaniach gospodarczych, ani na tonących w błocie podwórkach do tej pory nikt się nie pojawił. Teraz spojrzała na fasadę jednej z chałup, na której na niebieskiej tabliczce ktoś napisał numer jedenaście. Musiała być blisko, bo wedle informacji otrzymanej od tych z prewencji zbieraczka chrustu mieszkała pod numerem piętnaście. Ku swojemu zaskoczeniu na kolejnej chałupie zobaczyła jednak numer trzydzieści dwa, a na następnej siedem. Panujący tu chaos powoli burzył jej wewnętrzny spokój, uzyskany dzięki zażyciu pokażnej ilości xanaxu. Agnieszka spojrzała na zegarek umieszczony na środku deski rozdzielczej – było dopiero dwadzieścia po pierwszej, więc o dołożeniu kolejnej porcji na razie nie mogło być mowy. Nagle między chałupami w oddali zamajaczyła sylwetka osoby prowadzącej rower. Komisarz dodała gazu i po chwili zrównała się z idącym wężykiem mężczyzną w kufajce i walonkach. Opuściła szybę.

– Dzień dobry – powiedziała i od razu to zdanie wydało jej się z jakiegoś powodu absurdalne.

Mężczyzna zerknął na nią, ale sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie dostrzegł, choć siedziała w pokaźnych rozmiarów aucie, w którym w dodatku naderwała coś przy wydechu, więc nie dało się go przeoczyć nawet na ruchliwej ulicy miasta, a co dopiero tu, w dojmującej ciszy.

– Szukam adresu. – Agnieszka cały czas starała się utrzymywać pewną odległość od idącego, bo wydawało jej się, że lada moment albo on przeważy rower, albo rower przeważy jego. Ta druga opcja byłaby gorsza, bo wtedy wyrzciłby się wprost na bok toczącego się obok auta. – Świerklany piętnaście, nie wie pan, gdzie to jest?

– Jak nie wiem? – Chłop stanął tak nagle, że komisarz mimo niezłego refleksu, sprawdzanego zresztą systematycznie na badaniach psychomotorycznych, zatrzymała się dopiero kilka metrów dalej. Spojrzała w lusterko w nadziei na to, że podejdzie do niej, ale nic takiego nie nastąpiło. Stał dokładnie tam, gdzie się zatrzymał, jakby jego czasoprzestrzeń zamarła po wypowiedzeniu tych słów.

Agnieszka wrzuciła wsteczny i powoli dotoczyła się z powrotem tam, gdzie mężczyzna się przebudził.

– To gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie są Świerklany piętnaście? – Starła się nie tracić cierpliwości, ale miała nieodparte

wrażenie, że została wessana do jakiejś strategicznej gry komputerowej, a chłop jest etapem, który musi pokonać, żeby przejść na wyższy poziom.

– O tamoj są, a gdzie mają być. – Wskazał gdzieś nad dachem jej samochodu.

Agnieszka zrezygnowała z dalszych prób objaśniania czegokolwiek, wrzuciła luz, wysiadła z auta i spojrzała w stronę, którą wskazywał mężczyzna. W oddali, już poza obrębem sioła stał dom, a właściwie drewniana rudera.

– Tam za wsią aż? – Agnieszka złapała się na tym, że właśnie podjęła próbę dostosowania mowy do swojego interlokutora.

– Za wsią, ten tam barak. – Uśmiechnął się nagle do niej i spojrzał wzrokiem tak trzeźwym, że przez moment ciarki przeszły jej po plecach.

– Dziękuję.

– A jest za co?

Nie odpowiedziała, tylko wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę wskazanej chałupy.

Na podwórku stał czarny wychudzony pies, który zaczął się jej przyglądać. Ogromne, zaniedbane zwierzę nie miało jednego oka, na jego głowie widniały ślady po walkach stoczonych w czasach, gdy fakt dominacji nad innymi burkami z okolicy miał jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Czarny rokita wyglądał na wygłodzonego. Agnieszka bała się psów, ale teraz, co nawet ją zaskoczyło, nie czuła lęku. Rozejrzała się po podwórku. Panował tu wprawdzie bałagan, ale wszystkie porzucone sprzęty, poodrywane deski i wykopane nie wiadomo po co doły na tyle zarastała żółknąca już powoli trawa i wiecznie zielony mech, że całość sprawiała wrażenie malowniczego obrazu, przygotowanego tak, by zamiast razić oko i poczucie estetyki, wprowadzał w hipnotyczny stan zauroczenia. Komisarz weszła do sieni drewnianej chałupki, w której oknie paliło się światło, i zapukała do drzwi. Oczekwała chwilę i znów zapukała, tym razem mocniej. Pies podszedł nieco bliżej i teraz przyglądał się jej od tyłu z dużym zaciekawieniem. Po kolejnych kilkunastu sekundach drzwi uchyliły się wreszcie ze skrzypnięciem i po drugiej stronie ukazała się zgięta niemal wpół starowinka w kolorowej chuście na głowie.

– Dzień dobry pani. Komisarz Polkowska, komenda powiatowa policji w Skarżysku-Kamiennej.

Staruszka z dużym wysiłkiem uniosła głowę, przekrzywiając ją przy tym lekko w bok. Tylko tak mogła spojrzeć przed siebie. Agnieszka zobaczyła, że kobieta miała oczy w kolorze chłodnego błękitu, takiego, jakim niebo wysyca się czasem w zimie wczesnym rankiem, kiedy wreszcie kończy się zamieć i chmury rozstępują się z ulgą.

– Pani zdaje się znalazła zwłoki w lesie. – Zawiesiła głos w oczekiwaniu na potwierdzenie, które nie nadeszło. – Chciałabym zadać kilka pytań.

Staruszka opuściła głowę i rozświetlający ganek błękit oczu zniknął. Po chwili odwróciła się bez słowa i ruszyła w głąb obejścia, pozostawiając Agnieszkę w otwartych drzwiach. Komisarz po chwili namysłu poszła za nią. W izbie stanowiącej jednocześnie sypialnię, kuchnię i pokój dzienny panował półmrok. Okna były zabite dyktą albo zasłonięte kocami. W jedynym miejscu na parapecie, które rozjaśniało wpadające z zewnątrz światło, stała rachityczna roślinka. Przy suficie paliła się goła żarówka.

– Niech siada. Herbaty się napije? – Głos staruszki był ciepły i miękko chropowaty.

– Chętnie, dziękuję bardzo. – Agnieszka zajęła jeden z dwóch stołków ustawionych przy stole. Po chwili kobieta postawiła przed nią szklanę wypełnioną ciemnożółtą cieczą i usiadła na drugim ze stołków.

– To diabeł zrobił, nie człowiek. – Znow uniosła lekko głowę, nie patrząc jednak na gościa, lecz na kawałek zieleni stojący na parapecie.

Komisarz była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Widziała kiedyś diabła? – Staruszka znow opuściła głowę.

– Nie wiedziałam nawet, że istnieje. – Agnieszka próbowała żartem zdystansować się od sytuacji, ale szybko tego pożałowała, bo dotarło do niej, że właśnie znalazła się w świecie innym niż ten, który знаła. Z tej rzeczywistości nie dało się uciec ironią.

Kobieta pokiwała pochyloną głową, po chwili uniosła ją i ich spojrzenia skrzyżowały się po raz drugi.

– A jej oczy widziała?

– Nie, zamknięte były.

– A prawda, sama je zamknęła, żeby nikt już nie oglądał. – Znow opuściła głowę i zamilkła.

– Podejrzewamy, że to mógł być ktoś z okolicy. – Agnieszka skłamała w poczuciu służbowej zależności.

– Mieszkam tu od dziewięćdziesięciu ośmiu lat, gdyby tu był diabeł, wiedziałyby o tym. – Staruszka nie podniosła głowy, ale komisarz przez moment miała wrażenie, że się uśmiechnęła.

– Pani będzie szukać?

– To się jeszcze okaże. Mamy cały wydział od tego, nie wiem, czy akurat ja...

– To dobrze. – Kobieta jakby w ogóle jej nie słuchała, wstała i podeszła do pieca, sięgnęła do słoika stojącego na murowanej półeczce nad piecem, poszperała w nim chwilę i wyciągnęła coś, co w zaciśniętej, pomarszczonej jak wyschnięty liść dłoni przyniosła Agnieszce. Kiedy stanęła obok, Agnieszka w odruchu rozwarła dłoń, na której po chwili zobaczyła łańcuszek z obrazkiem Matki Bożej. – Zabrała stamtąd, bo tej małej już i tak tam nie było, a pani się przyda.

– Zdjęła pani ze zwłok? – Komisarz pomimo lat doświadczeń w obcowaniu z martwymi ludźmi i przedmiotami należącymi do nich za życia wzdrygnęła się lekko.

Staruszka pokiwała głową, nie sprawiając przy tym wrażenia zaskoczonej zdziwieniem swojego gościa, raczej traktowała je ze swoistą pobłażliwością, do której upoważniała ją ogromna różnica wieku.

– A co pani robiła w lesie tak wcześnie rano? – Agnieszka przypomniała sobie nagle, że jest policjantką.

Kobieta uśmiechnęła się i nic nie mówiąc, wskazała na stojący przy popielniku pieca kafłowego wiklinowy kosz wypełniony gałęziami. Przez chwilę obie panie milczały.

– Znajdziesz go. – Błękit oczu znow zalał światłem mroczne wnętrze. – Ale uważaj na siebie... córeczko.

Słowo „córeczko” odbiło się echem w głowie Agnieszki. Przez moment znow zobaczyła wnętrze dziwnej chłodni ze snu, którego nie pamiętała, a potem pomyślała o swojej matce, której właściwie nigdy nie poznała.



Impreza z Siewą na szczęście dla Sławomira skończyła się, zanim w ogóle się zaczęła. Kiedy panowie jechali już w kierunku ulubionego warszawskiego klubu nocnego Rosjanina, który miał otworzyć przed nimi swoje podwoje, choć ledwie minęło południe, nagle zadzwonił telefon Siewy. Treść rozmowy pozostała dla Sławomira nieznana, ponieważ jego współpasażer właściwie nie robił nic oprócz powtarzania zdawkowego „da, da” i kiwania głową, ale kiedy skończył, był zdyszany i spocony. Wolski nie miał pojęcia, z kim i o czym rozmawiał jego znajomy, co przyjął z ulgą, gdyż bliska mu była sparafrazowana nieco myśl rosyjskiego klasyka: mniej wiesz, dalej zajedziesz. Siewa nagle stał się mało rozmowny i kazał kierowcy podwieźć Sławomira na postój taksówek, gdzie rozstał się z nim w nadziei, że jeszcze kiedyś będzie dane im się spotkać. Wolski wysiadł z auta przekonany, iż pomimo stresu związanego z rozmową Siewa był z niego zadowolony, a zadowolony Siewa siłą rzeczy oznaczał zadowolonych mocodawców. Dla niego zaś zadowolenie mocodawców Rosjanina było kluczowe o tyle, że dzięki ich wsparciu jego firma zyskiwała wciąż nowe kontrakty i to nie tylko w Rosji, ale też w krajach teoretycznie od niej niezależnych, a często nawet oficjalnie wrogo nastawionych. Tak wyglądał współczesny świat biznesu i zasad, świat, w którym Wolski czuł się jak ryba w wodzie.

Kiedy godzinę później odebrał dzieci ze szkoły, miał tak doskonały humor, że od razu zaproponował im na wieczór ich ulubione sushi. Pół godziny później stali przed szklaną ladą, za którą leżały rozłożone na lodzie ryby. W pewnym momencie Sławomir zauważył, że Piotrek przygląda się jednej z dorad z dużym zainteresowaniem. Chłopiec najwyraźniej coś do niej szeptał. Ekspedientka o interesującej figurze odcinała właśnie dla nich półkilogramowy, dorodny, pomarańczowy kawałek łososiowej tuszy.

– Synku, co ty robisz? – zagaił Sławomir.

– Mówię do nich.

– Ale one cię nie słyszą.

– Czemu? – Piotrek po raz pierwszy niepewnie zerknął na ojca.

– Bo są zdechłe. – Wolski uśmiechnął się szeroko do syna, a ten natychmiast umknął wzrokiem i przestał już mówić do ryb.

Ekspedientka tymczasem położyła łososa na wadze i nieco zaskoczona spojrzała na klienta. Kiedy się zorientował, przeniósł na nią wzrok, a uśmiech nadal nie opuszczał jego twarzy.

– Prawda nas wyzwoli, czyż nie tak jest napisane w piśmie? – zażartował, ale pani wcale to nie rozbawiło.

– Pięćdziesiąt pięć deko, dobrze będzie? – zapytała po chwili, zerkając na kwarcowy wyświetlacz.

– Nie. – Sławomir przestał się uśmiechać. – Prosiłem o pół kilo.

Po zakończeniu zebrania w sali królewskiej zboru Ewa pożegnała się z Basią i Marcinem, po czym ruszyła na zaplecze, gdzie miała nadzieję zamienić kilka słów ze starszym Bogdanem, który prowadził dzisiejsze spotkanie. Chciała zgłosić, że nie będzie w stanie wziąć na siebie więcej godzin posługi, bo mama, studia, praca i jeszcze kilka innych spraw kompletnie jej to uniemożliwiało. Jednak bardziej niż na zgłoszeniu zależało jej na tym, by zamienić z Bogdanem choćby kilka słów, może otrzymać od niego jakieś wsparcie, usłyszeć coś, co odwróciłoby jeszcze na tym etapie bieg wydarzeń nieuchronnie prowadzący ją do opuszczenia świata świadków Jehowy. Słowem, podświadomie chciała, by ktoś odwiódł ją od zamiaru, przeciął drogę jej przeznaczenia. Kiedy weszła do sali, starszy Bogdan, postawny mężczyzna o nienagannej powierzchowności i gładko wygolonej twarzy, ubrany w świetnie skrojony garnitur, skończył rozmawiać z dwójką starszych osób i po chwili przywołał ją do siebie.

– Dzień dobry, Ewo, co tam u ciebie, jak mama? Rzadko ją ostatnio widuję, jak się czuje?

Seria pytań nieco ją przytłoczyła. Tak naprawdę nie wiedziała, na które z nich odpowiedzieć najpierw.

– Mama? Mama dobrze, to znaczy tak sobie, zmęczona jest, nogi wciąż jej puchną, ale ja chciałam... – Przerwała, bo po pierwsze nie do końca umiała nazwać to, czego chciała, a po drugie do sali weszła właśnie elegancka kobieta i uwaga starszego Bogdana, od początku nieprzesadnie skupiona na Ewie, teraz zdawała się definitywnie odpływać. – Chciałam zgłosić, że nie dam rady wziąć więcej godzin w służbie...

– Czemu? – Mężczyzna zadał pytanie bardziej automatycznie niż z zainteresowania.

– Bo mam zbyt wiele obowiązków, muszę się opiekować mamą, studia, praca, po prostu...

– Trudno, to twój wybór, być czy mieć, jak powiedział Freud. – Bogdan pokiwał głową i bez pożegnania ruszył w kierunku kobiety w lakierowanych butach na wysokich obcasach, która uśmiechnęła się do niego, jak wydawało się Ewie, nieco zbyt dwuznacznie.

– Mieć czy być i Fromm, a nie Freud – poprawiła Bogdana, ale ten i tak już jej nie słyszał, po czym wyszła z sali.

Kiedy Agnieszka przyjechała w końcu na plac przed komendą, było już późne popołudnie. Tak naprawdę po wizycie u staruszki mogła pojechać prosto do domu, co na jej miejscu zrobiliby wielu, o ile nie większość jej kolegów, ale ona działała w nieco innym rytmie. Jeśli coś miało miejsce rano, Agnieszki nie było, za to jeśli zdarzyła się nagła sprawa i ktoś musiał zostać na noc, komisarz Polkowska była w swoim żywiole. Za zaburzony rytm dnia i nocy odpowiadało przede wszystkim przyjmowanie w nadmiarze wszelkiego rodzaju trankwilizatorów, z których xanax należał do najłżejszych, ale przecież nie brała ich dla sportu, tylko dlatego że chaos jej życia osobistego w innym wypadku mógłby ją porwać i zanieść Bóg wie dokąd. W jej pracy nadużywanie środków zmieniających świadomość nie było zresztą niczym niezwykłym, tyle że większość kolegów pod wpływem stresu pracy wśród zła i śmierci uciekała w alkohol, a ten dla Agnieszki był za ciężki i w zbyt wyraźny sposób upośledzał zdolność logicznego myślenia. Spadek ilorazu inteligencji był dla komisarz Polkowskiej absolutnie nie do zaakceptowania.

Jej przyjazd zbiegł się z chwilą, gdy Szwagier postanowił właśnie opuścić stanowisko pracy i udać się tam, gdzie toczyło się właściwe z jego punktu widzenia życie, czyli do domu.

– Chcę, żebyś mi dał tę sprawę. – Komisarz stanęła w drzwiach gabinetu szefa.

– Za prosta. – Inspektor Misiak nie spojrział nawet na nią i nie przerwał pakowania napęczniałej już ponad miarę teczki. – Poza tym masz za dużo niezawiązanych kokardek.

– Jak prosta, to co ci zależy? – Agnieszka weszła do gabinetu, bezpardonowo zdjęła papiery z krzesła przy biurku i usiadła. – Szybko zawiążę kokardkę i będzie statystyka.

– Tę sprawę lewą ręką rozwiążą lokalni szeryfowie. – Szwagier z trudem docisnął zatrzask w teczce. – Nawet nie będziemy musieli się w to włączać. Co u staruszki? – W końcu spojrział na swoją podwładną.

– Powiedziała, że to diabeł – odparła, uśmiechając się do swoich myśli.

– To wiedzieliśmy bez niej. – Szef zdjął z oparcia fotela marynarkę. – Coś poza tym?

Agnieszka z kieszeni kurtki wyciągnęła przezroczysty woreczek ze strunowym zamknięciem. Położyła go na biurku przed inspektorem. Misiak podniósł go i z bliska spojrział na zakrwawiony łańcuszek z obrazkiem Matki Bożej prześwitujący przez folię.

– Co to jest?

– Święty obrazek. – Komisarz przekrzywiła nieco głowę, jakby chciała sprawdzić, czy rzeczywiście tak trudno zorientować się, co jest w środku. – Staruszka mi dała. Znalazła go przy zwłokach i zabrała.

– Jeszcze coś zrobiła przy zwłokach? – Zaskoczony Szwagier uniósł lekko brwi.

– Zamknęła oczy. – Agnieszka zamyśliła się, próbując sobie przypomnieć, dlaczego staruszka tak się zachowała. – Nie chciała, żebyśmy je widzieli.

– Bo?

– Bo było w nich przerażenie? – Zamyśliła się na moment. – Tak, nie chciała, żeby ktoś musiał się jeszcze z tym zetknąć.

– Trzeba będzie ją sprawdzić. – Misiak stał już przy drzwiach gotowy do wyjścia.

– Ona ma dziewięćdziesiąt osiem lat.

Inspektor przede wszystkim chciał iść do domu, dlatego teraz potrzebował już tylko sformułować jakąś puentę, która zamknęłaby tę dyskusję. Zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie na coś wpadł:

– Zgłosił jej wnuczek. Jego trzeba będzie sprawdzić.

Agnieszka pokiwała głową bez przekonania.

– Dasz sprawę?

– Znaleźliśmy rodziców. – Inspektor doskonale wiedział, że jeśli nie przydzielili jej jakiegoś zadania, nie rzuci choć kęsa sprawy, to nie uda mu się wyjść z tego gabinetu przez następną godzinę. – Dwa dni temu zgłosili zaginięcie, zdjęcie się zgadza.

– Teraz mi mówisz? – Agnieszka już zapomniała, że jeszcze pięć sekund temu nie prowadziła tej sprawy, co więcej, tak naprawdę wciąż jej nie prowadziła.

Szwagier zerknął do dużego notesu biurkowego z żubrem na okładce.

– Miejscowość Płonniki sześćdziesiąt sześć. W przybliżeniu jakieś czterdzieści kilometrów od miejsca znalezienia zwłok. – Spojrzał na komisarz i widząc, że perspektywa poinformowania rodziców o śmierci córki mocno ją zdołowała, uśmiechnął się. – Miałem posłać Nowickiego, ale skoro chcesz...

Agnieszka nic nie odpowiedziała, nie ruszyła się też z fotela.

– Tylko zbastuj trochę z tymi psychotropami, bo zaraz zapomnisz, jak się nazywasz. – Misiak doszedł do drzwi, po czym zatrzymał się jeszcze na chwilę. – Zgaś światło i zaplombuj, jak tu skończysz.

– Łajza – powiedziała do siebie na tyle głośno, żeby inspektor, który zniknął już w głębi korytarza, mógł usłyszeć.

– I nie wzywaj imienia swego szefa nadaremno. – Misiak rzucił z oddali, żeby nie zawieść jej oczekiwań.

Przez całą drogę do Płonnik liczyła na to, że z jakiegoś powodu uda jej się nie dojechać. Mogło popsuć się auto albo zdarzyć coś innego, nie wiedziała za bardzo co, ale i tak miała nadzieję. Kiedy dojechała i po wypaleniu trzech papierosów stanęła w końcu przed furtką z numerem sześćdziesiąt sześć, spojrzała na zadbane ogródki i niewielkich rozmiarów kwadratowy domek, pokryty poszarzałym nieco tynkiem. Teraz marzyła już tylko o tym, by nikt jej nie otworzył albo by ci, którzy otworzą, okazali się kimś innym. Słowem, nie chciała spotkać rodziców Zuzanny Woronicz, lat dziewiętnaście, uczennicy technikum, sposobiącej się do bierzmowania dziewczyny o sympatycznym uśmiechu i długich blond włosach. Tej samej, którą nagą i rozkawałkowaną piekielnie ostrym narzędziem oglądała przed zaledwie dwunastoma godzinami, utopioną w mchu, jakby pogrążoną we śnie, a przecież jednak nie we śnie.

– Słucham panią. – Za kratami po drugiej stronie furtki stała otyła kobieta o zmęczonej twarzy. Ona też miała blond włosy, ale znacznie krótsze.

– Dzień dobry... znaczy dobry wieczór właściwie. Szukam państwa Urszuli i Rafała Kołodziejczyków.

– Miło mi. – Kobieta uśmiechnęła się, a w jej zmęczonych oczach pojawił się promyk nadziei.  
– Urszula Kołodziejczyk. A pani?

Urszula Kołodziejczyk zapytała, żeby się upewnić, bo coś mówiło jej, że już wie, kim jest stojąca przed nią kobieta. Nie знаła jedynie celu wizyty.

– A tak, oczywiście, przepraszam. – Agnieszka uśmiechnęła się delikatnie i sięgnęła po legitymację. – Komisarz Agnieszka Polkowska, komenda powiatowa policji w Skarżysku-Kamiennej.

– Tak myślałam. – Gospodyni rozpromieniła się, a pod Agnieszką ugięły się nogi. – To znaczy czułam, że pani z policji. W sprawie Zuzy?

– Tak – odpowiedziała i zamilkła. Przez moment ogarnęła ją fala lęku, ale na szczęście moment później przypomniała sobie procedury. – Czy pani mąż też jest w domu?

– Jest. – Uśmiech na twarzy kobiety zastąpiło zdziwienie. – A czemu pani pyta? Coś...

– Mogłaby pani poprosić go tutaj do nas?

– Mogę, ale może pani wejdzie. – Urszula przypomniała sobie zasady dobrego wychowania. – Przepraszam, że od razu nie zaprosiłam.

W kuchni paliło się jasne, chłodne światło przypominające temperaturę barwową jarzeniówkę. Nie było przyjemne, ale zużywało znacznie mniej prądu, a poza tym energooszczędne żarówki przepalały się bardzo rzadko. Agnieszka myślała o tym, siedząc przy herbacie zaparzonej w szklance z metalowym koszykiem, głównie dlatego że nie chciała na razie myśleć o tamtym. Do kuchni wszedł na oko pięćdziesięcioletni, rosły mężczyzna w podkoszulku bez rękawów. Urszula zerknęła na męża.

– Jak ty wyglądasz? Ubrałbyś się, a nie tak... Pani z policji przyszła.

– Co się stało? – Rafał Kołodziejczyk nie zwrócił uwagi na zdanie wypowiedziane przez żonę.

– Tak, no więc... dysponujemy wprawdzie tylko zdjęciem dołączonym do państwa zgłoszenia – Agnieszka zaczęła rzeczowo – więc nie możemy być do końca pewni, ale... – przerwała.

Rodzice Zuzy spojrzeli na nią, na siebie i ponownie na nią. To nie mogło trwać wiecznie.

– Ale wszystko wskazuje na to, że państwa córka nie żyje.

Na moment zrobiło się tak cicho, że Agnieszka odniosła wrażenie, jakby czasoprzestrzeń zassała się do swojego wnętrza.

– Bardzo mi przykro – dodała szczerze, ale w jej uszach zabrzmiało to jak cytat z filmu albo passus z instrukcji policyjnych procedur.

– Jezus Maria! – Urszula ukryła twarz w dłoniach.

– Ale co to znaczy?! – Jej mąż najwyraźniej w ogóle nie przyjął tych słów do wiadomości. – Skoro nie jesteście do końca pewni, to jak pani może z czymś takim do nas?!

Polkowska już po raz trzeci tego dnia zobaczyła obrazek ze swojego snu, oszronione wnętrze przypominało jej nagle pustkę szpitalnej kostnicy.

– Będą państwo musieli pojechać do szpitala Skłodowskiej do Skarżyska... – Popatrzyła na mężczyznę, który otoczył teraz ramieniem szlochającą żonę. – Możecie ze mną, potem ktoś odwiezie.

Kiedy Ewa wysiadła z pustego już o tej porze busika, ulice były zatopione w mroku i mżył drobny, ale wyjątkowo gęsty kapuśniak zmuszający ją do zmrużenia oczu. Droga z przystanku do domu zajmowała nie więcej niż dziesięć minut. Dzisiaj Ewa przyjęła to z ulgą, na razie nie miała bowiem chęci spotkać się z zawsze uśmiechniętą matką, która na pewno czekała już z gorącą zupą. Na gorącą zupę też nie miała ochoty. Po chwili ruszyła wolnym krokiem, a w jej głowie, jak w kalejdoskopie, zaczęły przesuwać się obrazy niespecjalnie udanego dnia. Najpierw próba wydłużenia drogi na uczelnię, by nie przyjść za wcześnie i uniknąć dzięki temu niepotrzebnych rozmów z Robertem, który nie wiadomo po co wciąż ją zaczepiał, potem starszy Bogdan, z którym chciała porozmawiać, ale nie okazała się dla niego wystarczająco interesującą rozmówczynią, w końcu oświadczenie szefa o rychłej redukcji liczby baristów, a ona pracowała przecież właśnie jako baristka. Wszystko to było przygnębiające, ale nie stanowiło dla niej większego problemu, bo w przeciwieństwie do wielu spośród jej uczelnianych kolegów i koleżanek z wielkiego miasta już dawno przyswoiła sobie tyleż trywialną, co ułatwiającą życie prawdę, mówiącą o tym, że dni bywają gorsze i lepsze. Problem tkwił w czym innym – w pustce, która wybrzmiewała we wszystkich tych zdarzeniach i od jakiegoś czasu dopadała Ewę w najmniej oczekiwanych momentach. Mogła to znieść, pod warunkiem że gdzieś pod spodem tli się poczucie sensu, pod powierzchnią zdarzeń płynie nurt nadający kierunek życiu. Ten nurt albo w niej zanikł, albo wpadł gdzieś na tyle głęboko w rozpadlinę codzienności, że nie potrafiła już go poczuć, a bez niego nie potrafiła żyć. Może to etap na drodze straty po miłości, pomyślała, jednocześnie naciskając klamkę. Gdy drzwi ustąpiły, owionęło ją ciepło i zapach zupy.

Zwłoki leżały przykryte pod samą brodę ciemną folią. Agnieszka paliła papierosa i przyglądała się na wpół przymkniętym oczom pozbawionym spojrzenia.

– Wiesz już cokolwiek więcej? – Wyjęła papierosa z ust, po czym natychmiast włożyła go z powrotem. Ściany tego pomieszczenia tak bardzo nasiąkły śmiercią, że dla kogoś, kto znał ten zapach i kojarzył z koszmarem obrazów, przebywanie tu nie było łatwe.

– Ktoś pociął ją nożem o brzeszczocie przynajmniej trzydziestocentymetrowej długości, ostrym jak miecz samurajski. – Mężczyzna w białym kitlu, o wdzięcznym imieniu Mirosław, nie miał już problemu z zapachem śmierci, oswoił go na tyle, że prawdopodobnie raczej bez niego czułby się dziwnie.

– A substancja, którą ktoś wysmarował ciało? – Agnieszka instynktownie przeczuwała, że w zapachu krył się klucz do rozwiązania zagadki, a może fragment informacji celowo przekazany przez zabójcę.

– Badamy. Wyniki powinny przyjść razem z toksykologią.

– Kiedy? – Komisarz zależało na czasie. Wciąż jeszcze miała cień nadziei, że uda się rozwiązać sprawę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, choć intuicja naprowadzała ją na trop psychopaty, który z dużym prawdopodobieństwem zamordował nie po raz pierwszy, i w związku z tym potrzebowała namacalnej poszlaki, by przekonać o swojej racji przełożonych, ze szczególnym uwzględnieniem Szwagra.

– Jutro – odpowiedział lakonicznie Mirosław. – Może dziś w nocy.

– Mam prośbę. – Agnieszka uśmiechnęła się do niego. Doskonale wiedziała, że nie był do końca obojętny na jej wdzięki. – Jak tylko coś się pojawi, to o każdej porze. Chciałabym wiedzieć pierwsza.

– Pomyślę. – Mirosław też się uśmiechnął, a w jego uśmiechu był urok kompletnie nieliczący z miejscem ani z okolicznościami.

– Czyli mówisz, że nóż o długim ostrzu...

– O długim i ostrym jak miecz, może to szogun – dodał po chwili patolog i pokiwał głową.

Nie tylko czarująco się uśmiechał, ale także miał absurdalne poczucie humoru.

Kuchnia domu Sławomira dopiero teraz, gdy za oknami panowała noc, ukazywała się w pełnej krasie. Halogeny podwieszane pod szafkami oświetlały blaty, wydobywając subtelną grę światłocieni i podkreślając ciepły klimat pomieszczenia idealnie wyważony między elegancją i nowoczesnością a przytulnością domowego ogniska. Na blacie z litego egzotycznego drewna stały półmiski, na których z idealną precyzją, jedno obok drugich, leżały zagniecione kupki ryżu przykryte płaciami różnokolorowych ryb. Na desce obok Sławomir kończył krojenie rulonów zawiniętego w płachty z morskich alg ryżu z awokado i łososiem. Robił to na oko, ale z każdej rolki za każdym razem wychodziło osiem idealnie równych maków. Jego poczynaniom z niezmienną fascynacją i skupieniem przyglądał się mały Piotrek.

– Tato? – odezwał się w końcu.

– Tak, synku? – Sławomir gładkim cięciem odkroił kolejny ciemnozielony krążek, następnie zamoczył czubek noża w misce z wodnym roztworem octu ryżowego i wprawnym ruchem uniósł nóż do góry. Kropla octu spłynęła po ostrzu.

– A zrobimy dzisiaj z kartką? – Chłopiec przyglądał się w skupieniu spływającej kropli.

– Przynieś. – Ojciec pokiwał głową i pochylił się, żeby odkroić ostatni krążek.

Piotrek uradowany zniknął za drzwiami kuchni, mijając się w progu z Moniką.

– Długo jeszcze? – Kobieta zerknęła na stojące półmiski. – Umieram z głodu – dodała, choć jej lekko przekrwione oczy świadczyły raczej o czym innym.

– Skończyłem. – Sławomir włożył nóż pod strumień zimnej wody.

– Sake czy białe wino? – Monika bardziej niż jedzeniem była zainteresowana tym, czym zapije popołudniowego kaca.

– A co byś wolała? – Mąż wiedział doskonale, że żona jest alkoholiczką, ale było mu to na rękę, bo dzięki temu miał nad nią właściwie stuprocentową kontrolę.

– Wino. Białe jest już schłodzone – rozmarzyła się.

Do kuchni wrócił chłopiec z wydartą z zeszytu kartką w kratkę.

– A wy znowu to samo? – Monika udała oburzenie, tak naprawdę jednak myślami była już przy kieliszku wina.

Sławomir starannie wytarł nóż przeznaczoną wyłącznie do tego celu szmatką, następnie uniósł go w górę i położył delikatnie ostrzem w dół na rozpostartej przez syna kartce. Nóż bezszelestnie przeciął papier. Piotrek był zachwycony.



Agnieszka wyszła na szpitalny korytarz. Tutaj, na drewnianej ławeczce pod ścianą, pod plakatem ilustrującym piramidę żywienia, siedziała Urszula, a przed nią w tę i z powrotem przechadzał się Rafał. Kobieta spojrzała na komisarz, w jej oczach pojawiła się nadzieja, której Agnieszka nie mogła nijak zadośćuczynić.

– Mam już wejść? – Mąż Urszuli przerwał ich krótką wymianę spojrzeń.

Pokiwała głową, a on zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wahadłowych drzwi, oddzielających ich od skąpo oświetlonego korytarza z zielonkawą lamperią. Agnieszka ruszyła za nim.

– Mogę sam? – Spojrzał na nią z prośbą w oczach. – Wolałbym, żeby pani została tu z Ulą.

– Tam jest patomorfolog, on panu wszystko powie – odpowiedziała Agnieszka.

– Może ja też powinnam tam pójść? – zapytała Urszula, spoglądając w kierunku wciąż chybotających się wahadłowych drzwi, za którymi przed momentem zniknął jej mąż.

– Nie – odparła zdecydowanie Agnieszka. – Do identyfikacji wystarczy jedna osoba. Mąż jest... jest silniejszy.

Urszula przytaknęła. Po xanaxie, który godzinę wcześniej dała jej komisarz, reagowała teraz z pewnym opóźnieniem, a jej emocje straciły nieco na sile.

– Jak ona wygląda? – Wzrok Urszuli wisiał gdzieś w przestrzeni między nią a przeciwległą ścianą.

– Nie tak, jak chciałaby ją pani zapamiętać. – Agnieszka odpowiedziała rzeczowo i od razu przestraszyła się własnej bezpośredniości.

W tym momencie drzwi wahadłowe, które nie zdążyły się jeszcze zatrzymać, otworzyły się ponownie. Rafał Kołodziejczyk stanął na korytarzu i mnąc w dłoniach kaszkiet, przez chwilę próbował sobie przypomnieć, gdzie jest i dokąd ma pójść. Był bardzo błady. Na jego widok Urszula zapadła się w sobie, jej ramiona zaczęły się trząść, chociaż nie wydała przy tym żadnego dźwięku. Mężczyzna niemal machinalnie podszedł do niej, usiadł obok i mocno ją do siebie przytulił. Przez chwilę trwali tak w ciszy, przerywanej jedynie jej cichym szlochem.

– Wiem, że to nie jest czas ani miejsce, ale chciałabym zapytać... – zaczęła Agnieszka i od razu pożałowała.

Kołodziejczyk spojrzał na nią tak, jakby to ona była winna temu, co się stało, i jeszcze w jakimś odruchu wyjątkowego sadyzmu przywiodła ich tutaj.

– Z naszej policyjnej praktyki wynika, że sprawcę najłatwiej ująć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od popełnienia przestępstwa – uznała, że chyba lepiej dokończyć myśl, niż okazać się w takich okolicznościach niekonsekwentną.

Rafał spojrzał na nią znowu, wciąż nic nie mówił, ale jego twarz wykrzywił ten sam co wcześniej grymas niechęci.

– Nie jestem sprawcą, panie Kołodziejczyk. – Agnieszka była już zmęczona i dlatego powiedziała coś, na co w innych okolicznościach by się nie odważyła. – Jestem osobą, która sprawcę ujmie i doprowadzi.

– Do mnie?! – Twarz Kołodziejczyka w tym momencie przybrała zwierzęcy wyraz.

– Przestań! – Urszula nie wytrzymała.

– Nie. – Agnieszka cały czas mierzyła się z jego stalowym spojrzeniem. – Przed sąd.

W jej wzroku pojawiło się coś, co kazało mu odpuścić.

– Albo na tamten świat – dodała po chwili.

– Wolałbym to drugie. – Kołodziejczyk znów spojrzał na nią, ale już bez poprzedniej wrogości.

– Proszę mi wierzyć, że chociaż nie mam pojęcia, co państwo czują, i nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić, wydaje mi się, że to rozumiem.

– Tak? – Teraz na twarzy mężczyzny pojawił się szyderczy uśmiech. – A ma pani dzieci?

– Mam. – Agnieszka nagle przypomniała sobie rozpaczliwy krzyk Joli ze snu. – Mam córkę trochę młodszą od Zuzy.

Zapadło milczenie. Szloch Urszuli nikł z wolna w ciszy korytarza.

– O co chciała pani zapytać? – szepnęła kobieta, nie patrząc na nią.

– Interesują mnie wszelkie dziwne zdarzenia, dziwni znajomi, wcześniejsze zniknięcia, może mówiła o kimś, ktoś ją nagabywał, może miała wrogów...

– Wrogów nie miała, w każdym razie nic o tym nie wiemy, żadnych dziwnych znajomych i nie zniknęła. – Urszula zastanowiła się przez moment, spojrzała na męża. – Może w ostatnim czasie była taka jakby trochę zmieniona, nieobecna, ale też wydawała się szczęśliwsza, dużo się uśmiechała.

Wspomnienie uśmiechającej się córki strąciło kobietę na powrót w niemą rozpacz. Mąż przytulił ją jeszcze mocniej.

– A samo zniknięcie? Jakież szczegóły? – Polkowska zwróciła się do niego.

– Dwa dni temu wyszła około szóstej, powiedziała, że idzie się przejść, miała zajść do sklepu kupić lody. – Kołodziejczyk też radził sobie z wyraźnym trudem. – Po dwóch godzinach trochę się zaniepokoiłem, zadzwoniłem na komórkę, telefon nie odpowiadał, od razu poczta, wyszedłem z domu, dotarłem do sklepu, tam nikt jej nie widział, potem wsiadłem w samochód, zacząłem jeździć, pojechałem do sąsiedniej wsi, odwiedziłem kilku jej znajomych, sąsiadów... Nikt jej nie widział, z nikim się nie kontaktowała, wtedy zadzwoniłem do was. Koniec historii.

Gabinet komisarz Polkowskiej dokładnie odzwierciedlał jej osobowość, a właściwie bardziej odkrywał nagą prawdę o stanie jej psychiki. We wnętrzu ciasnego pokoju stały przytulone do siebie, niemal ściśnięte dwa biurka. Jedno z nich należało do współpracującego z Agnieszką aspiranta Mrówca, który już kilka tygodni wcześniej poprosił Szwagra o przeniesienie. Zanim otrzymał na nie zgodę, umknął w popłochu do innego pomieszczenia. Drugie biurko było zavalone papierami i śmieciami wszelkiej maści, od plastikowych kubków po kawie, przez torebki papierowe po kanapkach, aż po szminki i błyszczyki do ust. Obrazu dopełniała stojąca na parapecie juka, której Agnieszka – odkąd dostała ją w prezencie od kolegów z komendy – ani razu nie podlała i gdyby nie Mrówiec, roślina już dawno dokonałaby żywota.

Komisarz weszła do gabinetu tuż po godzinie dwudziestej trzeciej. W normalny dzień miałyby o tej porze prawdopodobnie zwyżkę formy, dziś jednak, po traumatycznych wydarzeniach, a głównie po spotkaniu z rodzicami ofiary czuła się zmęczona, jakby nie spała od pięciu dni. Zmęczenie było tak głębokie, że pojawiły się pierwsze symptomy pobudzenia nerwowego, które niechybnie zwiastowały zbliżanie się stanów lękowych. Agnieszka wyjęła z torebki blister, wycisnęła dwie tabletki, połknęła je bez popijania i z papierosem stanęła przy uchylonym oknie, którego nie powinna otwierać nawet na centymetr, ponieważ zakłócało to działanie klimatyzacji w najnowocześniejszej komendzie w Polsce, jaką od niedawna mogła się poszczycić policja w Skarżysku-Kamiennej. Chwilę później zgasiła papierosa na parapecie, niedopałek wrzuciła do kubka po kawie i usiadła za biurkiem, próbując przypomnieć sobie coś, co w ciągu dnia przyszło jej do głowy, a co teraz – w związku z tym, że poprzednia dawka leków zdążyła już zakończyć okres półtrwania w krwiobiegu, kolejna zaś jeszcze go nie rozpoczęła – zupełnie wypadło jej z głowy. Zerknęła na panujący na blacie przed nią bałagan. Gdzieś w natłoku myśli przemieszczał się strzęp wspomnienia natrętnie przywołującego biurko do jej świadomości. Nagle ją olśniło. Po minucie przewalania góry papierów znalazła w końcu to, czego szukała. Notes z telefonami do podległych komend rejonowych w powiecie. Agnieszka otworzyła skoroszyt, szybko znalazła telefon do dyżurnego komendy w Suchedniowie i wybrała numer. Po kilkunastu sygnałach po drugiej stronie odezwał się niezbyt przyjemny męski głos, który bąknął coś niezrozumiałego do słuchawki.

– Dobry wieczór. – Agnieszka zaczęła spokojnie. – Mówi komisarz Polkowska z powiatowej w Skarżysku.

– Słucham. – Męski głos nie stał się wcale przyjemniejszy.

– Chciałabym, żebyście zabezpieczyli wszystkie monitoringi ze stacji benzynowych, banków, urzędów, które znajdują się w promieniu czterdziestu kilometrów od miejsca zabójstwa i od wsi Płonniki.

– Jakiego zabójstwa? – Mężczyzna nie tylko nie należał do miłych, ale też najwyraźniej nie zbywało mu na błyskotliwości. O ile zaś brak ogłady Agnieszka potrafiła znieść, o tyle lenistwo myślowe działało na nią jak płachta na byka.

– Jak jakiego?! Kilka się u was ostatnio zdarzyło? – Za wszelką cenę starała się trzymać nerwy na postronkach.

– Nie wiem. – Dyżurny okazał się impertynencki, więc komisarz poczyniła uzasadnioną supozycję, że był też mizoginem i prawdopodobnie męskim szowinistą.

– To niech się pan, kurwa, dowie, i to migiem, bo zgłoszę pana do raportu i będzie po premii!

Na moment po drugiej stronie zapadło milczenie. Posterunkowy zastanawiał się, czy woli, żeby świat wyglądał jak dawniej, kiedy kobietę za taką odzywkę waliło się na odlew, czy woli premię.

– Ale teraz mam, tak po nocy? – Wybrał wyjście w pół drogi, a w każdym razie tak sobie wmówił.

– Tak, teraz, po nocy, bo potem te nagrania skasują i co mi pan wtedy powie?

– I komu przekazać? – zapytał lekko obrażony posterunkowy, tylko na to mógł sobie już teraz pozwolić.

– Mnie. – Agnieszka postanowiła być złośliwa do końca.

Zapadła ponownie cisza, posterunkowemu było głupio, że nie zapisał ani nie zapamiętał nazwiska dzwoniącej, co należało do jego rutynowych obowiązków. Polkowska tymczasem kompletnie nie miała ochoty mu pomóc. W końcu odpuściła dla dobra śledztwa i by nie szargać sobie nerwów.

– Polkowska, wydział kryminalny Skarżysko-Kamienna.

Odłożyła słuchawkę, nie żegnając się z posterunkowym, który wcześniej się z nią nie przywitał. Przez moment zastanawiała się, co ma zrobić, w końcu wybrała kolejny numer.

W pomieszczeniu było tak nadymione, że siedzący przy przykrytym zielonym płótnem kwadratowym stoliku czterej mężczyźni ledwie widzieli się nawzajem. Inspektor Misiak, trzymając w jednej ręce pięć kart, drugą sięgnął po wibrujący w wewnętrznej kieszeni marynarki telefon, zerknął na ekran i po chwili wahania nacisnął zieloną słuchawkę.

– Włodziu, będę potrzebowała kogoś do pomocy – zaczęła od razu Agnieszka, szczęśliwa, że odebrał.

– Wiesz, która jest godzina? – Szwagier starał się mówić cicho, by nie zaburzać panującej w zadymionym pomieszczeniu atmosfery nadętego skupienia.

– Co? – Zerknęła na leżącą wśród papierów na biurku linijkę z kwarcowym zegarkiem. – Dziesiąta i co z tego? Zabójstwo mamy i już piętnaście godzin w plecy.

– Jest jedenasta, przestaw sobie zegarek na czas zimowy. – Szwagier był wyraźnie skrępowany spojrzeniami pozostałych trzech mężczyzn. – Poza tym z tobą nikt nie chce pracować.

– To kogoś zmusisz. Może być Mrówiec, on się podobno nudzi, odkąd ode mnie uciekł. I jeszcze jedno, musimy przycisnąć prokuratora, żeby wydał kwit. Muszą nam przejrzeć wszystkie numery, które logowały się w tamtym rejonie, powiedzmy od siedemnastej do dwudziestej czwartej.

– Dobrze. – Misiak uśmiechnął się do mężczyzny siedzącego vis-à-vis, który rozdawał karty. – Ale to już jutro. Czy do prokuratora też mam wydzwaniać po nocy?

– Rano dostanę wstępny raport z sekcji. – Agnieszka się ucieszyła.

– Tylko że ja ci jeszcze nie przekazałem tej sprawy. – Inspektor wykorzystał moment, by odrobinę się na niej zemścić. Wiedział przecież, że Agnieszka doskonale zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest jej szef i w czym mu przeszkadza. – Muszę kończyć...

– Kończ i wymień trzy karty. – Uśmiechnęła się do siebie. – Trzy karty, słyszysz?!

Inspektor Misiak rozłączył rozmowę, popatrzył jeszcze raz przepaszająco na pozostałych dżentelmenów w marynarkach, namyślił się i powiedział:

– Daj trzy karty.

Agnieszka otworzyła drzwi i weszła w absolutną ciemność, ponieważ w tej chwili na klatce schodowej zgasło światło. Zawsze tak się działo, timer odmierzający czas oświetlenia ustawiono dla kogoś, kto mieszkał chyba na parterze, i to najlepiej nie dalej niż w trzecich drzwiach od wejścia. Agnieszka mieszkała na trzecim piętrze i światło gasło najczęściej, zanim zdążyła włożyć klucz do zamka. Miała wtedy dwa wyjścia: albo dokończyć otwieranie, świecąc sobie ekranem telefonu, albo odnaleźć włącznik na ścianie przy dzwonku do sąsiednich drzwi. Jeśli szukała go po omacku, myliła jeden z drugim i po dwóch sekundach w progu stawał sześćdziesięcioletni Zygmunt w rozchełstany na piersi szlafroku, niezmiennie przekonany, że Agnieszka próbuje go poderwać, tylko brakuje jej śmiałości.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie z ulgą, o jej nogi otarło się grube, futrzane, ciepłe i mruczące cielsko.

– Cześć, Wolant. – Wahala się przez chwilę, czy nie pozostać już na zawsze w ciemności, w końcu zapaliła światło.

W ładnie urządzonej kuchni, w której biel ścian i mebli przełamywały jedynie elementy zamkniętych w kolorowych ramkach łowickich wycinanek, na białej podłodze z żywicy epoksydowej leżała niewielkich rozmiarów kocia kupa.

– Zemsta Wolantu. – Spojrzała w kierunku kota, ale ten zdążył się już tymczasem gdzieś ulotnić.

Odstawiła siatki z zakupami na białą ławkę stojącą przy ścianie i usiadła obok nich. Po chwili wpatrywania się w niewielkich rozmiarów kupę sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła z niej komórkę.

– Cześć – odezwała się, zanim usłyszała po drugiej stronie głos, którego nie lubiła. – Jest dzisiaj?

– Jest. – Głos brzmiał odrobinę za nisko jak na kobietę i odrobinę za wysoko jak na mężczyznę.

– Przyślesz? – Agnieszka wstała z ławki, urwała kilka listków ręcznika papierowego i przykucnęła, by zebrać to, co tak brutalnie zaburzało biel podłogi.

– Mogę. – Głos delikatnie się obniżył, co oznaczało, że Wojtek, szef agencji towarzyskiej, będzie teraz starał się okazać jej swoją dominującą pozycję. – Ale tylko na godzinę, potem ma zlecenie.

– No. – Agnieszka, przytrzymując telefon głową wspartą o ramię, wyrzuciła brudne ręczniki do foliowej torby, zawiązała ją szczelnie i wsunęła do kolejnej foliowej torby wiszącej na klamce od szafki. W mieszkaniu nie znosiła bałaganu. Bez względu na chaos, jaki generowała w budynku komendy, tutaj zawsze musiał panować niczym niezmacony ład.

– Co no?

– No przyślij. – Pokręciła głową, bo oto znów natknęła się na problem z brakiem lotności umysłu.

– Jaki adres?

– Jak jaki adres? Wojtek, pięć lat do ciebie dzwonię, a ty nie możesz zapamiętać cholernego adresu? Matejki sześć, mieszkania dwadzieścia jeden.

– Może i mogę, ale nie chcę. Wolę nie pamiętać adresów klientów na wszelki wypadek, a ty wolisz, żebym pamiętał.

Agnieszka zastanowiła się przez moment i w końcu uznała, że ostatnia konstatacja Wojtka właściwie była słuszna.

– Przyślij. – Odłożyła słuchawkę.

W znacznie mniej eleganckiej, ale zadbanej i czystej kuchni Ewa wstała od stołu i zebrała talerze.

– Połóż się już, mammo. – Uśmiechnęła się do Bożeny. – Przypilnuję, żeby zrobił lekcje.

Jej o sześć lat młodszy brat, Tomek, siedział teraz wpatrzony w ekran telefonu, którego nie wypuszczał z ręki, odkąd zasiedli do kolacji.

– Muszę jeszcze pokroić wędlinę. – Bożena spojrzała w kierunku lodówki. – Rano nie zdążę ze wszystkim.

– Wędlinę też ci pokroję, połóż się. Na razie nie muszę się uczyć, do sesji trzy miesiące. – Ewa uprzedziła kolejne pytanie matki.

– A jak było dzisiaj na zebraniu?

– Dobrze. – Ewa nie miała ochoty o tym mówić. – Wszyscy o ciebie pytają, starszy Bogdan, Basia. A Marcin być może zostanie przyjęty do rady starszych.

– Muszę pójść w niedzielę – powiedziała Bożena bardziej do siebie niż do córki. – A jak na uczelni?

Przez moment obie kobiety mierzyły się wzrokiem: Ewa wytrzymała, ale nie bez trudu.

– Też dobrze.

– Robert?

– Gorzej. – Ewa mogła skłamać, ale nie miała siły.

– Tak. – Na szczęście Bożena też nie miała już siły. – Może rzeczywiście się położę. On musi zrobić matematykę, jutro ma kartkówkę.

– Dobrze, mammo. – Dziewczyna spojrzała w okno. Z białej ramy ziała czarna pustka jesiennej nocy.



Agnieszka wzięła prysznic, po czym włożyła kupioną kilka dni wcześniej z myślą o wizycie Marty czarną koronkową bieliznę. Na wilgotne ciało narzuciła krótki jedwabny szlafrok, który uwielbiała, bo jego dotyk kojarzył jej się z dotykiem delikatnych dłoni przyjaciółki. Weszła do salonu, jedną zapalką zapaliła kilka świec w szklanych naczynkach, a drugą papierosa, po czym stanęła przy uchylonym balkonie. Po chwili odłożyła papierosa na parapet i wróciła po telefon leżący na półce z książkami. Jej wzrok przyciągnęły okładki, a najbardziej jedna z nich, seledynowa książki Kevina Duttona *Mądrość psychopatów*. Przez myśl przemknęło jej, że być może właśnie teraz skończona niedawno lektura tej nieco przerażającej pozycji przyda jej się w pracy. Zerknęła na ekran telefonu. W połączeniach wykonanych odnalazła numer zaczynający się od 791. Kiedy go wybrała, od razu włączyła się poczta głosowa, informując, że „abonent jest poza zasięgiem lub...”. Agnieszka rozłączyła się, a komórka oddzwoniła, zanim zdążyła odłożyć ją na parapet.

– Tak, pani Urszulo? – Odebrała natychmiast. Po drugiej stronie słychać było ciszę przerywaną tylko ciężkim oddechem.

– Pani Urszulo, słyszy mnie pani?

Doskonale wiedziała, że kobieta ją słyszy.

– Tak.

– Jak się pani czuje?

Odpowiedź nadeszła po długiej chwili.

– Nic nie czuję.

– Pani Urszulo, chcę, żeby pani wiedziała, że w każdej chwili może pani do mnie zadzwonić, mogę państwa odwiedzić, dowieźć leki... cokolwiek. – Agnieszka starała się mówić szybko, próbując zdążyć, zanim Urszula się rozłączy. – Mamy też psychologów, są w gotowości całą dobę, gdyby pani czy państwo...

– Cały czas mi się wydaje, że to niemożliwe. – Matka Zuzy przerwała potok jej słów. – Że to mi się śni, że wypadłam na chwilę z normalności, może umarłam albo jestem w jakiejś śpiączce i mam taką okropną wizję...

– Przyjadę do państwa jutro rano, przywiozę jakieś zakupy, może coś potrzeba? – Agnieszka chciała chociaż na moment wypchnąć ją z toru myślenia.

– Nic nie potrzeba. – Usłyszała po chwili. – Ale jak pani przyjedzie, to będzie dobrze.

– Przyjadę na pewno, a teraz proszę wziąć jeszcze jedną tabletkę z tych, które pani dałam, i proszę spróbować zasnąć.

– Jak mogę zasnąć, skoro już jestem we śnie?

– Będę u państwa jutro z samego rana – dodała Agnieszka. – Dobranoc, pani Urszulo.

Ubrana w czarny płaszcz do kostek, a właściwie do szpilek szczupła, wysoka brunetka spojrzała w kierunku okna na trzecim piętrze, po czym uśmiechnęła się i ruszyła w stronę klatki. Wiedziała doskonale, że Agnieszka patrzy na nią zza firanki. Lubiła tu przyjeżdżać. Po pierwsze w przeciwieństwie do męskich klientów, przeważnie pijanych i oblesnych, tutaj było miło, a nawet jeśli gospodyni bywała czasem lekko przetrącona lekami, nigdy nie powodowało to nieprzyjemnych sytuacji. Po drugie Marta, choć do końca jeszcze sobie tego nie uświadamiała, z Agnieszką czuła się inaczej niż z kimkolwiek innym, doznawała czegoś, czego w świecie brutalnych reguł gry i wyłącznie materialnych odniesień, w jakim funkcjonowała na co dzień, nikt nigdy nie nazwałby uczuciem, ale co tak naprawdę właśnie nim było. W mieszkaniu na Matejki czuła się bezpiecznie, a jednocześnie to tutaj, a nie gdzie indziej przeżywała momenty największej i wreszcie nieudawanej ekstazy. Marta przyjeżdżała tu poza tym od lat i z każdą kolejną wizytą coraz bardziej oczekiwała następnej. Gdzieś w środku przeczuwała, że Agnieszka postrzega to podobnie, ale bała się bardziej otworzyć. Nikt nigdy nie dał jej do tego prawa, a poza tym w ich małym mieście to, co działo się między nimi, było kompletnie nie do pomyślenia. Marta spojrzała na oświetlone wieże nieodległego kościoła i wcisnęła guzik domofonu przy numerze dwadzieścia jeden. Po drugiej stronie Agnieszka stała już przy słuchawce, ale nie odebrała od razu, odczekała trzy sygnały i podniosła, jak zawsze udając, że nie spodziewa się wizyty.

– Halo?

– Otworzysz? – Marta poczuła delikatną ekscytację. – Nie jestem za ciepło ubrana.

W drzwiach zabrzączał zwolniony zamek.

Monika skończyła wstawiać brudne naczynia do zmywarki, dopiła wino ze swojego kieliszka, zerknęła w stronę drzwi od kuchni i kiedy upewniła się, że jest sama, dopiła wino także z kieliszka Sławomira.

– Nie wiesz, gdzie jest moje wino? Zostawiłem je na stole w salonie. – Pół sekundy później Sławomir stał w drzwiach i patrzył na nią z uśmiechem.

– Właśnie wylałam do zlewu. Nie wiedziałam, że jeszcze będziesz chciał. Takie sobie było, nie?

– Nie, całkiem niezłe, może trochę za młode. – Mąż rozglądał się po kuchni w poszukiwaniu noża. – Mam nadzieję, że nie włożyłaś go do zmywarki?

Monika pokręciła głową, po czym otworzyła jedną z szuflad i wyciągnęła nóż.

– Nie lubię, jak leży na wierzchu. Boję się, żeby Piotrek się nie skaleczył.

– Nóż sam go nie zaatakuję. – Sławomir uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Czasem nie jestem do końca pewna, do czego zdolny jest ten nóż. – Kobieta udała, że nie zauważa protekcjonalności w jego uśmiechu. – Kładziemy się? – zapytała, zniżając nieco głos i przygryzając zmysłowo dolną wargę.

– Jeszcze nie mogę. – Udał, że nie zauważył jej kokieterii. – Muszę popracować, jutro mam spotkanie z zarządem.

Monika pokiwała głową, właściwie nie spodziewała się innej odpowiedzi. Już od miesięcy ich pożycie nie istniało, zresztą wcześniej też nigdy nie należało do szczególnie aktywnych. Pochodząca z prawobrzeżnej praskiej Warszawy Monika wyszła za Sławomira mieszkającego w lewobrzeżnej części miasta z kilku powodów, jednak wśród nich nigdy nie było ani namiętności, ani przesadnego zauroczenia. W pewnym sensie obojgu to pasowało. Sławomir, żeby ulec erotycznemu pobudzeniu, potrzebował wrażeń, których nie mógł zaproponować Monice. Ona swoje potrzeby przywykła zaspokajać samodzielnie. Układ, poza tym jednym aspektem, wydawał się bezpieczny i sensowny zarówno dla niego, bo dzięki żonie i dzieciom mógł spokojnie uczestniczyć w działalności politycznej jako przedstawiciel prawicowo-konserwatywnej opcji, jak i dla niej, bo dawał jej poczucie bezpieczeństwa i gwarantował spokojne jutro. Monika uważała nawet, że nieoparta na erotycznej fascynacji relacja z mężczyzną jest bezpieczniejsza: ogień, którego nie ma, nigdy nie wygaśnie.

– Piotrek już śpi? – zapytał Sławomir, bardziej by zakończyć rozmowę niż z ciekawości.

– Leży. Zaraz do niego idę.

Marta zdjęła futro przesiąknięte wonią drogich perfum, dymu tytoniowego i czegoś jeszcze, czego Agnieszce do tej pory nie udało się nazwać i co, jak czasem jej się wydawało, wyczuwała tylko ona. Pod futrem Marta miała na sobie zwiewną, jedwabną sukienkę, pod którą odznaczały się jędrne piersi i twarde sutki.

– Zmarzłaś? – Agnieszka zapytała z dwuznacznym uśmiechem.

– Wręcz przeciwnie. – Dziewczyna uśmiechnęła się szerzej, ukazując dwa rzędy zębów białych jak świeży śnieg. – Jestem rozgrzana do czerwoności.

Podeszła do Agnieszki, delikatnie rozwiązała jej szlafrok, ukazując ciało odziane jedynie w pończochy i bieliznę tak koronkową, że właściwie przezroczystą. Ich ciała się zetknęły. Opuszką palca Agnieszka zatoczyła kółko wokół sterczącego sutka Marty i pomyślała, że trochę jej zazdrości.

– Zostaniesz? – zapytała, zanim dotknęła jej warg, tak jakby nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Pierwszy pocałunek był delikatny, usta ledwie się musnęły, ale było w nim oczekiwanie, a delikatność stanowiła jedynie odroczoną obietnicę.

– Na jakiś czas. – Marta spojrzała Agnieszce w oczy.

– Do rana?

– Wiesz, że nie mogę. – Miętowy oddech delikatnie przyspieszył.

– Wiem, że nie możesz. – Agnieszka poczuła, jak jej podbrzusze zalewa fala gorąca. – Ale nie wiem, czy chciałabyś?

Dłoń Marty zsunęła się po jej brzuchu, zostawiając niemal parzący ślad, by w końcu dotknąć jej tam, gdzie było najgoręcej.

– Tak.

Kobiety stały przez chwilę, patrzyły na siebie. Agnieszka w oczach Marty dostrzegła szczerość. Kolejny pocałunek nie był już obietnicą, lecz jej spełnieniem.

Zestawienie martwego, siniego już ciała Zuzy ze świeżym jeszcze wspomnieniem delikatnie opalonej, cieplej i pachnącej brzoskwinia skóry Marty uderzyło Agnieszkę, gdy Mirek odsłonił czarną folię przykrywającą zwłoki.

– Nie ma plam opadowych – skonstatował Mirek, wciąż jakby czymś pobudzony.

– Skoro tak twierdzisz. – Agnieszka walczyła z ogarniającym ją zmęczeniem.

– Powinienem był zauważyć od razu, ale pojawił się jej ojciec i... Skupiłem się na czymś innym.

– I? – Agnieszka z chęcią usłyszałaby już puentę, za którą z dużym prawdopodobieństwem kryła się tajemnica pobudzenia Mirka o drugiej nad ranem.

– Ona żyła, kiedy ją ciął. – Patomorfolog wypalił nagle bez ogródek.

Komisarz pokiwała głową, następnie spojrzała na twarz dziewczyny, wciąż śliczną i delikatną mimo postępującego zasinienia. Wpatrywała się w nią chwilę, szukając zrozumienia.

– Pierdolony skurwiel.

Zrozumienie nie nadeszło, więc nic mądrzejszego ani nic trafniejszego nie przyszło jej do głowy.

Ewa siedziała w ciemnym pokoju, rozjaśnionym jedynie błękitną poświatą monitora. Cursor migał na ekranie, a ona zastanawiała się, czy odpowiedzieć na zaczepkę jednego z kolegów z roku. Na Facebooku założyli grupę, by wymieniać się spostrzeżeniami, czasem materiałami czy zagadnieniami omawianymi na zajęciach. To właśnie członkiem tej grupy był przystojny, ale zadufany w sobie kolega, który wysłał jej szóstą już z rzędu wiadomość. Tym razem proponował wspólną kawę. Ewa weszła na jego profil prywatny, przejrzała zdjęcia i kilka postów. Żaden nie wydał jej się ciekawy, ale żaden też nie zwiastował, że kolega ma poglądy radykalnie niezgodne z jej. Poza tym nie mogła odmówić mu pewnego uroku, więc odpisała w końcu, że się zgadza, i zamknęła Facebooka. Następnie weszła na swojego bloga, który traktowała jak swoisty dziennik, i nawet w najgorsze dni starała się napisać w nim choćby kilka zdań. Otworzyła nowy wpis, cursor migał w okienku.

Sławomir po wejściu do swojego gabinetu od razu przekręcił zasuwkę w drzwiach. Robił tak od dawna oficjalnie dlatego, żeby Piotrek nie wchodził w trakcie pracy i go nie dekoncentrował. Rzeczywisty powód takiego zachowania był znacznie mroczniejszy. Mężczyzna wysunął górną szufladę biurka, wyciągnął z niej podłużne, oprawione flauszem z nadrukowanymi złotymi japońskimi literami pudełko, otworzył je i w wyżłobieniu z czerwonego aksamitu złożył trzydziestocentymetrowy nóż do sushi. Następnie schował pudełko do szuflady, zamknął ją wyjętym z kieszeni marynarki kluczem, usiadł za biurkiem i delikatnie puknął w leżącą na blacie mysz. Ekran natychmiast ożył. Sławomir włączył VPN gwarantujący pierwszy stopień internetowej anonimowości, połączył się z serwerem w Mali, następnie odpalił Tor Browser, dzięki któremu nawet najwytrawniejsi internetowi hakerzy, zatrudnieni przez najlepsze wywiady świata, od tego momentu nie byli już w stanie wyśledzić jego ruchów w sieci. Teraz dopiero uruchomił przeglądarkę internetową, w okienko wyszukiwania wpisał „UKSW drugi rok”, przełączył wyszukiwanie na grafikę i wcisnął enter. Po chwili na ekranie ukazało się kilkanaście zdjęć. Sławomir przejrzał je niespiesznie, piąte z nich powiększył. Na ekranie na grupowym zdjęciu w drugim rzędzie od góry stała ta, której szukał. Dwoma kliknięciami otworzył link ze zdjęciem i podpisem z nazwiskami, drugi rząd, trzecia od lewej: Ewa Wałkoń. Teraz Sławomir wrócił do okna przeglądarki, wpisał w nie imię i nazwisko dziewczyny. Kiedy na ekranie pokazało się znów kilkadziesiąt odnośników, wybrał jeden z linków prowadzących na stronę Facebooka i zalogował się na portalu jako Bernard Malick. Profil Ewy okazał się częściowo publiczny, więc Sławomir przejrzał trochę zdjęć, kilka postów jej i jej znajomych. W informacjach znalazł między innymi adres bloga, na którym Ewa pojawiała się jako Ewka Konewka. Mężczyzna kliknął i zaczął czytać.

– Sławek, długo jeszcze będziesz siedział? – Zza drzwi odezwał się cichy głos Moniki.

– Nie, nie, coś tu tylko dokończę i zaraz idę. – Nie oderwał nawet wzroku od ekranu.

– To ja już się kładę. – W komunikacie wybrzmiało coś erotycznego, jakaś nadzieja, coś, co Monice wymknęło się trochę mimowolnie, a czego Sławomir znów postanowił nie usłyszeć.

– Dobranoc, kochanie.

Żona nie odezwała się już, a on nasłuchiwał chwilę, czy na pewno nie stoi pod drzwiami, po czym wrócił do lektury.

„Chciałam zacząć od słów, że to był «zły dzień», ale po krótkim zastanowieniu doszłam do wniosku, że przecież nie ma dni złych, wszystkie dni, które dostaliśmy od Ojca Niebieskiego, są dobre, bo zawsze są po coś. Może ten dzisiejszy z deszczem, zimnem i szronem na zewnątrz i wewnątrz jest po to, by wyruszyć na poszukiwanie ciepła... Albo po to, by bardziej docenić moment, kiedy znów zaświeci na mnie słońce”.

Sławomir uśmiechnął się do swoich myśli, wyłączył Browsera, zamknął komputer, okręcił kluczyk od szuflady wokół palca i się rozmarzył.

Agnieszka obudziła się raptownie, zapaliła lampkę i usiadła na łóżku. Naprzeciw niej w nogach łóżka siedział Wolant i wpatrywał się w nią nieruchomymi oczyma.

– Twoja okropna pani zapomniała dać ci kolację.

Agnieszka przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru nie napełniła miseczki zawartością ulubionej puszki Wolanta. Kot bardzo często nie zjadał tego, co nałożyła mu przed snem, ale nigdy nie wybaczał, jeśli tego nie zrobiła. Agnieszka nie musiała spoglądać na zegarek, doskonale wiedziała, że jest za wcześnie, by wstać, i za późno, by udało się zasnąć. Zapaliła papierosa i nago ruszyła do kuchni. Nałożyła kotu jedzenia do miski, a on nawet nie raczył się pofatygować, następnie włączyła czajnik i sięgnęła po ładujący się telefon. Na miejscu zdarzenia, choć nie powinna była tego robić, sfotografowała zwłoki. Teraz czekając, aż zagotuje się woda, z papierosem w dłoni przeglądała fotografie i coś ją w nich frapowało. Na razie nie potrafiła określić co. Ucięte kończyny leżały blisko ciała, jakby wciąż stanowiły jego nierozzerwalną część, a jednak zostały ułożone dziwnie, inaczej, niż gdyby ktoś po prostu rozłożył na boki ręce i nogi. Na nigdy nieprzestawianym zegarku przy piekarniku wyświetlała się ósma dwadzieścia. Agnieszka musiała przeprowadzić ten sam proces myślowy, który dokonywał się u niej każdego ranka, czyli przypomnieć sobie najpierw, czy zegarek nastawiała latem, czy zimą. Doszła do tego, że latem, a więc godzina musiała być teraz wcześniejsza, czyli tak naprawdę siódma dwadzieścia jeden. W czajniku zabulgotało i po chwili strzelił wyłącznik, do rozpoczęcia funkcjonowania jakiegokolwiek instytucji w optymistycznym wariacie zostało półtorej godziny.

Akurat się wyrobię, pomyślała i zalała kawę w kubku.

Droga do lasu, na miejsce znalezienia zwłok, zajęła jej tym razem znacznie mniej czasu, bo przyjechała od strony wsi, a nie jak poprzednio od głównej drogi. Kiedy dojechała, zrobiło się już całkiem widno. Las niemrawo zdawał się budzić do życia, jakby niepomny tego, czego był świadkiem poprzedniej nocy. Agnieszka stanęła nieco dalej niż wczoraj, najpierw obeszała miejsce wokół, szukając śladów tam, gdzie technicy się nie zapuścili. Stwierdzenie „gdzie się nie zapuścili” nie było szczególnie trudne, bo wszystko w tym obszarze było doszczętnie zdeptane. Od poprzedniego dnia na szczęście nie padało, więc ewentualne ślady miały szansę przetrwać do tej pory. Jakies dwadzieścia metrów od miejsca znalezienia zwłok zauważyła na korze sosny, na wysokości mniej więcej metra od podłoża, zaschnięte ślady na wpół przezroczystej substancji. Przez moment pomyślała, że to śluz zostawiony przez wędrującego po pniu ślimaka, ale kiedy podniosła głowę, w prześwicie między drzewami dostrzegła w pełnej krasie miejsce otoczone policyjnymi taśmami. Wyciągnęła z kieszeni kurtki scyzoryk i delikatnie odcięła fragmenty kory z zaschniętą substancją, po czym schowała do plastikowej torebki dowodowej.

– Pomyślą, że jestem nienormalną nimfomanką – mruknęła pod nosem, ale uświadomiła sobie, że już tak myślała, więc niewiele się zmieni.

W linii prostej od miejsca, w którym znalazła substancję, do miejsca znalezienia zwłok rosły przygniecione gdzieniegdzie kępy wysokiej trawy. Kiedy przeszła wzdłuż tej linii, zauważyła też



połamane gałązki. Wszystko wskazywało na to, że od tego drzewa do polanki, gdzie wczoraj leżała pokrojona na kawałki Zuza, ktoś przeszedł już przed nią. Agnieszka ruszyła wzdłuż raz jeszcze. Tym razem kucając co kilka kroków, starała się odnaleźć choćby fragment odcisku podeszwy, nigdzie nie było jednak nic takiego.

Elegant, pomyślała. W pantoflach do lasu?

Sławomir był tego ranka wyjątkowo zadowolony. Zazwyczaj przez kilka dni po ekscytującym końcu nie czuł się najlepiej. Kojarzyło mu się to trochę z zapaściami, w jakie wpadał po sesjach rozrywkowych z Siewą. Najpierw wspaniale, potem dół i walka z kacem. Tak już był skonstruowany świat – za przyjemności trzeba płacić. Najwyraźniej jednak czas kary właśnie dobiegł końca, co wiązało się głównie z kolejnym celem, który pojawił się na horyzoncie poprzedniego wieczoru. Sławomir znów miał do czego dążyć, planować w najdrobniejszych szczegółach, a potem z niemal niemożliwą do wytrzymania ekscytacją zrealizować. Ów cel nazywał się Ewa Wałkoń. Sławomir przetarł szmatką ostatnie ślady błota na ciemnobrązowych, dziurkowanych pantoflach typu oxford i pomyślał, że choć trochę mu ich szkoda, bo kupił je niedawno, to reguły gry nakazywały w najbliższej przyszłości usunąć je ze swojego otoczenia.

Już w drodze do Warszawy Ewa zauważyła na ekranie telefonu, że pod jej wczorajszym wpisem na blogu pojawił się komentarz. Ucieszyła się, bo chociaż blog traktowała jak rodzaj wewnętrznego dziennika i prowadziła go właściwie głównie dla siebie, to jednak upubliczniając wpisy, czekała w skrytości ducha, aż ktoś się do nich odniesie. Działo się tak raczej sporadycznie, zazwyczaj komentarz okazywał się żartem kolegi, czasem spamem i naprawdę rzadko ktoś pisał coś sensownego. Ewa otworzyła bloga, nie licząc na wiele. W zakładce „wiadomości” wcisnęła kopertę. Adam Enkratyk pisał: „Nawet nie wiesz, jak dobrze Cię rozumiem, ja też czekam na słońce, które kiedyś na mnie zaświeci. Czekam bardzo długo, na tyle długo, że pogodziłem się już z myślą, że pod chmurami przyjdzie mi spędzić krótką resztę życia, ale dziś przeczytałem Twój wpis...”.

Ewa przeczytała komentarz trzy razy. Język był ładny, fakt, iż „Twój” napisano dużą literą, też mile ją zaskoczył, ale największe wrażenie wywarła na niej wymowa całego przekazu – ciepła i szczerza, jednocześnie niosła coś, co budziło w niej dziwny niepokój. Spoglądając na pochmurne niebo za zaparowaną od ludzkich oddechów szybą przeładowanego busa, zastanawiała się, co wywołało w niej ów niepokój. W końcu odpowiedziała tylko jednym zdaniem: „Dlaczego krótką resztę życia?”, i po sekundzie wahania nacisnęła „send”. Choć nie wiedziała dlaczego, oprócz niepokoju poczuła też rodzaj wywołanej ciekawością ekscytacji. Była szczęśliwa, bo takie odczucia bardzo dawno nie gościły w jej sercu.

Agnieszka stała nad miejscem, gdzie wczoraj leżały zwłoki. W dłoni trzymała telefon z włączonym na wyświetlaczu zdjęciem. Obracając się lekko to w jedną, to w drugą stronę, za pomocą elementów zastanej scenografii, czyli pnia drzewa i kępy trawy z drugiej strony kadru, dokładnie odtworzyła ułożenie ciała. W miejscach dłoni, stóp i głowy ułożyła gałązki chrustu. Kiedy skończyła pracę, zaczęła się zastanawiać, porównując ten kadr ze zdjęciem na ekranie. Najbardziej w tym wszystkim nurtowało ją, któreśdy morderca przyciągnął tu ciało. Istniała też druga możliwość, na której myśl komisarz aż się wzdrygnęła. Być może dziewczyna doszła tu sama, następnie z jakiegoś powodu położyła się na darni, a potem on powoli i metodycznie odcinał jej kończyny, kiedy wciąż jeszcze żyła. Agnieszka podniosła głowę, słońce wychynęło zza snujących się nisko chmur i teraz świeciło jej prosto w oczy. Odruchowo obejrzała się za siebie i wtedy na korze drzewa za plecami ujrzała więcej mchu niż na tym przed sobą.

Czyli tam jest północ, a południe na wprost, pomyślała, choć nie wiedziała jeszcze, dlaczego to sprawdza. Dla potwierdzenia włączyła kompas w telefonie. Metody zapamiętane jeszcze z czasów, kiedy jako nastolatka przez chwilę należała do harcerstwa, nie zawiodły. Południe było przed nią, a północ za plecami. Kiedy już miała wyłączyć kompas i schować telefon do kieszeni, zorientowała się, że wirtualna igła wirtualnego kompasu przebiega dokładnie wzdłuż linii łączącej patyk położony w miejscu głowy ofiary z kawałkiem mchu w miejscu, w którym poprzedniego dnia leżały stopy. Żeby się upewnić, raz jeszcze przejrzała zdjęcia ofiary. Nie było najmniejszych wątpliwości – zwłoki Zuzy znajdowały się dokładnie na linii północ-południe. Przypadek? Mało prawdopodobne. Agnieszka przyjrzała się ponownie dziwnemu, niesymetrycznemu ułożeniu rąk, dołożyła jeszcze po jednym patyku w miejscach, gdzie ręce przyłożono do tułowia. W ten sposób uzyskała kolejne linie – jedna z nich, skierowana na południowy wschód, wyznaczała sto dwudziesty ósmy stopień, a druga, skierowana na zachód, dwieście sześćdziesiąty czwarty stopień. Zapisała te wskazania w notesie, na koniec dopisała jeszcze dokładne koordynaty miejsca znalezienia zwłok. W drodze do samochodu zastanawiała się, czy nie powstaje właśnie w jej głowie jedna z tych teorii spiskowych, do których – jak już się zagnieżdżą – wszystko idealnie pasuje, ale zdecydowała, że nie może się tym przejmować, bo czasem jej praca polegała właśnie na stawianiu fantazyjnych hipotez. Potem pozostawało albo potwierdzić je faktami i dowodami, albo obalić.

Do domu Kołodziejczyków wybrała najkrótszą trasę. Jadąc, starała się wypatrzeć jakiegokolwiek miejsce z zainstalowaną kamerą, która chociaż przypadkowo obejmowałaby fragment drogi. Niestety, jeśli ten, kto przywiózł Zużę do lasu, podróżował tą drogą co ona, na pewno nie został zarejestrowany. Nie było tu żadnego banku, bankomatu, urzędu czy sklepu.

Urszula przyjęła Agnieszkę ubrana od stóp do głów na czarno. Była smutna, ale w przeciwieństwie do męża wydawała się mieć jako taki kontakt z rzeczywistością. Pan Kołodziejczyk całą wizytę komisarz spędził na ławeczce w ogródku przed domem, wpatrując się w nicość. Agnieszka tymczasem, pijąc herbatę, zastanawiała się, czy poprosić Urszulę o to, by już dzisiaj zaprowadziła ją do pokoju Zuzy, czy może przy następnej wizycie za kilka dni.

– Pewnie chciałaby pani zobaczyć jej pokój? – Kobieta podała cukier.

– Jeśli mogę. – Agnieszka głowiła się nie pierwszy raz w życiu, jak kostki cukru mają się

właściwie do łyżeczek, po chwili jednak zawstydzila się, że w takich okolicznościach chodzą jej po głowie tak idiotyczne drobiazgi, i wrzuciła do szklanki dwie kostki.

– Tak. – Urszula pokiwała głową. – Nic tam nie ruszaliśmy, bo... – Przerwała, a Agnieszka od razu przestała mieszać i spojrzała na nią. – Bo jedyne, co teraz mamy, to te jej ostatnie chwile, które zostały w tym pokoju... Nie wiem, czy pani rozumie.

– Rozumiem. Postaram się niczego nie... – zabrakło jej słowa. – Nie naruszyć – dodała po chwili.

– Proszę ruszać, jeśli będzie trzeba. – Ich spojrzenia znów się spotkały. – Musi go pani złapać.

W urządzonym po dziewczęcemu pokoju było widać ślady wcześniejszych okresów życia jego lokatorki. Na ścianach wisiały plakaty z gwiazdami muzyki młodzieżowej, które od kilku lat nie pojawiały się już na listach przebojów. Na przykrytym granatową pikowaną narzutą łóżku, pomiędzy poduszkami ze sztucznego białego futra leżały maskotki pełniące już teraz bardziej funkcję elementów wystroju niż przedmiotów pierwszej potrzeby. Agnieszka podeszła do stojącego przy oknie biurka i się obejrzała. Urszula wciąż stała w progu, jakby obawiała się, że jeśli go przekroczy, to znów się rozsypie, może już teraz bezpowrotnie. Kiedy pokiwała głową, komisarz usiadła przy biurku i otworzyła pierwszą szufladę.

Ewa dotarła do pracy kwadrans przed dziesiątą. Dzięki temu miała jeszcze czas zrobić sobie kawę i pogadać na spokojnie z koleżankami schodzącymi z porannej zmiany. W zasadzie lubiła tu przychodzić, choć nikt jej przesadnie nie oszczędzał, a żarty na temat jej religijnych upodobań były na porządku dziennym. Swoją drogą trochę sama sobie na nie zasłużyła po tym, jak w ramach łączenia przyjemnego z pożytecznym, a bardziej nawet w ramach prób wypełnienia nieco na siłę swojej misji, pewnego dnia rozpoczęła wśród kolegów i koleżanek akcję ewangelizacyjną. Nic z tego oczywiście nie wyszło, bo akcja całkowicie rozminęła się z tak zwaną grupą docelową, ale za to jej wspomnienie odbijało się echem w żartach aż do dziś.

– O, jest Ewa. Przebudźmy się! – Wysoki Mulat w zielonym fartuchu z logo kawiarni przywitał Ewę szerokim uśmiechem, ukazując przy tym garnitur białych jak śnieg zębów. – Jaka myśl przewodnia na dzisiaj?

– Hej! – Dziewczyna też się uśmiechnęła. – Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe?

Na zapleczu raz jeszcze wyjęła telefon i teraz już w spokoju i bez przykrego wrażenia, że ktoś zagląda jej przez ramię, przeczytała wiadomość od Adama Enkratyka. Oprócz ujmującej treści jej uwagę przyciągnął podpis piszącego. Hasło „enkratycy” brzmiało znajomo, w pamięci świtało, że to nazwa jednego z wczesnochrześcijańskich odłamów religijnych. Już miała sięgnąć do internetu, by poszerzyć swoją wiedzę, kiedy do pomieszczenia weszła atrakcyjna, starsza od niej o kilka lat blondynka. Ela była szefową jej zmiany, za którą Ewa nie przepadała, a właściwie to lubiła ją najmniej ze wszystkich pracowników.

– Cześć – rzuciła Ela, jak zwykle nie spoglądając nawet w jej stronę. – Przebierasz się?

Nawet takie czysto techniczne pytanie potrafiła nasaczyć niechęcią.

– Cześć. – Ewa schowała telefon i zaczęła zdejmować kurtkę. – Tak.

Odkąd rozpoczęła tu pracę, zastanawiała się, dlaczego z każdym z kilkunastoosobowej grupy udawało jej się nawiązać fajne i luźne relacje. Wszystkim zdarzały się oczywiście gorsze dni, ale Elżbieta miała ich wyjątkowo dużo, zachowywała dystans do wszystkich i ogólnie była nielubiana. Ewie przyszło właśnie do głowy, że być może, o ile wszyscy doskonale radzili sobie w życiu ze sobą, o tyle Elżbieta sprawiała wrażenie, jakby była czymś, a może kimś spętana. Właściwie może to do niej, a nie do nich Ewa powinna uderzyć ze swoim ewangelicznym przekazem. Uśmiechnęła się. Samo wyobrażenie takiej sytuacji lekko ją rozbawiło.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała czujnie Ela.

– Przypomniałam sobie coś. – Ewa chętnie opowiedziałaby jej swoje przemyślenia, ale wiedziała, że byłoby to bez sensu.

– To sobie nie przypominaj, tylko się przebieraj, bo czekam.

Ale po co właściwie czekasz? Przecież możemy przebierać się jednocześnie, obie jesteśmy kobietami. A może ona nie jest kobietą? Ewa w ostatniej chwili powstrzymała się, by znowu się nie uśmiechnąć.

Sławomir wjechał na parking i stanął poza zasięgiem kamer umieszczonych na fasadzie budynku banku znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Dodatkową zaletę tego sprawdzonego już dawno miejsca stanowiło to, że nie było go tutaj widać także z okien gmachu wznoszącego się nad parkingiem. Wyłączył silnik i sięgnął do schowka przy siedzeniu pasażera. Wyjął stamtąd białą kopertę z kilkunastoma prepaidowymi kartami telefonicznymi różnych operatorów. Z koperty wyciągnął jedną, rozdarł opakowanie, pozbył się plastikowej formatki, a kartę włożył do starego modelu telefonu, który nie pasował do eleganckiego, a przede wszystkim technologicznie zaawansowanego samochodu. Następnie włączył aparat, otworzył zakładkę z wiadomościami, po czym wybrał numer, z którego przyszła ostatnia wiadomość pozbawiona treści.

– *Zdrawstwuj, Siewa.* – Na twarzy Sławomira pojawił się wymuszony uśmiech. – Co u ciebie?

– *Głowa boli* – zachrypiął głos w słuchawce. – *Nada napitsia. Pridiosz?*

– *Kanieszno pridu.* – Wolski usłużnie pokiwał głową.

– *Charaszo, ja żdu* – zacharczał Siewa i rozłączył się, nie czekając na reakcję swojego rozmówcy.

Sławomir, który chciał jeszcze coś powiedzieć, przez moment trwał ze słuchawką przy uchu, choć wiedział już, że pozostał jedynym uczestnikiem konwersacji.

W szklano-aluminiowej sali konferencyjnej z widokiem na zachmurzone miasto wszyscy czekali na niego już od dziesięciu minut, nie niecierpliwiąc się przesadnie. Rytuał ich cotygodniowych spotkań sprowadzał się do tego, że tamci czekali, a on się spóźniał. W kręgu światopoglądowo-kulturowym, w którym się obracali, panował bezwzględny patriarchat oraz stosunki feudalno-plemienne, które nakazywały, by poddani posłusznie oczekiwali przybycia władcy. Sytuacja odwrotna w takim świecie była absolutnie niewyobrażalna.

– *Dzień dobry państwu.* – Sławomir przemówił cichym głosem, zmuszając obecnych do zakończenia rozmów, a gdy zapadła cisza i skierowali na szefa swoje przestraszone spojrzenia, zerknął na agendę spotkania wydrukowaną na papierze firmowym.

– *O czym dzisiaj?* – zapytał. Nowe logo fundacji, krzyż opisany w kole, choć wcześniej wydawało mu się zbyt proste i nieco pretensjonalne, teraz w końcu zyskało jego przychyłność. Sławomir był dziś w wyśmienitym humorze.

– *Wczoraj dzięki wstawiennictwu biskupa ministerstwo przyznało nam w końcu dotację* – odezwał się jego asystent Wojtek siedzący po drugiej stronie stołu konferencyjnego.

– *Tak, wiem.* – Szef uśmiechnął się kącikami ust. – *Co poza tym?*

Asystent lekko się splotnił. Wydawało mu się, że ta wiadomość zrobi większe wrażenie i jej omawianie zdominuje całą naradę. Skoro tak się nie stało, musiał znaleźć inny temat. Szybko zerknął do notatek.

– *Dwa dni temu wyruszył pierwszy transport z darami dla Syryjczyków* – odczytał nerwowo pierwszą z brzegu wiadomość.

– *Dla syryjskich chrześcijan* – poprawił go Sławomir.

– Oczywiście, dla chrześcijan koptyjskich w Syrii – wymamrotał lekko już teraz zdyszany asystent.



Agnieszka weszła do znajdującego się poniżej poziomu mrocznego pokoju, w którym urzędowali technicy komputerowi. Teoretycznie pracowali dla wydziału przestępczości internetowej, ale jeśli zachodziła taka potrzeba, zgłaszali się do nich także pracownicy z innych wydziałów. Wywoływało to sporo problemów, bo komputerowców było kilku, a spraw wiele, co często kończyło się zatrudnianiem z zewnątrz kogoś, kto miał uprawnienia biegłego sądowego, tyle że to znacznie komplikowało sprawy ze względów formalnych, nie wspominając już o czasowych. Agnieszka nie mogła dopuścić do takiej sytuacji.

– Cześć, Andrzej. – Położyła laptop zabrany z pokoju Zuzy na blacie biurka. – Jest sprawa.

Młody blondyn o rzadkim zaroście i zaczesanych do tyłu na żel włosach nawet nie oderwał się od śledzenia pojawiających się na ekranie literek i cyferek, za pomocą których właśnie w tym momencie obserwowany przez niego haker próbował włamać się do serwerów jakiejś firmy.

– Żeby jedna. – Andrzej ledwo poruszył ustami. – Setki spraw są.

– Może – zgodziła się Agnieszka, po chwili jednak dodała: – Ale tu mam prawdopodobnie seryjnego.

Andrzej zerknął na leżący przed nim laptop, następnie odwrócił się do niej i ją zlustrował.

– Mów – rzucił po chwili i wrócił do cyferek na ekranie.

– Ofiara pocięta na kawałki ostrym narzędziem, wysmarowana szuwaksem o zapachu kadzidła, ciało ułożone dokładnie na linii północ-południe... – Agnieszka przerwała, sięgnęła po telefon, włączyła notatki i położyła go przed technikiem. – Przy okazji wyznacz mi linie od tego miejsca na mapie zgodnie z tymi koordynatami.

Andrzej nacisnął spację i materiał – jak się okazało, zgrany z sieci – przestał się odtwarzać. Informatyk odwrócił się na krześle do komisarza i popatrzył na nią ze zdziwieniem podszytym nieco sarkazmem.

– No a poza tym sprawdź mi, proszę, ten komputer pod kątem... pod każdym kątem. – Polkowska udawała, że tego nie widzi. – Co w nim jest, gdzie była w necie, kto się kontaktował, jej adresy mejlowe, poczta i tak dalej.

– Wysmarowana szuwaksem. – Andrzej zdawał się tkwić jeszcze gdzieś na znacznie wcześniejszym etapie jej relacji.

– Czymś... Nie wiem, olejkim, maścią, co za różnica, ważne, że z kadzidłem.

– Po co?

– Andrzej, proszę cię. – Agnieszka nie miała czasu na żarty. – Nie wiem, po co, tak jak na razie nie wiem, po co ją zabił, pociął na kawałki i zwałił konia na drzewo, kiedy konała.

Na potwierdzenie ostatniej tezy wyciągnęła plastikowy woreczek z sosnową korą w środku.

– Nie, nie, bez przesady. – Andrzej pokręcił głową. – Zrobię to, o co prosisz, ale już mi tego nie pokazuj.

Komisarz po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Tylko dziś. – Przytrzymała jego spojrzenie. – A nie czekaj tatka latka.

Informatyk pokiwał głową i odwrócił się z powrotem do monitora.

Władziu, czyli w pełnej wersji doktor podkomisarz Eugeniusz Wilczyński, przyglądał się w skupieniu fragmentowi kory sosnowej, który przed momentem wydobyl pęsetą z plastikowego woreczka podanego przez Agnieszkę.

– Możliwe, że masz rację, ale to musi mi potwierdzić laboratorium w Kielcach. Jeśli to rzeczywiście jest nasienie, pobiorą DNA. Tylko to potrwa. – Spojrzał na komisarz.

– Ile?

– Stwierdzenie, czy to sperma, pewnie krótko, pobranie DNA i porównanie w bazie danych ze dwa tygodnie.

– W bazie nic nie będzie.

– Skąd wiesz?

– Bo to nie jest żaden notor z kartoteki, ale sprawdzić można. – Agnieszka położyła plastikową torebkę na blacie. – A co z tym zapachem?

– Zwłoki były wysmarowane oliwą z dodatkiem mirry. – Władziu zerknął do notatek. – Po prostu olejek do namaszczenia zwłok.

– Jakiś rytuał?

– Może, a przy okazji zatarcie śladów zapachowych.

– Dlatego psy nie podjęły tropu – dokończyła komisarz, a następnie ku zaskoczeniu Władzia obróciła się na pięcie i wyszła.

Szwagier wysłuchał wszystkich nowych informacji i od dobrych trzydziestu sekund nad czymś się zastanawiał. Nie miał już wątpliwości, że jego pierwotna, mocno życzeniowa diagnoza sytuacji była błędna.

– Wiesz, że jak w KSIP-ie coś znajdziesz i wyjdzie ci seryjny, to Kielce ci to zabiorą? – Raz jeszcze spróbował nagiąć rzeczywistość do swoich potrzeb, tym razem chcąc do tego celu zmanipulować ego Agnieszki.

– Wiem. – Polkowska знаła go od tej strony. – I co z tego?

– Nic. Tak tylko mówię. – Poddał się wreszcie.

– Prokurator? – zapytała jeszcze, bo od czczych rozważań chciała już przejść do konkretów. Czas był tu rzeczą absolutnie kluczową i nie chodziło nawet o to, że w miarę jego upływu trudniej będzie wykryć mordercę, tylko raczej o to, że prawdopodobnie już wkrótce pojawią się kolejne ofiary.

– To będzie Nowiński – odparł Szwagier, nie patrząc jej w oczy.

– Czemu? – Agnieszka nie znosiła tego człowieka, głównie dlatego że pracę traktował jak zło konieczne, z zasady nie robił niczego ponad to, czego wymagały od niego przepisy.

– Bo tak wyszło z rozdzielnika. Już go poprosiłem, żeby wystąpił o wykaz logowań na bazowych stacjach przekaźnikowych.

– I billing rozmów z jej komórki i na jej komórkę? – dodała takim tonem, jakby rozmawiali już o tym wcześniej.

– Jeszcze nie, ale zaraz poproszę. – Misiak popatrzył na nią wciąż lekko naburmuszony. – Może się z nim spotkasz? On nie lubi swojej roboty, ale przystojne kobiety, owszem.

– A przekazałeś mi tę sprawę? – Agnieszka postanowiła wykorzystać dogodny moment.

– A komu innemu miałbym ją dać? – Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy twarz zwierzchnika nieco się rozjaśniła.

Polkowska też się uśmiechnęła, po czym przyłożyła dwa palce do czoła, imitując salutowanie, i ruszyła w kierunku drzwi. W tym momencie inspektorowi coś się przypomniało.

– Aha, Mrówiec ma się u ciebie zameldować dziś do końca dnia.

– Przecież on mnie nie znosi? – zdziwiła się Agnieszka.

– To go przesadnie nie wyróżnia spośród innych – zauważył Szwagier, uśmiechając się już pełną gębą.

– Brutal – skwitowała i wyszła z gabinetu.

Inspektor Misiak mógł sobie pozwolić na bycie psychicznym „brutalem” w tej akurat sprawie, ponieważ doskonale wiedział, że tak naprawdę komisarz Polkowską raczej lubiano w komendzie. Ludzie starali się unikać z nią współpracy nie z powodu braku sympatii, tylko z obawy przed tym, że nie sprostają wynikającym z jej ogromnego zaangażowania wymogom. Poza tym choć w głowie Agnieszki panował przeważnie matematyczny wręcz porządek, to już wokół niej rozciągała się strefa makabrycznego chaosu, który odstręczał innych. Koledzy mieli na biurkach i w szafkach ład, jeździli umyтыми samochodami, a wszystko to miało na celu ustanowienie przeciwwagi dla panującego w ich głowach niemiłosiernego bałaganu. Kiedy musieli dodatkowo zmierzyć się z bałaganem zewnętrznym *made by* Agnieszka, najczęściej po prostu nie dawali rady.

Aspirant Piotr Mrówiec stał od kilku chwil w gabinecie, trzymając w rękach karton ze swoimi rzeczami i zastanawiając się, gdzie może go postawić. W tym właśnie momencie w drzwiach za jego plecami stanęła Agnieszka.

– Wróciłeś. – Popatrzyła na niego z ironicznym, ale też współczującym uśmiechem.

– Mogę to gdzieś postawić? – Mrówiec był wyraźnie zdeprymowany.

Polkowska przesunęła papiery na jedno biurko, a wtedy spod zwałów dokumentów wysunęła się fotografia Joli. Zauważyli ją oboje. Agnieszce zrobiło się głupio. Od dwóch tygodni szukała tego zdjęcia w różnych miejscach, bardzo jej go brakowało, czego Mrówiec nie mógł wiedzieć. Wiedział natomiast – jak wszyscy pracownicy komendy – że Agnieszka ma córkę Jolę, z którą od lat nie utrzymuje kontaktu. Dlaczego nie utrzymuje? Istniało na to wiele hipotez, jedne bliższe, inne dalsze od prawdy, bo tę znali tylko Agnieszka, jej były mąż Roman i z jego przekazów sama Jola. Agnieszka wyszła za Romana w wieku osiemnastu lat. Kochała go na swój sposób, ale z całą pewnością przynajmniej z jej strony nie była to miłość szalona, choćby z tego powodu, że nie obejmowała sfery fizycznej, a obejmować nie mogła, bo Agnieszka wolała cielesny kontakt z kobietami, a Roman kobietą nie był.

– Siadaj. – Spojrzała na Mrówca wciąż stojącego z kartonem w rękach.

Piotr rozejrzał się wokoło, na jednym fotelu siedziała komisarz, na drugim leżało tyle rzeczy, że zdejmowanie ich zajęłoby mu pewnie z pół dnia.

– To nie siadaj. – Agnieszka pojęła całą złożoność sytuacji. – Weź notes i słuchaj.

Po skończonej naradzie, która nie wniosła nic nowego do jego życia, Sławomir mógł wreszcie zasiąść w swoim gabinecie i w spokoju zająć się rozmyślaniami. Miał ogromną ochotę wejść do sieci i na razie na odległość przyglądać się Ewie, ale wiedział doskonale, że nie może tego zrobić, tutejszy komputer nie gwarantował mu bowiem wystarczającej anonimowości. Owa pozorowana nieco walka z samym sobą dostarczała mu dodatkowych wrażeń. Wiedział doskonale, że po przyjsciu do domu od razu usiądzie w swoim pokoju i z nowego komputera, który w drodze do pracy kupił w sklepie z elektroniką, łącząc się przez kartę telefoniczną i gubiąc tropy przez VPN i Tor Browsera, wejdzie w końcu tam, gdzie będzie chciał, i przystąpi do powolnego uzupełniania swojej wiedzy o dziewczynie i jej otoczeniu. Tymczasem wyciągnął nową kartę telefoniczną i włożył ją do aparatu, a poprzednią połamał na kawałki i owinął w chusteczkę higieniczną. Następnie wyszedł do holu głównego firmy i zerknął na recepcjonistkę.

– Gdyby ktoś się zjawił, to zaraz będę, idę tylko do kiosku po gazetę. – Uśmiechnął się do ładnej, acz znacznie mniej ponętnej od Ewy blondynki, poza tym zbyt mało anonimowej.

– A może kogoś poślę, panie prezesie? – Dziewczyna była dobrą pracownicą, nieomal w każdej sytuacji wykazującą się inicjatywą.

– Nie trzeba, zapalę przy okazji. – Sławomir wszedł do windy, która łączyła bezpośrednio z holem ostatnie piętro wieżowca mieszczącego biura jego fundacji, i wcisnął zero.

Przechodząc na drugą stronę ulicy, upozorował, że wyciera nos, a chusteczkę z kartą wyrzucił do kosza. Z telefonem przy uchu podszedł do kiosku.

– Siewa? – zawahał się, słysząc zachrypnięty głos po drugiej stronie, bo nie był pewien, czy należy on do jego kompana. – Utworzyliśmy dziś dwa nowe portale narodowe, teraz moi chłopcy robią tam ruch...

Przez moment milczał, słuchając bełkotu Siewy, który miał dziś wyraźne problemy z artykulacją.

– Tak, to na razie jest wersja beta, puścimy do sieci dopiero, jak tam zagęścimy... – Teraz starał się mówić szybko. Zależało mu na rychłym skończeniu rozmowy, a każdy pijany wręt Garugina przedłużał sprawę w nieskończoność. – Wieczorem podeślę ci nazwy tych portali. Gdy je uwolnimy do netu, trzeba będzie szybko podbić przynajmniej do kilkudziesięciu tysięcy odsłon w ciągu dnia. To już niech twoi zrobią z Moskwy.

Kiedy Rosjanin znów zaczął bełkotać, Sławomir myślał już tylko o tym, że i tak za kilka godzin będzie musiał zadzwonić znowu, by przekazać te same informacje, bo wszystko, co właśnie zreferował, trafiło w mroczną otchłań pijanej niepamięci. Na szczęście znał już dość dobrze rytm funkcjonowania Siewy w okresach, gdy ten podejmował próby przerobienia swojego mózgu na mocz. Za jakieś trzy godziny wciągnie tyle koksu, by potem przez godzinę albo dwie załatwić wszystkie pilne sprawy, wykonać telefony do Moskwy i obsłużyć swoich rozsiansych po całym świecie podopiecznych, takich jak Sławomir, a następnie znów spadnie w otchłań niebytu. Właśnie w te dwie godziny będzie musiał wycelować Wolski.

Ewa nie miała dziś zajęć, ale za trzy godziny odbierała brata ze szkoły w Garwolinie, w drogę musiała więc wyruszyć mniej więcej za dwie. Szła na spotkanie z dość przystojnym kolegą, autorem banalnych wpisów na Facebooku. Jej myśli wciąż jednak zajmowała dziwna korespondencja, którą otrzymała rano od tajemniczego Adama Enkratyka. Jeszcze w pracy odświeżyła w necie swoją wiedzę na temat tej sekty. Nazwa „enkratyci” pochodziła od greckiego *enkratitai* oznaczającego wstrzemięźliwość i określała wczesnochrześcijańską sektę związaną z osobą Tacjana.

– Z mlekiem? – Mariusz stał przy stoliku i zadawał jej już czwarte pytanie dotyczące prostej, jak jej się wydawało, sprawy zamówienia kawy i ciastka.

– Nie, po prostu espresso bez cukru i bez mleka, a do tego kawałek ciasta marchewkowego. – Ewa powoli traciła cierpliwość.

Niezbyt rzutki, ładny kolega chyba w końcu zorientował się w sytuacji, bo nie zapytał już o nic więcej, obrócił się na pięcie i lekko obrażony ruszył do baru krokiem nagle tak dziarskim, jakby szedł na wojnę. Ewa wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że nie spotka się z nim ponownie, a kolejne czterdzieści minut, bo tyle zajmie im przemilenie tego spotkania, będzie stanowiło dla niej drogę przez mękę.

Młodszy aspirant Mrówiec przeglądał po raz dziesiąty Krajowy System Informacji Policji zwany pieszczotliwie w skrócie KSIP-em, wpisując co rusz nowe kryteria wyszukiwania. Niestety, za każdym razem po upływie kilkunastu sekund, których system potrzebował do przeliczenia danych z całej Polski, pojawiał się komunikat „Brak wyników wyszukiwania”. Nie dziwiło go to, co więcej, nawet w pewnym sensie potwierdzało założenia, które poczynił, siadając do komputera, a nawet wcześniej, kiedy Misiak wydał mu polecenie służbowe nakazujące powrót do jaskini chaosu, jaką jawił mu się gabinet Agnieszki. Ujmując rzecz krótko, Mrówiec, podobnie zresztą jak inni policjanci, nie wyłączając Szwagra, nie podzielał przekonania Polkowskiej, że za sprawą kryje się drugie dno. W rubrykę zdążył już po kolei wpisać wiek denatki, rejon, w którym doszło do zabójstwa, oraz różne elementy okoliczności zdarzenia, czyli wybrane detale z tak zwanego *modus operandi* sprawcy. Defragmentacja zwłok ostrym narzędziem przyniosła wprawdzie kilka rezultatów, a jeden wynik miał nawet w dopisku „przy pomocy ostrego narzędzia”, ale dotyczył mężczyzny zamordowanego w pijackiej rozróbie. Jego współbiednik i zarazem zabójca próbował go potem pociąć na kawałki i wrzucić do parówkarki w zakładach mięsnych, gdzie pracował. Udało mu się to jedynie częściowo – w trakcie realizowania czynności został zatrzymany, bo dyrekcja ze względu na jego stan zamroczenia alkoholowego wezwała patrol. Następnie masarza skazano i osadzono. Po przeczytaniu tej interesującej skądinąd historii Mrówiec upewnił się jeszcze, czy masarz nadal pozostaje pod kuratelą zakładu penitencjarnego. Inne przypadki w przeważającej mierze także zostały już wyjaśnione bądź wydarzyły się zbyt dawno temu, by uznać je za związane ze sprawą. Po dwóch godzinach wertowania rubryk uznał, że robotę wykonał z nawiązką, wyłączył KSIP i przeszedł do przeglądania numerów telefonów, które logowały się w tamtym czasie do bazowych stacji przekąźnikowych w okolicy zajścia. Szczęśliwie nie było ich wiele, jako że zdarzenie to miało miejsce na terenach wiejskich, gdzie po pierwsze mieszka mało ludzi, po drugie ludzie ci nie używają telefonów tak często jak miastowi, po trzecie wreszcie zgon denatki ustalono na godziny między drugą a czwartą nad ranem, czyli wtedy, gdy na wsi większość ludzi po prostu śpi.

W tym czasie Agnieszka siedziała w pokoju specjalistów od przestępczości internetowej i w oczekiwaniu na ekspertyzę komputera Zuzy przeglądała monitoringi nadesłane przez komendę z Suchedniowa. Nie miała za dużo pracy, bo w okolicznych wsiach nie było miejsc wartych wzmożonej obserwacji. Kamery na stacji benzynowej przy ulicy Kieleckiej w Suchedniowie obejmowały tylko rejon dystrybutorów. Agnieszka pobieżnie przejrzała nagranie. W nocy nie działo się tu zbyt wiele, wcześniej, czyli wtedy, gdy Zuza wyszła z domu na swój ostatni spacer, ruch był większy, ale tak naprawdę Polkowska nie wierzyła, by człowiek, z którym miała do czynienia, popełnił taką głupotę, by zatankować pod okiem kamer na stacji oddalonej zaledwie kilkanaście kilometrów od miejsca zabójstwa. Dużo większą nadzieję pokładała w kamerze monitoringu przy zakładach kamieniarskich. Ustawiona na zakładową bramę i parking, obejmowała częściowo przebiegającą obok drogę 751, a przejeżdżający kierowcy nie byli świadomi jej istnienia, co dla Agnieszki stanowiło ogromną zaletę. Wieś Zuzanny znajdowała się wprawdzie czterdzieści kilometrów stąd na południowy zachód, ale



zwłoki znaleziono w parku krajobrazowym zaledwie pięć kilometrów od zakładu i była szansa, że morderca, wycofując się z miejsca zbrodni, przejechał tędy nad ranem.

– Dziewczyna pisała bloga i chyba była głęboko wierząca. – Za plecami komisarz stał Andrzej z laptopem Zuzy w ręku.

– Skąd wiesz? – Agnieszka oderwała się od oglądania monitoringu i spojrzała na niego trochę zaskoczona.

– Bo jestem na tym blogu i czytam o Jezusie – wyjaśnił informatyk, podając jej komputer.

– A jak wszedłeś, przecież to jest chronione hasłami? – zdziwiła się bardziej po to, by zrobić mu przyjemność niż z potrzeby uzupełnienia wiedzy.

– Nie mogę ci powiedzieć, bo wtedy musiałbym niezwłocznie cię zabić. – Uśmiechnął się i odszedł do swoich zajęć, zostawiając ją sam na sam z blogiem Zuzanny.

Agnieszka otworzyła ostatni zamieszczony post z dnia poprzedzającego śmierć dziewczyny.

„Już wkrótce może wszystko się zmieni, widzę jasny punkt, który z chwili na chwilę jest coraz bliżej. Czy mnie ogrzeje, czy oświetli mi drogę, czy spłonę w jego promieniach? Boże, Ty jeden znasz odpowiedź na to pytanie...”

– Spłonęłaś – powiedziała cicho, wpatrując się w zdjęcie smutnej, wrażliwej dziewczyny powieszona na górze strony.

– Co mówisz? – Andrzej spojrzał na nią zza swojego biurka.

– Pstro. A jej mejla otworzyłeś?

– W Outlooku tak, ale tam nie ma nic ciekawego, tylko jakieś rzeczy z uczelni. Zresztą możesz zerknąć. – Podszedł do niej, włożył wielgachne ręce pomiędzy Agnieszkę a komputer i kliknął ikonę Outlooka. – Proszsz.

Andrzej lubił przeciągać głoski, nauczył się tego, studiując i mieszkając w akademiku na warszawskim Bródnie. Od tej pory używał tej formy, podkreślając swoją częściową przynależność do grupy wtajemniczonych warszawskich knajaków.

– Ostatni mejl przyszedł kilka godzin po zabójstwie. – Popatrzyła na nagłówek. – „National Geographic” proponuje zniżkę prenumeraty.

– To ci chyba nie posunie dochodzenia? – Informatyk wrócił już do swojego biurka.

– Chyba nie... – Agnieszka zjechała na dół strony. – Same oficjalne mejle, z religioznawstwa na Jagiellonce, z Twittera, powiadomienia z Facebooka... Żadnej prywatnej korespondencji.

– Prywatną prowadziła pewnie bezpośrednio z netu.

– A jak to ustalić? – Czekając na odpowiedź, komisarz zamknęła okno Outlooka i weszła w folder na pulpicie zatytułowany „Prace”.

– Wszystko się da, ale muszę mieć ze dwa dni, a nie dwie godziny – mruknął Andrzej, nie odrywając się od czegoś, co działało się na ekranie jego komputera.

– Przyślę ci Mrówca, posiedzi z tobą. – Agnieszka uśmiechnęła się, bo wiedziała, że panowie nie lubią się za bardzo, gdyż aspirant odbił kiedyś Andrzejowi dziewczynę.

– Tego lebiegę?! – Mężczyzna od razu podniósł głowę znad komputera. – Dobrze, przyjdź rano. Wyciągnę ci z wirtualnego świata tej dziewczyny wszystko, co się da.

– Bez Mrówca?

– Jak mi go przysyłasz, oddam ci tę robotę w przyszłym roku.

Agnieszka chciała odbić piłeczkę raz jeszcze, ale w tym momencie do pokoju wszedł Misiak.

– Tu cię przyniosło. Macie coś z tego?

– Na razie niewiele. Andrzej ma się temu zaraz cały oddać, może coś wyciągnie. – Wskazała na siedzącego tyłem do nich komputerowca.

– Dzwonił ojciec tej małej... – Misiak próbował przypomnieć sobie imię ofiary, ale szybko się poddał. – Rozmawiał z ludźmi. Ktoś wieczorem widział samochód przejeżdżający parę razy przez wieś.

– Samochód przejeżdżający przez wieś... Rzeczywiście macie niezły trop. – Informatyk nie patrzył nawet na inspektora, nie podlegał mu, więc nie musiał nadskakiwać, a nie lubił go prawie tak bardzo jak Mrówca.

– Rejestracja? – spytała Agnieszka, choć nie łudziła się przesadnie.

– Zwariowałaś, pijany chłop na rowerze w nocy miałby zapamiętać trzy litery i pięć cyfr? – Szwagier pokręcił głową, wyrażając dezaprobatę dla jej naiwności. – Jedź i porozmawiaj, może zapamiętał chociaż typ albo wielkość, cokolwiek. Przy okazji popytaj ludzi. Ja wciąż uważam, że to ktoś stamtąd.

Agnieszka pokręciła głową, wyrażając dezaprobatę dla jego naiwności, i ruszyła w stronę drzwi.

– Mrówca weź, może się jakoś podzielicie robotą! – Szwagier krzyknął jeszcze za nią, ale ona zniknęła już za drzwiami.

Nie wzięła Mrówca, który sprawdzał mozolnie wszystkie numery logujące się do BTS-ów w promieniu dwudziestu kilometrów od miejsca zabójstwa. Spośród czterystu numerów trzysta okazało się numerami abonamentowymi, pozostałe – prepaidowe – wymagały większego wysiłku. Jeszcze przed rokiem trudno je było zidentyfikować, bo karty kupowało się w dowolnie wybranym miejscu i nikt nie miał pojęcia, kto ich używał. W ekstremalnych przypadkach można było ustalić, gdzie dana karta została sprzedana, ale to i tak niewiele dawało. Od kilku miesięcy każdy numer na kartę wymagał już rejestracji z dowodem osobistym, co znacznie ułatwiało im identyfikację. Jeśli zabójca miał przy sobie telefon, nie musiał nawet z niego dzwonić, a i tak można było dojść, gdzie przebywał i co robił o danej godzinie, o ile tylko nie wyłączył telefonu.

Sławomir, wyjeżdżając na ostatnią randkę z Zuzanną, nie miał przy sobie telefonu, ale nawet gdyby miał, to i tak niewiele by to dało, ponieważ był człowiekiem zapobiegawczym, a cecha ta stanowiła dla niego kolejny ekscytujący element gry. Teraz stanął przy Amfiteatrze w Łazienkach i ze spokojem spoglądał w mroczną toń wody. Pół godziny wcześniej na spluncze w toalecie w nieodległej kawiarni położył osiem spiętych gumką banknotów stużłotowych i czekał, aż mężczyzna – który pod wdzięcznym nickiem waciak875 wystawiał na Allegro karty telefoniczne – poinformuje go, że wziął pieniądze. Kiedy komórka zawibrowała, Sławomir odebrał i poprosił „waciaka”, by wrzucił karty do trzeciego kosza na śmieci przy alejce wiodącej od Pałacu na Wyspie do Amfiteatru. Następnie przyglądał się z oddali młodemu chłopakowi w bluzie z kapturem, gdy ten wrzucił foliową torebkę z kartami do kosza. Kiedy tamten ruszył w stronę wyjścia z parku, Sławomir poszedł za nim, żeby upewnić się, czy na pewno jest sam. Kiedy zobaczył go wsiadającego do autobusu linii 108, wrócił do parku i stanął nad wodą, czekając cierpliwie na dogodny moment. Tą metodą – zawsze rzecz jasna od innego handlarza – nabywał karty od dobrych kilku miesięcy. Potrzebował ich wiele, bo w okresach wzmożonych kontaktów z Siewą albo prominentnymi działaczami zaprzyjaźnionej partii zdarzało mu się zmieniać je nawet pięć razy dziennie. Oprócz wymiany kart raz na kilka dni wymieniał też telefon. Kupował na bazarach albo w punktach serwisowych taki sam stary model Samsunga, który był tak prosty, że metodą chałupniczą potrafił pozbawić go numeru IMEI.

Sławomir obrócił się przez prawe ramię wokół własnej osi, przy okazji raz jeszcze upewniając się, czy nikt mu się nie przygląda, po czym ruszył po raz trzeci tego wieczoru w lewo w kierunku alejki łączącej Pałac na Wyspie z Amfiteatrem. Kiedy przechodził obok kosza, nie zatrzymał się nawet, tylko sięgnął po pakunek z kartami i włożył go do bocznej kieszeni płaszczka. Jego ostrożność tak naprawdę nie była mu potrzebna, a w każdym razie nie aż w takim stopniu, ale lubił zabawę towarzyszącą tego typu sytuacjom. Stawał się wtedy bardziej skupiony, nadnercza wyrzucały do krwi ulubioną adrenalinę, a temperatura ciała i ciśnienie minimalnie rosły. Stanowiło namiastkę tego, co odczuwał, przeprowadzając akcje kulminacyjne, czyli mordując z zimną krwią młode dziewczyny. Myśląc o tym, Sławomir postawił kołnierz płaszczka i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku Myśliwieckiej, gdzie w pobliżu kortów Legii zaparkował swoje prawie prezydenckie bmw. Ponowną rozmowę z Siewą, w której powtórzył z grubsza to, co powiedział mu wcześniej, kiedy ten był w fazie odlotu, miał za sobą. Nie planował już dzisiaj żadnych spotkań ani rozmów telefonicznych. Wiedział, że wkrótce dojedzie do ekskluzywnej garsoniery, mieszczącej się w kamienicy po drugiej stronie parku, zjedzie do garażu, a kiedy winda wywiezie go na górę, prosto do apartamentu, wreszcie będzie mógł wejść do gabinetu i zasiąść przed komputerem.

Wracając do domu po spotkaniu z przystojnym, ale mało rzutkim Mariuszem, Ewa zapadła się w czeluść złego nastroju. Za oknami autobusu jadącego na Dworzec Zachodni siał deszcz. Tego dnia nic z niczym nie łączyło się w sensowną całość, nic do niczego nie pasowało, nic z niczego nie wynikało. Sens i harmonia zdawały się bezpowrotnie opuszczać jej duszę. Ewa pomyślała nawet, że gdyby nie rzeczy, które musiała teraz zrobić i które trzymały ją w sieci zależności, prawdopodobnie ulotniłaby się bez śladu i nikt by tego nawet nie zauważył. Sprawy sercowe legły w gruzach i nic nie zapowiadało zmiany, jej wiara pogrążyła się w mrokach zwątpienia, na zebraniach religijnych czuła się coraz bardziej wyobcowana, na zajęciach po rozstaniu z Robertem nie potrafiła z nikim znaleźć wspólnego języka, a leżące teraz na jej kolanach *Wyznania Świętego Augustyna*, lektura, która kiedyś wyrwała ją ku wierze z siłą huraganu, zaczynała ją męczyć. Zerknęła na zegarek. Jeśli autobus nie przyspieszy, za chwilę spóźni się na busik do Garwolina, a w efekcie jej brat będzie czekał na nią pod szkołą ponad godzinę. W tym momencie na ekranie telefonu pojawiło się facebookowe powiadomienie. Adam Enkratyk poprosił ją o przyjęcie do grona znajomych. Ewa się uśmiechnęła. Najpierw sprawdziła, czy mają wspólnych znajomych, a kiedy okazało się, że nie, namyśliła się krótko, by w końcu wcisnąć „zaakceptuj”. Trzy sekundy później na ekranie pojawiła się uśmiechnięta buźka, wysłana przez Enkratyka, za oknem przestało padać, a po chwili autobus zatrzymał się na przystanku końcowym. Do odjazdu busa zostały jeszcze trzy minuty.

We wsi Płonniko po zapadnięciu zmroku było jeszcze bardziej pusto niż za dnia. Mijając dom Kołodziejczykó, Agnieszka zerknęła w stronę okien – światło paliło się tylko w kuchni. Umówiła się przed sklepem, jakieś trzysta metrów dalej przy tej samej, jedynej zresztą ulicy. Zgodnie z zapowiedzią czekał tam już ojciec Zuzy, który wyglądał, jakby od ostatniego ich spotkania minęło dziesięć lat, a nie zaledwie kilkanaście godzin. Stojący obok niego mężczyzna na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia wiarygodnego świadka.

Lepszy rydz niż nic, pomyślała Polkowska i wysiadła z samochodu.

– Dzień dobry, pani komisarz, to jest właśnie pan Zygmunt... – zaczął Rafał Kołodziejczyk, wyraźnie zażenowany faktem, iż mężczyzna ledwie trzyma się na nogach.

Widząc to, Agnieszka pomyślała, że kody wychowania są na szczęście wbudowane w człowieka na tyle mocno, iż kiedy przychodzą chwile naprawdę trudne, skupienie się na bzdurach najzwyczajniej w świecie pomaga przetrwać. Następnie przywitała się z ojcem Zuzy, potem również z panem Zygmuntem, który nosił się wyraźnie z zamiarem błysnięcia jakimś tuzinkowym, pijackim żartem, ale skonfrontowawszy się z jej spojrzeniem, od razu zrezygnował.

– Panie Zygmuncie, proszę powiedzieć to, co mi pan mówił – zaczął Rafał.

– Co tu mówić? – Zygmunt odparł z odrobiną kokieterii.

Agnieszka nie lubiła mężczyzn, którzy pili po to, żeby poczuć się facetami.

– To, co mówił pan panu Kołodziejczykowi – zareagowała z lekkim zniecierpliwieniem.

– No to ten, stałem tu wtedy cały wieczór, bo Mietek miał przyjść, czekałem, mieliśmy iść do niego, żeby, wie pani, co nieco... – Zygmunt najwyraźniej zapomniał już o zimnym spojrzeniu policjantki i przymierzał się teraz do opowiedzenia długiej, zapewne urokliwej z jego punktu widzenia historii.

– I...?! – Agnieszka przerwała mu bez pardonu.

– I co? – Zygmunt nagle zrobił się nieco buńczuczny, po czym równie szybko się opanował. – I samochód jeździł, jakiś taki nie nasz, duży van taki, ciemny.

– Jakiej marki? – Komisarz domagała się konkretnego.

– Z marek to ja rozróżniam śliwownicę, luksusową, stołową, żubrówkę... – Mężczyzna jednak zabłysnął.

– O której to było? – Komisarz powoli traciła nadzieję.

– Czy ja wiem, dokładnie to pani nie powiem, Mietek miał przyjść o siódmej, nie przyszedł, chyba stałem z godzinę.

– A co to znaczy, że samochód jeździł? – włączył się Kołodziejczyk.

– No jeździł, raz przejechał, potem drugi, potem jeszcze raz. – Zygmunt się zamyślił i po chwili wskazał ręką kierunek, z którego przyjechała komisarz. – Ten trzeci w tamtą stronę szybciej i wtedy wydawało mi się, że oprócz kierowcy z przodu ktoś siedział.

– Kto siedział? – zapytał Rafał. Gdzieś głęboko tlił się w nim jednak promyk niczym nieuprawomocnionej nadziei. Gdyby Zygmunt powiedział, że obok siedział mężczyzna, może wtedy okazałoby się, że Zuza wciąż żyje, a to wszystko jest nieporozumieniem, zwykłym,

chwilowym psikusiem splatanym przez los.

Agnieszka doskonale wiedziała, o czym myśli ojciec dziewczyny. Człowiek tonący w rozpaczę czepia się często najbardziej skrajnie irracjonalnych przesłanek. Nawet jeśli wcześniej podejrzewała go, a może nawet oboje rodziców, o współudział w zbrodni, to teraz obserwując nadzieję w jego spojrzeniu i każdym geście, nie miała już wątpliwości.

– Dziewczyna chyba jakaś, blond włosy. – Zygmunt nie miał litości albo raczej był zbyt pijany, by zdobyć się na empatię.

– Numery rejestracyjne? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Co pani, tak mnie trzęsło, że ledwie widziałem na oczy, że ten samochód zobaczyłem i dziewczynę, to i tak sukces – oznajmił Zygmunt i czknął głośno.

Agnieszka pokiwała głową, po czym złapała delikatnie Kołodziejczyka za przedramię i odeszła z nim na bok.

– Przyślę jutro kogoś od nas. – Wskazała na bujającego się na boki pijaczka. – Może opisze ten samochód na tyle, że chociaż ustalimy markę.

– Myśli pani, że to ktoś stąd? – zapytał Rafał właściwie tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Nie – zaprzeczyła tak zdecydowanie, że aż ją to zaskoczyło.

W drodze powrotnej zadzwoniła do swojego nowego-starego asystenta, który trzy godziny wcześniej wyszedł z pracy i teraz nie pamiętał już nawet, jak zarabia na życie. Aspirant Piotr Mrówiec był młodym człowiekiem i należał do pokolenia ludzi, dla których praca nie stanowiła pasji, a jedynie sposób na pozyskanie środków na realizowanie pasji. W związku z tym choć w pracy starał się wypełniać swoje obowiązki z należyтым zaangażowaniem, to po wyjściu z niej w pełni oddawał się muzyce i didżejowaniu. Z czasem Mrówiec zaczął dorabiać po godzinach na tyle przyzwoicie, że w gruncie rzeczy mógł już spokojnie się z tego utrzymywać. Dlaczego więc wciąż pracował w policji, choć oficjalnie twierdził i szczerze wierzył, że wcale go to tak naprawdę nie interesuje? Takie pytanie zadawał sobie teraz, patrząc na ekran komórki, na którym przed momentem wyświetliło się „Zołza”. Pytanie to frapowało go tym bardziej, im bardziej był przekonany, że za moment odbierze, choć przecież nie musiał.

– Sprawdziłeś w tym KSIP-ie?

– Sprawdziłem. – W jego jednym uchu dobijał się Calvin Harris, w drugim brzęczała Polkowska. – A nie moglibyśmy o tym...?

– Nie. – Agnieszka nie lubiła muzyki w tle. – Nie mamy czasu, zginął człowiek. Rozumiesz, o co chodzi?

– Tak. – Mrówiec wyjął słuchawkę z ucha. – W KSIP-ie nic nie znalazłem, sprawdzam jeszcze logowania, ale na razie nic podejrzanego.

– Z logowaniami możesz się wyluzować, po tym go nie złapiemy. – Agnieszka coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że mają do czynienia z naprawdę trudnym przeciwnikiem. – Ale w KSIP-ie musi coś być. Na bank się podpisuje. Oni wszyscy tak robią.

– Może on nie jest z tych onych. – Piotr stanął przed wejściem do klubu. – Może za bardzo go demonizujesz.

– Olejek, kadzidło, namaszczenie, wpisywałeś takie hasła?

– Nie.

– Jutro od tego zacznij.

Kiedy wróciła do domu, spojrzała na mapę Google'a, na którą Andrzej nałożył linie wyznaczone przez odcięte i przyłożone do ciała ręce ofiary. Zwłoki znaleziono jakieś trzysta metrów od skalnego wzniesienia zwanego Kamieniem Michniowskim. Agnieszka wyszukała informację o tym miejscu i dowiedziała się, że na wschodnim zboczu skały znajduje się jedna z najdłuższych w tym rejonie jaskiń krasowych. Gdyby morderca chciał ukryć zwłoki, wystarczyłoby je do niej wrzucić – może i znaleziono by je, ale pewno nie wcześniej niż za kilka miesięcy, a zatem morderca chciał, by zwłoki odkryto jak najszybciej, bawił się z nimi i jak przypuszczała, zostawiał im znaki. Wśród informacji mniej praktycznych najbardziej zainteresowała ją ludowe podanie mówiące o tym, że Kamień Michniowski był kiedyś siedzibą diabła, który zwykł na nim siadać i grać na skrzypcach zwabiać do siebie niewinne dziewczęta, podążające do kościoła albo po wodę do Burzącego Potoku. Jeśli morderca zostawiał znaki, to ułożenie ręki wyznaczające linię, która – wedle wskazań kompasu – biegła w kierunku sto dwudziestego ósmego stopnia, być może nie było przypadkowe. Agnieszka powiększyła mapę i bez przekonania zaczęła posuwać się wzdłuż linii od południowo-wschodniej granicy Polski. Przez myśl przeszło jej, że w gruncie rzeczy morderca mógł równie dobrze zostawić kolejny ślad do klucza na Słowacji, w Rumunii czy nawet w Bułgarii. Od czegoś jednak trzeba było zacząć. Okroługi, Wólka Ogórkowa, Kowale, Sójkowa, Budy, Stany, Borek, Stale, Tarnobrzeg, Skotniki, Chobrzany, Goźlice, Płonniki... Agnieszka oniemiała, po chwili przeczytała nazwę miejscowości raz jeszcze: Płonniki. Prawa ręka Zuzy wskazywała miejsce pochodzenia dziewczyny – linia prowadziła od miejsca zbrodni do domu rodzinnego ofiary. To odkrycie oszołomiło komisarz Polkowską na dłuższą chwilę. Kiedy w końcu wróciła do mapy, skupiła się na drugiej linii. Teraz była już więcej niż przekonana, że ułożenie drugiej ręki wskazujące dwieście sześćdziesiąty czwarty stopień też nie było przypadkowe i ponad wszelką wątpliwość na coś wskazywało. Pytanie tylko na co?

„Czerwona Górka, Zagnańsk, Tumlin-Osowa, Pepice, Wielebnów, Jasień, Oleszno, Barania Wieś, Turznia, Czechy, Rumniki, Lgota, Kuleje, Ligota Turawska, Świerkle, Brzezcie, Stroszowice, Wola Grodkowska, Rożnów, Przeworno, Miłowice, Cienkowice, Tomice, Jugów, Ludwikowice Kłodzkie”... przestała pisać, spojrzała raz jeszcze na mapę, po czym dodała: „Możesz jeszcze sprawdzić Hejtmánkovice, to już po czeskiej stronie, ale na wszelki wypadek”. Na koniec wpisała adres mejlowy Mrówca i wysłała wiadomość, a potem weszła na Facebooka. Tyle razy obiecywała sobie więcej tego nie robić, ale i tak doskonale wiedziała, że nie pokona tej kompulsji, która swoje podłoże miała w jej matczynej tęsknocie. W okno wyszukiwania wpisała „Jola Malicka” i nacisnęła enter. W pierwszym rzucie zawsze pojawiała się dziewczęta Jol Malickich, ona klikała trzecią od góry. Profil był częściowo publiczny, wiele razy zresztą Agnieszka zastanawiała się dlaczego, łudziła się, że może córka ujawnia część zdjęć i postów z myślą o niej, ale potem dochodziła do wniosku, że to niemożliwe – po prostu Jola robiła to z powodu niefrasobliwości, a nie celowo. Tym razem nie było nic nowego, ale to właściwie nie miało większego znaczenia, bo dla Agnieszki fotografie nigdy się nie starzały, większość dawno już zresztą wydrukowała, a na jedną z nich natknęła się właśnie poprzedniego dnia w obecności Mrówca. Znała też numer Joli i kilka razy do niej dzwoniła, ale zawsze dbała o to, by głuche

telefony, dzięki którym raz na jakiś czas mogła usłyszeć głos córki, nie zdarzały się za często, bo wtedy dziewczyna mogłaby poczuć się niekomfortowo, może nawet zaczęłaby się niepokoić, a do tego przecież ona, matka, nie mogła dopuścić. Po rozstaniu z mężem Agnieszka widziała się z nim jeszcze kilka razy, najpierw była sprawa rozwodowa, potem formalności przy podziale majątku, które zasadniczo sprowadziły się do tego, że on wziął wszystko, a ona nie dostała nic. Ostatni raz spotkali się przypadkowo w urzędzie miasta kilka lat temu, on jak zawsze spiorunował ją wzrokiem, ona jak zawsze spuściła głowę.

Nagle zadzwonił domofon. Agnieszka spojrzała na zegarek właściwie bardziej odruchowo niż z jakiegoś powodu, nikogo się dziś nie spodziewała.

– Halo? – Podniosła słuchawkę przekonana, że usłyszy znajomy głos pana od ulotek. Zawsze dzwonił do niej, bo tylko ona go wpuszczała. Inni sąsiedzi nie lubili ulotek, ludzi od ulotek i chyba ludzi w ogóle.

– To ja. – Głos nie należał do pana od ulotek. – Wpuścisz mnie? – zapytała Marta.

– Jasne. – Agnieszka nacisnęła guzik. – Wchodź.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła przed sobą spłakaną przyjaciółkę ze sporą, nie do końca wypełnioną torbą podróżną.

– Wyjeżdżasz? – Spojrzała na nią zaskoczona.

– Nie. – Marta pokręciła głową. – Przyjechałam.

Agnieszka przez moment analizowała informację, po czym uznała, że jakkolwiek to mało prawdopodobne, to jednak wydaje się prawdziwe, i sięgnęła po torbę.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się i szerzej otworzyła drzwi do mieszkania.



Sławomir pobrał zdjęcia z Facebooka Ewy od razu, gdy tylko przyjęła go do swoich znajomych. Najbardziej interesowały go oczywiście te, na których prezentowała się w całej krasie, ale to nie na nich skupił się w tej chwili. Na początek na warsztat wziął serię zdjęć z nią i jej matką, ponieważ założył, że zrobiono je w ich domu rodzinnym. Nie pomylił się. Po wrzuceniu zdjęć w aplikację EXIF Viewer przed jego oczami, oprócz daty, godziny ich wykonania i marki telefonu, ukazały się dokładne dane GPS. Sławomir włączył Google Earth, odszukał miejsce oznaczone zgodnie ze współrzędnymi zaszytymi w jednej z fotografii, następnie wbił swoją ulubioną wirtualną szpilkę w kolorze jaskrawej zieleni w ogródek przy domu krytym czerwoną blachą. Kiedy szpilka tkwiła już w ogródku, uśmiechnął się, a jego uśmiech odbił się w połyskliwym ekranie komputera.

Ewa zatrzymała się w tym miejscu, w które Sławomir przed momentem wbił zieloną, wirtualną szpilkę. Od czterdziestu minut, czyli od chwili, kiedy odebrała Tomka ze szkoły, chłopak szedł kilkanaście metrów za nią. Stanowiło to maksymalną odległość, na jaką się zgadzała, a jednocześnie było protestem Tomka, który odkąd wsiedli do busa w Garwolinie, był ciężko obrażony na siostrę, bo ta nie zgodziła się pójść na hamburgera. Ewa weszła do domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Jako osoba z gruntu ugodowa prawdopodobnie próbowałaby wynegocjować jakiś rodzaj porozumienia, ale dziś najzwyczajniej w świecie nie miała na to siły. W sieni zdjęła buty, przechodząc przez korytarz, pozdrowiła matkę, po czym ruszyła od razu do swojego pokoju na górze. Chwilę później do środka wszedł wciąż obrażony Tomek, ciągnąc za sobą szkolną torbę.

– A co z wami jest? – Mama zauważyła go w prześwicie między kuchnią a korytarzem.

– Nic. – Chłopak rozebrał się i wszedł do kuchni. – Ona jest jakaś nadęta, nie wiem, o co jej chodzi.

– Pewnie o nic, jest zmęczona – stwierdziła matka, stawiając przed nim talerz z zupą.

– Ja też jestem zmęczony, chodzę do szkoły – burknął Tomek i zabrał się do jedzenia.

– Ona też chodzi do szkoły, a do tego pracuje, uczęszcza na spotkania zboru i jeszcze na koniec jedzie po ciebie z Warszawy do Garwolina. – Matka usiadła naprzeciwko syna. – Rozumiesz?

Tomek pokiwał głową, choć tak naprawdę ani on, ani ona nie rozumieli całej złożoności psychologicznej sytuacji, w jakiej znajdowała się Ewa.

Ona tymczasem, nie zdejmując nawet kurtki, usiadła przy biurku i trochę machinalnie, a trochę z nadzieją od razu odpaliła komputer. Kiedy zalogowała się do internetu, na pulpit wyskoczyła wiadomość: „Nie wiem dlaczego, ale odkąd do Ciebie piszę, wszystko dostało jakby kolorów, mam więcej energii, wszystko lepiej się zazębia”. Lektura tych kilku zdań wywołała u Ewy uśmiech, a przede wszystkim dała energię do tego, by zdjąć kurtkę, przeczesać włosy i po chwili namysłu wystukać na klawiaturze: „W moim świecie też trochę się rozruszało”. Gdy wyszła z pokoju, na ekranie pojawiła się odpowiedź: „Czyli może jednak coś ma sens...”.

Aspirant Mrówiec odczytał mejla od Agnieszki chwilę po tym, jak go wysłała. Był w mieszczącym się niedaleko dworca klubie Drogowskaz, za kilka minut miał stanąć za konsolą i poprowadzić didżejkę do drugiej w nocy, ale już w tym momencie wiedział, że i tak obudzi się o siódmej rano i pół godziny później będzie siedział w komendzie przy komputerze, wyszukując w KSIP-ie morderstwa popełnione w miejscowościach z mejla Agnieszki. Jedyne, czego nie wiedział, to dlaczego tak właśnie się stanie, a niemożność udzielenia samemu sobie odpowiedzi na to pytanie trochę go denerwowała.

W pokoju było przytulnie, lampka na parapecie dawała niewiele światła, podobnie jak porozstawiane w różnych miejscach tea lighty. Marta siedziała na kanapie z kieliszkiem wina w dłoni i zdjęciem Joli, które przed chwilą zdjęła z komody stojącej w rogu salonu. Kiedy Agnieszka weszła do środka z pokrojoną bagietką i talerzem z serami, dziewczyna popatrzyła na ramkę.

– Dlaczego po prostu nie spróbujesz do niej dotrzeć? – zapytała.

Agnieszka postawiła talerz, usiadła w fotelu, wzięła swój kieliszek i podwinęła nogi pod siebie.

– Jedz. Nie mam nic innego, ale może do jutra nam wystarczy.

– Dlaczego? – Marta ponowiła pytanie. – Ile ona ma lat?

– Osiemnaście lat i trzysta czterdzieści siedem dni. – Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– No to od trzystu czterdziestu siedmiu dni może już olać tego pacana, swojego ojca, i podjąć sama decyzję. – Marta sięgnęła po kawałek bagietki.

– Jej ojciec nie jest pacanem. – Niespecjalnie obruszyła się Agnieszka.

– Pozbawił córkę matki, jak miała ile? – Dziewczyna spojrzała na nią pytającym wzrokiem. – Miesiąc?

– Cztery... Ale to nie on pozbawił ją matki, matka sama ją sobie pozbawiła.

– Proszę cię! – Zaśmiała się Marta. – Co to, dziewiętnasty wiek jest?

– Wtedy tutaj był.

– Czemu ty taka jesteś? – Dziewczyna nie chciała odpuścić.

– Taka?

– No, taka bierna... – Przyjaciółka wyraźnie zaczynała się wkręcać. – To znaczy w pracy stanowcza, zdecydowana, bezwzględna, jeśli trzeba brutalna, a w życiu...

– Czy ja wiem, jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia wiktymologii, to pewnie dzieciństwo. – Agnieszka uśmiechnęła się z dystansem.

Chwilę siedzieli w milczeniu, ale Marta czekała na więcej.

– Chowałam się tylko z ojcem, matki nigdy nie poznałam – zaczęła Agnieszka i od razu się zatrzymała.

– Brzmi znajomo? – nalegała Marta.

– Trochę tak, często powtarzamy to, co nam zgotował los. – Agnieszka zamyśliła się na moment. – Choćbyśmy strasznie tego nie chcieli, nie lubili. Dzieci alkoholików nie znoszą alkoholizmu, a potem same w niego wpadają. Taka dziwna strona naszej osobowości.

– Więcej. – Dziewczyna patrzyła jej prosto w oczy.

– Czego?

– Powiedz mi więcej o sobie, o swoim dzieciństwie, nie wywalaj tych psychologicznych diagnoz, tylko mów. – Marta teraz się nie uśmiechała.

– Ojciec mnie bardzo kochał, ale był nieszczęśliwy, bo ciągle czekał, że mama wróci. –

Agnieszka zatrzymała się znów, jakby próbując sobie przypomnieć, co było dalej. – Potem przeprowadziliśmy się znad morza do Skarżyska, nagle straciłam całe otoczenie, czułam się wyalienowana, szukałam bratniej duszy. W końcu znalazłam ją w szkolnej koleżance, z dnia na dzień stałyśmy się sobie bardzo bliskie, za bliskie. – Zerknęła na Martę i delikatnie się uśmiechnęła.

– Czyli nie jestem pierwsza. – Odwzajemniła uśmiech.

– Nie. – Agnieszka pokręciła głową. – Jej rodzice się dowiedzieli, to był koszmar... Rozstałyśmy się, oni przenieśli ją do innej szkoły. Ojciec chyba też widział, że coś jest nie tak, i pewnie miał z tym problem, chociaż nigdy mi tego wprost nie powiedział, był na to za dobry. W każdym razie ojciec poznał mnie z Romanem, ojcem Joli. Wzięliśmy ślub, jakiś czas było dobrze, to znaczy nijak. Potem wróciła szkolna przyjaciółka... Byłyśmy już dorosłe, więc romans wybuchł pełną parą, no a jak wyszedł na jaw... Totalny dramat obyczajowy. – Zamilkła.

– Od dramatu obyczajowego do utraty dziecka spory kawałek. – Marta wypila łyk wina.

– Przyjęłam całe odium winy. – Agnieszka nie patrzyła już teraz na nią, zbyt było jej smutno. – Tak zostałam ukształtowana przez brak mamy, przez współistnienie z nieszczęśliwym tatą, który całe życie na nią czekał. Zgodziłam się na warunki Romana, na to, że mam zniknąć z życia jego i Joli.

– Bo?

– Bo on sobie nie życzył, żeby córka chowała się w kontakcie ze zбочzoną mamą. Potem trochę uciekłam w policję, w szkołę, w pracę...

Marta pokiwała głową. Wyglądała na usatysfakcjonowaną, choć wciąż nie potrafiła pojąć, jak Agnieszka mogła zgodzić się na takie warunki. Agnieszka wstała, podeszła do okna i nerwowo zapaliła papierosa.

– Nie pytasz mnie, co się stało, ani na ile zamierzam ci tu zalegnąć? – Marta podjęła rozmowę w innym miejscu. Z jednej strony bardzo chciała jej opowiedzieć, co zdarzyło się u klienta, z drugiej nie miała siły ani odwagi.

– Jak będziesz chciała, to mi powiesz. – Agnieszka popatrzyła jej w oczy. – A co do zalegania... Wiesz, że chciałabym, byś zaległa tu na zawsze, i tyle.

– Na zawsze to długo.

– W sam raz. – Agnieszka podniosła kieliszek jakby do toastu.

Wypiły.

Kiedy następnego dnia dotarła na komendę, była co nieco spóźniona. W gabinecie czekał na nią Mrówiec, który starał się zachowywać normalnie, ale komisarz znała go na tyle dobrze, że od razu wiedziała, że coś się święci.

– Co? – Nie zamierzała bawić się w grę wstępną.

– A dzień dobry albo coś? – Aspirant przedłużał moment oczekiwania, najwyraźniej postanowił dozować informacje.

– Dzień dobry. Co? – Agnieszka nie miała czasu na dozowanie.

– Komenda miejska w Częstochowie. – Zerknęła do notatek. – Dwunasty maja tego roku...

– A co ma do tego Częstochowa? – Nie wiedziała, do czego zmierza, a nie lubiła czekać. – Nie pamiętam Częstochowy na liście miejscowości, którą ci wysłałam!

– Częstochowa jest pięć kilometrów od Rumników, a właściwie na odwrót. – Mrówiec był trochę zły, że gra nie przebiega zgodnie ze scenariuszem, który sobie założył.

– Rumniki pamiętam. – Agnieszka traciła cierpliwość. – No mów...

– Jak mi dasz mówić, będę mówił. – Piotr się zawiesił. – Dasz?

Pokiwała głową i przyłożyła palec do ust.

– No więc dwunastego maja w małym zagajniku obok cementowni w Rumnikach znaleziono zwłoki osiemnastoletniej kobiety, właściwie sam korpus i ręce, bo reszty nie było.

– Ostre narzędzie? – zapytała podekscytowana.

– Nic o tym nie ma, ale...

– Zdjęcia mamy? Trzeba zbadać położenie, odnieść do koordynatów... – Weszła mu w słowo i od razu sięgnęła do jego notatek, ale aspirant zamknął teczkę.

– Zdjęcia mają na miejscu, nikt chyba do niczego zwłok nie odnosił, ale jest co innego. – Mrówiec spojrział na nią i znów umilkł.

– Piotrek, nie wkurwiał mnie!

– Zwłoki były wysmarowane – zajrzał do teczki – cytuję: oleistą substancją o dziwnym zapachu...

– Kadzidła! – Agnieszka prawie podskoczyła. – Kurwa, mamy serię! Dawaj telefon do Częstochowy.

– Już dzwoniłem. – Pokręcił głową. – Przez telefon nie idzie nic z nimi ustalić.

Komenda miejska policji w Częstochowie w zestawieniu z tą w Skarżysku-Kamiennej stanowiła niezbity dowód, że kiedyś w Polsce było gorzej. Fasada budynku, wzorowanego chyba na budowanych w podobnym okresie biurowcach w Moskwie, wydawała się mocno zmęczona, a pod oknami w wielu miejscach brakowało niebieskich kafelków. Wewnątrz nie było lepiej. Długie korytarze z wybrakowanymi krzesłami dla petentów pomalowano boleśnie żółtą lamperią. Odrapane ściany w wielu miejscach nosiły ślady dziwnych otarć, które Agnieszce przywodziły na myśl czasy, gdy po tych korytarzach ubecy ciągnęli młodych ludzi wyłapywanych na demonstracjach albo w podziemnych radiostacjach i drukarniach. Po krótkiej wizycie w gabinecie komendanta, oddzielonym pikowanymi brązowym skajem drzwiami od kłującego w oczy żółtego korytarza, Polkowska trafiła do wydziału kryminalnego, gdzie po kilkunastu minutach poszukiwań udało się znaleźć teczkę z aktami podręcznymi sprawy z dwunastego maja. Sympatyczny, starszy mniej więcej dziesięć lat od Agnieszki komisarz Matwiejczyk otworzył teczkę i wtedy dopiero przypomniał sobie okoliczności sprawy.

– Wiem, dziewczyna z Nakła?

– Tego koło Bydgoszczy?

– Nie, tego koło nas. – Wyciągnął zdjęcia tułowia ofiary z odciętymi i przyłożonymi do niego kończynami. – Ale zidentyfikowaliśmy ją dopiero wtedy, gdy w Warcie wypłynęła głowa.

– Miejsce zamieszkania mogliście też ustalić na podstawie ułożenia ręki. – Agnieszka przyglądała się zdjęciom.

– Nie rozumiem. – Matwiejczyk spojrział na nią zaskoczony.

– Będę musiała pojechać na miejsce znalezienia zwłok i na podstawie zdjęć ustalić, jak było ułożone ciało – wyjaśniła, nie wchodząc w szczegóły.

– Nie było ciała, tylko tułów i ręce – sprostował komisarz.

– Wystarczy. – Polkowska wyjęła z kieszeni telefon i włączyła aparat. – Morderca tak układa ręce przy zwłokach, że prawa wskazuje miejscowość, z której pochodziła ofiara, a lewa miejsce poprzedniego morderstwa. Tak przynajmniej wyglądało to u nas.

– Seria? – ożywił się nagle komisarz. Do tej pory sprawiał wrażenie jakby zatopionego w letargu.

W niewielkim zagajniku przy cementowni w Rumnikach tylko jednego miejsca nie było widać z drogi. To właśnie do niego Matwiejczyk doprowadził teraz Agnieszkę.

– Tu leżało... – Wskazał trawę pod jedną z sosen.

– Leżała – poprawiła go, wyciągając z kieszeni telefon ze zdjęciami z akt podręcznych. – To była młoda dziewczyna.

Komisarz pokiwał głową przepraszająco. Polkowska zajęła się tymczasem dopasowywaniem zdjęcia do krajobrazu. W końcu zlokalizowała sosnę i charakterystyczną kępę darni.

– Pan potrzyma. – Podała mu telefon, po czym kucnęła i ułożyła najpierw patyki wyznaczające ułożenie korpusu. – Idę o zakład, że to będzie północ-południe, zresztą już widać.

– Po czym? – zdziwił się mężczyzna.

– Po mchu na drzewach – wyjaśniła z uśmiechem. – Nie był pan w harcerstwie?

– Nie.

– Szkoda, wszystko się w życiu przydaje. Gdybym nie była kiedyś harcerką, nie zauważyłabym u nas, że zwłoki leżą równo na osi północ-południe, a gdybym tego nie zauważyła, to nie wiedziałabym, że zrobiono to specjalnie i że ręce też pewnie nie leżą przypadkowo, a wtedy nie znalazłabym pana i tego zagajnika. – Agnieszka podniosła się i przejęła telefon z powrotem od komisarza.

– Trafiła kosa na kamień – mruknął Matwiejczyk.

– To nie tak. – Próbowała ułożyć patyki zgodnie z kierunkami wyznaczonymi przez kończyny ofiary na zdjęciu. – Przecież on tego nie robi dla siebie, tylko dla nas. Chce, żebyśmy to w końcu odkryli.

– Po co?

– Czy ja wiem? Jak go znajdę, to zapytam. – Agnieszka włączyła kompas w komórce. – Proszę północ-południe, a ręce... Cholera! – Przez moment nie mogła uwierzyć w to, co widzi. – Skurwiel się bawi!

– Czemu?

– Bo wychodzi na to, że ręce wyznaczają zawsze ten sam kierunek. I idę o zakład, że odległość stąd do Nakła to w prostej linii czterdzieści jeden kilometrów i dwieście metrów.

– Nie sprawdzałem.

– Domyślam się. – Schowała telefon do kieszeni i rozejrzała się po zagajniku. – Gdyby pan wtedy pochodził wokoło, na jednym z drzew znalazłby pan pewnie jego nasienie. Onanizował się, patrząc, jak umiera, potem dopiero rozwiózł resztę zwłok. Są tu w okolicy jakieś miejsca z monitoringiem, na których byłoby widać fragmenty, a najlepiej całą ulicę?

– Sprawdzę. – Rozeznanie komisarz ze Skarżyska-Kamiennej najwyraźniej robiło na Matwiejczyku coraz większe wrażenie. – Czyli trzeba będzie zawiadomić wojewódzką w Katowicach?

– Nie, ostatecznie morderstwo jest u nas, więc ja zawiadomię naszą w Kielcach – uspokoiła go



Agnieszka. – Pana poproszę tylko o te monitoringi, chociaż nie wierzę, żeby zachowało się coś sprzed roku, może raport z sekcji. Tam coś wyszło?

– Nie pamiętam. – Z pytania na pytanie coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, jak koszmarnie pokpił całą sprawę, i czuł się po prostu głupio. Gdyby był typowym przykładem samca alfa, prawdopodobnie udowodniałby, że wszystko, czego nie zrobił, wynikało z przemysłności, ale na szczęście nie uważał się za mężczyznę roku, tylko za policjanta, który pamiętał czasy, kiedy mu zależało. – Wszystko sprawdzę i dam pani znać. Trochę zawałęm?

– Nie, po prostu nie przyszło panu do głowy, że to mogło być coś więcej niż patologiczny mord jakiegoś opoja – pocieszyła go Polkowska i właśnie zdała sobie sprawę, że cytuje pierwotną diagnozę sformułowaną przez jej przełożonego. – Swoją drogą myślę, że tak samo nie przyszło do głowy jeszcze kilku innym kolegom z komend rozsianych po całej Polsce przez ostatnie kilka, a może kilkanaście lat.

– Myśli pani, że aż tak? Ile tego mogło być? – Matwiejczyk zaczął się wciągać.

– Nie jestem profilerką, ale zabójca działa w sposób przemysłany, na swój sposób dojrzały, więc prawdopodobnie ma minimum czterdzieści lat. Zakładam, że morduje od osiągnięcia dojrzałości, czyli... – Zatrzymała się i zaczęła zastanawiać się nad tym, co powiedziała.

– To tego może być w cholerę? – Komisarz patrzył na nią z przerażeniem.

– Mężczyźni nigdy nie osiągają dojrzałości tak wcześnie. – Uśmiechnęła się do niego uspokajająco. – Pewnie zaczął dopiero, gdy się ustatkował, czyli koło trzydziestki.

– To i tak... – Matwiejczyk zaczął kalkulować.

– Tak, to i tak warto by go powstrzymać.

W drodze powrotnej do Skarżyska zadzwonił kryminalistyk Władziu, który głosem absolutnie wyjałowionym z jakichkolwiek emocji potwierdził, że materiał znaleziony przez Agnieszkę na korze drzewa był nasieniem. Po chwili dodał, że kryminalistka w Kielcach na podstawie ilości plemników określiła wiek mężczyzny w przedziale od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu pięciu lat.

– Wiele się nie pomyliłam – mruknęła Polkowska.

– Co?

– Nic, a DNA?

– Badają, pewnie wyodrębnią za jakieś dziesięć dni, potem będą przetrząsać bazy danych.

– Nic nie znajdą.

– Skąd wiesz? – Władziu w końcu się zainteresował i ostatnie pytanie zadał, zanim minęła kolejne dwa słupki wyznaczające na drodze odcinki stumetrowe.

– Bo to nie jest kryminalista – rzuciła, patrząc na drogę przed sobą.

– Słyszałem, że może być już druga ofiara, to kto to jest, jak nie kryminalista? – Władziu wyraźnie się wkręcił.

– Psychopata – odpowiedziała Agnieszka po chwili namysłu, bezwiednie zaciskając palce na kierownicy.

– A to nie to samo?

– Nie. – Przez moment wahała się, jak określić różnicę między jednym a drugim. – Kryminalista zajmuje się przestępstwami zawodowo, a psychopata to hobbysta, pasjonat

namiętnie oddany swojemu hobby.

– A tacy nie zostawiają DNA?

– Owszem, jak widać, ale trzeba dobrze poszukać.

– Sugerujesz, że wcześniej przed tobą nikt dobrze nie szukał? – Władziu zrobił się nagle dociekliwy.

– Szukał na pewno, na przykład ty ostatnio. – Polkowska, która nie lubiła złośliwości, właśnie zorientowała się, jak zabrzmiała jej ostatnia uwaga. Westchnęła i dodała: – Wszyscy działamy rutynowo, szukamy tam, gdzie kryminaliści zostawiają ślady, a ślady psychopaty możesz znaleźć albo przypadkowo, albo instynktownie.

– A, no to jeśli instynktownie, to oczywiście tylko kobieta – podsumował rozbrojony podkomisarz. Na szczęście nie zdążył poczuć się niedoceniony, co dla mężczyzny, zwłaszcza w życiu zawodowym, o czym doskonale wiedziała, stanowiło największą ujmę.

– Tak, chyba coś jest na rzeczy. Na razie, Władziu, bo widzę, że ktoś mi się tu wbija z innego numeru.

Nikt jej się nie wbijał, ale chciała zebrać myśli, a jazda samochodem była do tego idealna, pod warunkiem że Eugeniusz Wilczyński nie zakłócał jej cudownej monotonii.

Po telefonie od Siewy, który wreszcie wyrwał się z ciągu, Sławomir musiał zmienić plan dnia. Spotkanie w kurii, choć zaplanowane i uzgodnione tydzień wcześniej, trzeba było odwołać. Co gorsza, tego popołudnia zamierzał odwiedzić kawiarnię, w której pracowała Ewa, a rezygnacja z tego akurat punktu programu wprowadziła go w wyjątkowo zły nastrój. Czuł się jak osoba uzależniona od substancji psychoaktywnej, której właśnie powiedziano, że nie może przyjąć kolejnej dawki narkotyku. Poprzedniego wieczoru oprócz zdjęć z matką Ewy Sławomir dotarł też do znajdujących się na profilu dziewczyny fotografii z jej pracy. Ustalenie miejsca okazało się tym razem jeszcze prostsze niż w przypadku domu. Na zdjęciu w tle za szybą było widać fragment ulicy, która wydała mu się podobna do warszawskiego Nowego Świata, a znajdujące się na większości przedmiotów wokół logo wskazywały na jedną z sieciówek. Sławomir sprawdził w internecie adresy kawiarni w tamtej okolicy. Adres był jeden – właśnie ten, pod którym zostało wykonane zdjęcie grupowe pracowników. Niestety, wizyta w sieciówce zaplanowana na późne popołudnie spadła właśnie z grafiku. Sławomir był zły na świat i okoliczności, ale kiedy zapukał do pokoju numer 1024 w jednym ze znanych warszawskich hoteli, a drzwi otworzył mu spuchnięty, czerwony na twarzy Siewa z wciąż jeszcze lekko błędnym wzrokiem, Wolski uśmiechnął się szeroko i nieszczerze.

– A, to ty? – Rosjanin najwyraźniej spodziewał się kogoś innego. Sławomir wolał nawet nie wiedzieć kogo. – *Wchadi*.

Kiedy Sławomir wszedł do pokoju, Siewa wyjrzał na korytarz, rozejrzał się we wszystkie strony i dopiero wtedy zamknął drzwi. W pokoju panował ład, ale można było się zorientować, że jeszcze kilka godzin temu działy się tu rzeczy, które nie śniły się nikomu. Dwie lampy nie miały kloszy, przy dębowym stole brakowało trzech krzeseł, a z dywanu biła po oczach ogromna plama. Sądząc po zapachu panującym w pokoju, była wywabioną już środkami chemicznymi pochodną jednego z ludzkich płynów fizjologicznych. Siewa jako człowiek wielce inteligentny posiadał też niezwykle rozwinięty dar obserwacji, więc popatrzył tylko na swojego gościa.

– *Nu szto*. – Wyciągnął z kieszeni blister z różowymi tabletkami i połknął jedną z nich. – *Buwajet*.

Sławomira nieco mdliło, ale pokiwał głową ze zrozumieniem. Zastanowiło go, dlaczego Siewa powiedział *buwajet*, skoro nienawidził języka ukraińskiego, ale nie znalazł na to odpowiedzi.

– Chciałeś, żebym przyjechał. Co mogę dla ciebie zrobić? – Zależało mu na tym, by jak najszybciej przejść do rzeczy i opuścić wypełniony fetorem pokój.

– Załatw z hotelem, żeby nie było problemów. – Rosjanin wskazał na plamę na podłodze. – *Den’gi...* – Zaczął czegoś szukać po kieszeniach. Po chwili podszedł do teczki leżącej na łóżku i otworzył ją. W środku była niekompletna damska bielizna, pieniądze w paczkach z banderolami i wódka. Siewa wyjął jeden z pakietów zawierających banknoty oraz pustą do połowy butelkę. Pakiet wręczył Sławomirowi, butelkę odkorkował i wypił potężny łyk, po czym przekazał ją swojemu gościowi.

– *Nie nada*, Siewa, *prieparaty bieriosz, nie nada mieszat’*. – Wolski schował pieniądze do kieszeni, wziął wódkę do ręki z lekkim obrzydzeniem, przytknął szyjkę do ust z jeszcze

większym i wypił z ogromnym, po czym szybko oddał ją gospodarzowi.

– *Nie nada, nie nada.* – Siewa wypił kolejny łyk, co przyniosło mu wyraźną ulgę. – *Nu szto diełat’.* – Pustą już butelkę zaniósł do stojącego w kącie kosza i włożył ją do niego tak ostrożnie, jakby bał się najmniejszego nawet hałasu. – *Charaszo, tiepier nam nada pagawarit’.* – Wracał do formy, a Sławomir nie wiedział jeszcze, czy to dobrze, czy źle. – *Moi druzja są bardzo zadowoleni, że twoi druzja odwołali ten... aukcyjon, kak eta nada skazat’* po polski?

– Przetarg. – Sławomir nie lubił alkoholu, ale nie mógł mu odmówić pewnych zalet. Teraz właśnie poczuł, jak plama na podłodze, brak kloszy i krzeseł oraz wszechobecny smród przestają mu przeszkadzać. – Przetarg – powtórzył.

– *Da, przetarg otmienien i eto oczen’ charaszo, no nam nada idti w pieriod, ty ostanowiszsia, ty padajesz wniz.* – Rosjanin się roześmiał i ponownie zaczął nerwowo szukać czegoś w kieszeniach, a Sławomir z obawą pomyślał, iż nie uda im się dojść do meritum. W końcu postanowił jednak brnąć dalej w nadziei, że może coś z niego wycisnie.

– Czego teraz od nas oczekujecie?

– *Tiepier?* – Siewa skupił nagle na nim swoje zimne jak stal spojrzenie. – *Tiepier wam nada zabyt’ o kakoj to organizacyi.*

Sławomir doskonale wiedział, o jakiej organizacji mają zapomnieć, była to sklecona naprędce przez funkcjonariuszy GRU niższego szczebla działających w Polsce proputinowska partia, która robiła więcej dobrego niż złego dla ich wzajemnych relacji. Wiedział też, że słowo „zapomnieć” w metajęzyku Siewy oznacza wycofanie wszystkich prokuratorskich zarzutów i pozbycie się zgromadzonych w śledztwie materiałów dowodowych. Zasadniczo ani on, ani ludzie, z którymi był związany i do których zanosił wytyczne Siewy, nie mieli najmniejszego problemu z tym, żeby *zabyt’ o kakoj to organizacyi*, ale istniała wciąż jeszcze cholerna opinia publiczna, a tej takie zapomnienie o organizacji mogło nie przypaść do gustu.

– *My dałzny sdiełat’ eto dielikatno.* – Sławomir przełknął ślinę.

– *Nieobchadimo dielikatno.* – Rosjanin w końcu znalazł to, czego szukał. Z małej kieszonki w dżinsach wyjął pomietą plastikową torebkę i wysypał na stół jej zawartość. – *Dielikatno, no bystro.* – Siewa pochylił się nad blatem i wciągnął do każdej z dziurek biały proszek. – *Kartoczka u tiebia jest?* – Popatrzył na swojego gościa, a jego spojrzenie nie było teraz mętne.

– *Kakaja kartoczka?* – Sławomir lekko się zdenerwował.

– *Krieditna kartoczka.* – Siewa skierował wzrok na ostatnią białą grudkę leżącą na stole. – *Kakaja-że?*

Wolski wyciągnął z kieszeni portfel, a z niego jedną z licznych kart kredytowych.

– *Nu charaszo, ob organizacyi zabyli, tiepier jeszcze odno.* – Gospodarz wziął kartę i z mozołem zabrał się do kruszenia lekko żółtawej grudki, która skojarzyła się Sławomirowi z fetorem moczu, więc przymknął na chwilę oczy.

– *Mai druzja skazali, szto nam nada pakazat’ konflikt mieźdu nami.* – Garugin podniósł głowę znad blatu i uśmiechnął się protekcyjnie. – *Kanieszna konflikta niet, no Palakom ob etom znat’ nielzia.*

– *Nielzia* – powtórzył Sławomir.

– *Patamu wasz ministr dołžen czasto nas napadat’.* – Siewa rozkruszył grudę i spojrzał zapraszająco na gościa, by przyłączył się do przyjęcia. – *Panimajesz?*

Sławomir najpierw pokręcił głową, odmawiając udziału we wspólnym wciąganiu grudki, co wyraźnie ucieszyło Siewę, bo nie była zbyt duża, następnie pokiwał, potwierdzając, że rozumie.

– *Eto wsio.*

Tym razem Rosjanin wciągnął tak potężną kreskę, że Wolski zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził. Rozejrzał się po pokoju, analizując ślady, jakie po sobie zostawił, by w razie czego szybko je wyczyścić, zanim opuści pokój z ruskim trupem w środku. Na szczęście Siewa wrócił po chwili z podróży w nieświadomość. Teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby zobaczył go tu po raz pierwszy.

– *Balszoje spasibo.*

Sławomir wstał z kanapy, ominął płamę na podłodze i skierował się do drzwi. Gospodarz pokoju numer 1024 był już tymczasem tam, gdzie lubił być najbardziej, czyli w niebycie.

Na zajęciach Ewa złapała się na tym, że zbyt często sprawdza powiadomienia w telefonie albo odświeża stronę swojego bloga w oczekiwaniu na pojawienie się jakiegokolwiek nowej wiadomości od Enkratyka. W końcu wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki, co w najmniejszym nawet stopniu nie odciągnęło jej od myślenia o nim. Czyli o kim? Kim chciałyby, żeby tak naprawdę się okazał? Kogo szukała? Z jednej strony chciała, by był dobry, ciepły i przyjazny, z drugiej – najbardziej obawiała się, żeby nie był nudny. Chciała czuć się bezpieczna, ale jednocześnie uwielbiała uczucie ekscytacji. Nieraz zastanawiała się, jak właściwie dałoby się to wszystko połączyć. Niby taki superman, do rany przyłóż, ciepłe kluchy, w okularach, odcytany, spokojny, wyważony, odpowiedzialny, aż tu nagle – bach!, zdecydowany, dynamiczny, bezwzględny, porywczy... Tyle tylko, że o tej drugiej naturze nikt nie mógłby wiedzieć, w innym wypadku cały urok uległby dezaktualizacji. Kim miałby być Enkratyk? Ewa wyłączyła znów komórkę i weszła na stronę Wikipedii.

– Czego pani tak tam uporczywie dzisiaj szuka, pani Ewo? – Usłyszała głos swojego ulubionego wykładowcy profesora Mirskiego.

– Informacji o enkratykach. – Na szczęście właściwie nie musiała kłamać, i dobrze, bo bardzo tego nie lubiła.

– Ale my dzisiaj o Augustynie, pani Ewo?! – zdziwił się Mirski. Ewa była jedną z jego ulubionych, bo myślących studentek. – Czyli mniej więcej dwa wieki później jesteśmy.

– Tak, wiem, przepraszam bardzo. – Zaczerwieniła się. – Chciałam tylko dowiedzieć się czegoś na szybko.

– O enkratykach? – Zamyślił się profesor. – Bardziej enkratyści, akwarianie, na przykład niejaki Tacjan Syryjczyk, proszę przeczytać, dziwna sekta. Co prawda w tamtym czasie nie istniało jeszcze to określenie, w każdym razie niewątpliwie gnostycy. Nie jedli mięsa, nie pili wina, nawet Eucharystię odprawiali bez niego, no i doktrynalnie nie konsumowali owoców miłości. Uważali, że istnienie mężczyzny i kobiety jako osobnych bytów jest jedynie chwilowym nieporozumieniem, czymś, co trzeba przeczekać. No a jeśli kobieta i mężczyzna byli jednym, to, rzecz jasna, wszelkie ich relacje intymne godziły w istotę problemu. No dobrze, a teraz niech pani to odłoży i wracamy do *Wyznań*.

Ewa odłożyła telefon, ale zamiast myśleć o Augustynie, zaczęła zastanawiać się nad tym, jak do istoty problemu podchodzi nadawca tajemniczej korespondencji.

Imieniny zaczęły się niewinnie od kieliszka wina do kolacji. Od początku jednak Agnieszka przeczuwała, że Marta ma dla niej coś w zanadrzu. Pięć po dziesiątej zadzwonił domofon. Spojrzała na Martę, a ta tylko się uśmiechnęła.

– Kto?

– Otwórz. – Dziewczyna nie chciała uchylić rąbka tajemnicy. – Nie lubisz niespodzianek?

– Nie znoszę. – Agnieszka popatrzyła na Martę, która najwyraźniej posmutniała, a do czegoś takiego nie mogła dopuścić, więc wstała i najpierw podeszła przezornie do okna.

Na dole stało pięć kobiet. Jedna, chyba ładniejsza od pozostałych, trzymała się trochę na uboczu. Wydawały się rozbawione i wszystkie, oprócz tej jednej, miały w rękach butelki. Agnieszka puściła firankę i spojrzała na Martę. Domofon zadzwonił ponownie.

– Chyba żartujesz?

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – No może trochę, życie bez poczucia humoru to masakra. Otwórz, bo zaraz pójdą.

Agnieszka przeszła do przedpokoju i nie podnosząc słuchawki, wcisnęła guzik domofonu. Chwilę później na klatce dały się słyszeć chichoty wyraźnie już podchmielonych dziewczyn.

– Jestem policjantką. – Agnieszka zatrzymała się w progu salonu. – Prowadzę sprawę o zabójstwo.

Marta wstała z fotela i podeszła do niej, po czym delikatnie pogładziła ją po policzku.

– Wszystko, co cię do tej pory spotyka przez to, że mieszkamy na zadupiu świata, jest jakąś jedną wielką karą za odmienność, której na świecie nikt już nawet nie zauważa. Pora, żebyś coś z tego miała.

– Mam ciebie. – Agnieszka uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Tak, ale dziś są twoje imieniny, więc możesz mieć trochę więcej. – Pod drzwiami rozległ się kobiecy śmiech. – Ja też zresztą na tym nie stracę – dodała Marta, a jej palce powędrowały wzdłuż szyi Agnieszki w dół, aż do piersi i lekko musnęły sutek. – Otwórz, bo twoi sąsiedzi hipokryci z zazdrości rzeczywiście wezwą policję.

Powiedzieć „upojna”, by określić noc, która nastąpiła po tym, jak Agnieszka otworzyła drzwi i do mieszkania weszło pięć ładnych, roześmianych dziewczyn w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, to jakby nic nie mówić. Najpierw było morze alkoholu i pysznego jedzenia, bo Marta zadbała i o to. Potem zrobiło się gorąco, zbyt gorąco na to, by ktokolwiek mógł pozostać w ubraniu. Jedynie dziewczyna, wcale zresztą nie najmłodsza z grupy, ta sama, która już pod klatką wydawała się trochę onieśmielona, przez jakiś czas się wzbraniała. Kiedy jednak wspólnym wysiłkiem wreszcie udało im się namówić ją do tego, by uwolniła wyobraźnię, dostarczyła pozostałym najwięcej nieprawdopodobnych przeżyć. Tak zazwyczaj bywa, że gdy ludzie do czegoś nie przywykli, są pełni obaw i chowają się w sobie, w zanadrzu skrywają rzeczy, o jakich innym nawet się nie śniło. Wystarczy je uwolnić, a wtedy...

O szóstej rano, kiedy za oknami zaczynało lekko szarzeć, Agnieszka zdała sobie sprawę, że chyba nigdy jeszcze w tak krótkim czasie nie przeżyła tylu seksualnych spełnień. Chwilę później

zasnęła w ramionach Marty, a Wolant, który do tej pory przyjaciółkę Agnieszki traktował jako zagrożenie i konkurencję, po raz pierwszy, odkąd zamieszkała z nimi, wskoczył na łóżko i ułożył się pomiędzy ich nagimi ciałami.



Sławomir nigdy nie spóźniał się do kościoła. Lubił słuchać czytań na początku mszy, ale bardziej zależało mu na tym, by lokalna społeczność widziała, że lubi ich słuchać. Z Moniką, Piotrkim i Weroniką siadali zawsze w pierwszym rzędzie, co podobało się proboszczowi, z którym miał doskonałe kontakty, bo pleban nie mało mu zawdzięczał. Między innymi dzięki wstawiennictwu Sławomira udało się rozwiązać pewną kontrowersyjną sprawę dotyczącą gruntów parafialnych. Od tego momentu on i oczywiście cała jego rodzina znajdowali się na najwyższym miejscu w hierarchii wiernych, a pierwsza ławka podczas niedzielnej sumy należała wyłącznie do nich.

– Wówczas Jezus, podniósłszy się, rzekł do niej: „Kobieto, gdzie oni są? Nikt cię nie potępił?”. A ona odrzekła: „Nikt, Panie!”. Rzekł do niej Jezus: „I ja ciebie nie potępiam. Idź i odtąd już nie grzesz”. – Ministrant dukał tekst bez zrozumienia. Takie sytuacje doprowadzały Sławomira do szału, szczególnie kiedy zdarzały się przy jego ulubionych fragmentach Pisma.

W trakcie czytania cały czas wyobrażał sobie młodą cudzołożnicę i siebie w roli jej dobrodzieja, a potem miał wizję czegoś jeszcze i było to coś, za co prawdopodobnie kiedyś pochłonie go ogień piekielny, ale on wydawał się cudownie tego nieświadomy. Kazania już nie słuchał, ponieważ proboszcz absolutnie nic nie rozumiał z przekazu tych świętych słów i zamiast o Chrystusowym miłosierdziu opowiadał wciąż o tym, że nie należy grzeszyć. Ponadto Sławomir już nie mógł przestać myśleć o Ewie, która dzięki jego wstawiennictwu została właśnie ocalona przed ukamienowaniem przez wrednych faryzeuszy, z proboszczem na czele. Kiedy msza się skończyła, wiedział, że jeśli nie zobaczy jej następnego dnia, postrada zmysły. Dziś jeszcze wyjazd na działkę, tam obiad rodzinny, kilku wpływowych znajomych, po obiedzie spacer w samotności, potem powrót i jutro definitywnie i bezapelacyjnie widzenie z Ewą, a właściwie na razie raczej obserwowanie Ewy.

Tym razem Ewie udało się w końcu namówić Bożenę, żeby przyjechała z nią na niedzielne zebranie do Sali Królestwa na ulicy Rolnej w Garwolinie. Z reguły wcześniej starały się jeździć do Warszawy, do grupy, do której dawno temu się zapisały i w której miały najwięcej znajomych. Na tak daleką podróż jednak mama nie była dziś ani chętna, ani gotowa. Po operacji wszczępienia endoprotezy stawu biodrowego wciąż jeszcze dokuczała jej prawa noga, poza tym była zmęczona, bo praca w tygodniu odbierała jej siły witalne, więc niedziele najchętniej poświęciłaby wyłącznie na leżenie na kanapie. Ewie przyjazd do Garwolina też pasował, bo miała cichą nadzieję, że może tu natknie się na coś, z czym w warszawskiej Sali Królestwa zupełnie straciła już kontakt. Liczyła na choćby odrobinę duchowości, powiew energii, wniknięcie pneумы, jak przed wiekami rzecz nazywali Grecy. Ewa chciała poczuć wspólnotę z kimś i z czymś, a najchętniej z wszystkim i ze wszystkimi. Tak, to właśnie pneuma, choć nie w jej chrześcijańskiej interpretacji najlepiej oddawała jej potrzebę.

Tutejsza Sala Królestwa w żółtawym budyńeczku z dachem pokrytym czerwonym tworzywem imitującym dachówkę była znacznie bardziej przytulna niż warszawska w ogromnym apartamentowcu, wznoszącym się na styku Śródmieścia, Żoliborza i Woli. Ewa przyjeżdżała tu z matką przed laty, ale wtedy jej potrzeby były inne niż teraz i poszukiwała właśnie nowoczesnych apartamentowców w wielkich miastach. Dziś żółty budyńeczek podobał jej się znacznie bardziej. Od razu przy wejściu przywitał je prowadzący spotkanie starszy Witold. Mężczyzna podał im ręce, a jego uścisk wydał jej się szczerzy i dawał nadzieję na choćby namiastkę tego, czego oczekiwała. Podczas śpiewów na początku zebrania po raz pierwszy od wielu miesięcy Ewa rozumiała słowa pieśni i poczuła ulgę. Czy stało się tak dzięki cieplej, domowej atmosferze, czy może sprawiły to przyjazne dłonie Witolda, obecność mamy, a może chodziło o coś jeszcze? Może jej nastrój zmienił się pod wpływem dziwnego, acz swoiście bliskiego kontaktu z Adamem? Ten człowiek bez dwóch zdań był ekscentrykiem, ale ona i tak coraz bardziej czekała na moment, gdy znów się do niej odezwie.

Na ścianach oszronionej hali zaczęły pojawiać się wzory, jakby pod wpływem działania jakiejś potężnej prasy z drugiej strony. Agnieszce przemknęło przez myśl pytanie, co właściwie znajduje się po drugiej stronie i czy w ogóle istnieje druga strona, czy gdzieś poza tą halą jest jeszcze coś innego, czy może to miejsce to już wszystko, co rzeczywistość ma im do zaoferowania. Krzyk Joli nadszedł niespodziewanie, choć od kiedy Agnieszka się tu znalazła, wiedziała, że właśnie dotarcie do córki jest celem jej istnienia. Zaczęła nasłuchiwać. Po chwili znów rozległ się głos, ale już nie krzyk, a cichy jęk, jakby kwilenie, w którym była prośba o litość i ratunek.

Obudziła się gwałtownie i za późno. Fakt, że była niedziela, niewiele zmieniał w tej kwestii, bo chociaż nie musiała nigdzie się stawić ani przed nikim udawać, że nie ma kaca, to w niedzielę ta sprawa nurtowała ją nie mniej, a może nawet jeszcze bardziej, bo pod wpływem naturalnego lęku, który zjawił się wraz z silnym zatruciem aldehydem octowym, każdy kwadrans wydawał się na wagę życia, wprawdzie nie jej, ale kolejnej potencjalnej ofiary Kadzidła, jak wraz z Misiakiem nazwali roboczo zabójcę. Czasu zostało niewiele, bo na jej usilną prośbę Szwagier zgodził się odłożyć na chwilę zawiadomienie wydziału zabójstw komendy wojewódzkiej w Kielcach, ale owa chwila miała potrwać tylko do środy. Cztery dni na zebranie jak najwięcej danych po to głównie, by wojewódzka mogła już przyjść na gotowe. W innym wypadku sprawa niechybnie trafi między masywne żarna tamtejszej biurokracji i od razu ulegnie spowolnieniu albo utknie w niej na długie lata. Agnieszka nie chciała marnować czasu, bo miała dziwne przeczucie, że tym razem odstęp między kolejnymi morderstwami znacząco się skróci. Kadzidło poprzednim razem zachowywał się znacznie ostrożniej – rozwożąc fragmenty ciała w różne miejsca, chciał najwyraźniej utrudnić identyfikację ofiary. Później już tym zbyt nie przejmował, stał się bardziej pewny siebie, co mogło zaowocować tym, że popełni błąd, ale też prawie na pewno musiało spowodować jego rychłe wyjście na kolejne łowy. Agnieszka wybrała zapisany dwa dni wcześniej numer telefonu do komisarza z Częstochowy.

– Matwiejczyk, słucham? – Policjant musiał spędzić noc jeszcze bardziej intensywnie niż Agnieszka, bo jego rwany i chrapliwy głos przywiódł jej na myśl kogoś, komu przed momentem poderżnięto gardło.

– Mówi komisarz Polkowska ze Skarżyska. Przepraszam, że tak przy niedzieli sobie pozwalam... – zawiesiła głos, by się upewnić, czy Matwiejczyk tymczasem nie zmarł.

– Tak. – Matwiejczyk żył, ale teraz dla odmiany zaczął dyszeć do słuchawki.

– Chciałabym zapytać, czy dotarł pan do protokołu z sekcji, no i miał mi pan podesłać coś jeszcze z akt podręcznych sprawy. Czekam też na kontakt do rodziców ofiary.

– Przepraszam na chwileczkę. – Komisarz najwyraźniej potrzebował czasu na zebranie myśli, bo w tle Agnieszka usłyszała syk otwieranej puszkę z piwem, a potem kilka głębokich łyków. – Już jestem – oznajmił zmartwychwstały policjant.

– No to się cieszę – powiedziała szczerze Agnieszka, jej też strasznie chciało się pić. – To jak z tymi dokumentami?

– Już biorę notatki i wszystko pani powiem.

Rozmowa z komisarzem Stefanem Matwiejczykiem trwała na tyle długo i okazała się na tyle owocna, że pod koniec zaczęli mówić sobie po imieniu. Wiedza komisarz Polkowskiej wzbogaciła się między innymi o informację pochodzącą z badania *post mortem*, z którego wynikało, że we krwi ofiary stwierdzono śladową ilość kurary działającej podobnie jak pavulon, czyli wyłączającej motorykę bez wyłączania mózgu. Wyobrazenie sobie, co przeżywała dziewczyna cięta na żywca, kiedy nie mogła się ruszyć ani zaczerpnąć powietrza, znów przerosło Agnieszkę.

– Co się stało? – W drzwiach do kuchni stała naga, zaspana Marta.

Agnieszka zamiast odpowiedzieć, pokręciła tylko głową. Odkąd pracowała w policji, hołdowała naczelnej zasadzie: nie dzielić się z ludźmi pracą operacyjną, i to nawet nie ze względu na tajemnicę śledztwa, ale przede wszystkim dlatego, by koszmar nie nicował życia także innym.

– Muszę spotkać się z Jolą. – W tym jednym zdaniu zawarła maksimum tego, co mogła i chciała powiedzieć.

– Nareszcie. – Marta uśmiechnęła się do niej.

– I pojechać na komendę. – Agnieszka wróciła do rzeczywistości.

– Zjemy coś najpierw?

– A chce ci się jeść?

– Nie. – Przyjaciółka pokręciła głową. – Ale może chociaż kawę?

Kiedy komisarz dojechała do komendy, aspirant Mrówiec siedział tam już od dawna, na co wskazywały dwa kubki po kawie i do połowy zjedzona kanapka. W toku rozmowy wstępnej wyszło na jaw, że poprzedniego wieczoru czegoś się nałykał. Kiedy impreza dobiegła końca, on nadal był przytomny i pobudzony na tyle, że o śnie nie było mowy. W poczuciu winy postanowił spożytkować sztucznie wywołany przyływ energii na coś pożytecznego, co zresztą i tak w znacznym stopniu pochłaniało jego myśli. Przez noc sprawdził w KSIP-ie wszystkie miejscowości znajdujące się na linii wyznaczonej przez ułożenie drugiej ręki ofiary spod częstochowskich Rumnik. Niestety, nic nie znalazł. Przez moment zastanawiali się z Agnieszką, czy przypadkiem odcięta kończyna nie została poruszona, zanim policja dotarła do ciała albo – czego też nie mogli wykluczyć – nie poruszył jej jeden z policjantów jeszcze przed przybyciem fotografa. Tę możliwość jednak szybko wykluczyli, ponieważ ułożenie lewej ręki odpowiadało idealnie kątowi ułożenia ręki pierwszej ofiary spod Skarżyska, czyli wytyczało na kompasie dwieście sześćdziesiąty czwarty stopień.

– Swoją drogą ciekawe, dlaczego układa je zawsze w tych kierunkach. – Zamyślił się Mrówiec.

– Gdybyśmy to wiedzieli, już by siedział – odparła Agnieszka, zastanawiając się raczej nad tym, dlaczego na wyznaczonej linii nic nie udało się im znaleźć. – Poszerz pas poszukiwań do czterdziestu kilometrów od linii i sprawdź, czy nie zgłoszono tam w ostatnich latach zaginięcia.

– Sprawdź, jakie tam są komendy powiatowe. – Piotr pochylił się nad klawiaturą i w tej pozycji zastygł, jakby kompletnie zapomniał, co miał zrobić.

– Albo lepiej to zostaw, bo mi tu jeszcze zejdziesz. – Komisarz uśmiechnęła się do niego, bo choć odzyskał władzę w kończynach, to wciąż najwyraźniej nie do końca kojarzył fakty. – Ja się tym zajmę, ty już odrobiłeś swoje.

Mrówiec wstał, ale wciąż nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji. Zejście z amfetaminy, czyli speeda albo proszku, zwane również bardziej dosadnie zjazdem, podobnie jak zejście z każdej substancji psychoaktywnej, spychało człowieka w stan dokładnie odwrotny do tego, jaki osiągał podczas aktywnej fazy działania środka. Speed, jak sama nazwa wskazywała, znacząco podnosił potencjał, dawał energię i zdecydowanie poprawiał decyzyjność. Kiedy jednak przestawał działać, wszystkie słupki leciały na łeb na szyję i w efekcie Piotr nie był teraz nawet w stanie podejść do drzwi gabinetu i nacisnąć klamki.

– Idź, bo jak Szwagier się zjawi, od razu wyśle cię na toksykologię i kto mi potem będzie szukał tego wszystkiego – ponagliła go Agnieszka pochyłona już nad komputerem, od którego przed chwilą wstał.

Strach o przyszłość kariery w policji zaktywował nagle Mrówca na tyle, by wreszcie podjął decyzję i wyszedł z pokoju. Czy doszedł jedynie do łazienki, czy też udało mu się dowiec do wyjścia z budynku, tego Polkowska nie wiedziała, bo pochłonęło ją już zupełnie co innego. W pasie, który kazała wyznaczyć swojemu asystentowi, a teraz wyznaczyła sama, znalazła osiem komend powiatowych. Po kolei zaczęła w nich sprawdzać zaginięcia młodych kobiet. Interesujący rezultat znalazła już w trzeciej – w Ząbkowicach Śląskich, gdzie mniej więcej cztery lata wcześniej zgłoszono zaginięcie dziewiętnastoletniej wówczas licealistki. Zgłoszenie pochodziło od rodziców zamieszkałych w Starym Paczkowie w powiecie ząbkowickim. W rubryce „rezultat dochodzenia” znajdowało się przekreślenie, co w języku policyjnej rzeczywistości oznaczało, że jeśli nie doszło do zaniedbania papierologii, to dziewczyna do tej pory się nie znalazła. Agnieszka odpaliła w swoim laptopie Google Earth. Przez moment zastanawiała się, jak na mapie ustawić odwrotność stu dwudziestu ośmiu stopni, w końcu obracając się na wszystkie strony z telefonem w dłoni, doszła, że odwrotność stanowi mniej więcej trzysta osiem stopni. Od Starego Paczkowa przeprowadziła linię na północny zachód o długości mniej więcej czterdziestu kilometrów. Koniec linii wypadał w parku otaczającym Górę Parkową w miejscowości Bielawa, a kilkaset metrów od góry znajdował się zbiornik wodny po starej cegielni. Zapisała współrzędne wszystkich miejsc, odwróciła się od komputera, spojrzała na ścianę, na której przykleiła znalezione niedawno zdjęcie Joli, po czym sięgnęła po telefon i po chwili wahania wybrała numer.

– Cześć, Roman – zaczęła cicho i jakby trochę nieśmiało.

W słuchawce po drugiej stronie przez chwilę panowała martwa cisza.

– Po co dzwonisz? – odezwał się wreszcie jej były mąż.

Tym razem to ona umilkła. W końcu zebrała się na odwagę:

– Chciałabym spotkać się z Jolą.

– To nie wchodzi w grę. – Roman tym razem odpowiedział, zanim skończyła.

– Ja w ogóle nie muszę tego z tobą uzgadniać. Ona ma osiemnaście lat. – Agnieszka starała się mówić spokojnie, ale adrenalina już jej buzowała we krwi.

– Osiemnaście to znaczy, że już możesz jej zmarnować życie, które i tak zmarnowałeś? – Roman pozostawał na poziomie bliskim emocjonalnego zera. Agnieszce przemknęło nawet przez myśl, że może to on jest seryjnym zabójcą, którego ściga.

– Dobrze, zacznijmy jeszcze raz. – Agnieszka, choć jej tętno dochodziło już do stu osiemdziesięciu, a ciśnienie rozkurczowe rozpychało żyły w mózgu, podjęła próbę zejścia do poziomu emocji interlokutora. – Skontaktuję się z Jolą, a ponieważ jestem osobą uczciwą, to

chciałam, żebyś o tym wiedział.

– Osobą uczciwą! – Roman wybuchnął sztucznym śmiechem.

Agnieszka się rozłączyła.

– Chuj złamany – powiedziała do siebie.

– Znalazłaś go?! – Zza pleców usłyszała głos Misiaka.

Szwagier stał w drzwiach i chyba naprawdę uwierzył, że oto nadeszło rozwiązanie sprawy. Polkowska pokręciła głową.

– To kto jest złamanym chujem, oprócz tego, że prawie każdy facet? – dopytał już bez szczególnego zainteresowania.

– Roman – rzuciła, nie patrząc na szefa.

– A tak, to wiem. – Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, czego nie zauważyła, bo wciąż buzowała w niej wściekłość po rozmowie z byłym. – A coś w sprawie?

– Myślę, że znalazłam trzecią ofiarę. Nazywa się Maria Suzin. – Dopiero teraz Agnieszka zwróciła się twarzą do inspektora. – Tyle tylko że rodzice nie wiedzą o jej śmierci. Od czterech lat figuruje jako zaginiona.

– Rodzice nie wiedzą, a ty wiesz? – Spojrzał na nią zaskoczony, wypadki toczyły się tak szybko, że nie zdążył jeszcze przyswoić sprawy drugiego zabójstwa, a tymczasem pojawiła się perspektywa kolejnego.

– Wywnioskowałam na podstawie zgłoszonego zaginięcia.

– W Polsce zgłasza się dwadzieścia tysięcy zaginięć rocznie.

– Ale to jedno akurat się zgadza.

– Z czym? – Misiak wyraźnie nie nadażał.

– Kiedy sprawdzę i się okaże, że mam rację, to ci wyjaśnię. Niestety, musimy zawiadomić wojewódzką, bo potrzebni będą nurkowie i to jakieś trzysta kilometrów stąd.

– Opracowałaś algorytm? – Inspektor wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

– Można tak powiedzieć.

– A czy z tego algorytmu wychodzi, ile będzie ofiar?

– Do tyłu nie wiem, do przodu mam nadzieję, że nie będzie już żadnej. Dzwon do Kielc.

– Teraz? W niedzielę? – Misiak był coraz bardziej zamotany.

– A co, w niedzielę seryjni biorą wolne?

Dom na pięknej skarpie wiślanego starorzecza Sławomir kupił od pewnego biznesmena, który musiał uciekać z Polski. Cena była atrakcyjna, bo biznesmenowi się spieszyło, a poza tym Sławomir przekonał go, że bez jego pomocy nie uda mu się opuścić kraju. To zresztą po części było prawdą. Używając swoich znajomości, o kilka dni wstrzymał decyzję o wydaniu nakazu zatrzymania, które musiały wystarczyć, żeby dom zmienił właściciela. Przy czym to nie Wolski, rzecz jasna, stał się nim w pierwszej kolejności. Od biznesmena dom kupiła osoba znajdująca się poza kręgiem jakichkolwiek podejrzeń i powiązań, a następnie po kilku miesiącach, gdy opadły już emocje, legalnie mu go sprzedała.

Obiad był udany, koledzy z zarządu regionu, którzy przybyli na spotkanie ze swoimi żonami, świetnie odnaleźli się w atmosferze rodzinnego popołudnia. Wszyscy dyskutowali o sprawach aktualnych, pojawiły się nawet pewne rozbieżności w opiniach, co jednak jedynie przydało dyskusjom autentyczności. Kiedy koledzy rozjechali się do domów, Monika z matką zajęły się sprzątaniami, dzieci rozbiegły się do swoich zajęć, a teść usiadł przed telewizorem, Sławomir mógł wreszcie zrobić to, co planował od początku, czyli wyjść na spacer. Zaczął go od udania się do drewni na tyłach domu. Po wejściu odgarnął trociny z podłogi, ze skrzynki na narzędzia wyjął obcęgi i wyciągnął nimi z deski trzy gwoździe, po czym ją podniósł. Pod spodem leżała metalowa skrzynka na szyfr, zawierająca trzy pukle włosów i trzy zdjęcia polaroidowe twarzy młodych dziewczyn w koszmarze agonii. Mężczyzna chwilę oglądał fotografie bez przesadnej ekscytacji, następnie z wewnętrznej kieszeni myśliwskiej kanadyjki wyjął zdjęcie Zuzy i pukiel jej włosów, włożył do skrzyneczki, a potem zamknął, przysypał trocinami i poszedł do lasu na spacer. Gdzieś między sosnami przyszło mu do głowy, że być może powinien przenieść skrzynkę w inne miejsce. W ślad za tą myślą pojawił się lekki niepokój. Zdziwiło go to, bo doznawał tego uczucia niezwykle rzadko. Szybko przewertował wydarzenia z ostatniego okresu i nie przypomniał sobie niczego, co w jakikolwiek sposób odbiegałoby od normy. W intuicję nie wierzył, w jego postrzeganiu rzeczywistości kompletnie nie było dla niej miejsca. Na szczęście uczucie psychicznego dyskomfortu szybko opuściło z natury wyprany z wszelkich emocji świat Sławomira, a to miejsce zajęła ekscytacja związana z perspektywą ujżenia w niedalekiej przyszłości jego nowej wybranki.

Po zebraniu w Sali Królestwa Ewa z mamą i bratem poszli na niedzielny obiad do pizzerii Steve'a. Taka gratka zdarzała się nieczęsto i Tomek był z tego powodu niezwykle zadowolony. W drodze powrotnej Ewa chciała pokazać mamie sukienkę, którą upatrzyła sobie już jakiś czas temu, ale w końcu zrezygnowała. Dzień zapowiadał się na udany, chociaż nic tak naprawdę się nie wydarzyło. Może chodziło o sposób, w jaki starszy Witold odnosił się do ludzi, albo o to, jak odniósł się do dzisiejszego czytania, a może była to kwestia słońca, dzięki któremu nawet brak liści na drzewach i błoto nie raziły jej tak bardzo jak jeszcze wczorajszego wieczoru. Na koniec dnia usiedli we troje do serialu, który tak naprawdę nikogo z nich nie interesował, ale przecież byli razem. Wszystko się dopełniło, więc w tym dniu Ewa wreszcie odnalazła sens i spokój. Do Facebooka zerknęła dopiero, kiedy kładła się spać. Specjalnie nie zrobiła tego wcześniej, choć cel nie był dla niej do końca jasny. Być może nie chciała, by brak wiadomości popsuł jej dobry nastrój, a może miała nadzieję, że na koniec dnia spotka ją jeszcze jedna przyjemność. Przy ikonie wiadomości zastała czerwoną jedynekę. „Dobranoc i może do zobaczenia wkrótce”, napisał tajemniczy Enkratyk.



Agnieszka do częstochowskiego Nakła dojechała, kiedy było już po zmroku. Z drogi dzwoniła kilka razy do rodziców Bianki, bo jak w końcu udało się ustalić z akt Matwiejczyka, tak właśnie miała na imię prawdopodobna ofiara Kadzidla sprzed ponad roku, której fragment zwłok znaleziono pod cementownią w Rumnikach. Agnieszka żałowała trochę, że nie zajęła się tym, gdy była w Częstochowie poprzednim razem, choć wtedy wszystko wyglądało inaczej. Nie spodziewała się, że sprawa tak szybko trafi do wojewódzkiej, i liczyła na więcej czasu, a poza tym nie trafiła jeszcze na trop trzeciej ofiary. Rodzice mimo późnej pory czekali na nią już przed domem. Była to dwójka starszych i zmęczonych życiem ludzi, którzy większość życia spędzili w Częstochowie, a do Nakła wrócili na stare lata wtedy, gdy Bianka poszła na studia i zamieszkała z koleżanką w częstochowskim akademiku przy Sowińskiego. Dziewczyna, w przeciwieństwie do Zuzy, nie studiowała jednak religioznawstwa, tylko zarządzanie na Politechnice Częstochowskiej, czyli tutaj trop religijno-uczelniany się gubił. Jak się jednak okazało, szybko wrócił, choć w innym miejscu. Bianka śpiewała bowiem w jednym z jasnogórskich chórów, a co więcej, jak wynikało z relacji rodziców, była osobą głęboko uduchowioną i poszukującą. Podobnie jak rodzice Zuzy, również żadne z nich nie zauważyło w jej otoczeniu nikogo, kto wzbudziłby ich niepokój czy zapadł im w pamięć. Poza tym większość kolegów i koleżanek dziewczyny została już sprawdzona przez częstochowską policję. Bianka była blisko związana z rodzicami, bywała w Nakle przynajmniej raz w tygodniu i codziennie wykonywała dziesiątki telefonów, szczególnie do matki. Tamtego dnia ostatni raz zadzwoniła około południa, a rodzice zaniepokoiли się wieczorem, kiedy nie odebrała od nich kolejnego telefonu. Następnego dnia rano powiadomili policję, ale ta po zapoznaniu się z okolicznościami zwlekała kolejne dwa dni z nadaniem Biance Wareckiej statusu osoby zaginionej. Ciało zostało znalezione dzień później, ale początkowo nikt nie skojarzył faktów. Inna rzecz, że znalezione fragmenty, czyli korpus i odcięte ręce ofiary, nie było łatwo zidentyfikować. Dopiero po miesiącu ze szczoteczki do zębów Bianki pobrano DNA. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nadeszły wyniki potwierdzające jej tożsamość, w zakolu Warty na wysokości Łuszczyna łowiący ryby mężczyzna natrafił na głowę. Nóg ofiary nigdy nie odnaleziono.

– Miała wycięty kosmyk włosów za uchem. – Matka dziewczyny podała kawę. – Patolog zauważył.

– A tam w chórze... – zaczęła Agnieszka, choć przeczuwała, że być może wchodzi na grząski grunt. Nad drzwiami do kuchni wisiał sporych rozmiarów krzyż, a ściany zdobiły głównie święte obrazki. – Czy tam może był ktoś, rozumiem, że na pewno już państwa o to pytano, ale może teraz, po czasie...

– W chórze? Same religijne osoby, chór śpiewał na pogrzebie, do dziś dzwonią do nas niektóre koleżanki. Nie ma mowy, żeby w chórze... – Po raz drugi, odkąd Agnieszka przyjechała godzinę temu, odezwał się ojciec. Tym razem jego głos był bardzo stanowczy.

Na moment zapadło milczenie.

– Czy Bianka miała komputer? – Polkowska zmieniła temat.

– A z komputera to już bardziej możliwe, że ktoś. – Woźniak wyraźnie się ożywił. – Ten cały internat to jest koszmar naszych czasów, proszę pani.

– Zasadniczo się z panem zgadzam. – Komisarz, choć mówiła do ojca, spojrzała pytająco na matkę Bianki.

– Tak, miała komputer, był w akademiku. Policja zabrała, ale potem oddali, stoi w pokoju. – Kobieta wskazała w stronę drzwi, pod którymi leżała szmata, i na widok zdziwienia Agnieszki dodała: – Położyłam, żeby się nie kurzyło. Tam nic nie ruszamy z mężem, ona miała tam wszystko cały czas, jak tylko przyjeżdżała, to miała swój pokój zawsze...

Jeszcze przez chwilę próbowała walczyć, ale poddała się i w końcu zaczęła płakać, a mąż nie wiedział, co począć. Agnieszka w milczeniu położyła dłoń na jej dłoni.

Mimo zgłoszenia sprawy do Kielc przez Misiaka już w niedzielę wojewódzka odezwała się dopiero we wtorek. Do tej pory informatyk zdążył przepatrzyć komputer Bianki, w którym nie znalazł początkowo nic ciekawego, ale rano zadzwonił do Agnieszki, kiedy ta piła jeszcze w domu kawę z Martą.

– Tacjan.

– Słucham? – Agnieszka była zasadniczo przyzwyczajona do tego, że Andrzej nie lubił się rozwodzić, ale tym razem użył zbyt daleko idącego skrótu myślowego.

– Korespondował z nią ktoś o nicku Tacjan.

– Ale gdzie korespondował? – zapytała, zaskakując Andrzeja, który najwyraźniej nie posądzał jej o podobne skróty myślowe.

– W necie, przecież nie przez Poczta Polską? – obruszył się.

– Ale gdzie w necie? Na jakimś komunikatorze, Facebooku, przez mejla? – dopytała, przewracając oczami, a Marta zachichotała i zasłoniła dłonią usta.

– Po korespondencji nie ma śladów, można wystąpić do fejsa, ale to zajmie miesiące, poza tym nawet jak coś znajdziemy, to gość jest czujny, pisze z grubo zgubionego IP. – Andrzej chyba się zapomniał, bo gadał jak najęty. – Znalazłem w rejestrze na blogu, na który wchodziła, tam musiał ją kiedyś zagadnąć. Wyczyściła to potem co prawda. Może to nic, ale Tacjan?

– Dzięki. Przyjdę do ciebie, jak tylko dojadę.

Agnieszka od razu zalogowała się na Facebooka, gdzie znalazła dwóch Tacjanów, ale jeden miał dziesięć lat, a drugi był kobietą, co potwierdzały wpisy, zdjęcia i komentarze na ich profilach. Potem weszła na Google'a, a Marta, z którą wcześniej rozmawiała, połapała się, że bez względu na to, czy stanie teraz na rękach, wyjdzie, czy coś powie, nie będzie miało najmniejszego znaczenia, więc zajęła się sobą. Na górze strony z wyszukiwaniami hasła „Tacjan” Agnieszka znalazła: Tacjan Syryjczyk. W pierwszym odruchu chciała je pominąć, ale po chwili wróciła do niego i otworzyła link z Wikipedii. To, co przeczytała, stanowiło dla niej, jako osoby z gruntu ateistycznej i nie do końca zainteresowanej historią, absolutną abstrakcję. Tacjan Syryjczyk okazał się, ujmując rzecz w pewnym skrócie, żyjącym w II wieku naszej ery syryjskim teologiem piszącym po grecku. Z dalszej lektury wynikało, że był zwolennikiem życia w czystości i gnostykiem, czyli kimś, kto uważał, że na świecie zmagają się siły dobra ze złem. W tym momencie Agnieszka znów przewróciła oczami, bo dla niej było to oczywiste, ale jak doczytała dalej ku swemu kompletnemu zaskoczeniu, dla chrześcijaństwa takie przekonanie stanowiło absolutną herezję. Chrześcijanie uważali bowiem, że nie ma żadnej równorzędnej walki dobra ze złem, jest tylko boskie dobro, spod którego wyziera czasem ludzki grzech. Agnieszka, która szczególnie w swojej pracy, ale przecież nie tylko, natykała się głównie na zło, a z dobrem długimi okresami nie miała prawie w ogóle do czynienia, nie bardzo rozumiała, o co właściwie chodzi. Dowiedziała się jeszcze, że Tacjan należał do sekty odrzucającej wszelkie przyjemności życia, takie jak jedzenie mięsa, picie wina i relacje małżeńskie, nie mówiąc oczywiście o relacjach pozamałżeńskich. Wspominając noc sprzed dwóch dni, komisarz uśmiechnęła się do siebie, po czym zamknęła link i zajęła się dalszym wyszukiwaniem. Ostatnią

rzeczą, jaka utkwiała jej w pamięci, była dziwna nazwa sekty tajemniczego Tacjana sprzed wieków. Enkratycy, co z greki tłumaczyło się jako wstrzemięźliwi. Polkowska westchnęła na koniec i wyłączyła komputer. Trop Tacjana wniósł do jej życia sporo nowej wiedzy, ale dla sprawy jako takiej wydawał jej się przynajmniej na razie mało interesujący.

Gdy przybyła do gmachu komendy, Szwagier od razu poinformował ją, że zostali w trybie pilnym wezwani do Kielc. Kiedy wraz z Misiakiem i Mrówcem dotarli na miejsce i zebrali się w końcu wszyscy zainteresowani, poproszono ją o zrelacjonowanie dotychczasowych wyników śledztwa. Smutne grono znudzonych panów słuchało jej opowieści o odkryciu dotyczącym ułożenia zwłok, dzięki któremu udało się już dotrzeć do jednej potwierdzonej i jednej potencjalnej ofiary zabójstwa, a Agnieszka nie mogła pozbyć się wrażenia, że patrzą na nią trochę tak, jakby była niespełna rozumu. Co więcej, jakkolwiek mogło się to wydawać nielogiczne, dla zebranych najwyraźniej nie miało żadnego znaczenia to, że właśnie owa prawidłowość doprowadziła ją do kolejnych odkryć. Panowie zachowywali się tak, jakby za wszystkim stał przypadek, naciągnięcie faktów albo Bóg jeden wie co jeszcze. Kiedy Agnieszka skończyła referować, tamci wydawali się równie znudzeni, jak kiedy zaczynała. Ją w tych okolicznościach martwiło tylko jedno. Miała mianowicie nieodparte wrażenie, że grupa zajmująca się przypadkami seryjnych zabójstw składała się z wyselekcjonowanych funkcjonariuszy z prewencji, którzy trafili tu, bo nie radzili sobie z wypisywaniem mandatów.

– Czyli sugeruje pani, że jeśli tak będziemy rozrysowywali te kreski na mapie, to w końcu znajdziemy wszystkie ofiary? – zapytał po dłuższym milczeniu otyły mężczyzna siedzący na końcu sali.

– Przy odrobinie szczęścia myślę, że tak – odparła, starając się nie zwracać uwagi na pobłażliwe uśmiechy na twarzach większości z obecnych.

Dowodzący grupą inspektor Malak postanowił podsumować to dziwne spotkanie.

– No dobrze, pani komisarz, zapoznamy się z aktami podręcznymi i za kilka dni damy znać, jakie decyzje podjęliśmy w sprawie.

– Jakie decyzje? – Agnieszka najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie nie znosiła bełkotu i nic nieznaczących słów, wypowiedzianych w sytuacjach, gdy wszystko miało ogromne znaczenie. – Nie rozumiem.

– Pochylimy się nad sprawą i przede wszystkim zdecydujemy, czy są podstawy do wszczęcia procedury ścigania seryjnego mordercy. – Malak lubił mówić, wyraźnie podobał mu się tembr własnego głosu. – To są, wie pani, w razie czego ogromne koszty, trzeba uruchomić zespół, procedury...

– Z całym szacunkiem, panie inspektorze, coś budzi pana wątpliwość? – Polkowskiej zaczynały puszczać nerwy, co nie umknęło uwadze towarzyszących jej kolegów ze Skarżyska. – *Modus operandi* to samo, zwłoki znalezione w miejscach wyznaczonych przez kolejne morderstwa, ciała natarte olejem do namaszczenia zwłok, dziewczyny w tym samym wieku, w obu przypadkach wycięte włosy: u Bianki kosmyk, u Zuzy po kilka włosów w różnych miejscach, obie religijne...

– No właśnie z tą religijnością mamy z kolegami pewien problem – przerwał jej Malak, który znów chciał posłuchać swojego głosu. – W Polsce tak się składa, szczególnie na prowincji, że większość dziewcząt, a właściwie większość społeczeństwa jest religijna.

– Ofiara spod Skarżyska, Zuzanna Kołodziejczyk, studentka religioznawstwa na

Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Bianka Warecka, chórzystka na Jasnej Górze, dewocyjnie wręcz religijna, uduchowiona podobnie jak Zuzanna. Nie mówimy tu, panie inspektorze, o religijności w rodzaju msza w niedzielę, taca, ksiądz po kołędzie, tylko o religijności myślącej...

– Sugeruje pani, że nasza nie jest myśląca? – Malak nagle nie wiedzieć czemu się obruszył.

– Nic nie sugeruję, ale mówię o medianie społecznej, mówię o tym, że dwadzieścia milionów Polaków chodzi do kościoła i nawet nie wie, kompletnie nie zastanawia się, po co ani dlaczego, a te dziewczyny wiedziały dokładnie, dlaczego tam chodzą, i było to dla nich ważne. – Agnieszka marzyła już jedynie o tym, by wyjść stąd i zapalić.

Wtedy do rozmowy włączył się Misiak. W samą porę.

– Dobrze, państwo, to znaczy panowie przejrzą akta podręczne i dadzą znać. Jedno pytanie: czy możemy zwrócić się do dolnośląskiej o nurków, żeby przepatrzyli to jezioro obok Bielawy? Jeśli to seryjny, to sprawa jest, ujmując rzecz delikatnie, pilna.

Polkowska spojrzała na szefa, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Była tak zaskoczona jego postawą, że odechciało jej się nawet palić.

– Jeśli dobrze podążam za pani tokiem myślenia, to na ofierze w jeziorze zakończy się wątek ułożenia zwłok i kierunku dalszych poszukiwań, bo zwłoki, a raczej resztki, które z nich pozostały, uległy w wodzie przemieszczeniu. – Z końca sali po raz drugi odezwał się otyły mężczyzna, a Agnieszce ulżyło, że chociaż jeden z otaczających ją samców alfa okazał się szczęśliwym posiadaczem mózgu.

– Tak, prawdopodobnie tak będzie. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale może wtedy znajdziemy jakiś inny trop.

– A skąd myśl, że akurat w jeziorze? – Policjant nie odpuszczał.

– Bo obok są lasy i Góra Parkowa, główna atrakcja turystyczna w okolicy. Gdyby zwłoki czy choćby ich fragment został porzucony gdzieś tam, to już dawno ktoś by się na to natknął.

– Rozumiem. – Mężczyzna popatrzył na pozostałych kolegów zdziwionych, że w ogóle podjął rozmowę z komisarz Polkowską. – W tej sytuacji proponuję wystąpić do Wrocławia o nurków.

We wtorki Ewa nie miała zajęć na uczelni i już od kilku miesięcy przeznaczała te dni wyłącznie na pracę. Przyjeżdżała na ranną zmianę, przez co z domu musiała wychodzić o wpół do szóstej. Najpierw autobus do Garwolina, potem busik do Warszawy. Na miejscu była chwilę po ósmej, czyli godzinę po otwarciu, ale umówiła się z szefem, że tę jedną godzinę jej podaruje. Odrabiała ją w piątki, kiedy pracowała już tylko na popołudniową szychtę, ale za to przychodziła o godzinę wcześniej. Lubiła wtorki. W kawiarni czuła się swobodnie i po stokroć wołała docinki kolegów odnoszące się do jej sekciarskiej w ich mniemaniu przynależności religijnej od serdecznych kontaktów, jakie próbował z nią wciąż nawiązywać Robert. Te pierwsze charakteryzowała swoboda i w gruncie rzeczy serdeczność, te drugie były wymuszone i podszyte wyrzutami sumienia, a przez tę sytuację z chłopakiem na uczelni czuła się wyobcowana. No i przede wszystkim tutaj pachniało kawą, a ten zapach uwielbiała, kojarzył jej się z chęcią do życia, czymś ciepłym i przytulnym. Tego ranka na zmianie zebrali się sami jej ulubieni koledzy, dzień dobrze się zapowiadał, choć zaczął od kolejnej kłótni z Tomkiem, gdy odwoziła go do szkoły. Rano chłopak bardzo rzadko bywał znośny, więc całą poranną złość starał się wyładować na siostrze, próbując i jej zepsuć humor. Nie przyniosło to dziś jednak spodziewanego efektu, bo Ewa była w tak wyśmienitym nastroju, że wszystkie jego ataki ześlizgiwały się po powierzchni jej uśmiechu.

Sławomir wiedział już, gdzie pracuje Ewa, nie wiedział jeszcze tylko, w jakich godzinach, ale skoro tamtego dnia przed południem zobaczył ją w budynku uczelni, przyjął, że w pracy pojawia się popołudniami. Dlatego swoją pierwszą wizytę w kawiarni przewidział na moment po swoim wyjściu z pracy. To zresztą bardzo mu pasowało, ponieważ dużą wagę przykładął do higieny życia, a w jej ramach jedną z podstawowych zasad, jakim hołdował, było to, że najpierw należy odbyć to, co trzeba odbyć, a dopiero potem można dawkować sobie radości. Innymi słowy najpierw praca, a dopiero potem przyjemność. Kłopot polegał jedynie na tym, że kiedy czekał na tak wielką przyjemność, jaką miał mu dostarczyć widok nowej wybranki, praca siłą rzeczy stawała się niepełnowartościowa. Myśli Sławomira od samego rana krążyły wokół popołudnia i tego momentu, kiedy w końcu będzie mógł zweryfikować swoje wyobrażenia. Ta ekscytacja nie pozwalała mu skupić się na rozmowie z biskupami w siedzibie warszawskiej kurii. Na szczęście całą część merytoryczną przejął od niego asystent, a jego rola ograniczała się do uśmiechów i serdecznych podziękowań za wsparcie, jakie fundacja otrzymała od hierarchów w ostatnim okresie. Od jakiegoś czasu Sławomir zastanawiał się wprawdzie, czy wzięwszy pod uwagę całą złożoność sytuacji, tak naprawdę to on powinien wyrażać wdzięczność, czy może to jemu powinni być wdzięczni. W końcu jako człowiek koncyliacji i kompromisu doszedł do wniosku, że korzyść jest na tyle obopólna, a wkład na tyle porównywalny, że trudno byłoby do końca ocenić, kto komu zawdzięcza więcej, a zresztą w sytuacji, kiedy szli wciąż w górę i notowania dawały powody do zadowolenia, nie miało to większego znaczenia. Może kiedy przejdą już pik i zacznie się zjazd, na który zawsze w końcu przychodzi czas, trzeba będzie wrócić do tej myśli i znaleźć właściwe proporcje wkładów, ponieważ to według nich trzeba będzie wtedy dzielić to, co zostanie do podzielenia. Na razie róg obfitości zdawał się niewyczerpany, więc małostkowość byłaby nie tylko nie na miejscu, ale także stanowiłaby kompletny nonsens. Na zastanawianie się, czy to Kościół zyskał na przejściu władzy przez wspieraną przez Sławomira i jego wpływy frakcję, czy może frakcja przejęła władzę dzięki udziałowi w polityce Kościoła, co z zadowoleniem przyjęli zewnątrzni gracze, z którymi los związał Sławomira, nie było w tej chwili czasu. Teraz musiał zbierać leżące na wyciągnięcie ręki owoce, by – gdy los się odwróci – wycofać się na z góry upatrzone i zawczasu wymoszczone pozycje. Wszystko to zresztą bladło wobec najważniejszej sprawy, czyli wobec faktu, że dziś po południu wreszcie będzie mógł zobaczyć Ewę.

– Czy może mi pan podać swoje imię? – Ewa, z flamastrem w dłoni, spojrzała na przystojnego mężczyznę w eleganckim garniturze i z uznaniem pomyślała o zapachu, jaki wokół siebie roztaczał. Bardzo jej się podobał, chyba nie znała tych perfum.

– Wojtek. – Mężczyzna zerknął na dziewczynę i poczuł dreszcz emocji tak silny, że niemal pozbawił go przytomności umysłu. – Mam na imię Wojtek.

Ewa uśmiechnęła się, przez moment wydało jej się nawet, że gdzieś już go widziała i czuła ów charakterystyczny, niemal obezwładniający zapach, ale szybko porzuciła tę myśl, a nawet się za nią skarciła.

– Zaraz zawołam – odparła, czując na sobie jego spojrzenie szarych oczu.

– Będę czekał.



Agnieszka zadzwoniła w drodze powrotnej z Kielc. Zrobiła to podczas postoju na stacji. Kiedy Misiak i Mrówiec palili papierosy, poszła do toalety i zamiast wrócić od razu do nich, schowała się za budynkiem i wybrała numer. Dlaczego zrobiła to akurat wtedy? Czemu nie z domu, nie z pracy, dlaczego nie wykorzystała dogodniejszej okazji? Czemu nie przygotowała się bardziej, nie skupiła się na chwilę przed? Nie miała pojęcia, po prostu poczuła, że to już, że czas najwyższy, a może nawet lekko się przeraziła, że czas właśnie minął.

– Słucham? – Agnieszka, choć nie znała swojego głosu za dobrze, odniosła wrażenie, że Jola brzmi prawie jak ona. – Halo?!

Agnieszka miała półtorej sekundy, może nawet mniej – potem dziewczyna z pewnością się rozłączy.

– Nazywam się Agnieszka Polkowska i jestem pani matką. – Po raz pierwszy od osiemnastu lat powiedziała cokolwiek do córki.

– Nie rozumiem. – W tonie Joli dało się już w tym momencie wyczuć, że dokładnie rozumiała, i to lepiej niż ktokolwiek inny.

– Przepraszam, że do pani dzwonię... – Agnieszka, która przez większą część swojego dojrzałego życia przygotowywała się do tej rozmowy, kompletnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. – ...ale po prostu nie potrafię już dłużej.

Po drugiej stronie zapanowało milczenie. Zaczęło jej się nawet wydawać, że być może przeoczyła moment, gdy córka się rozłączyła.

– Po co pani dzwoni? – Jola rzeczywiście przez chwilę wahała się, czy się nie rozłączyć. Robiła to już wcześniej wiele razy, kiedy ktoś do niej dzwonił i się nie odzywał. Wbrew temu, co wydawało się matce, doskonale wtedy wiedziała, kto do niej dzwoni.

– Nie wiem tak do końca. – Właściwie wiedziała, nawet zdążyła już jej to powiedzieć. Dzwoniła, bo nie miała już siły się przed tym bronić. To jednak był dla Joli prawdopodobnie zbyt mało przekonujący powód. – Chciałabym się z panią spotkać.

– Po osiemnastu latach. – Dziewczyna zaczęła się śmiać, a jej śmiech nie był ani szczery, ani nieszczery. Był smutny.

– Każdego dnia przez te wszystkie lata chciałam się spotkać, chciałam być... – Mówiła coraz trudniej, czuła się, jakby myśli, cała świadomość tonęła w czymś, co właśnie zaczynało zastygać. – Przepraszam, ale...

– Proszę zadzwonić później. – Jola poczuła, że z matką coś się dzieje, i kompletnie wbrew sobie, wbrew temu, co myślała przez lata, co powiedział jej ojciec i jego otoczenie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, strasznie chciała jej pomóc. – Teraz nie mogę z panią rozmawiać.

Rozłączyła się, a Agnieszka zachwiała się na nogach, i gdyby nie murek budynku stacji, prawdopodobnie runęłaby na ziemię.

– Co się stało? Źle się czujesz? – Misiak złapał ją za ramię sekundę później. – Może jesteś w ciąży?

Spojrzała na niego półprzytomnie. Dlaczego facetom przychodzą do głowy zawsze jakieś

idiotyzy?

– W pewnym sensie może jestem.

Misiak spojrział na komórkę, którą wciąż kurczowo trzymała w dłoni.

– Zadzwoiłaś do niej? – Domyślił się, zaskakując ją tego dnia po raz drugi, przy czym tym razem zaskoczył ją absolutnie. – Wreszcie do niej, kurwa, zadzwoniłaś! Moja dziewczyna!

Nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy, że nadejdzie taki moment, gdy będzie płakała w klapę przesiąkniętej zapachem fajek, nigdy niepranej marynarki inspektora Włodzimierza Misiaka. Mrówcowi, który przyglądał się całej sytuacji, też nigdy nie przyszło to do głowy.

Otyły mężczyzna, który wsparł w Kielcach pomysł Agnieszki na sprawdzenie oczka wodnego w Bielawie przez nurków, nazywał się Wiesław Woronowicz. Dowiedziała się tego od sekretarki komendanta wojewódzkiego, z którą znała się jeszcze z czasów wspólnej pracy w komendzie głównej w Warszawie. Marzena potwierdziła jej wcześniejsze przypuszczenia – nazywany przez nią pieszczotliwie Wiesiem, komisarz Woronowicz był jej najlepszym kontaktem w Kielcach, co wynikało głównie z tego, że miał też w ogóle najlepszy kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Po telefonie do Woronowicza Agnieszka wiedziała już, że wszystko jest załatwione i nurkowie rozpoczną pracę następnego ranka, a on sam wysłał już pismo do Misiaka z oficjalną prośbą o wydelegowanie jej do prac zespołu w wojewódzkiej, na razie w roli obserwatora. Sprawy nabierały tempa, co jej odpowiadało. Miała córkę w wieku potencjalnych ofiar, zawsze była inna, bardziej wrażliwa, pokręcona i trochę pogubiona, dlatego nieomal fizycznie czuła, że zło w osobie Kadzidła szykowało się już do kolejnego skoku.

Ewa nie miała pojęcia, że siwiejący mężczyzna o stalowoszarych oczach to ten sam człowiek, który pisał do niej na Facebooku. Pomijając kwestię imienia, była przez cały czas przekonana, że Adam Enkratyk jest chłopakiem w jej wieku, a może nawet, wnosząc z drzemiącej gdzieś między słowami niezgody na zastaną rzeczywistość, chłopakiem od niej młodszym. Co ciekawe jednak, choć lubiła z nim korespondować, jego widzenie świata było jej bliskie i wciąż czekała na kolejne wpisy, to jednocześnie szpakowaty mężczyzna zdawał się zaspokajać jakieś zgoła inne pragnienie, schowane głęboko pod płaszczykiem młodzieńczej neurozy. Pragnienie to wynikało z głęboko atawistycznej potrzeby bezpieczeństwa, okraszona lekko perwersyjnym i silnie erotycznym zainteresowaniem dojrzałym, przystojnym mężczyzną, którego zapach paczuli czuła jeszcze długo po jego wyjściu z kawiarni.

– Ewa, co z tobą?! – Czarnoskóry kolega przyglądał jej się z zainteresowaniem, bo kawa już dawno przelała się w filiżance podstawionej pod kolbę ekspresu. – Wanda czeka.

– Jaka Wanda? – Ewa otrząsnęła się z zamyślenia.

– A skąd ja mam wiedzieć, jaka Wanda? – Kolega wskazał na kubek z odręcznie napisanym przez nią imieniem „Wanda”.

– A tak, już robię.

Sławomir wszedł do samochodu i przez dłuższą chwilę nie był w stanie włączyć nawet radia. Pamiętał każdy pierwszy kontakt z każdą ze swoich ofiar, zawsze towarzyszyły temu emocje, skakała adrenalina, czasem lekko się pocił albo wręcz przeciwnie – marzł. Słowem, mało co mogło dorównać sile tych pierwszych spotkań, chyba jedynie te ostatnie. Dlatego właśnie to robił – mordował dziewczyny, by przeżyć coś silniejszego od tej pierwszej konfrontacji. Wyjął smartfon i włączył odtwarzanie w dyktafonie: „Czy może mi pan podać swoje imię?”, „Wojtek”, „Zaraz zawołam”, „Będę czekał”.

Sławomir pamiętał każde pierwsze spotkanie, ale takiego jak to jeszcze nigdy nie doświadczył.

– Jak ja ją zabiję? – powiedział głośno i dopiero wtedy wcisnął guzik start przy kierownicy. Silnik odezwał się spokojnym niskim szeptem dziesięciu cylindrów. Dopiero to uspokoiło mężczyznę na tyle, że mógł ruszyć.

Szadz błyskawicznie rozchodziła się wokoło i Agnieszce było coraz trudniej iść, a przecież musiała dotrzeć do miejsca, skąd dochodził krzyk Joli. Kwiaty uformowane przez mróz na ścianach hali zaczęły wypuszczać pędy, które chwyciły ją za nogi w stalowym, lodowatym uścisku. Miała wrażenie, że zaraz zamarznie, gdy oszronione gałęzie złapały ją za ręce. Próbowała się wyszarpnąć, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu.

Jola! Jola, gdzie jesteś?!

Jej głos ugrzązł w mroźnej dżungli, widziała coraz mniej, zaczęła płakać, a lzy zamieniały się w kryształki lodu. Wtedy poczuła szarpnięcie i się obudziła. Na łóżku obok podparta na łokciu pół siedziała, pół leżała Marta, która trzymała w ręce telefon.

– Dzwoni! – powiedziała stanowczym głosem.

– Do kogo?

– Do niej. – Marta zabrała się do wyszukiwania numeru w kontaktach. – Przed chwilą ją wołałaś. Wczoraj powiedziała, żebyś zadzwoniła później, więc dzwoń.

– Zaraz, a kawa? – Agnieszka wciąż jeszcze próbowała wrócić z dalekiej podróży do krainy lodu.

– Kawę dostaniesz jako bonus, najpierw zadzwoni – powtórzyła Marta.

– A jak nie odbierze?

– Agnieszka, błagam cię, ścigasz seryjnych psychopatów, którzy ćwiartują ofiary żywcem, a nie masz odwagi zadzwonić do własnej córki?!

– Trochę tak to właśnie wygląda.

– I właśnie tak nie może wyglądać. Dzwoni!

Agnieszka zadzwoniła. Tym razem po drugiej stronie po kilku sygnałach zgłosiła się poczta i głos Joli poprosił, by zostawiła wiadomość. Agnieszka rozłączyła się, bo nie wiedziała, jaką wiadomość miałaby właściwie zostawić. W jej głowie przez osiemnaście minionych lat odłożyło się ich tyle, że teraz nie miała pojęcia, którą z nich wybrać.

– Może dam ci moją komórkę? – zaproponowała Marta.

– Po co?

– Bo może ona już twoją zna i nie chce odebrać?

– Ale chodzi właśnie o to, żeby odebrała albo oddzwoniła tylko jeśli będzie tego chciała.

– Wiem. – Marta uśmiechnęła się i delikatnie przesunęła kosmyk włosów, który opadł Agnieszce na oko. – To chcesz tej kawy?

– Nie wiem, dlaczego wciąż wraca ten dziwny sen. Jestem w jakimś zmrożonym, dziwnym wnętrzu, słyszę wołającą mnie skądś Jolę, próbuję ją odnaleźć...

– Odnajdziesz ją, ale w realu. – Marta pogłaskała ją po ramieniu i wyszła do kuchni, żeby włączyć ekspres.

Wypiły kawę, zjadły po rogaliku z czekoladą i Agnieszka poszła do samochodu. Znów czekało ją kilkaset kilometrów, tym razem do Bielawy. Ekipa nurków z Wrocławia

prawdopodobnie też już wyruszyła. Mieli znacznie bliżej, więc musiała się spieszyć, a po drodze obiecała zabrać ze sobą Mrówca, bo ten za wszelką cenę chciał wyjechać, jak się wyraził, w teren. Na zachętę, kiedy zadzwonił do niej z samego rana, przekazał, że ma dobre wieści, które mogą stanowić przełom w śledztwie, ale był skłonny zreferować je wyłącznie osobiście.

Kiedy ruszyli spod bloku, Mrówiec był wciąż niezwykle tajemniczy. Wiedział doskonale, że Agnieszka czeka, aż przekaże jej to, co zapowiadał, ale przemyślnie tego nie robił. Taką miał przypadłość, która zresztą doprowadzała ją do szewskiej pasji.

– No, mów! – Nie wytrzymała w końcu. Nie miała ani chęci, ani czasu na gry wstępne, szczególnie z młodszym od niej o dwadzieścia lat mężczyzną.

– Ze wszystkich numerów logujących się w okolicy Płonników wyodrębniłem jeden, którego za cholere nie było jak sprawdzić, a który do tego zalogował się po raz pierwszy do stacji bazowej o piątej, a po siódmej zniknął. Poszedłem z tym prosto do Misiaka, on zadzwonił do prokuratora, dostaliśmy papier do sieci. Sprawdzili nam. To numer kupiony dziesięć dni przed zabójstwem, nigdy wcześniej się nie logował, a po tym, jak się wylogował z BTS-u w Suchedniowie, już się nie pojawił.

– Na kogo kupiony? – Agnieszka na moment zapomniała, że to nie może okazać się tak proste.

– Sprawdź nam na jutro. – Mrówiec uśmiechnął się tak, jakby właśnie zamknął sprawę seryjnego mordercy.

Agnieszka przyhamowała gwałtownie, bo jadący przed nią samochód zrobił to samo z bliżej niewyjaśnionej przyczyny.

– Baba. Pewnie jej szminka upadła albo zapomniała, że musi jeszcze odebrać magiel – skomentował Piotr, po czym zerknął na komisarz i natychmiast uciekł spojrzeniem w boczne okno.

– Baba z wąsem? – rzuciła Agnieszka. Kiedy zrównała się z samochodem, kierowca, bardzo zadowolony z siebie łysy facet z zarostem przyciętym chyba pod mikroskopem, raptem zaczął przyspieszać, by nie dać się wyprzedzić. – Myślę, że trafimy na Allegro.

– Co? – Mrówiec wciąż starał się na nią nie patrzeć.

– Myślę, że trafimy do handlarza kartami z Allegro albo jakiegoś innego serwisu aukcyjnego.

– No dobra, ale on to komuś sprzedał, po nitce do kłębka. – Piotrek nie tracił nadziei.

– Oby. – Agnieszka minęła szyld z przekreślonym konturem miasteczka i docisnęła pedał gazu.

– Nie musimy tak grzać, zanim oni tam się rozpakują i tak dalej... – Mrówiec upewnił się, czy aby na pewno jest zapięty.

– Nie musimy, ale lubimy. – Uśmiechnęła się, myśląc o tym, że za swoją szowinistyczną uwagę aspirant Mrówiec zapłaci półtoragodzinną jazdą z pełnymi ze strachu spodniami.

Kiedy dojechali na miejsce, ekipa nurków pracowała już od godziny, przeczesując centymetr po centymetrze dno niewielkiego zbiornika wodnego. Z motorówki wspomagała ich ekipa z echosonarem. Do tej pory oprócz pokaźnej sterty śmieci – od opon, przez skorodowane fragmenty blacharki samochodowej, po wciąż rosnącą liczbę butelek po wódce stanowiących najbardziej nieodłączną część polskiego krajobrazu, nie wyłączając świata podwodnego – nic ciekawego nie udało się znaleźć. Lokalnych policjantów wspierali przedstawiciele komendy wojewódzkiej we Wrocławiu oraz sojusznik Agnieszki, czyli jedyny myślący z Kielc, komisarz Woronowicz.

– Nic nie mają? – Polkowska po sekwencji powitalnej przeszła od razu do rzeczy.



– Dopiero zaczęli. Że nic nie mają, będziemy mogli powiedzieć o piątej po południu – uspokajał ją Woronowicz. – A może zapadnie decyzja, żeby kontynuować jutro. Oni jak już robią, to są raczej skrupulatni.

Agnieszka rozejrzała się wokoło. Za ich plecami wyrastała Góra Parkowa.

– Zostań tu z panami i zadzwoń do mnie jakby co – zwróciła się do Mrówca. – Przejdę się po okolicy.

Ewa nie spała prawie w ogóle przez całą noc. Najpierw, kiedy wróciła do domu, przez kilka godzin prowadziła ożywioną dyskusję na czacie z Enkratykiem. Próbowła się czegoś więcej o nim dowiedzieć, ale on przez cały czas robił uniki, w większości na tyle inteligentne i okraszone błyskotliwym poczuciem humoru, że właściwie niezauważalne. Ewę najbardziej nurtowało jedno proste pytanie, na które Adam udzielał zawyłych odpowiedzi, właściwie niewiele mówiących.

ile masz lat?

trochę więcej, niż myślisz

czyli?

nie na tyle dużo, żeby mnie to dyskwalifikowało

czyli ile?

porozmawiajmy na razie o czymś innym, ja nie dopytuję, ile ty masz lat

bo ja jestem kobietą?:)

a skąd wiesz, że ja nie jestem kobietą

przynajmniej z przekonania?

Tak można było w nieskończoność, a Ewa nie chciała na to tracić czasu, wolała wrócić do tego, co interesowało ją bardziej, czyli do spraw duchowych i pytań natury zasadniczej. Enkratyk też zresztą nie udzielał na nie jednoznacznych odpowiedzi, ale akurat na te pytania jednoznaczne odpowiedzi nie istniały, więc było to mniej dotkliwie. Kiedy w końcu się pożegnali, Ewa zgasiła światło i myślała na przemian o nim, tej wyłącznie duchowej, bezcielesnej zjawie, i o dziwnym mężczyźnie o stalowoszarych oczach, który był dla odmiany wyłącznie cielesnym doznaniem, okraszonym tajemniczym i mrocznym urokiem. Kiedy tuż przed świtem jawa zaczęła wreszcie zlewać się z sennymi wyobrażeniami, na moment przed tym, gdy Ewę pochłonęła nieświadomość, w jej myślach wykrystalizowało się coś na kształt wrażenia, że może bezcielesna zjawia i soczyście cielesny mężczyzna byli jednym. Potem wpadła na dwie godziny w otchłań snu i kiedy dźwięk budzika rozerwał cienką fizelinę, w którą dopiero co udało jej się zawinąć, nie pamiętała już nic z niedorzeczności tamtego skojarzenia.

Kwadrans po zakończeniu słownej zabawy z Ewą w roli Adama Enkratyka, który za nic nie chciał określić swojego wieku ani powiedzieć nic na temat własnego wyglądu, mężczyzna o stalowoszarych oczach zasnął, a właściwie wpadł w dziurę pozbawioną sennych marzeń. Rano znów przemknęło mu przez myśl, że powinien przenieść swoją skrzyneczkę wspomnień w inne, bezpieczniejsze miejsce. Nie miał tego dnia żadnych zobowiązań, więc po odwiezieniu dzieci do szkoły pojechał do domu na skarpie i napalił w kominku, a następnie wyszedł do drewni pod pozorem przyniesienia drewna na opał. Chyba najbardziej w tym wszystkim uwielbiał właśnie owe działania pod pozorem, wykonywał je nawet wtedy, gdy wcale nie było takiej potrzeby. Miało to jednak swoje plusy, bo wchodziło mu w krew na tyle, że kiedy rzeczywiście przychodził czas, gdy pozory decydowały o powodzeniu jego działań, wszystko odbywało się niejako z automatu. Sławomir przyswoił sobie grę pozorów tak gładko, jakby stanowiły jego naturalny sposób funkcjonowania. Nigdy nikomu nie pozwalał się wybić z tego rytmu, bo – z czego doskonale zdawał sobie sprawę – tylko wybijając go z rytmu, w ogóle można się było do niego zbliżyć. Wziął drewno na opał, a pomiędzy polana wcisnął metalową skrzyneczkę, po czym wszystko wniósł do domu. Kiedy za pół godziny uda się na spacer do lasu, pod kurtkę schowa saperkę i skrzynkę, którą zakopie w wybranym już miejscu. Wcześniej jednak wszystkie elementy oczyści z czegokolwiek, co mogłoby zachować ślady DNA, i wytrze odciski palców.

Agnieszka intuicyjnie wiedziała już, że nurkowie nic nie znajdą na dnie oczka wodnego u podnóża Góry Parkowej. Zbliżała się teraz do szczytu wzniesienia i przez cały czas próbowała wniknąć w głowę człowieka, o którego istnieniu doskonale wiedziała, ale na którego temat nie miała właściwie żadnych informacji. Szła tą samą drogą, co on cztery lata wcześniej, kiedy zamordował Marię i szukał miejsca na ukrycie zwłok. Wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że musiał być bardzo skrupulatny, wiedziała, że kiedy mordował, przypatrywał się swoim ofiarom, ciął je, kiedy jeszcze żyły, potem ćwiartował i albo ciało porzucał na miejscu w całości, albo zostawiał tylko jego fragmenty, a resztę wywoził. Co z tego właściwie wynikało? Co z tego wynika? Agnieszka wdrapała się na wieżę widokową na szczycie góry, z której rozciągał się piękny widok na Bielawę i panoramę Gór Sowich. W dole, przy stawie będącym pozostałością po cegielni, uwijali się nurkowie, a wokół nich kłębił się tłum okolicznych gapiów. Zawsze w takich sytuacjach zastanawiało ją, skąd ludzie mają czas, żeby godzinami wystawać w zbiegowiskach tego typu.

Skąd ludzie mają czas? odbiło się echem w jej myślach i nagle dotarła do niej niezwykle prosta konstatacja. On musiał mieć czas.

Otóż to, dotychczasowe miejsca zabójstw były ukryte: jedno w środku lasu i mgły, drugie w zagajniku nieco bliżej cywilizacji, ale prawie na drugim końcu kraju. Zabójca musiał swoje rytuały przeprowadzić gdzieś na uboczu. Nad stawem cegielni teren był otwarty, więc istniało tam ryzyko pojawienia się osoby postronnej. To samo dotyczyło większej części góry, zrytej szlakami jak ściółka w pobliżu leśnego mrowiska. Agnieszka w dole dostrzegła niewielkie skalne urwisko, jakby odłączone od reszty wzniesienia, bo nie prowadziły do niego żadne ścieżki.

Tam, pomyślała, i zaczęła schodzić z tarasu widokowego.

Przy skalnym wyrobisku było złowróźnie pusto i zupełnie cicho. O ile w trakcie wspinaczki i na samej górze Agnieszka słyszała odgłosy miasta i samochodów jadących po bielawskiej obwodnicy, o tyle tutaj, wśród sterczących w szare niebo, bezlistnych o tej porze roku gałęzi drzew, panowała cisza tak głęboka, że przywodziła na myśl bezdźwięk panujący w ciemnościach kosmicznej próżni.

– Purgatorium – szepnęła i pomyślała o czyścicu, którym od dzieciństwa straszono ją katolickie dziedzictwo, utwierdzając jednocześnie w przekonaniu, że choć koszmarny, to przecież jeszcze wcale nie najgorszy. Tak, czyściciel mógł być właśnie czymś takim – miejscem wśród skał, gdzie panowała głęboka do bólu cisza.

Podeszła bliżej i zobaczyła wyglądającą nieco absurdalnie masywną ławkę z grubej belki opartej na dwóch pniakach. Ławka w czyścicu? Agnieszka usiadła i być może doczekałaby na tej ławce chwili, w której ktoś wymodliłby dla niej wstęp do raju, gdyby nie to, że ciszę rozdarł dzwonek jej telefonu. Od razu wróciła do rzeczywistości.

– Co tam?

– Na razie nie ma żadnych szczątków ludzkich, ale znaleźli damską torebkę, w środku jakieś rozmoczone dokumenty... i kartę kredytową. – Mrówiec był wyraźnie podekscytowany.

– Na kogo?

– Na Marię Suzin. – Tym razem nie udało mu się rozegrać minietiudy dramaturgicznej.

– Kurwa! – Agnieszkę przeszył dreszcz. – Co na to Woronowicz?

– Jest pod wrażeniem, ci z Wrocławia też. Dobrze, że nie ma już stosów, bo chyba by cię spalili jako czarownicę, a tak najwyżej zamkną jako podejrzaną o współudział. Przyjdź tu lepiej i nadaj temu wszystkiemu jakieś znamiona racjonalności, bo – Mrówiec ściszył nieco głos – dziwnie na mnie patrzą.

Polkowska wstała z ławki i ruszyła w kierunku szczytu wzniesienia. Najkrótsza droga stąd wiodła właśnie tamtędy.

– Przypilnuj na razie, żeby ta torebka została jak najszybciej zabezpieczona, spróbuję ją zabrać do Władzia. – Przeszła kilka kroków i nagle wśród skał obok kamieniołomu dostrzegła wąską rozpadlinę. – Myślisz, że nurkowie obsługują też jaskinie?

– Co? – Mrówiec się zgubił.

– Nic. – Zmierzała już ku wąskiemu wejściu do mrocznej czeluści skalnego wykrotu. – Zaraz do was zejść.

Ewa właściwie nie знаła swojego ojca. Odszedł wprawdzie, kiedy mama była w ciąży z Tomkiem, czyli ona miała już pięć lat, ale wcześniej bywał w domu raczej rzadkim gościem. Zatrudniał się na budowach – im dalej od domu, tym lepiej, a kiedy akurat nie pracował w Rzeszowie albo innym Szczecinie, zajmował się głównie przepijaniem pieniędzy zarobionych w ostatniej robocie. Ewa nie znała go też i dlatego, że po prostu znać go nie chciała, immunologia jej pamięci szczyściła go nieomal idealnie, pozostawiając jednak po nim wielką, pustą przestrzeń, której dziewczyna nijak nie potrafiła zapełnić w swoim życiu. Nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, ale zapewne jej poszukiwania duchowe, poczucie ciągłego braku sensu, atrofii woli i ogólne zagubienie wynikało właśnie z tego braku.

– Mamo – zagaiła, nie mając pojęcia, o co właściwie zapytać.

– No? – Bożena od pół godziny stała przy kralajnicy do wędlin, która z jakiegoś powodu tego ranka odmówiła współpracy.

– Opowiesz mi o ojcu? – Pytanie nadeszło szybciej niż myśl, bo ta pewnie by je ocenzurowała.

Kobieta odwróciła się do córki tak gwałtownie, że omal nie zrzuciła na podłogę rozmontowanej kralajnicy.

– Co?

– No o tacie... zanim... Kiedy go pokochałaś? – Ewa próbowała skonkretyzować swoje pytanie, ale nie bardzo wiedziała jak.

– Po co? – zdziwiła się Bożena.

– Po co? – Tak naprawdę nie wiedziała po co. Pytanie zadane matce zrodziło się bardziej w jej sercu niż w głowie. – Nie wiem, po prostu chciałabym wiedzieć, skąd jestem.

– Za wiele go nie było w twoim życiu, z niego akurat masz niewiele. – Bożena zamyśliła się na moment, nie chciało jej się sięgać do tamtych wspomnień. – Kiedy go pokochałam, był przystojny, bezpośredni, wydawał mi się prawdziwszy od innych, inteligentniejszy. Miał też w sobie jakąś tajemnicę, coś, co mnie zaciekawiało. – Przerwała. Przypomnienie sobie tego, co zafascynowało ją w człowieku, który okazał się jedną wielką porażką, nie należało do łatwych rzeczy. Wyrządzone przez niego zło grubą warstwą przykryło wszystko to, co dawniej stanowiło o jego zaletach.

– A później? – Ewę ciekawiło właśnie to, co stało się w momencie, gdy dobro zaczęło przekształcać się w swoją antynomię.

– Później... – Bożenie nigdy nie udało się zlokalizować tego momentu. – Myślę, że później sobie z tym nie poradził. To coś, co z niego emanowało, czyniło go interesującym, musiało mieć jakieś źródło w środku i być wyrazem czegoś, co w nim było, tyle że on chyba nigdy tego nie znalazł. Może nie miał dość siły, może nie uwierzył, że to gdzieś jest... Nie wiem, Ewuś. Później się rozpił, wyjeżdżał, znikał, a ja wolałam już, żeby go nie było, niż żeby był.

– A jak mnie traktował? Czym byłam dla niego? – Ewa zadała w końcu to najważniejsze pytanie.

– Wiesz, jak bardzo go nie lubię za to, co mi zrobił, jak bardzo żałuję, że kiedykolwiek się z nim wdałam w cokolwiek, ale jednego nigdy mu nie odbiorę. – Bożena spojrzała jej prosto w oczy. – Dla ciebie był zawsze bardzo dobry, widział w tobie swoje największe życiowe osiągnięcie.

– To czemu poszedł? – Dziewczyna powoli dochodziła tam, dokąd bardzo dojść nie chciała.

– Nie mam pojęcia. – Kobieta, widząc, co dzieje się z jej córką, wstała i podeszła do kuchennego blatu. Tylko w ten sposób mogła wymusić koniec rozmowy, która okazała się zbyt trudna dla nich obu. – Może chciał pić bez jakiegokolwiek kontroli...

Ewa wstała od stołu i ruszyła do swojego pokoju. Tak, to był odpowiedni moment, żeby skończyć tę rozmowę.

– A może chciał, żebyś miała chociaż trochę dobrych wspomnień na jego temat. – Usłyszała jeszcze w progu.

Kiedy zakopał skrzyneczkę pełną skarbów pod swoją ulubioną brzozą, obok innych schowanych już tam wcześniej rzeczy, Sławomir poczuł ulgę, ale jednocześnie z drugiej, tej bardziej racjonalnej strony, która lubiła mieć nad wszystkim pieczę i wszystko w pełni kontrolować, wzmógł się jeszcze bardziej jego niepokój. Czyżby jednak czegoś nie przypilnował? Wiedział z prasy, że zwłoki Zuzy zostały odnalezione już następnego dnia po tym, jak ją zamordował. To jednak nie było dla niego żadną niespodzianką, nawet więcej, stanowiło element przewidzianego planu. Celowo nie ukrywał tym razem zwłok ani żadnego ich fragmentu, więc ich odnalezienie nie mogło być dla niego zaskoczeniem ani tym bardziej powodem do niepokojów. Co zatem? O co chodziło? Dlaczego po raz pierwszy, od momentu, kiedy zabił, odczuwał wyraźny psychiczny dyskomfort, chwilami przechodzący nieomal w lęk? Czyżby realizacja planu jednak go przerażała? A może właśnie zaczął bać się samego planu, choć opracowywał go przez lata z taką pieczołowitością? Po powrocie do domu na skarpie, gdzie zamierzał spędzić całe popołudnie i zapewne noc – tym bardziej że zaprosił kilku kolegów, z którymi od zawsze łączył przyjemne z pożytecznym, co w tym wypadku oznaczało picie whisky przy jednoczesnym omawianiu planów politycznych i biznesowych na najbliższą i dalszą przyszłość – od razu odpalił komputer. Następnie połączył się z siecią, używając modemu telefonu komórkowego ze świeżo odpakowaną kartą kupioną na Allegro. Z wyjątkową tym razem starannością przeszedł przez wszystkie szczeble ukrywania tożsamości, a kiedy był już nie wiadomo kim, nie wiadomo skąd, w wyszukiwarce Google'a wstukał hasło „zabójstwo pod Suchedniowem”. Nie interesowało go, co odkryto w lesie, bo to akurat doskonale wiedział, szukał raczej informacji na temat tego, kto zajmuje się śledztwem. Kiedy po dziesięciu minutach miał na pulpicie zdjęcie Agnieszki i cały opis jej dotychczasowej kariery, który znalazł w wywiadzie udzielonym przez nią przed kilku laty internetowemu wydaniu lokalnej gazety „Echa Dnia”, uśmiechnął się do własnych myśli. Realizacja planu najwyraźniej nie wykazywała żadnych odstępstw.



Agnieszka nie zeszła do nurków, ponieważ udało jej się bez ich pomocy wślizgnąć przez wąską szparę do wnętrza czegoś, co było za małe, by nazwać to jaskinią, a zbyt obszerne, by być po prostu skalną rozpadliną. Świecąc sobie telefonem, przebrnęła kilka metrów usianych śmieciami i dotarła do kolejnego załomu, deptając po zapewne ludzkich ekskrementach, bo nijak nie dało się ich ominąć. Już w trakcie peregrynacji przez kupy Agnieszka zastanawiała się, po co właściwie to robi i co ją podkusiło, żeby wcisnąć się w miejsce, które nie rokowało niczym oprócz perspektywy długotrwałego wydłubywania resztek kału spomiędzy zagłębień w podeszwach jej kozaków. Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie, ale gdy zaświeciła poza załom skalny, gdzie nie wchodzili już poszukiwacze leśnych toalet, odpowiedź nasunęła się sama. W głębi mrocznej otchłani coś odbijało światło. Tym czymś był fragment ludzkiej czaszki.

Władzio dotarł do Bielawy po czterech godzinach, co oznaczało, że choć przez telefon wydawał się oporny, to wyruszył natychmiast po zakończeniu rozmowy i z całą pewnością nie jechał zgodnie z przepisami. Misiak, którego Agnieszka poinformowała, kiedy Władzio był już w drodze, początkowo wydawał się zły, że rzeczy dzieją się za jego plecami, jednak zważywszy, że sam też zjawiał się na miejscu godzinę po Wilczyńskim, złość musiała mu szybko minąć. Ściągnięcie kryminalistyka ze Skarżyska nie było zgodne z procedurami, ale Polkowska w miarę możliwości starała się mieć wszystko pod kontrolą. Na szczęście ani ekipa z Wrocławia, ani sprzyjający jej komisarz Woronowicz z Kielc na razie nie sprzeciwiali się jej decyzjom. Kiedy Władzio po przebrnięciu przez wąski przesmyk, usiany fekaliami, dotarł do jamy, w której znajdował się szkielet i – jak się okazało – miejscami całkiem niezłe zabalsamowane fragmenty skóry, Agnieszka była już w drodze do Starego Paczkowa. Z jaskini zabrała znaną przy czasie zieloną spinkę do włosów ze stokrotką, a Woronowicz pożyczył jej torebkę i kartę kredytową wyłowione w stawie cegielni u podnóża góry. W ostatnim czasie Agnieszka po raz trzeci wchodziła w rolę posłańca bardzo złej nowiny. Wcześniej właściwie udawało jej się unikać takich sytuacji. Do rodzin zmarłych czy zamordowanych jeździli koledzy z krótszym stażem. Stanowiło to rodzaj chrztu bojowego, który wszyscy musieli przechodzić, wszyscy oprócz niej, a przynajmniej aż do tej pory. Teraz zeznania rodziców ofiar były jednak na tyle dla niej ważne, że o unikaniu tej niezwykle przykrych procedury nie mogło już być mowy. Nie tylko zresztą o zeznania chodziło, ale także o coś więcej. Komisarz Polkowska całą tę sprawę zaczynała traktować osobiście, prawdopodobnie zbyt osobiście.

Gdy w oddali zobaczyła upstrzoną dziwnymi wypustkami wieżę kościoła w Ząbkowicach Śląskich, Iwona z GPS poinformowała ją właśnie, że za osiemset metrów będzie musiała skręcić w lewo. Do Paczkowa zostało jeszcze według jej wyliczeń około dwudziestu minut. Agnieszka zastanawiała się, dlaczego właściwie tę sprawę traktuje tak osobiście. Niewątpliwie była to najpoważniejsza z tych, z jakimi przyszło jej się mierzyć w czternastoletniej karierze policjantki, ale nie chodziło tylko o to. Czyżby krążąca gdzieś wciąż z tyłu głowy myśl o Joli, która miała właśnie tyle lat, ile wszystkie odkryte do tej pory ofiary, sprawiała, że Agnieszka tak bardzo się zaangażowała? W torebce zadzwonił telefon. Agnieszka, starając się nie stracić kontaktu z drogą, sięgnęła do torby i wykorzystując fakt, że telefon na szczęście ustawiony był także na wibracje, po chwili wyciągnęła go w oplocie tasiemki od kluczy do mieszkania zmiksowanej z foliową torebką po chusteczkach higienicznych. Na wyświetlaczu pojawił się numer, którego nie знаła. Po chwili wahania odebrała. Kiedy wreszcie zerknęła na wyświetlacz, zobaczyła nieznaną numer. Po chwili wahania odebrała.

– Halo. – Po drugiej stronie odezwał się sympatyczny niski głos. – Czy rozmawiam z panią komisarz Agnieszką Polkowską?

– Tak. – Dojeżdżała do skrzyżowania, na którym miała skręcić w lewo. – A kto mówi?

– Redaktor Walicki, „Echa Dnia”, Skarżysko. – Męski głos oprócz tego, że ujmujący, miał w sobie coś jeszcze, czego nie umiała nazwać. – Piszę artykuł o sprawie zabójstwa Zuzanny Kołodziejczyk i chciałbym zadać pani kilka pytań.

– Nie udzielam żadnych informacji. – Skręciła w lewo i trochę zwolniła, bo głos i ten dziwny

telefon zaczynały ją coraz bardziej frapować. – Przecież wiecie, że w takich sprawach należy kontaktować się z naszym działem prasowym.

– Wiemy, wiemy, ale pomyślałem, że może zechce pani jednak uchylić rąbka, jak to się mówi.  
– Redaktor musiał się uśmiechnąć, usłyszała to w jego głosie. – Taka wiadomość z pierwszej ręki to zawsze bardziej medialne.

– Rozumiem, ale teraz nie będzie bardziej medialne. – Agnieszka oddaliła telefon od ucha i spojrzała raz jeszcze na wyświetlacz, jakby w nadziei, że numer cokolwiek jej wyjaśni. – Jeszcze raz, jak pan się nazywa?

Przez chwilę po drugiej stronie trwało milczenie.

– Halo? Słyszysz mnie pan? – Zatrzymała się na przystanku autobusowym.

– Oczywiście, że panią słyszę. – Głos mężczyzny nagle zupełnie się zmienił. Teraz nie brzmiał już ujmująco, było w nim wyłącznie to coś, czego wcześniej Agnieszka nie mogła nazwać, a co teraz nazwała bez trudu: przerażający stalowy chłód, kojarzący się jej z zaszronioną halą z sennego koszmaru. – Proszę na siebie uważać i do zobaczenia, pani komisarz.

Połączenie zostało zerwane, a Agnieszka przez dobrą chwilę nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Dotarło do niej właśnie, że rozmawiała najprawdopodobniej z człowiekiem, który tnie na żywca dziewiętnastoletnie dziewczyny. Z otępienia wyrwał ją klakson autobusu. W lusterku wstecznym zobaczyła kierowcę czekającego, aż przestanie tarasować przystanek. Komisarz wrzuciła jedynekę, przejechała kawałek dalej, włączyła światła awaryjne, przekręciła kluczyk w stacyjce i wybrała numer. Mrówiec odebrał dopiero po kilkunastu sygnałach.

– Natychmiast sprawdź, skąd łączył się do mnie numer o – oddaliła na moment telefon od twarzy – czternastej osiem, może siedem!

– Muszę przez operatora, pewnie bez Nowińskiego się nie obędzie, wiesz, jaki on jest...

– Nie ma czasu na Nowińskiego i jego fochy! Wał prosto do operatora, powołaj się na tych z wojewódzkiej, zrób cokolwiek. Musimy mieć lokalizację tego numeru.

Aspirant, słysząc urywany głos Polkowskiej, w pierwszej chwili posądził ją o atak hiperwentylacji.

– Co się stało? – zapytał nagle zupełnie innym tonem.

Przez chwilę nie nadchodziła żadna odpowiedź, Agnieszka, która wciąż siedziała za kierownicą, zaczęła nerwowo rozglądać się na boki. Po chwili pochyliła się i ze schowka na rękawiczki wyciągnęła glocka w czarnej materiałowej kaburze. Chłód stali trochę ją uspokoił.

– Słyszysz mnie?! – Z leżącego teraz na siedzeniu obok telefonu głos Mrówca dochodził jakby z innego pomieszczenia.

Komisarz wyciągnęła broń z kabury i położyła ją sobie na kolanach, po czym sięgnęła po komórkę. Zza bocznej szyby przyglądała jej się wyraźnie zaciekawiona staruszka.

– Zadzwoił do mnie. – Agnieszka powiedziała powoli, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie w pełni to, co zaszło.

– Kto? – zapytał zaskoczony Piotr. Nie zabłysnął specjalnie, ale zważywszy na sytuację, miał do tego prawo.

– On. – Próbowała znaleźć słowo, które odrobinę lepiej określałoby mężczyznę podającego się za redaktora. – Psychopata, chuj, seryjny, morderca dziewczyn, to bydlę zadzwoniło do mnie... Kadzidło! Rozumiesz?!

– Rozumiem, uspokój się – odparł Mrówiec i zamilkł, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć. – Skąd wiesz?

– Bo wiem i już. – Widząc rosnące zainteresowanie teraz już całej grupki starszych ludzi, przyglądających jej się zza szyby auta, Agnieszka włożyła glocka między nogi. To poskutkowało, bo ciekawość została teraz wyparta przez zgorszenie. Staruszkowie rozeszli się, kręcąc głowami z dezaprobatą. – Załatwiał tę lokalizację, natychmiast!

Domy w Paczkowie, typowej poniemieckiej wsi, wyglądały atrakcyjnie, o ile nie dotknęła ich powojenna, PRL-owska i późniejsza jeszcze ingerencja. Właśnie w jednym z takich niezmiennych od osiemdziesięciu lat budynków mieszkała ciotka Marii Suzin, która była jej jedyną rodziną. To ona cztery lata temu zgłosiła zaginięcie dziewczyny i w przeciwieństwie do rodzin innych ofiar nigdy więcej nie zadała już nikomu żadnych pytań w tej sprawie. Wnętrze mieszkania, a właściwie raczej alkoholowej speluny Bronisławy Suzin wyjaśniało wiele w kwestii kompletnego braku zainteresowania dalszymi losami bratanicy. Pani Bronisława nie pamiętała tego, co działo się przed dwiema godzinami, więc sięgnięcie w odmęty przeszłości sprzed czterech lat było zdecydowanie ponad jej siły. Kobieta nie pamiętała, w jakich okolicznościach zniknęła Marysia, o której wyrażała się z ogromną czułością, choć nie potrafiła nawet odtworzyć jej ówczesnego wyglądu. Na szczęście gdzieś między walającymi się w dwóch izbach rzeczami Agnieszka znalazła książeczkę do nabożeństwa z wpisem proboszcza o nazwisku Malanowicz. Bronisława mogła nie pamiętać, jak wyglądała jej bratanica, którą zajmowała się od czasu tragicznej śmierci jej rodziców zaczadziłych po jednej z wielodniowych alkoholowych libacji, mogła nie pamiętać, co robiła cztery lata temu i przed dwiema godzinami, ale nie mogła nie pamiętać, że wpisany do książeczki do nabożeństwa proboszcz Malanowicz nadal pełnił tę samą funkcję w kościele Wszystkich Świętych. Nic jednak więcej ponad to nie była w stanie powiedzieć o Marysi, więc gładko przeszła do fazy narzekania na swój los, wyraźnie dążąc do wyrażenia prośby o finansowe wsparcie. Do tej fazy jednak nie dotarły, bo Agnieszka w porę pożegnała się i wzięwszy ze sobą jedyną pozostałość po dziewczynie znalezionej w załomie skalnym pod Bielawą, jaką stanowiła jej książeczka do nabożeństwa, z ulgą wyszła z meliny i zaciągnęła się głęboko powietrzem wolnym od odoru alkoholu i ekskrementów. Wieże krytego jasnoszarą blachą, ceglanego poniemieckiego kościoła, zapewne dawniejszego protestanckiego zboru, górowały nad okolicą. Traf chciał, że kiedy dojechała na przykościelny parking, ksiądz proboszcz Malanowicz szedł akurat z kościoła w kierunku zakrystii.

– Proszę księdza! – Agnieszka zdała sobie sprawę, że tego zwrotu nie używała od tak dawna, że jej aparat mowy miał już nawet problem z jego wyartykułowaniem.

– Słucham? – Proboszcz zatrzymał się, odwrócił i spojrział na nią nieufnie.

– Nazywam się Agnieszka Polkowska, jestem komisarzem policji ze Skarżyska-Kamiennej i poszukuję proboszcza Malanowicza.

– To kawał drogi – zauważył przytomnie.

– Owszem. – Uśmiechnęła się, bo lubiła przytomnych ludzi. – Prowadzimy dochodzenie w sprawie seryjnego zabójcy, który jedno z morderstw popełnił w rejonie Skarżyska.

– A inne? – Nadal nie zawodził.

– A inne w różnych miejscach, między innymi prawdopodobnie w okolicy Bielawy.

– To też kawałek. – Teraz on się uśmiechnął, bo również lubił przytomnych ludzi.

– Tak. – Agnieszka pokiwała głową i nie spuszczać z niego wzroku, dodała: – Ale jego prawdopodobna ofiara nazywała się Maria Suzin...

Agnieszka zerknęła na proboszcza. Moment pierwszej reakcji był zawsze bezcenny. Nie podejrzewała księdza bezpośrednio, ale trochę z nawyku tak naprawdę podejrzewała wszystkich, a przynajmniej tych spośród wszystkich, którzy mieli wcześniej styczność z ofiarą.

– Pamiętam Marysię. – Ksiądz posmutniał. – Szczerze mówiąc, odkąd zniknęła, żyłem nadzieją, że po prostu uciekła do innego życia.

– W pewnym sensie tak się stało, zdaje się, przynajmniej podług wykładni, której pan hołduje.  
– Agnieszka pozwoliła sobie na tę odrobinę sarkazmu tylko dlatego, że ksiądz należał do przytomnych ludzi.

– Oczywiście, taką mamy nadzieję. Szkoda tylko, że nie mogła choć trochę nacieszyć się życiem doczesnym. Jak to się stało?

– Tego nie wiem. – Spojrzała na niego z wahaniem. – To znaczy trochę wiem, ale niewiele. Zginęła z ręki kogoś, kto morduje w wyjątkowo bestialski sposób. Nie mam natomiast pojęcia, co dzieje się wcześniej. Wszystkie ofiary związane są z religią, najczęściej bardziej niż przeciętni obywatele tego kraju... Ale jak morderca do nich dociera, jak je uwodzi, czym do nich przemawia, w jaki sposób porywa, tego nie wiem.

– Marysia spędzała w kościele bardzo dużo czasu. – Malanowicz się zafrasował. – Wtedy myślałem, że po prostu ukrywała się tutaj przed ciotką, wcześniej przed rodzicami, straszna patologia... Choć z drugiej strony dla kogo innego, jak nie dla takich ludzi jesteśmy?

– Czy jej żarliwość przejawiała się jeszcze inaczej albo czy może ksiądz ma jakiś pomysł? Może ktoś kręcił się w jej otoczeniu... – Agnieszka zatrzymała się, bo dotarło do niej, że jej pytania są mało konkretne, wręcz trochę chaotyczne. – Nie wiem, gdzie szukać, a boję się...

– Że on znów zamorduje, zanim go pani znajdzie. – Ksiądz pomógł jej dokończyć.

Pokiwała głową. Przez chwilę oboje milczeli, prawdopodobnie zastanawiając się nad marnością tego świata.

– Tutaj nie umiałbym nikogo wskazać, wszyscy się znamy, ludzie są różni, ale seryjnego mordercy nie ma wśród tutejszych mieszkańców. – Na twarzy proboszcza pojawił się delikatny uśmiech. – Jeździła na spotkania oazowe do Ząbkowic, może tam niech pani zapyta? Przyjeżdżali różni prelegenci, kaznodzieje, a to musi być raczej ktoś, kto dużo jeździ, prawda?

Komisarz przytaknęła i uśmiechnęła się do niego, ludzie przytomni mózół życia czynili jednak bardziej znośnym.

– Może wejdzie pani na herbatę? – Wskazał w kierunku prowadzących na plebanię schodków, otoczonych pobielanym murkiem. – Opowiem trochę więcej o Marysi, może się przyda.

Zgodziła się. Ostatni raz na plebanii była osiemnaście lat temu, a z mądrym i po ludzku ciepłym księdzem rozmawiała chyba w poprzednim życiu. W czasie miłej herbaty u proboszcza dowiedziała się jeszcze, że Marysia często spała u ludzi, bo czasem po prostu nie mogła wrócić do domu. Jej jedynym marzeniem było znaleźć w życiu kogoś, kto dałby jej normalność. Świadomość, że za jutrzeńkę normalności młoda, religijna i strasznie samotna dziewczyna wzięła psychopata, który następnie pociął ją żywą na kawałki, znów przerosła Agnieszkę. Kiedy wyszła od księdza, była tak wściekła, że gdyby spotkała tego człowieka, zastrzeliłaby go jak psa, nawet o nic nie pytając. Traf chciał, że przynajmniej część jej wściekłości skupiła się na

Mrówcu, gdy ten zadzwonił do niej, wciąż przejęty wiadomością o telefonie od Kadzidla.

– Namierzyliśmy numer – zaczął pełen entuzjazmu. – Facet logował się do sieci dwadzieścia minut przed telefonem do ciebie, zadzwonił w kilka miejsc, w końcu na twój numer, a potem od razu się wylogował i na razie nie ma śladu, ale...

– Gdzie?! – Agnieszka wciąła się brutalnie.

– W Radomiu – odparł zaskoczony aspirant. – Czemu krzyczysz?

– Bo opowiadasz mi jakieś gówno ważne szczegóły, a nie mówisz rzeczy podstawowej!

– Nie gówno ważne, bo to, gdzie dzwonił, może nas do niego doprowadzić.

– Nigdzie nas nie doprowadzi. – Agnieszka spuściła trochę z tonu. – On wszystko pozoruje.

– No nie wiem. – Mrówiec nie tracił wiary. – Ustaliliśmy też gościa z Allegro, który sprzedał mu karty. I teraz najważniejsza sprawa, gość też jest z Radomia.

Ta informacja rzeczywiście trochę ją poruszyła. Przyszło jej do głowy, że może Kadzidło poczuł się zbyt pewnie, a może, co też nie zdarza się rzadko w takich przypadkach, znudził się już anonimowością i teraz w swojej megalomanii dąży do konfrontacji. O niczym innym nie marzyła teraz tak bardzo jak o tym.

Kielce w osobie komisarza Woronowicza porozumiały się z komendą wojewódzką w Radomiu i jeszcze tej samej nocy dwunastu antyterrorystów, działając w typowy dla siebie spektakularny sposób, zatrzymało kompletnie nieświadomego Marcina Wójcika, alias Wojti, w jego mieszkaniu przy Łokietka. Tak naprawdę handel kartami prepaidowymi zarejestrowanymi na siebie, choć zabroniony, to jednak z całą pewnością nie stanowił wykroczenia na tyle poważnego, by do akcji wprowadzać pluton AT, nie dawał też żadnej podstawy do zatrzymania. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że Wójcik nie ma ze sprawą seryjnych morderstw najprawdopodobniej nic wspólnego, ale dla dobra prawnej papierologii prokurator wpisał mu podejrzenie o współudział. Agnieszka, która dojechała do Radomia przed siódmą rano, tej nocy nie spała ani minuty. Najpierw po herbacie u proboszcza z Paczkowa wróciła do koszarnej meliny, w której mieszkała Bronisława Suzin, i na prośbę Władzia pobrała od niej włosy i fragmenty naskórka potrzebne do identyfikacji DNA ofiary. Tym razem ciotka Bronisława była już w tak złym stanie, że opuściły ją wszelkie skrupuły i Agnieszka za włosy i naskórek musiała jej zapłacić ćwiartką wódki. Później pojechała jeszcze do Ząbkowic, gdzie w kościele pod wezwaniem świętej Marii dowiedziała się, że dziewczyna rzeczywiście często tam bywała i należała nawet do Katolickiego Bractwa Młodzieży, w którego spotkaniach brała czynny udział. Siostra Melpomena pamiętała ją bardzo dobrze, bo Marysia pomagała często w sprzątaniu kościoła i przygotowywaniu bukietów do ustrojenia ołtarza. W jej wspomnieniach pojawiała się jako osoba niezwykle delikatna i nadwrażliwa, łatwo się wzruszała, a jednocześnie była zamknięta i nosiła w sobie, jak wyraziła się siostra, „piętno smutku”. Przed zniknięciem Marysia zaczęła się jednak zmieniać, na jej twarzy częściej gościł uśmiech, zrobiła się też bardziej rozmowna i dbała o wygląd zewnętrzny – wyładniała. Komisarz ożywienie i uśmiech skojarzyły się ze wspomnieniami rodziców na temat ostatniego okresu życia Zuzy. Najwyraźniej Kadzidło, zanim pokroił dziewczyny żywcem, rozkochiwał je w sobie, a może nawet, co gorsza, sam się w nich zakochiwał.

Po spotkaniu z siostrą Melpomeną Agnieszka zameldowała się w ładnie odrestaurowanym Hotelu Śląskim, ale po kilku godzinach bezskutecznych prób zaśnięcia opuściła go o trzeciej nad ranem. Wcześniej, kiedy przewracała się jeszcze z boku na bok i udało jej się choć na chwilę

wejść w stan półdrzemki, od razu wybudzał ją telefon od Mrówca, który chciał podzielić się z nią kolejnymi przemyśleniami. W ciągu dnia ustalił, że Kadzidło po rozmowie z nią zadzwonił jeszcze do hurtowni budowlanej i do sklepu z farbami w Radomiu, więc aspirant był już gotów sprawdzić wszystkie pozwolenia na budowę, wydane w ostatnim czasie w tym mieście. Agnieszka powstrzymała go jednak przed podjęciem tak daleko idących działań, najpierw należało przesłuchać Wojtiego.

Gdy cztery godziny później przyjechała pod zwalisty i pomalowany prawdopodobnie dla podkreślenia pełnionej funkcji na różne odcienie niebieskiego gmach mazowieckiej komendy wojewódzkiej, słońce akurat wyłaniało się nad horyzont.

Sławomir po odbyciu kolejnych owocnych spotkań z potencjalnymi sponsorami fundacji i po wykonaniu kilku telefonów z użyciem serii kart nabytych rok wcześniej od Wojtiego wrócił z Radomia bardziej niż zadowolony. Wiedział doskonale, że wszystkie siły policji zostaną skierowane teraz na miasto, do którego w najbliższym czasie nie zamierzał się wybierać i z którym oprócz krótkich biznesowych wypadów nic go nigdy nie łączyło. Martwiło go jedynie, że właśnie zużył pierwszy z obmyślonych już zawczasu ślepych torów, choć nie był wcale do końca przekonany, czy sytuacja rzeczywiście tego wymagała. Nie miał po temu właściwie żadnych racjonalnych przesłanek, a jedynie to cholerne przeczucie, częściowo zweryfikowane rozmową z komisarz Polkowską. Owa konwersacja właściwie nic szczególnego nie wniosła, ale Sławomir jako człowiek arcyinteligentny potrafił bezbłędnie oceniać błyskotliwość rozmówców, szczególnie jeśli byli jego antagonistami, a Agnieszkę uważał teraz za antagonistkę bardziej niż kogokolwiek na świecie. Reasumując, policja została wyprowadzona w pole, bo choć komisarz Polkowska wprowadzie raczej nie utknie w Radomiu na dłużej niż kilka dni, to już jej mniej lotni przełożeni owszem, a to w końcu oni zdecydują o tym, dokąd śledztwo odpłynie w najbliższym czasie. Na jego szczęście świat był skonstruowany w taki sposób, że bardzo często decyzję o tym, dokąd powinien zmierzać, podejmowali ludzie mniej błyskotliwi od tych, którzy potem z mozołem i poczuciem zmarnowanego czasu wykonywali polecenia tamtych. Wydarzenia biegły zgodnie z planem, a jedyne, co niepokoiło Sławomira, to fakt, iż nabierały zbyt dużego tempa i w pewnym momencie mogły mu utrudnić zrealizowanie całego planu, który na razie przewidywał pokonanie, a właściwie skonsumowanie kolejnego etapu peregrynacji, czyli Ewy. Wszystko jednak, co do tej pory się wydarzyło – ślepy tor, rozmowa z Polkowską, a bardziej jeszcze nieopuszczające go poczucie kurczącego się czasu – zmusiło go do tego, by nadać sprawom przyspieszony bieg. W poprzednich przypadkach od momentu nawiązania relacji przez internet do spotkania mijały długie miesiące. Sławomir pojawiał się parokrotnie, a potem na jakiś czas znikał, by wywołać w swoich ofiarach tęsknotę i lęk przed tym, że już więcej się nie pojawi. Teraz owe miesiące musiały skurczyć się do kilku tygodni, co na szczęście było mu na rękę o tyle, że spotkanie Ewy wywołało w nim ekscytację tak intensywną, jakiej nie doznał nigdy do tej pory. Od momentu, kiedy zobaczył ją w kawiarni, nie przestawał o niej myśleć. Doszło już nawet do tego, że w nocy poprzedzającej wyjazd do Radomia przez ponad godzinę nie mógł zasnąć, co było w jego wypadku rzeczą absolutnie niespotykaną i bezwzględnie nieakceptowalną. A co najgorsze, w czasie ostatniego spotkania trzeźwy tym razem Siewa zapytał go, dlaczego jest taki podenerwowany. Nikt nigdy nie zadał mu dotychczas takiego pytania. Ludzi, którzy go znali, wręcz przerażał fakt, iż w sytuacjach maksymalnego napięcia, w momentach, kiedy coś wymykało się spod kontroli, był spokojniejszy nawet niż wtedy, gdy nic się nie działo.

– Ja nie *nerwny*, normalny jestem, co ty się czepiasz? – Sławomir kątem oka zerknął w lustro powieszony w korytarzu prowadzącym do drzwi.

– *U nas kakije to prablemy?*

– Nie, nie mamy żadnych problemów, *wsio w pariadkie*, Siewa. Wasi z partii Zmiana już wyszli na wolność. Chyba zauważyłeś?



– *Kanieszno ja zamietil, kanieszno.* – Garugin sięgnął do swojej teczki, chwilę w niej gmerał, aż w końcu wyciągnął kartkę w kratkę. – *Zdies' ja napisał, szto tiebie nada kupit' zawtra na obmieniu w Ciurichie.*

– Dzięki, Siewa.

– *Wawsie niet, wawsie niet.* – Rosjanin przyglądał się teraz kobiecie, która dosiadła się do mężczyzny w modnym, czyli za krótkim i za wąskim garniturze, dwa stoliki dalej. – *Den'gi tożę połuczysz zawtra.*

Sławomir kątem oka zauważył, że namolne wgapianie się jego towarzysza w dziewczynę o ładnych nogach w opiętych satynowych spodniach nie umknęło uwadze mężczyzny w ciasnym garniturze.

– Siewa. – Dotknął delikatnie ramienia Rosjanina, dopiero to spowodowało, że ten zwrócił się do niego.

– *Szto?*

– *Nie nada.* – Skinieniem głowy wskazał w stronę pary przy stoliku na końcu sali.

– *Nada.* – Siewa wstał i ruszył w ich stronę.

Sławomir ciężko westchnął, schował karteczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym wstał i ruszył w tę samą stronę, co Garugin, by załagodzić skutki jego niesubordynacji.

Ewa czekała cały poprzedni dzień, ale Adam nie odezwał się ani razu. W związku z tym dzień dzisiejszy nie należał do najbardziej udanych w jej życiu. Na uczelni, gdzie normalnie należała do grona najaktywniejszych, w czasie wykładu z historii Kościoła w starożytności, który choćby ze względu na enkratyków powinien bardzo ją interesować, była osowiała i nie wiedziała nawet, o czym mówił profesor Mirski. Jej myśli przez cały czas wędrowały daleko, ale nie zapuszczały się w sferę marzeń, a raczej w rejony mrocznych przeczuć i ogólnego zniechęcenia. Pogoda za oknem nie sprzyjała zresztą marzeniom. Ciemnoszare chmury nad dachami budynków kampusu przy Wójcickiego zdawały się wisieć już tak nisko, że niemal zgniatały dachy. Gdy wykład się skończył, wpatrzona w szarugę za oknem Ewa nawet tego nie zauważyła. Z zamyślenia wyrwał ją nagle głos profesora.

– Pani Ewo. – Mirski stał tuż obok jej ławki. – Czy coś się dzieje, mogę jakoś pomóc?

Od początku studiów miała z profesorem Zygmuntom Mirskim bardzo dobre relacje, skupione co prawda jedynie na wymianie wiedzy, ale i tak wykraczające poza standard relacji student–profesor. On lubił ją bardzo, bo była żądna wiedzy, ciekawa świata i wrażliwa, ona lubiła go za to, że zaspokajał jej ciekawość, a przy okazji był empatyczny.

– Nie, nie, tylko ta jesień trochę męczy. – Zawstydzona Ewa spojrzała na profesora.

– Jej największą zaletą, pani Ewo, jest to, że po niej nie następuje jesień. – Mężczyzna uśmiechnął się serdecznie. – Ona zaraz się skończy, potem zima wprawdzie, ale zima to biel śniegu i oczyszczający mróz. Będzie dobrze, właściwie już jest dobrze, najgorsze za nami, pani Ewo.

Przez moment przyglądała się Mirskiemu, aż w końcu pokiwała głową, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– O, proszę, i już się kończy. – Profesor zareagował z typową dla siebie urokliwą błyskotliwością, charakterystyczną dla niektórych ludzi starej daty.

Ewa sięgnęła po torbę przewieszoną przez poręcz krzesła, z której na zajęciach nie wyjęła nawet notesu, wstała i ruszyła do wyjścia. Miała przed sobą jeszcze lektorat z łaciny, później sto czternaście do placu Wilsona, tam przesiadka i o szesnastej zaczynała pracę na Nowym Świecie. Może gdy tam dojedzie, coś się zmieni, może ktoś przyjdzie, na przykład mężczyzna o stalowoszarym spojrzeniu. Było już lepiej, profesor Mirski potrafił czynić cuda.

Poza tym to przecież teologia, więc cuda są tu na wyciągnięcie ręki, cudami się zajmujemy, w cuda wierzymy, między innymi po to tu jestem – Ewa uśmiechnęła się do swoich jak zawsze chaotycznych, ale już znacznie bardziej pozytywnych myśli.

Młodzieniec o długich, skołtunionych włosach, święcie przekonany o tym, że świat należy do niego i że nigdy w życiu nie stanie mu się nic złego, siedział teraz w wymalowanej szarą emulsją sali przesłuchań komendy wojewódzkiej w Radomiu i przyglądał się swoim paznokciom. Kiedy drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i weszła do niej kobieta w opiętych dżinsach i dopasowanej skórzanej kurtce, w towarzystwie zmęczonego mężczyzny z wąsem, Wojti zerknął na nich, ale jego stosunek do świata i własnych paznokci zasadniczo nie uległ zmianie. Dwójkę, która weszła do sali, oprócz wyglądu różniło jeszcze i to, że kobieta w dżinsach była pasjonatką swojego zawodu, a mężczyzna z wąsem do policji trafił trochę z braku pomysłu na cokolwiek innego. Teraz jednak oboje usiedli po drugiej stronie szarego stolika, przykręconego do betonowej podłogi wykruszającymi się śrubami.

– Pan Marcin Wójcik? – Agnieszka położyła przed sobą zamkniętą teczkę akt podręcznych sprawy. Nie zamierzała jej otwierać, bo nie było w niej zbyt wiele, a wszystko, co było, umieściła tam sama.

– Tak. – Chłopak zerknął na nią z lekceważącym uśmieszkiem. – Za co zostałem zatrzymany?

Zamiast odpowiedzieć, przesunęła w jego stronę kartkę z dwoma numerami. Jeden z nich pojawił się w okolicach miejsca zamieszkania i potem zamordowania Zuzy, spod drugiego zadzwonił do niej Kadzidło.

– Rozpoznaje pan te numery telefonu. – Polkowska była zmęczona, więc mówiła wolno, a na jej twarzy nie malowały się żadne emocje.

Wojti zerknął na kartkę z taką samą nonszalancją, z jaką zerkał na nich i na swoje paznokcie.

– Nie. – Uśmiechnął się chłodno. – A powinienem?

– Tak, powinien pan. – Agnieszka powoli zaczynała wchodzić na podwyższone obroty. – Kupił je pan pół roku temu od jednej z sieci komórkowych.

– Możliwe. – Wojti albo nie czuł rosnących obrotów, albo go to na razie nie obchodziło. – Dużo numerów kupuję, bo dużo gadam. Za co tu jestem?

– Za to, że tymi numerami telefonów posługiwał się seryjny morderca młodych dziewczyn. – Miała dosyć nonszalancji młodzieńca z pokolenia Y. – Starczy?!

– Ale co mnie to właściwie? – Chłopak lekko się obruszył i wyszczerzył się do nich w kpiącym uśmiechu.

Agnieszka wstała i stanęła za jego plecami. Komisarz z wąsem obojętnie przyglądał się sytuacji.

– To cię to właściwie – pochyliła się nad pieczołowicie zaniedbaną czupryną włosów Wojtiego – że na razie to ty jesteś głównym podejrzanym w sprawie o potrójne zabójstwo z wyjątkowym okrucieństwem. Dlatego tu jesteś i może się nawet okazać, że spędzisz tu resztę życia. Rozumiesz?

– To chyba jakies jaja! – Chłopak zaśmiał się tym razem trochę nerwowo. – Ja sprzedaję te numery.

– Wiem, że sprzedajesz te numery na Allegro pod pseudonimem Wojti, sprzedałeś tak już

prawdopodobnie około pięćdziesięciu numerów w ciągu ostatnich miesięcy, bo tyle kupiłeś w sieci – mówiła coraz szybciej Agnieszka. Całe zmęczenie już z niej wyparowało, a raczej zniknęło gdzieś pod naporem wściekłości. – To nie zmienia jednak faktu, że na razie te numery są na ciebie, więc weź je, przyjrzyj się, pomyśl i jak sobie przypomnisz, komu i gdzie je puściłeś, to nas wezwij. Tylko szybko, bo potem prokurator może uznać, że sam ich używałeś, a wtedy masz totalnie przesrane, Marcinie!

Komisarz skinęła na towarzyszącego jej policjanta, który w roli słupa reprezentował tutejszą komendę wojewódzką. Choć niezbyt błyskotliwy, jednak zorientował się, o co chodzi, i wstał, po czym oboje ruszyli do wyjścia. Daleko jednak nie doszli, bo Wojti poderwał się z krzesła.

– Te numery to ja wiem, zapamiętuję je zawsze seriami... – Marcin już się nie uśmiechał, już nie interesowały go własne paznokcie, a jego wcześniejszą nonszalancję zastąpił błąd strach.

Sprzedał osiem numerów. Tę wymianę handlową zapamiętał akurat bardzo dobrze, bo była dziwna. Najpierw ktoś wysłał mu mejla na adres dopisany do konta na Allegro, umówili się w radomskim Parku Malczewskiego przy amfiteatrze. Klient od razu poinformował go, że będą kontaktowali się wyłącznie mejlowo. Wojti chciał mu podać swój numer telefonu, ale tamten kategorycznie odmówił. Na miejscu Wójcik zjawił się dokładnie o umówionej godzinie, czyli wpół do dziewiątej wieczorem. Był kwiecień, więc dawno zrobiło się już ciemno. Mniej więcej po pięciu minutach przyszła wiadomość, że pieniądze są za spłuczką w toalecie budynku miejskiego ośrodka kultury. Rzeczywiście je tam znalazł. Zgodnie z kolejną wiadomością miał wrzucić karty do kosza przy budynku i iść do domu. Wojti zrobił, jak kazał tajemniczy kontrahent, po czym rzeczywiście oddalił się, ale tylko za drzewo, skąd mógł obserwować kosz. Był ciekaw, co wydarzy się za chwilę, a przede wszystkim, kto zachowuje się tak dziwnie. Po mniej więcej minucie dostał esemesa, choć nie dał przecież tamtemu swojego numeru. Nie zapomniał tego do końca życia. Kontrahent napisał krótko: „Spierdalaj albo cię zabiję”.

– I co pan zrobił? – Do rozmowy po raz pierwszy włączył się komisarz z wąsem.

– Spierdoliłem. – Wojti spojrzał na niego ze zdziwieniem najzupełniej zrozumiałym dla Agnieszki. – A pan co by zrobił?

– Powiadomiłbym policję?

– Pan jest policja, więc nie musiałby pan nikogo powiadamiać, a ja nie bardzo czułem się na siłach, szczerze mówiąc.

– Poda nam pan wszystkie numery, które mu wtedy sprzedał – odezwała się Polkowska, nie patrząc nawet na niezbyt rozgarniętego policjanta.

– Podam, ale mam je w domu... Będę mógł iść? – zapytał chłopak niepewnym tonem.

Do Agnieszki właśnie dotarło, że znów utknęli w martwym punkcie. Westchnęła cicho i po chwili pokiwała głową.

– Tylko proszę nie opuszczać miasta bez powiadomienia komisarza Piętki. – Wskazała na swojego towarzysza.

Na podstawie wstępnych badań szkieletu Władzio ustalił już na miejscu, czyli w jaskini na Górze Parkowej w Bielawie, że z dużym prawdopodobieństwem należał on do młodej dziewczyny. Dzięki pomocy proboszcza z Paczkowa i sióstr z parafii pod wezwaniem najświętszej Marii Panny w Ząbkowicach udało się dotrzeć do dentysty Marii Suzin. Porównanie uzębienia dało nieomal stuprocentową pewność, którą na wszelki wypadek miały jeszcze potwierdzić badania DNA sporządzone na bazie wycinka ze szkieletu i włosa ciotki ofiary.

Tymczasem w komputerze Bianki, który Agnieszka zabrała od jej rodziców z Nakła, Andrzej odnalazł zapisany fragment czatu między dziewczyną a mężczyzną podpisującym się ksywką Syryjczyk. Dla Agnieszki był to oczywisty sygnał, by wrócić do Tacjana, ale panowie z zespołu powołanego w komendzie wojewódzkiej w Kielcach uznali, iż taki pseudonim może wskazywać na zagraniczny trop w sprawie. Zastanawiali się nawet, czy podciągnąć ją pod zagrożenie terrorystyczne, ale w końcu z niemałym zresztą wysiłkiem jedynemu myślącemu, czyli komisarzowi Woronowiczowi, udało się ich odwieść od tego pomysłu.

– Przecież jeśli ktoś jest tak sprytny, tak perfekcyjnie zaciera za sobą ślady i nazywa sam siebie Syryjczykiem, to z góry wiadomo, że nie ma nic wspólnego z Syrią. – Agnieszka nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Oczywiście, że nie ma, ale jeśli pojawia się cokolwiek, co może wskazywać na konotację bliskowschodnią, z automatu włączają się procedury. – Wiesław wywrócił oczami, choć rozmawiali przez telefon i Polkowska nie mogła tego zobaczyć.

– Oraz dziwne polskie lęki przed terrorystami, uchodźcami i Arabami, słowem przed innymi, których tu zresztą w ogóle nie ma – dodała z irytacją. Z trudem znosiła sytuację, gdy musiała się mierzyć z brakiem inteligencji tudzież, nazywając rzecz bardziej po imieniu, z ludzką głupotą.

– Pewnie właśnie dlatego. Człowiek najbardziej boi się tego, czego nie zna – odezwał się po chwili zamyślony komisarz.

– Co teraz będzie? – Agnieszka martwiła się coraz bardziej o losy śledztwa. Nie dość że najpierw niepotrzebnie weszło w mylną radomską uliczkę, to teraz, zamiast szukać właściwego człowieka, zajęło się tropieniem syryjskich terrorystów wśród uchodźców, których w Polsce nie było.

– Teraz chwilę poszukają wśród napływowych, pewnie w Radomiu, nic nie znajdą i wtedy wrócimy do właściwego śledztwa. – Woronowicz, choć inteligentniejszy od kolegów, to w jednej rzeczy im dorównywał: w rutynie i całkowitym braku emocjonalnego stosunku do sprawy.

– Tylko że my nie mamy czasu – zauważyła Polkowska. – Jeśli zabójca zaczął się z nami bawić, to prawdopodobnie wie, że się do niego zbliżamy, więc będzie się spieszył. Wie pan, co to oznacza? – U niej, w przeciwieństwie do kolegów z Radomia, emocje grały główną rolę.

– Dobrze, postaram się utracić tego Syryjczyka jak najszybciej, ale nic nie mogę obiecać. – Wiesław nie miał stosunku do sprawy, ale szczęśliwie miał stosunek do policjantki ze Skarżyska. Jej zaangażowanie przypominało mu własne sprzed kilkunastu lat.

Agnieszka wpadła w czarną dziurę. Od Misiaka otrzymała wyraźną dyrektywę, żeby na razie

nie grzebać w sprawie, a jeśli cokolwiek przyszedłoby jej do głowy, miała to od razu przekazywać do Kielc. Nie polemizowała przesadnie z tym *dictum*, bo wiedziała doskonale, że nie wyszło bezpośrednio od Schwagra, tylko z góry. Nie polemizowała, ale też najzwyczajniej w świecie nie zastosowała się do wskazówek. Misiak zresztą od początku domyślał się, jak to się skończy, więc nie miał jej tego za złe, bo tak się składało, że najbardziej na świecie nie znosił otrzymywać niezgodzonych z nim zaleceń z góry. Sprawa wyglądała przez kilka dni w ten sposób, że w Kielcach zastanawiano się nad zagrożeniem terrorystycznym oraz nad tym, jak sprawę seryjnego mordercy propagandowo skojarzyć z falą uchodźców nadciągającą z Syrii i okolic, a tymczasem Agnieszka robiła swoje, czyli prowadziła śledztwo w sprawie seryjnego zabójcy narodowości prawie na pewno polskiej, który czasem używał pseudonimu Tacjan, a kiedy indziej Syryjczyk. Na początek wróciła do zarzuconej na jakiś czas metody wyszukiwania miejsc z wykorzystaniem klucza kierunków geograficznych. Wprawdzie szkielet odnaleziony w kamieniołomie na Górze Parkowej w Bielawie został naruszony przez dzikie zwierzęta, to jednak przy użyciu Google Earth i z pomocą informatyka określiła dokładny punkt odnalezienia ciała i od niego wytyczyła współrzędne. Jedna z nich idealnie zgadzała się z tym, co Agnieszka odkryła wcześniej, działając niejako w drugą stronę, czyli, innymi słowy, prosta wytyczona przez sto dwudziesty ósmy stopień doprowadziła ją do Paczkowic Starych. Druga prosta, wyznaczona przez dwieście sześćdziesiąty czwarty stopień, nie rokowała już zbyt wielkich nadziei, ponieważ mniej więcej po dwudziestu kilometrach opuszczała terytorium kraju, żeby jeszcze dwukrotnie wrócić, przecinając południowe cyple mapy Polski i w końcu definitywnie ugrząźć gdzieś w Czechach. W pierwszym odruchu Polkowską zainteresowała możliwość ukrycia zwłok w jednym z dwóch obiektów należących do ponemieckiego kompleksu umocnień Riese – w Osówce i znajdującym się nieco dalej na południowy zachód Walimie. Jednak gdy tylko kazała Mrówcowi skontaktować się z tamtejszymi komendami policji, wiedziała już, że nic tam nie znajdzie. Po pierwsze znajdowały się zbyt blisko miejsca znalezienia ostatnich zwłok, po drugie obiekty tego typu były najczęściej dokładnie spenetrowane przez odkrywców amatorów i zdeptane przez turystów. Rzeczywiście w tamtej okolicy w ostatnich kilkunastu latach nie znaleziono żadnych zwłok, a w okolicach Kłodzka, oddalonego mniej więcej o czterdzieści kilometrów na południowy wschód od Walimia i Osówki, nikt od bardzo dawna nie zgłosił zaginięcia nastoletniej dziewczyny. Dalej linia opuszczała Polskę. Agnieszka znów przez moment zastanawiała się, czy w związku z tym wcześniejszej ofiary nie należało szukać właśnie w Czechach, ale zarzuciła tę myśl. Kolejnym miejscem powrotu linii wytyczonej przez dwieście sześćdziesiąty czwarty stopień na teren Polski były okolice wsi Golińsk. Tutaj linia wchodziła na mapę kraju na zaledwie trzy i pół kilometra. Komenda miejska policji w Mieroszowie nie odnotowała jednak w swoich raportach żadnej niewyjaśnionej zbrodni, popełnionej w okolicach Golińska, więc i ten trop okazał się błędny. Komisarz spojrzała na mapę Google'a z żółtą, wirtualną linią wyznaczoną przez Andrzeja. Ostatnia polska wieś, którą przez środek przecinała linia, nazywała się Uniemyśl.

– Znajdź mi powiatową najbliższą Uniemyśla. – Podniosła wzrok znad biurka i spojrzała na Mrówca, gdy ten stanął w drzwiach i właśnie otworzył usta, by coś powiedzieć.

– Znajdę i zadzwonię – odparł szybko, bo chciał przejść do tego, co sam miał do powiedzenia.

– Tylko znajdź, ja zadzwonię. – Sama chciała skonfrontować się z faktem, że więcej ofiar nie znajdują.

– Dobrze. – Piotr już właściwie zrezygnował z prób przekazania jej tego, z czym przyszedł,

ale ona spojrzała na niego wyczekująco. – Andrzej znalazł coś w komputerach tych dwóch dziewczyn, chciałby ci pokazać.

Na uczelni nie było dziś zajęć, w związku z tym Ewa uprosiła koleżankę z pracy, Martynę, żeby zamieniła się z nią na dyżury. Dzięki temu nie musiała tarabanić się półtorej godziny do Warszawy tylko po to, by stać przez kolejne sześć przy ekspresie do kawy. Nie miała na to siły. Ogólnie sił ostatnimi czasy wciąż jej ubywało. Po pierwsze drenowało je z niej jak co roku jesienne przesilenie, a po drugie – cała reszta. Około czternastej wiedziała już, że dzień wolny i tak nie przyniósł jej nic dobrego. Od momentu wstania o dziesiątej nie zrobiła właściwie nic, co popchnęłoby jej istnienie w jakąkolwiek stronę, trwała w niebycie pomiędzy kolejnymi kawami a natrętnym sprawdzaniem, czy przypadkiem w zakładce Messengera nie pojawiła się jakaś wiadomość. Znała takie stany i takie dni, których z jej perspektywy mogło równie dobrze nie być, więcej nawet, wolałaby, żeby ich nie było. Dni wypełnione pustką, bezmyślnością i wyczekiwaniem jak na zbawienie na cokolwiek, co wytrąciłoby ją z marazmu. Jak to często bywa, brzdąknięcia telefonu, zwiastującego tak wyczekiwane wytrącenie z marazmu, w ogóle nie usłyszała, bo nastąpiło chwilę po tym, gdy straciła już wszelką nadzieję. Dopiero kiedy usiadła do komputera, zorientowała się, że w okienku wiadomości pojawiło się pytanie tyleż krótkie, co trafne. Adam Enkratyk zapytał ją po prostu, czy jest. Ich rozmowa trwała od tego momentu łącznie kilka godzin i wypełniła pusty do tej pory dzień treścią i nadzieją. Najpierw rozmawiali znów o sensie czy raczej bezsensie istnienia, on też najwyraźniej nie był w najlepszej formie, kto zresztą w tym dziwnym kraju, w którym jest sześć razy więcej dni pochmurnych niż słonecznych, zwłaszcza o tej porze roku, bez alkoholowego czy innego dopingu, mógł być w dobrej formie? Po kilku godzinach rozmowy błędzącej gdzieś pomiędzy ezoteryką, filozofią a religią, podczas której Ewa zdążyła zjeść obiad i odkurzyć całe mieszkanie, rozmowa zesłała na to, co wisiało w powietrzu od początku, czyli na wątki bardziej osobiste. Jej byłoby głupio wracać do tej sprawy, ale to Enkratyk sam zaczął mówić o tym, że choć tak wiele ich łączy, to jednak dzieli spora różnica wieku. W końcu dowiedziała się od niego, że ma czterdzieści pięć lat. W pierwszej chwili zszokowała ją ta informacja, ale w trakcie wielogodzinnych rozmów zaczęło do niej docierać, że tak naprawdę nie ma to wielkiego znaczenia, a chwilę później rozpatrywała to jako pewną zaletę. Po przygodach z Robertem i innymi rówieśnikami Ewa była już tak zmęczona niedojrzałością, że w gruncie rzeczy podświadomie nawet wolała dla odmiany spotkać zaradnego, dojrzałego mężczyznę. Za oknami zrobiło się już ciemno, a ona zdała sobie sprawę z tego, że druga połowa tak fatalnie zapowiadającego się dnia przeleciała jej w mgnieniu oka. Teraz czekała już właściwie tylko na propozycję spotkania, z którą chętnie wyszłaby sama, ale w tym wypadku nie byłby to chyba zbyt dobry pomysł. Propozycja wprawdzie nie padła, ale wisiała w powietrzu, co czyniło ją tym bardziej wyczekiwaną i, jak słusznie podejrzewała Ewa, wyczekiwaną przez obie strony.



Sławomir przejrzał pobieżnie całą wielogodzinną konwersację. Od jej zakończenia na dziś dzieliło go już tylko jedno zdanie, które miało być odpowiedzią na okraszone uśmiechniętą buźką dobranoc Ewy. Przed wysłaniem swojego dobranoc, nieokraszonego buźką, bo w jego mniemaniu mężczyźnie w takim wieku – co prawda zaniżył go przed dziewczyną o dwa lata – nie wypadało wysłać emotikonów, postanowił podesłać coś jeszcze. Był to link oficjalnie przekierowujący do pewnej strony, ale tak naprawdę wprowadzał na jej komputer miniprogram, który następnie uruchomiony po jakimś czasie zdalnie wyczyści wszystkie elementy prowadzonej przez nich konwersacji. Sławomir był z wykształcenia matematykiem, jego hobby stanowiła jednak informatyka, która w czasach, gdy studiował, nie istniała jeszcze jako dziedzina, co nie przeszkadzało mu przyswoić jej sobie w wieku dojrzałym. Owo informatyczne hobby okazało się niezwykle pomocne w jego pracy polegającej między innymi na niszczeniu ludzkich umysłów przez rozpowszechnianie idiotycznych i nieuprawomocnionych informacji, które preparował i rozprowadzał na zlecenie Siewy i jego mocodawców. Jednak rozeznanie w internecie najbardziej przydawało mu się przy realizowaniu innej życiowej pasji. Sławomir wysłał Ewie link, opatrując go komentarzem, że ta lektura powinna jej umilić czas przed snem. Dziewczyna otworzyła go, jednak nic pod nim nie znalazła, za to niczego nieświadoma wprowadziła do komputera program. Kiedy odpisała, że link nie działa, Sławomir wysłał kolejny, prowadzący tym razem do tekstu jednej z ewangelii apokryficznych. Ewa ucieszyła się z tekstu, a on z tego, że dzięki programowi później kompletnie wyczyści jej komputer, a tymczasem może w dowolnym momencie włączyć u niej kamerę i mikrofon albo każdą z tych rzeczy z osobna bez jej wiedzy.

Agnieszka starała się zrozumieć to, co od kilku minut mówił do niej Andrzej, ale nie bardzo jej to wychodziło. Już samo obsługiwanie internetu, swobodne surfowanie po nim, wyszukiwanie treści, nawiązywanie kontaktów stanowiły dla niej niemałe wyzwanie, dlatego zrozumienie rządzących nim mechanizmów było czymś najzupełniej dla niej nieosiągalnym.

– Mógłbyś prościej? – Przerwała mu internetową opowieść, z której na razie rozumiała osiem słów.

– Przecież prosto mówię. – Andrzej spojrział na nią z mieszaniną politowania i wyrzutu. – Facet musi być dość dobry w te klocki. Prawdopodobnie w jakiś sprytny sposób instaluje na komputerach tych dziewczyn program, a następnie uruchamia go w odpowiednim momencie i czyści je ze wszystkiego, co ma związek z ich wspólnymi kontaktami.

– Dlaczego mówisz, że prawdopodobnie instaluje? – Może i nie rozumiała samej istoty, ale logiczne następstwa już tak.

– Bo po programie jako takim też nie ma na tych komputerach śladu. Przypuszczam, że na koniec on się unicestwia. – Andrzej mówił teraz wolno, najwyraźniej spodobało mu się, że Polkowska zadała w końcu jakieś sensowne pytanie. – Widzę natomiast skutki jego działania, całe partycje na dysku twardym są zupełnie wyczyszczone, nie ma nic, jakby nigdy nie były używane, a to niemożliwe.

– Informatyk?

– Albo on sam, albo współpracuje z kimś, kto się na tym zna.

– On. – W umyśle Agnieszki powoli tworzył się profil człowieka, z którym walczyła. – Tacy ludzie nie współpracują z nikim, bo po pierwsze to byłoby zbyt ryzykowne, a po drugie są zbyt zaborczy. To jest ich działka, ich i tylko ich, z nikim nie mogliby się podzielić nawet okruchem z tego.

– Profilujesz? – Andrzej uśmiechnął się do niej.

– Nie, po prostu myślę. – Wyjrzała przez okno na drugą stronę ulicy, gdzie po lewej stronie stał jej blok, a w nim były Marta i święty spokój. – Mógłbyś mi sprawdzić, co jest na kompasie odwrotnością dwieście sześćdziesiątego czwartego stopnia?

– Mógłbym. A to też wpisze się w jego profil? – zapytał sarkastycznie informatyk. Zawsze taki był, odreagowywał w ten sposób dzieciństwo spędzone z babcią i dwiema egzaltowanymi ciotkami. One nie miały dystansu do niczego, on miał do wszystkiego.

Agnieszka zamierzała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił telefon, a na ekranie pojawiło się: Jola.

– Przepraszam cię na chwilę. – Agnieszka zerknęła w stronę Andrzeja i wyszła na korytarz, a on zdziwił się, bo ona nigdy nie przepraszala.

W korytarzu panował tłok, ale teraz było już za późno, by wrócić do pomieszczenia informatyków. Bała się gdziekolwiek ruszyć, bo w każdej chwili połączenie, na które czekała całe życie, mogło się zakończyć.

– Halo? – W jej głosie dało się wyczuć delikatne drżenie.

– Mówi Jola Polkowska. – Jola zaczęła oficjalnie, bo jakoś zacząć musiała. – Czy rozmawiam z panią Agnieszką...

– Tak, Jolu. – W głowie Agnieszki kłębiły się myśli, połączenia neuronalne przenosiły w tę i z powrotem tysiące możliwych wariantów rozwoju wydarzeń, cała jej świadomość skierowana była na to, żeby nie zepsuć tej rozmowy. – To ja... Cieszę się, że dzwonicz.

Przez chwilę nie nadchodziła żadna odpowiedź i Agnieszka walczyła ze sobą, by nie ratować na siłę rozmowy, która w każdym momencie mogła się zakończyć. Szczęśliwie wygrała tę bitwę i przez kolejne pięć sekund udało jej się milczeć.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy się spotkać. – Dziewczyna powiedziała jedno zwyczajne zdanie, a Agnieszka musiała się przytrzymać grzejnika. Chciała mówić, skakać z radości, płakać, krzyczeć, a zamiast tego stała jak zamurowana. W końcu udało jej się wykrztusić:

– Tak...

– Rozmawiałam z tatą. – Jola musiała przejąć na siebie odpowiedzialność za kontynuowanie rozmowy, a przyszło jej do głowy, że może matka nie chce się spotkać, by uszanować ustalenia z ojcem. – Jest przeciwny, ale powiedział, że decyzja należy do mnie.

– W każdej chwili, o każdej porze, w jakimkolwiek miejscu. – Agnieszka w końcu się odblokowała. – Teraz, później, kiedy tylko zechcesz, jestem do twojej dyspozycji.

– Jutro koło południa w Twórczej? – Jola też była zdenerwowana i niepewna, choć znacznie mniej niż matka. U niej było to zresztą zjawisko równie nietypowe.

– Tak, w Twórczej przy Słowackiego, tylko może trochę później...

– Może być po południu. O trzeciej?

– Czekam na ciebie w Twórczej o trzeciej? – Agnieszka bardziej zapytała niż oznajmiła, jakby bała się cokolwiek powiedzieć zbyt stanowczo.

– To na razie... – Dziewczyna chciała powiedzieć: „mamo”, ale nie umiała na razie wymawiać tego słowa, bo nigdy tego nie robiła.

– Na razie...

Jola zakończyła połączenie, a Agnieszka stała jeszcze dobrą chwilę z telefonem przy uchu. W pewnym momencie od strony klatki schodowej nadciągnął podekscytowany Misiak.

– Słyszałaś, co się dzieje?

– Z czym? – zapytała półprzytomnie.

– Ze sprawą – odparł inspektor zdziwiony, że można w ogóle myśleć o czymkolwiek innym. – Cały internet huczy.

– Że? – O ile nie musiała, starała się nie żywić emocji rewelacjami wyrzucanymi co kilka godzin z czeluści internetu. Misiak dla odmiany przyjmował dawki internetowej ekscytacji w miarę regularnie, w tym akurat wypadku trudno było mu się dziwić, sprawa dość mocno go dotyczyła.

– Jakiś lokalny radomski portal podał, że policja poszukuje mężczyzny narodowości syryjskiej, który jest podejrzany o seryjne zabójstwa na terenie całej Polski.

– Ale jak to możliwe? – zapytała, a po chwili sama wpadła na to, komu przydał się tak zwany przypadkowy przeciek do mediów. – Szczebel centralny nakazał tropić uchodźców?

– Teraz nakaże, wcześniej brakowało medialnego rozgłosu. – Szef może i nie należał do zbyt

energicznych ludzi, ale na szczęście nie był wystarczająco błyskotliwy. – Dzwonili już, żebym cię ściągnął do Radomia. Masz pomóc w przesłuchiowaniu podejrzanych.

– Nie zamierzam tracić czasu na wspieranie Polski dla Polaków. – Agnieszka odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku swojego biura, na odchodne rzucając jeszcze przez ramię: – Szukam faceta, który za chwilę zabije kolejną dziewczynę.

Siewa był bardzo zadowolony z rozwoju wypadków. Przeważnie nie lubił, kiedy Sławomir podejmował działania na własną rękę, ale tym razem argument o tym, że trzeba było działać natychmiast, przekonał go w stu procentach. Zamęt medialny, który powstał po rozpowszechnieniu na forach i portalach prawicowych wyłapanej przez niego rewelacji z Radomia, przerósł jego najśmielsze oczekiwania.

– Rozmawiałem już z firmą i są bardzo zadowoleni. – Pociągnął trzy potężne łyki z piersiówki i podał ją Sławomirowi.

Siedzieli teraz na tylnej kanapie bentleya, a fakt, iż Siewa znów rozpoczął alkoholową peregrynację, mógł rzeczywiście świadczyć o sukcesie, który rosyjski przyjaciel postanowił opić, bo tak miał w zwyczaju.

– A może dałoby się zrobić jakąś małą rozróbę. *Kakij to protiest, mozet byt' napadienije na kakij to arabskij riestaran, kebab?*

– Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. W Radomiu mamy aktywne grupy narodowców...

– *Wot szto.* – Siewa zamyślił się na chwilę. – *Polskij narod, dumnyj narod.*

Sławomir pokiwał głową. Czasem ten rozrzut pomiędzy totalnym cynizmem a rodzajem łązawego sentymentalizmu u Rosjanina był trudny do zrozumienia. Przeważnie zwałał to na permanentne oddziaływanie substancji psychoaktywnych na mózg bandyty. Siewa nigdy nie trzeźwiał do końca, prawdopodobnie gdyby doszło do takiej sytuacji, jego mózg nie wytrzymałby naporu logiki, jaką niosła ze sobą rzeczywistość, i Rosjanin natychmiast musiałby oszaleć.

– *Da.* – Sławomir dumny był przede wszystkim z siebie, akurat pomysł z wykorzystaniem sprawy wynikającej poniekąd z jego życia prywatnego do celów służbowych był isticie szatański.

– *Nawierno dumnyj.*

Ewa zaczynała znów tracić rozpęd, który nadała jej życiu ostatnia rozmowa z Adamem. Najpierw przez jakiś czas zastanawiała się, czy cała sprawa nie zmierza w złą stronę, zaniepokoiła ją też dziwna prośba o zachowanie ich znajomości i korespondencji w tajemnicy. Z czasem jednak wszystkie lęki zostały wyparte przez niepokój o przyszłość świeżo zawartej znajomości z Enkratykiem. Słowem, teraz bardziej niż tego, co może przynieść ta relacja, dziewczyna obawiała się, że może się urwać równie nagle, jak się zaczęła. Po raz enty w ciągu ostatniej godziny odświeżyła stronę Facebooka, lecz przy chmurce dialogowej nie pojawiła się żadna cyferka. Ewa gwałtownie odepchnęła się od biurka i na krześle z kółkami podjechała do szafy z lustrem na drzwiach. Wstała i zaczęła się przebierać. Dziś miała zajęcia popołudniowe i pracowała na wieczorną zmianę, musiała w ten sposób odrobić zobowiązanie wobec koleżanki, z którą zamieniła dyżur poprzednim razem. W sytuacjach tak wyjątkowych jak ta, kiedy kończyła pracę na tyle późno, że nie miała już jak wrócić do domu, zostawała na noc u Basi i Marcina. Choć tak naprawdę była zadeklarowaną domatorką, lubiła raz na jakiś czas miłą odmianę w codziennej rutynie. Chętnie spała u Basi, bo przed snem zawsze długo rozmawiały, a Ewa bardzo potrzebowała teraz rozmowy z kimś zaprzyjaźnionym. Zdjęła kusą koszulkę do spania, ale zanim sięgnęła po bieliznę, przez chwilę stała przed lustrem i myślała o mężczyźnie, który, czego nie mogła być świadoma, patrzył na nią w tym momencie przez obiektyw kamery jej komputera.

Kiedy około południa Agnieszka dojechała do komendy wojewódzkiej w Radomiu, przed wejściem do budynku głównego kłębił się już tłum dziennikarzy, a na parkingu obok stały obłożone talerzami satelitarnymi wozy transmisyjne z logo wszystkich dużych stacji radiowych i telewizyjnych. Panował chaos, któremu przysłużył się jeszcze fakt, iż w centrum miasta w nocy ktoś wybił szyby w jednej z arabskich restauracji z kebabami, a następnie wrzucił do środka koktajl Mołotowa. Pomimo szybkiej interwencji straży lokal spłonął doszczętnie, a pod trzema innymi od rana zebrały się tłumy młodocianych, przeważnie bezrobotnych radomian, gotowych do upadłego walczyć o czystość rasową. Agnieszka wiedziała to wszystko już z radia, poza tym przejechała przez miasto, by na własne oczy zobaczyć to, czym od rana media podkarmiały swoje bloki reklamowe. Rzeczywiście nie wyglądało to najlepiej, aczkolwiek skala zjawiska w najmniejszym stopniu nie mogła się równać z tym, o czym od półtorej godziny słuchała w radiu.

Na szczęście żaden z kręcących się tu dziennikarzy ani fotoreporterów nie miał bladego pojęcia, że w gruncie rzeczy to właśnie ona uruchomiła cały łańcuch zdarzeń, który doprowadził ich pod budynek komendy wojewódzkiej. Kiedy weszła do gabinetu Woronowicza, była jednocześnie zła i totalnie zdezorientowana. Przyjechała tutaj tylko dlatego, że miała nadzieję na przerwanie idiotycznej nagonki na ludzi niemających nic wspólnego ze sprawą. Jediną osobą osadzoną w tutejszych realiach i jedynym jej ewentualnym sojusznikiem mógł zostać właśnie Woronowicz.

– Co tu się dzieje w ogóle? – zaczęła, pomijając część powitalną.

– Nie wiem za bardzo, z każdą godziną jest coraz weselej. – Komisarz wstał zza biurka. – Kawę?

– Chętnie, rano nie zdążyłam. – Zreflektowała się po chwili i dodała szybko: – I dzień dobry przede wszystkim, przepraszam, że tak weszłam...

– Nie szkodzi, też jestem trochę zły. – Mężczyzna podszedł do czajnika elektrycznego, stojącego na krytym pilśniu stoliku, który umieszczono tu prawdopodobnie tuż po wybudowaniu gmachu przed czterdziestoma laty. – Bałagan się robi na mieście, poza tym tracimy czas, ale mam wrażenie, że centrala jest zadowolona. W każdym razie nie dostaliśmy żadnych dyrektyw, żeby wygaszać sprawę.

– To zrozumiałe, takimi sprawami centrala żywi swój elektorat spragniony igrzysk jak kania dżdżu. – Agnieszka nie znała się przesadnie na polityce, ale to akurat było jasne jak słońce, choć jednocześnie mroczne jak zamysły polityków. – Co mam tu robić?

– Góra chce, by przesłuchała pani tych Arabów, których tu naściągali. – Woronowicz odkręcił słoik z kawą, wziął do ręki łyżeczkę i zerknął pytająco na kobietę.

– Dwie poproszę. – Przyglądała się, jak komisarz sypie brązowe granulki do umytego, a jednak niezbyt czystego kubka z logo komendy. – A pan?

– A ja?

– A pan czego chce?

– Ja tu nie jestem od chcenia. – Zalał kawę, na której powierzchni pojawiła się ciemnobrązowa

pianka. – Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że się z panią zgadzam. To znaczy podobnie jak pani doskonale wiem, że Syryjczyk nie jest żadnym Syryjczykiem. Zresztą oni też wiedzą albo mają to gdzieś, po prostu próbują na tym ugrać jakąś sprawę. Moja góra podlizuje się w ten sposób swojej górze.

– Ciekawe co będzie, jak to wszystko wymknie się spod kontroli. – Agnieszka dotknęła ustami parzącej kawy. – Jak góra już tak podlizze się swojemu elektoratowi, że cała Polska zacznie palić kebaby.

– Nic się nie wymknie, po pierwsze, tu jest za mało kebabów, po drugie, te tematy siadają szybciej, niż się podnoszą albo raczej niż ktoś je podnosi. – Woronowicz zamilkł i przyjrzał się jej tak, jakby zaczął się zastanawiać, czy aby nie posunął się za daleko w dzieleniu się swoimi spostrzeżeniami.

Agnieszka uśmiechnęła się uspokajająco i pokiwała głową.

– Oczywiście, że ktoś podnosi, kto i po co – wydaje się jasne, czyimi rękami to robi – nigdy się nie dowiemy, możemy jedynie zadbać o to, by się temu nie przysłużyć. Dobrze, pójdę stracić trochę czasu, przesłuchując tych... – zatrzymała się na chwilę, bo nie była pewna statusu zatrzymanych mężczyzn – ...podejrzanych?

– Nie, do tego jeszcze się nie posunęli. Zatrzymali ich. Sankcji prokuratorskiej się nie spodziewam, bo na jakiej podstawie? Aż tak źle nie jest, aczkolwiek jeden z tych moich master mindów uruchomił już wątek religijny.

Agnieszka spojrzała na niego zdziwiona.

– Wszystkie dziewczyny były głęboko religijne, o ile pamiętam. – Zerknął na nią, by się upewnić. – A chyba wszyscy zatrzymani są muzułmanami, a nawet jak nie, to i tak jako tacy są postrzegani.

– Wojny religijne? – Polkowska pokręciła głową, nie mogąc uwierzyć w to, jak grubymi nićmi szyta jest ta populistyczna propaganda. – Będziemy wyzwalać Jerozolimę?

Przesłuchania trwały trzy godziny, bo tyle zajęło jej zdyskwalifikowanie czterech sympatycznych i Bogu ducha winnych mężczyzn o ciemnej karnacji jako potencjalnych zabójców trzech młodych kobiet. Mężczyźni ledwie mówili po polsku, wszyscy mieli alibi na czas zabójstwa obok Suchedniowa, trzech z nich nie było w Polsce, gdy doszło do morderstwa pod Częstochową, żadnego, gdy Kadzidło pociął na kawałki w jaskini pod Bielawą Marysię z Paczkowa. Ponadto choć okazali się sympatyczni, to żaden z nich nie posiadał takiego ilorazu inteligencji, jak człowiek winny tamtych zbrodni. To oczywiście nie mogło być dowodem procesowym, bo inteligencja tudzież jej brak nie stanowi kryterium przekonującego kodeks karny, ale dla niej było dowodem ostatecznym.

Kiedy Agnieszka wychodziła z komendy, ku swemu zaskoczeniu dowiedziała się nagle, że nie jest już osobą anonimową, bo wszyscy dziennikarze wraz z kamerzystami i fotoreporterami skierowali na nią swoją uwagę. Zanim usłyszała pierwsze pytanie, zdążyła jeszcze przez ułamek sekundy zastanowić się nad tym, kto i po co uczynił z niej osobę publiczną, ale nie udało jej się tego rozszyfrować.

– Pani komisarz, Wojtek Myślnik, TVN24, jakie są pani wnioski po przeprowadzeniu przesłuchań? – Młody chłopak stał przed nią z mikrofonem, za nim jeżyły się dziesiątki kolejnych.



Sławomir kątem oka zobaczył ją na ekranie telewizora w sali konferencyjnej. Trwało akurat spotkanie z kilkoma prezesami spółek skarbu państwa, ale objawienie się komisarz Polkowskiej przed komendą wojewódzką w Radomiu było znacznie ważniejsze od tego.

– Pogłośnij! – Sławomir zerknął w stronę swojego asystenta.

Ten, choć lekko zdziwiony, sięgnął po pilot i włączył fonię.

– Mój wniosek po przesłuchaniu czterech zatrzymanych mężczyzn pochodzenia arabskiego jest jednoznaczny. Żaden z nich nie miał nic wspólnego z serią zabójstw, w sprawie których prowadzimy dochodzenie. – Komisarz oderwała wzrok od pytającego i spojrzała prosto w oczy Sławomira.

– A przydomek Syryjczyk? Czy to nie może wskazywać, że zabójca pochodzi z tamtego rejonu świata? – pytał dalej dziennikarz.

– A czy gdyby pan był niezwykle przebiegłym i inteligentnym seryjnym zabójcą, to przyjąłby pan przydomek dziennikarz\_tv24? – Agnieszka uśmiechnęła się do niego.

Na twarzy Sławomira też pojawił się delikatny uśmiech.

– Ścisł – wydał polecenie asystentowi, po czym skierował wzrok na pozostałych uczestników spotkania, nieco zaskoczonych sytuacją. – Przepraszam, że przerwałem, ale byłem ciekaw, jak policja poradzi sobie z tą sprawą. Niestety, wygląda na to, że wciąż jeszcze są tacy, którzy za wszelką cenę chcą chronić w Polsce mniejszości.

Tamci pokiwali głowami ze zrozumieniem i wtedy wyszło na jaw, że w tej sali również, z wyjątkiem oczywiście Sławomira, iloraz inteligencji przypadającej na głowę nie przekraczał stu.

Kiedy Ewa weszła do kuchni, wiszący na ścianie nad blatem telewizor był włączony, a rozmowa z Agnieszką właśnie dobiegła końca i pojawiły się materiały z centrum Radomia ukazujące spalony lokal z kebabami i rozjuszony tłum wykrzykujący niezrozumiałe słowa w stronę kordonu policji skupionego przy końcu uliczki.

– Co tam się dzieje? – Dziewczyna rzuciła w stronę mamy, która przygotowywała obiad, ale kątem oka popatrywała na ekran.

Telefon zadzwonił, kiedy Agnieszka dojeżdżała już do rogatek Radomia. Komisarz spodziewała się go wcześniej, ale pewnie Szwagier nie oglądał telewizji i dopiero teraz ktoś mu powiedział albo ministerstwo zadzwoniło najpierw do wojewódzkiej, potem wojewódzka do Szwagra i stąd ten telefon.

– Ty chcesz robotę stracić?! – Misiak dyszał, co nie zwiastowało nic dobrego.

– Nie, a czemu miałabym stracić robotę, Włodziu? – Agnieszka spróbowała choć przez chwilę pobyć głupsza, niż była. Efekt przeszedł jej najśmielsze oczekiwania, bo od razu poczuła się znacznie swobodniej.

– Co ty tam nagadałaś w tej telewizji, do dziennikarza, czy nadałby sobie przydomek? Co to za rozmowy są w ogóle? – Szeł dyszał coraz bardziej.

– A, to tego się złapali, że dziennikarza obraziłam? Jacy oni wszyscy są przebiegli – stwierdziła, wracając do swojego normalnego stanu.

– Zdezawuowałam wyniki dotychczasowego dochodzenia.

– To jest moje dochodzenie, niczego nie zdezawuowałam, tylko przerwałam tę drogę donikąd – zaczynała się nakręcać. – Ja, Włodziu, chcę ująć sprawcę i zapobiec kolejnym morderstwom, a oni chcą nakręcić swoją spiralkę. Mamy konflikt interesów, rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem, a myślisz, że ja jestem debil? Tylko jak im będziesz tak po chamsku przerywała ich spiralki, to cię wywalą z roboty. Warto, żebyś ty też coś rozumiała.

– Jak mnie wywalą, to rozwiążę tę sprawę z Rutkowskim, mam w dupie ich spiralki i całą tę demagogię dla ubogich na umyśle. – Agnieszce brakowało już sił na skrupuły.

– Przecież ty nie znosisz Rutkowskiego. – Szwagier nagle przestał dyszeć, a Agnieszka odniosła nawet wrażenie, że trochę się uśmiechnął pod nosem, choć to przez telefon akurat trudno ustalić.

– Nie znoszę, ale przynajmniej nie będzie głupkowatej spiralki i może przy okazji uda się uratować komuś życie. – Rozmowa zaczynała ją męczyć, a poza tym jej myśli skupiały się na najważniejszym spotkaniu, które miała umówione za półtorej godziny w kawiarni Twórczej. – Odezwę się, jak już będę w Skarżysku. Teraz jadę, a nie mam zestawu, więc sam rozumiesz, drogówka, te rzeczy.

– Rozumiem, rozumiem, większość pieczarek będzie teraz skupiona na tropieniu najbardziej znanej śledczej w Polsce. – Misiak zaśmiał się na koniec z własnego żartu, zdradzając mimowolnie, że sytuacja nie jest jeszcze tak fatalna, jak próbował jej sprzedać. – Na razie!

Agnieszka miała jeszcze sporo czasu, ale pędziła do Skarżyska tak, że w Twórczej znalazła się trzy kwadransy przed czasem. Mogła jeszcze pojechać do domu, żeby trochę się ogarnąć, tak przynajmniej zalecała jej Marta, ale bała się spóźnić, więc wolała pokręcić się pół godziny po okolicy, a ostatni kwadrans spędzić już przy stoliku. W kawiarni przeglądała kartę, piła kawę i denerwowała się niemiłosiernie. Rozważała wszystkie możliwe warianty rozwoju wydarzeń, w wyobraźni widziała już dokładnie sytuację, która przeradza się w katastrofę, i w pewnym momencie niemal stamtąd uciekła. Kiedy kilka minut po trzeciej w szklanych drzwiach

wejściowych zobaczyła swoją córkę, przez moment obawiała się, że nie uda jej się wstać z krzesła, żeby się przywitać. Jola zauważyła ją jednak natychmiast i uśmiechnęła się tak ciepło i rozbajająco, że wszystkie mroczne scenariusze stworzone w ciągu ostatnich minut i wielu lat odpłynęły gdzieś daleko za horyzont.

– Dzień dobry. – Jola podeszła i wyciągnęła rękę, chciała najwyraźniej czymś jeszcze zakończyć zdanie, ale na razie nie była pewna, jak to zrobić.

– Dzień dobry, Jolu. – Dłoń i głos Agnieszki drgały w zbliżonej częstotliwości. Ona bardzo chciała zakończyć zdanie inaczej, ale nie miała na to na razie dość odwagi. – Czego się napijesz?

– Kawy. – Dziewczyna usiadła i patrzyła ze spokojem na kobietę, która była jej matką i której do tej pory nigdy nie widziała na oczy.

– A jaką pijesz? – Agnieszka dopytała nieśmiało.

– Taką jak ty? – Jola uśmiechnęła się po raz drugi.

– Podwójne espresso?

Kiedy Agnieszka podeszła do baru po podwójne espresso, dziewczyna przyglądała się jej zgrabnej sylwetce i zastanawiała się, czy jest do niej podobna. Przez te wszystkie lata temat matki stanowił w domu tabu. Ojciec zachował się odważnie i uczciwie, nie wmawiając córce, że Zofia, z którą się ożenił, kiedy mała skończyła dwa lata, jest jej matką. Zresztą może wynikało to nie tyle z jego odwagi, ile z pragmatyzmu. W mieście tak niewielkim jak Skarżysko tego rodzaju kłamstwa nie dałoby się ukryć. Wszystkie te dziwne spojrzenia znajomych, urwane zdania, ukradkowe uśmiechy mogły umykać Joli dopóty, dopóki była dzieckiem, później stały się nazbyt oczywiste.

Kiedy Agnieszka podeszła do baru, zastanawiała się, w czym córka jest tak naprawdę do niej podobna. Dziwna sprawa, ale nagle zupełnie nie mogła sobie przypomnieć własnej twarzy – kiedy tylko próbowała, od razu widziała twarz Joli. Figurę chyba miała po niej, tak, z całą pewnością była typem gruszki, lekko szersza w biodrach, niezbyt wydatny biust, wąska talia – śliczna dziewczyna. Wyglądała trochę inaczej niż na zdjęciach, chyba ładniej, a może z wiekiem po prostu wyszlachetniała, bo zdjęcia zrobiono już jakiś czas temu. No i podwójne espresso, tak, w tym była podobna bez dwóch zdań, a jeśli w tym, to pewnie i w innych rzeczach. Jeśli ktoś pije mocną kawę w dużych dawkach, to pewno jest niskociśnieniowcem, a może introwertykiem, który potrzebuje kofeiny, by przebić się do świata. Może podobnie jak ona kompulsywnie piła za dużo kawy, a to już dość niezdrowe. Agnieszka postawiła filiżanki na stoliku i usiadła. Chwilę przyglądały się sobie bez słowa.

– Dlaczego odeszłaś? – Jola zadała pytanie tak, jakby chodziło o pogodę albo losy wyborów samorządowych. Tylko tak była w stanie to zrobić.

Agnieszka na moment zastygła z filiżanką kawy w połowie drogi między blatem stolika a ustami. Po chwili odstawiała filiżankę.

– Bo twój ojciec tego zażądał – odpowiedziała trochę po to, by zyskać na czasie.

– A czemu zażądał? – Zgodnie z jej przewidywaniami Jola, która tyle wiedziała i bez rozmowy z nią, drążyła dalej.

Do kolejnej odpowiedzi musiała naprawdę porządnie się w sobie zebrać, nie było już teraz miejsca na ucieczkę.

– Bo go zdradziłam.

– Z kim?

– Z naszą wspólną przyjaciółką. – Nie było już odwrotu i Agnieszka spojrzała Joli prosto w oczy.

– Jesteś...

Dziewczyna nie wydawała się specjalnie zszokowana, trochę się tego domyślała, mieszkała w małym mieście, choć czasy się zmieniły i Skarżysko zbliżyło się do świata. Brakowało jej jednak słowa, homoerotyczna wydawało się zbyt wymyślne, jakby naukowe, lesbijka zbyt dosłowne, kolokwialne.

Agnieszka pokiwała głową.

– I dlatego ojciec usunął cię całkowicie z mojego życia? – To wydało się Joli znacznie bardziej nieprawdopodobne.

– To były trochę inne czasy, małe miasto, kościół. – Agnieszka złapała się na tym, że usprawiedliwia Romana, co absolutnie ją zaskoczyło. – Uznałam, że miał rację.

– I tak po prostu dałaś się wypchnąć... na osiemnaście lat? – Jej córka wpatrywała się w nią z zaskoczeniem.

– Nie chciałem, żebym wpływała na twoje życie, żebym cię zepsuła swoją obecnością. To bardzo wierzący i w gruncie rzeczy dobry człowiek, ja go zdradziłam, miał prawo...

Agnieszka chyba po raz pierwszy w życiu zaczęła się zastanawiać nad bezsensu tego wszystkiego. Tylko że teraz widziała to z zupełnie innej perspektywy, teraz była zupełnie inną osobą niż tamta osiemnastolatka, która wyszła za bogobojnego człowieka, urodziła mu córkę, a potem sprzeniewierzyła się wszystkim jego ideałom.

– To czemu teraz? – zapytała trzeźwo Jola. Najwyraźniej logiczne myślenie stanowiło ich kolejną wspólną cechę.

– Czemu teraz? – Agnieszka próbowała zyskać na czasie, tak naprawdę nie zastanawiała się nad tym. – Bo jesteś pełnoletnia i teraz mogłam się już zwrócić bezpośrednio do ciebie, bo ja sama wychowałam się kompletnie bez mamy i wiem, że to nic dobrego, bo zaczęłam mieć te dziwne sny...

– Dlaczego wychowałam się bez mamy? – Dziewczynę najwyraźniej z wymienionych powodów zafrapował najbardziej właśnie ten.

– Nie wiem tak naprawdę, podobno mama wyjechała gdzieś w Polskę, kiedy miałam kilka miesięcy. Ojcu powiedziała, że musi odpocząć, chyba nie układało im się najlepiej. – Zamyśliła się na chwilę. – I nigdy już się nie pojawiła.

– A ojciec, to znaczy dziadek, szukał jej?

– W pewnym sensie całe życie, najpierw, jak sądzę, intensywnie, chociaż nie wiedział nawet, w którą stronę pojechała. Potem chyba po prostu czekał. – Agnieszka poczuła nagle, jak coś chwyta ją za gardło. – W każdym razie nigdy już się nie ożenił, aż do śmierci żył samotnie.

– Kiedy zmarł? – Jola raptownie złapała ją za rękę, tak jakby przestraszyła się, że mama znów się wyślizgnie.

– Kilka lat temu. Do końca namawiał mnie, żebym nawiązała z tobą kontakt, marzył, by cię poznać, poza tym chyba wiedział, że bardzo brakowało mi mamy, i nie chciał, by twój los stał się kopią mojego.

Przez chwilę obie milczały, w filiżankach zostały już tylko ostatnie krople kawy.

- A sny? – Jola odezwała się po chwili.
- Sny? – Agnieszka tak głęboko wpadła w otchłań własnych wspomnień, że przez moment utraciła kontekst.
- Mówiłaś coś o snach i że to też był powód.
- Tak. Od jakiegoś czasu śni mi się dziwne mroźne wnętrza, jakby w chłodni czy w zmrożonej jaskini, wszędzie szron, kwiaty takie jak na szybach, tylko trójwymiarowe, lodowy ogród, który wciąż zarasta, a ja w oddali słyszę twój błagalny głos, wołasz mnie. – Agnieszka spojrzała na córkę. – Więc przyszedłam.
- A skąd we śnie znałaś mój głos? Przecież po raz pierwszy usłyszałyśmy się kilka dni temu.
- Słyszałam cię wcześniej. – Agnieszka spuściła wzrok. – Oglądałam filmy na twoim profilu, no i czasem dzwoniłam, i słuchałam twojego głosu, nie odzywałam się, nie miałam odwagi.
- Ale byłaś przy mnie. – Jola odczekała, aż matka znów na nią spojrzy. – Może twoja mama też była przy tobie. Jak miała na imię?
- Jola. – Agnieszka przełknęła łzy.

Ewa była podekscytowana jak chyba nigdy wcześniej w życiu. Najpierw przez kilka dni zastanawiała się, w co się ubierze, a kiedy w końcu podjęła decyzję o zakupie sukienki, którą wcześniej wypatrzyła w butik w Garwolinie, pojawił się problem butów, no i tego, co włożyć na wierzch. Długa puchowa kurtka, noszona dzień w dzień przez całą jesień i zimę od trzech lat, nie nadawała się do tego kompletnie, a spotkanie miało przynajmniej zacząć się w plenerze. Najlepiej byłoby kupić płaszcz z domieszką kaszmiru albo chociaż z flauszu, ale takie rzeczy pozostawały absolutnie poza jej zasięgiem. Właściwie wszystkie zarobione pieniądze dzieliła tak, że jedną trzecią przeznaczala na opłaty za kursy angielskiego i prawa jazdy, do tego dwieście złotych kieszonkowego co miesiąc wręczała bratu, a resztę oddawała matce. Ta kwota plus to, co Bożenie udało się zarobić na handlu kanapkami, i mniej więcej tysiąc złotych emerytury składało się na ich uszyty dokładnie na miarę budżet domowy. Pieniądzy na płaszcz, nowe botki i sukienkę nie było już absolutnie z czego wygospodarować. Na szczęście jak zwykle udało się wybrnąć z sytuacji trochę naokoło – piękny wełniany płaszcz MaxMary kupiła w lumpeksie. Wyglądał prawie jak nowy, bo kobietom, które stać na taką markę, płaszcze nudzą się na długo przed tym, nim się zużyją.

– A buty? – Bożena patrzyła na Ewę stojącą przed lustrem w płaszczu, plisowanej szarej sukience i kapciach.

– Buty... – Dziewczyna podążyła za wzrokiem mamy. – Te co mam, botki chyba.

– Te pokręcone jak plecy staruszki? Do teatru? – Mama nie znała tak naprawdę celu wyjścia Ewy, żyła w przekonaniu, że córka idzie z koleżankami z roku do Teatru Wielkiego na *Kordiana*. – Chyba żartujesz? Musimy ci kupić buty.

Na to Bożena postanowiła spożytkować część z żelaznej rezerwy, którą nauczona jeszcze przez swoją matkę, zachowywała na czarną godzinę. Nic nie wskazywało na to, by ta miała niebawem nadejść, więc uszczknięcie kawałka z tej kwoty nie wydawało się szczególnie ryzykowne.

Sławomir też się szykował, choć w jego przypadku przygotowania polegały zgoła na czymś innym. On najpierw musiał obmyślić, kim chciałby być w tej relacji, a następnie swoje pomysły wprowadzić w życie. Tak naprawdę to, kim chciałby być, nie miało znaczenia, bo swoje prawdziwe zachcianki ujawni dopiero za jakiś czas, teraz znacznie bardziej zaprzętało go pytanie o to, kim chciałaby go widzieć Ewa. Już kiedyś przez moment go widziała i wtedy zaprezentował jej się z grubsza taki, jakim był na co dzień, ale po pierwsze prawdopodobnie nie zapamiętała go jakoś szczególnie, po drugie ludzie bywają przecież różni w różnych sytuacjach. Tym razem postanowił być niezbyt zamożnym człowiekiem z wycuciem smaku i własnym, lekko frywolnym stylem, który nie ulega konwencjom, a jego interesująca prezencja wynika bardziej z pomysłowości niż z zasobnego portfela. Włożył w związku z tym dżinsy, kraciastą koszulę flanelową i tanią, szarą marynarkę. Dodatkowo wyposażył się w kolorowe soczewki, zmieniające jego stalowoszare oczy na bardziej typowe, bo niebieskie, oraz okulary o sile pół dioptrii, by nadać sobie bardziej miękki rys intelektualisty. Wszystkie te rzeczy kupił już dwa dni wcześniej w sklepach, w których na co dzień w ogóle nie bywał, następnie złożył je w specjalnie na ten cel wynajętym na fałszywe nazwisko pokoju w jednym z tanich studenckich hotelików, mieszczących się na Sadybie, gdzie przed spotkaniem zamierzał jeszcze wziąć prysznic. Jego ulubiony zapach paczuli nie pasował do Adama Enkratyka, poza tym mógł go zdradzić, a to nie wchodziło w rachubę. Na miejsce spotkania wyznaczili Park Łazienkowski, to znaczy tak naprawdę wyznaczał on, ale robił to w taki sposób, by zaaferowana Ewa miała wrażenie, że bierze w tym czynny udział. On także był niezwykle podekscytowany tym, co miało się zdarzyć następnego dnia, jednak do najbardziej kulminacyjnego momentu pozostało jeszcze sporo czasu. Samo spotkanie w Łazienkach nie niosło żadnego ładunku emocjonalnego. Ekscytowało go wyłącznie to, że spotka kobietę, z którą już niedługo zrobi to, co ma zrobić.



Kiedy Agnieszka wróciła do domu, w drzwiach czekała już na nią podekscytowana Marta, która nie mogła doczekać się relacji z jej spotkania z córką. Agnieszka doceniała empatię przyjaciółki, nie była nawet chwilami pewna, czy bardziej kocha się w jej boskim ciele, czy ważniejsze dla niej są bliskość i zainteresowanie. Dziś postanowiła zagrać trochę przewrotnie i do mieszkania weszła ze smutną miną.

– I? – Marta spoglądała na nią w oczekiwaniu. – No powiedz coś. Jak było?

Agnieszka milczała przez dłuższą chwilę, starając się zachować powagę, ale w końcu uśmiechnęła się szeroko. Marta otoczyła ją ramionami i mocno przytuliła.

– Mówiłam – wyszeptała. – A mogłaś już dawno.

– Nie, na wszystko czas przychodzi wtedy, kiedy przychodzi. – Agnieszka dotknęła delikatnie ust przyjaciółki. – Na wszystko.

Kochały się, potem zjadły kolację zakrapianą wytrawnym rieslingiem. Agnieszka wolała wino czerwone, ale czasem ustępowała Marcie, która traktowała napój bogów z mniejszym namaszczeniem i dlatego białe, najchętniej riesling, stanowiło dla niej idealny trunek. Kiedy jej kochanka już spała, Agnieszka usiadła przed komputerem i raz jeszcze zerknęła na wytyczone z pomocą Andrzeja linie na mapie elektronicznej. Po Bielawie trop się urywał, Mrówiec sprawdził jeszcze raz wszystkie opcje – nigdzie w pasie rozciągającym się czterdzieści kilometrów od linii nikt przez ostatnie dwadzieścia lat, bo tyle mniej więcej działał Krajowy System Informacji Policji, nie zarejestrował niewyjaśnionego do tej pory zaginięcia młodej dziewczyny, nie znaleziono też w okolicy żadnych szczątków. A jeśli źle wytyczyli linię? Przecież nie do końca znali ułożenie zwłok Marysi w jaskini na Górze Parkowej. Agnieszkę zaczęły ogarniać wątpliwości. Z braku jakichkolwiek informacji, które mogłyby popchnąć sprawę do przodu, zajęła się skutkami pożaru kościoła w Uniemyślu sprzed ponad czterdziestu lat, o czym wspominał trochę półzartem dyżurny z komendy w Lubawce. Ku jej zaskoczeniu kościół stał i nadal był ruiną, a właściwie pogorzeliiskiem. Uwieczniona na zdjęciach internautów okolica wydała jej się na tyle malownicza, że w pierwszej chwili pomyślała o tym, by wymóc na Misiaku delegację, zabrać ze sobą Martę i pojechać tam trochę służbowo, a trochę turystycznie. Szybko jednak skarciła się za tę myśl, bo jak w sytuacji, gdy poszukiwali seryjnego mordercy, mógł jej w ogóle przyjść do głowy taki wyjazd? Tym bardziej że Uniemyśl nijak nie spinał się ze sprawą. Zanim położyła się spać, przez chwilę przyglądała się jeszcze trzem liczbom, które wynikały z wytyczonych przez Kadzidło kierunków na kompasie. Sto dwudziesty ósmy wskazywał na miejsce pochodzenia ofiar, jego odwrotność, czyli trzysta ósmy, doprowadził ją do lasu przy cementowni w Rumnikach, a dwieście sześćdziesiąty czwarty wytyczał miejsce poprzedniej zbrodni. Komplet uzupełniała czwarta koordynata, wywiedziona z odwrotności dwieście sześćdziesiątego czwartego, czyli osiemdziesiąta czwarta. Agnieszka rozpisała cztery liczby na kartce i zaczęła im się przyglądać. Początkowo nic nie przychodziło jej do głowy, ale po kilkunastu minutach nagle ją olśniło. Tak naprawdę z tych czterech liczyły się tylko dwie. Jedną z nich było sto dwadzieścia osiem wyznaczające miejsce pochodzenia ofiary, drugą zaś liczba najmniej brana pod uwagę, czyli osiemdziesiąt cztery. Do tej pory wraz z Mrówcem i Andrzejem pracowała przez cały czas, wędrując niejako do tyłu, kolejne morderstwa pomagały

odnaleźć poprzednie, ale przecież zabójca szedł w drugą stronę i w związku z tym popełnione zabójstwa dopiero wyznaczały kolejne. Sto dwadzieścia osiem i osiemdziesiąt cztery albo odwrotnie, bo tak lepiej ułożyć się w głowie, a poza tym „84-128” może na przykład być... oznaczeniem kodowym! Agnieszka z zapartym tchem wstukała dwie liczby w internetową wyszukiwarkę kodów i... niestety, okazało się, że taki kod nie istnieje. Już miała wyłączyć komputer, kiedy przeszło jej jeszcze przez myśl, żeby kombinację tych dwóch liczb wrzucić po prostu w wyszukiwarkę. Po chwili uśmiechnęła się, bo Google pokierował ją dokładnie tam, gdzie przed chwilą własna głowa, czyli jednak do kodów. Co prawda wśród nich nie było 84-128, ale istniał kod 84-124, który wskazywał na wieś Chłapowo na Pomorzu. Tej miejscowości nie musiała szukać na mapie, pamiętała ją z wczesnego dzieciństwa, bo gdy mieszkali jeszcze z ojcem we Władysławowie, zanim dostał przydział do komendy w Skarżysku, często jeździli do Chłapowa na plażę. Była bardzo piękna, na wysokich wydmach rosły różowe kwiaty, a delikatny piasek przesypywał się między palcami prawie jak mąka. Agnieszka uśmiechnęła się do swoich wspomnień, po czym wyłączyła komputer, położyła się obok Marty i chwilę później zasnęła.

Sławomir nie spał. Siedział przed komputerem i oglądał zdjęcia. Tym razem nie te na profilu Ewy, z którą miał się spotkać już za kilkanaście godzin. Wszystkie dotychczasowe ofiary wybierał, choć nie do końca przypadkowo, to jednak spontanicznie, ale był jeszcze ktoś, komu przyglądał się od wielu lat, czekając na moment, w którym osiągnie odpowiadający mu wiek. Ta ofiara miała być zwieńczeniem jego dzieła, to ona napędzała wszystkie jego działania, ona była motorem i sensem, i to jej zdjęcia oglądał właśnie w tej chwili. Gdy już się napatrzył, wyczyścił pamięć odwiedzanych stron, rozłączył się z programami maskującymi IP w necie, zamknął wieko komputera i raz jeszcze zweryfikował w głowie plan na następny dzień. Przed południem spotkanie z zarządem regionu swojego ugrupowania, w którym pełnił funkcję doradcą, potem dwie godziny w biurze, gdzie miało zjawić się kilku gości, a później jakiś polityk z partii skrajnie lewicowej, jego nowy łącznik z Siewą. O szesnastej musiał zniknąć z radarów, współpracownikom powiedział o ważnej sprawie rodzinnej, rodzinie o ważnym spotkaniu ze współpracownikami. Gdyby nawet z jakiegoś powodu jedni porozumieli się z drugimi, i tak nic by z tego nie wyniknęło. Zarówno jego asystent, jak i żona wiedzieli o tym, że załatwia wiele spraw tajemniczych, i w pełni się na to godzili, bo dzięki temu Wojtek miał intratną posadę, a Monika ubrania od Diora i święty spokój. Spotkanie z Ewą w Łazienkach zaczynało się wprawdzie dopiero o szóstej, ale do tej pory Sławomir mąż i szef musiał się rozplątać, a następnie skryzalizować w zupełnie innym miejscu w roli Adama Enkratyka, niezatrudnionego chwilowo profesora filozofii, pracującego nad kolejną publikacją naukową, dotyczącą ewangelii apokryficznych z przełomu drugiego i trzeciego wieku po Chrystusie. Po przemyśleniu wszystkich etapów jutrzejszego dnia uznał, że w żadnym momencie nie grozi obsuwa, i ze spokojnym umysłem, jakby na jawie wprowadzonym w fazę REM, udał się do kuchni, by jak zawsze przed snem wypić szklankę ciepłego mleka. Oprócz popołudniowo-wieczornej kulminacji jeszcze jedna rzecz wzbudzała jego zaciekawienie. Było to nagrane przez Siewę spotkanie z politykiem lewicowym. Sławomir od dawna odnosił wrażenie, że partia, którą tamten reprezentuje, działa w porozumieniu z tymi samymi mocodawcami co i on. Służyła głównie rozbijaniu rozpaczliwych prób zjednoczenia się opozycji, co tak naprawdę działało na korzyść rządzącego ugrupowania, z którym był związany i którego rządy odpowiadały Siewie i jego znajomym ze Wschodu. Tak przynajmniej do tej pory podejrzewał, ale teraz po raz pierwszy być może mieli przeprowadzić jakieś bardziej skoordynowane działania. Oczywiście istniał też cień szansy, że za tym ruchem stoi albo jakiś rodzaj prowokacji, albo – co nawet bardziej prawdopodobne – że ów fortel ma na celu sprawdzić lojalność Sławomira wobec potężnych mocodawców. Nawet jeśli, to już wielokrotnie przechodził takie testy i był w pełni na nie przygotowany. Mleko rozlało się przyjemnym, usypiającym ciepłem w żołądku. Sławomir wyłączył światło nad okapem i w kompletnej ciemności, niemal już w półśnie ruszył do swojej sypialni, której od lat nie dzielił z Moniką.

Wszystko wskazywało na to, że także tej nocy Ewie nie uda się zmrużyć oka. Martwiło ją to trochę, bo bezsenność nie czyni człowieka, a kobiety w szczególności, i to nawet tak młodej jak ona, bardziej atrakcyjnym zarówno pod względem wyglądu, jak i potencjału intelektualnego. Po kilku godzinach zmagań dała za wygraną, położyła się na wznak z głową na małej poduszce i wyglądając za okno, gdzie wiatr delikatnie poruszał bezlistnym gałęziami krzewu, zaczęła sobie wyobrażać, jak zmieni się jej życie do czasu, gdy obsypią go fioletowe kwiaty bzu. W ten sposób udało jej się uspokoić chociaż częściowo nieznośne skurcze żołądka, które męczyły ją przez ostatnie kilkanaście godzin, kiedy to rozpracowywała wszystkie warianty rozwoju wydarzeń. Tak naprawdę nigdy nie myślała za bardzo o przyszłości dalszej niż kilka dni naprzód, nie wyglądała poza perspektywę kolejnych egzaminów, planów spotkań świadków Jehowy, tygodnia pracy w kawiarni czy działań wokół domu. Wiedziała, że musi skończyć studia, później pójść do pracy, ale jaka miałaby to być praca, tego już nie rozważała. Gdzieś w odległej perspektywie było założenie rodziny, dzieci, w końcu jako osoba bardzo wierząca – bez względu na to, czy to Jehowa, czy katolicyzm weźmie w końcu górę – traktowała to jako jeden z ważniejszych elementów religijnego światopoglądu. Do tej pory jednak jej przyszła rodzina stanowiła dla niej kompletny abstrakt i myśląc o tym, widziała raczej obrazek z okładki „Przebudźcie się” niż siebie w otoczeniu męża i gromadki dzieci. Nie było w tym nic zdrożnego, miała w końcu zaledwie dziewiętnaście lat, ale wiele z jej koleżanek rozważało to już od wczesnej młodości. Być może uciekała od tego z powodu swojego ojca, być może nie zachęcało jej codzienne oglądanie orki, jaką przez te wszystkie lata musiała uprawiać mama, by ich utrzymać. Teraz, patrząc już ze spokojem na kołyszące się gałęzie, Ewa chyba po raz pierwszy poczuła, że coś takiego jak małżeństwo czy rodzicielstwo mogłoby stać się jej udziałem. Później zaczęła wyobrażać sobie to, co zdarza się wcześniej, moment poprzedzający rodzicielstwo, i nawet na chwilę przywołała obraz Roberta, z którym co prawda nigdy się nie kochała, ale jak dotąd tylko o nim myślała w tym kontekście. Szybko jednak okazał się niewystarczający, a raczej po prostu źle dobrany, więc w jej wyobraźni pojawił się ciemnoskóry kolega z pracy, a potem zobaczyła stalowoszare oczy i poczuła zapach paczuli. Fantazjowała o ciele kryjącym się pod garniturem tamtego mężczyzny i o jego dotyku, a kiedy była już zupełnie mokra, nagle jej ciałem wstrząsnął potężny dreszcz, który w końcu zabrał ją na drugą stronę nocy.

Agnieszka po przyjeździe na komendę najpierw musiała zdać relację z wydarzeń radomskich czekającemu już na nią Mrówcowi, który zaczął od złożenia gratulacji za wystąpienie medialne. Wprawdzie znów spędził pół nocy na didżejowaniu w klubie, tym razem jednak zapał się i nie skorzystał z żadnej z oferowanych mu używek, więc ledwo widział na oczy ze zmęczenia, ale przynajmniej nie mieszało mu się w głowie.

– Wieczorem siedziałam jeszcze chwilę nad tymi liczbami. – Agnieszka przypomniała sobie o dziwnym odkryciu.

– Liczbami? – Piotr otworzył szerzej oczy, próbując rozkleić powieki. Męczyło go zapalenie spojówek, chronicznie powracające po każdej nocy spędzonej pod stroboskopem.

– No, nad tymi kierunkami, które doprowadziły nas do kolejnych ofiar – objaśniła. – Tam tak naprawdę liczą się tylko dwie z nich: ta wyznaczająca kolejne morderstwo, czyli osiemdziesiąt cztery, i ta wyznaczająca miejsce pochodzenia ofiary, czyli sto dwadzieścia osiem. Przyszło mi do głowy, że te dwie liczby są jak oznaczenie kodowe, może podobne zresztą pamiętałam z dzieciństwa i dlatego.

– To rzeczywiście może być kod. – Zważywszy na jego stan, Mrówiec wdroył się nad wyraz szybko.

– Tylko że nie jest. Sprawdziłam. Najbliższy temu znalazłam osiemdziesiąt cztery sto dwadzieścia cztery. To wieś Chłapowo na Pomorzu, gdzie w dzieciństwie jeździłam z ojcem nad morze.

Piotr pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Agnieszka przez moment sądziła, że wylogował się z ich rozmowy, jednak nagle się ożywił.

– Nie jest, ale może kiedyś był. Miałem już kiedyś taką sytuację. Wciąż pojawiają się nowe adresy, czasem jednak zdarza się, że jakieś znikają. Sprawdzę.

Już miała coś odpowiedzieć, gdy na jej biurku zadzwonił telefon. Przez chwilę popatrzyła na niego ze zdziwieniem, połączenia stacjonarne należały już mniej więcej do takiej rzadkości jak śnieg w zimie. Ten aparat pamiętał chyba jeszcze czasy, gdy Polska przeprowadzała dewaluację złotych, więc nie dało się zobaczyć, spod jakiego numeru przychodziła rozmowa. Po chwili namysłu podniosła słuchawkę.

– Komisarz Polkowska, słucham – zaatakowała rozmówcę bardzo oficjalnie.

– Dzień dobry pani, aspirant Walewska. – Głos po drugiej stronie sprawiał wrażenie, jakby należał do dwunastolatki. – Łączę z inspektorem Woźniakiem.

– Dziękuję. – Agnieszka zasłoniła słuchawkę dłonią i spojrzała na Mrówca. – Wojewódzka znowu, kurwa.

Aspirant uśmiechnął się, pokiwał głową i szybko opuścił pomieszczenie. Zrobił to nie z dobrego wychowania, a raczej po to, by nie być świadkiem czegoś, co mogło pośrednio uderzyć także w niego.

– Halo, po tej stronie Woźniak. Dzień dobry, pani komisarz. – Głos inspektora dla odmiany sprawiał wrażenie, jakby należał do starca, który za chwilę podyktuje jej swoją ostatnią wolę.

– Dzień dobry, panie inspektorze. – Polkowska odchrząknęła, bo po tych dwóch jakże kontrastowych barwach głosu nie wiedziała, jak się odnaleźć ze swoim. – W czym mogę pomóc?

– Chciałbym panią zaprosić jeszcze raz do Radomia. – Inspektor mówił wolno, między słowami pojawiały się przerwy na oddech i chyba namysł. – Po pani publicznym wystąpieniu, które zdawało się dezawuować po części nasze działania, pojawił się nowy trop w sprawie...

– Nowy trop? – powtórzyła, bo ostatnia informacja wyraźnie ją zainteresowała.

– Tak, mają tam azylanta pochodzącego oczywiście z jednego z krajów arabskich. – Inspektor nie przyspieszał, ale za to w jego głosie pojawiła się nutka przecinanej oddechami satysfakcji. – Który... cóż, nie ma alibi na dzień zabójstwa pod Skarżyskiem.

– Rozumiem, a czy ów azylant był w Polsce rok i cztery lata temu? – Agnieszka naprawdę się zacięła.

– Nie, ale to bez znaczenia, na razie zajmujemy się jednym morderstwem popełnionym przez Syryjczyka. – Inspektor trochę nabrał tempa.

– Przez człowieka o takim przydomku w internecie i to nie przy tej sprawie, a przy innej, sprzed roku. Przy tej wybrał sobie przydomek Tacjan. Tacjan Syryjczyk to postać związana z wczesnym chrześcijaństwem – Agnieszka mówiła spokojnie, ale czuła już, jak na karku podnoszą się jej małe włoski. Zawsze tak miała, gdy natykała się na ludzką głupotę albo skrajny oportunizm, który musiał chwycić się głupoty, by się uprawomocnić.

– Czyli co pani sugeruje, że to ksiądz zrobił!? – Inspektor wykrzyknął nagle jak młodzieniaszek.

– Sugeruję, że taki przydomek nie świadczy o tym, że morderca pochodzi z Syrii. – Choć w środku teraz się gotowała, starała się nie stracić panowania nad sobą. – Myślę, że byłoby wręcz wysoce niemądre z jego strony, gdyby wybrał przydomek zdradzający jego pochodzenie.

– A co, może morderca to mądry jest dla pani? – Woźniak, pozbawiony logicznych argumentów, postanowił najwyraźniej zmienić rozmowę w przekomarzanekę. Nic dziwnego, z jednej strony idiotyczne dyrektywy z Warszawy jego samego doprowadzały do szału, z drugiej, za nic nie chciał stracić intratnej posady i wiążącego się z nią znaczenia, którego potrzebował, by żyć.

– Obawiam się, panie inspektorze, że ten akurat morderca jest, jeśli nie mądry, to w każdym razie przebiegły i prawdopodobnie także dobrze wykształcony. – Agnieszka wyczuła, co tak rujnuje inspektorowi psychikę, i nagle zrobiło jej się go żal.

– Mądry czy nie, zapraszam panią do Radomia. – Ten wyraźnie nie zamierzał wdawać się w dalsze rozważania, bo właśnie dotarło do niego, że żelazna logika Polkowskiej za chwilę wykolei przygotowaną naprędce pod warszawskie zlecenie hipotezę. – Dziś po południu chcemy rozpocząć przesłuchania, a pani powinna w nich uczestniczyć, jeśli nie jako strona czynna, to przynajmniej w roli doradczej. To w końcu pani sprawę wąkujemy.

– Owszem, panie inspektorze, moją sprawę wąkujecie, postaram się dojechać do państwa przed czternastą...

Potem nastąpiła sekwencja formalnych uprzejmości, która z punktu widzenia inspektora Woźniaka miała zapewne zatuszować gorzkawy posmak całej rozmowy. Kiedy Agnieszka odłożyła słuchawkę, była bardzo zmęczona. Kolejny idiotyczny wyjazd, kolejne bezsensowne przesłuchanie, kolejna strata czasu, którego wciąż ubywało.

Słońce zbliżało się do horyzontu, czego nie było widać z ażurowej chińskiej altany, ale co dawało się odczuć po zmianie barwy światła i po tym, że ptaki zintensyfikowały swoje trele, a w nieodległej alei zaczęły zapalać się lampiony. Sławomir przybył przed czasem, czego nigdy nie zrobiłby w normalnym życiu, przyzwyczajony do tego, że wszyscy zawsze czekają na niego, ale teraz nie był w normalnym życiu – teraz był w życiu Adama Enkratyka, czyli introwertycznego naukowca, który wprawdzie czasem nie dojeżdżał, ale za to na okrągło zastanawiał się nad sensem istnienia i rolą samotności. Ewa zjawiła się dwie minuty po osiemnastej. Wyraźnie chciała sprawiać wrażenie osoby wyluzowanej i nawet wychodziło jej to na tyle dobrze, że wywołało zaskoczenie u czekającego w altanie Adama. Sławomir poczuł jakże dobrze znaną i lubianą niepewność, nieśmiałość i lęk.

– Cześć, jestem Ewa. – Głos dziewczyny drżał delikatnie, od razu ujawniając wszystkie te emocje.

– Adam. – Sławomir wyciągnął zza pleców niezbyt rozwiniętą różę, która na gwałt potrzebowała wody.

– Dziękuję, jaka ładna, ale chyba trzeba by ją gdzieś szybko napoić. – Ze zdenerwowania Ewa nie potrafiła ocenić, czy mężczyzna z przywiedłą różą podoba się jej, czy nie.

– To może podejźmy na kawę? Tu zaraz jest kawiarnia. – Onieśmielony Adam wskazał w kierunku Trou Madame, którą wcześniej, jeszcze jako Sławomir, sprawdził pod kątem obecności monitoringu. – Tam na pewno mają wodę.

– Dobrze. – Dziewczyna powoli wracała do równowagi. Adam był dziwny, wyraźnie nieśmiały, ubrany trochę nie do końca tak, jak chciałaby go widzieć, ale miał w sobie coś, miał ten ni to ciepły, ni to chłodny niski głos, no i spoza okularów spoglądały na nią dziwnie znajome oczy, które od tamtych różniła jednak barwa. – Chodźmy.

Nie do końca wiedział, z której strony i w jakiej odległości iść obok niej, miotał się trochę, co wydało jej się nawet ujmujące. Z każdą chwilą dowiadywała się o nim coraz więcej. Był dobrze zbudowany, może nawet trochę zbyt dobrze jak na profesora filozofii, ale czy profesorowie nie mogą uprawiać sportów?

– Długo czekałeś? – zapytała, kiedy milczenie trwało już odrobinę zbyt długo.

– Nie, nie, przyszedłem kilka minut wcześniej, zawsze wszędzie się spóźniam, więc tym razem specjalnie przestawiłem sobie zegarek, a potem na szczęście zapomniałem o ile, więc wolałem... – strasznie się roztrajkotał, prawdopodobnie tak odreagowywał wcześniejsze skrępowanie i zdenerwowanie. – Ale się rozgadałem.

– Bez przesady. – Uśmiechnęła się. Dobrze czuła się przy tym człowieku, choć wciąż między nimi było trochę sztywno. – Słowa są po to, żeby ich używać.

– Trochę mnie na początku przytknęło – przyznał Adam. – Spodziewałem się, że jesteś bardzo efektowną kobietą, ale mimo wszystko...

– Mimo wszystko? – Spojrzała na niego, rzeczywiście się rozgadał, ale skoro tak się stało, to czemu nie pociągnąć go trochę za język i nie usłyszeć komplementu od przystojniaka ukrytego pod szarą, źle skrojoną marynarką i pod fatalnie dobranymi do owalu twarzy przyciężkami

okularami.

– Mimo wszystko... – Mężczyzna na chwilę się zaciął, jakby zapomniał, o czym chciał powiedzieć. – Mimo wszystko jestem kompletnie, zupełnie pod wrażeniem pani urody.

– Dziękuję. – Ewa to właśnie chciała usłyszeć, nawet jeśli wypowiedziane w tak nieporadny sposób. Kto wie, może nawet ta nieporadność dodawała komplementowi dodatkowego szarmu, czyniła go bardziej przekonującym.

W kawiarni spędzili ponad godzinę. Była kawa, potem lampka wina, róża odżyła w wodzie, a Ewa rozkwitała z każdą chwilą pod coraz mniej ukradkowymi spojrzeniami niebieskich oczu. Potem spacerowali po Łazienkach, a na koniec przeszli jeszcze aleją między czerwonymi lampionami, które wszystkiemu, co zdarzyło się do tej pory, przydały aury pociągającej tajemniczości, po czym Adam odprowadził ją na przystanek przy Łazienkowskiej, a gdy wsiadła do autobusu, stał, wpatrując się, jak odjeżdża. Oboje wiedzieli, że to spotkanie nie będzie ostatnie, że jest właściwie dopiero zarysem czegoś, co pulsowało im obojgu w skroniach jeszcze na długo po rozstaniu. Tak, jemu też pulsowało, choć już pięć minut później nie miał nic wspólnego z Adamem.



Wizyta w komendzie w Radomiu zakończyła się dla Agnieszki tym, czym musiała się zakończyć, czyli wyraźnym zaognieniem konfliktu zarówno z komendą tamtejszą, jak i z jej zwierzchnikami z Kielc. Abu Sajid, Syryjczyk, którego zatrzymano jako podejrzanego w sprawie, nie miał z nią nic wspólnego, choćby i z tej przyczyny, że – jak wyjawiał po sprowadzeniu tłumacza – w czasie popełniania ostatniej zbrodni przebywał u kuzyna w Ławie. Inne zabójstwa, zakwalifikowane wcześniej przez wojewódzką jako seryjne i powierzone specjalnie powołanemu zespołowi, były absolutnie poza zasięgiem Sajida, ponieważ wtedy mieszkał jeszcze w Aleppo. Przewodzący formalnie grupie inspektor Woźniak zdawał się jednak odporny na fakty, co Agnieszkę, zwolenniczkę, a może wręcz niewolniczkę żelaznej logiki zarówno w pracy policyjnej, jak i w życiu doprowadzało do szewskiej pasji. Do kulminacji ich konfliktu doszło w obecności kilku funkcjonariuszy komendy w Radomiu. Woźniak chciał na jej przykładzie pokazać kolegom, jak dyscyplinuje się krnąbrnych funkcjonariuszy, ona nie dała się zdyscyplinować i w konsekwencji od dzisiejszego ranka znalazła się na bezterminowym płatnym urlopie zdrowotnym. Zakomunikował jej to przez telefon Misiak, wściekły nie tyle nawet na nią, ile na system, na Woźniaka, na pogodę i na to, że nie wie, jaki fragment jej zdrowotnego dobrostanu miał się na tyle źle, że została zmuszona do tego, by się nim zająć.

– Czyli co mam teraz zrobić? – Agnieszka siedziała na łóżku i wpatrywała się w palce u stóp, myśląc o tym, że w zaistniałej sytuacji może wreszcie znajdzie czas na pedikiur.

– Skąd mam wiedzieć? Pojeżdż do sanatorium, w góry, nad morze, do Paryża. – Szef nie tylko był wściekły, ale także przerażony, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że to ona, a nie kto inny niosła na plecach brzemień pracy całego wydziału. – Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! Nie zastanawiałaś się nad tym, zanim się z nim pokłóciłaś?

– Nie kłóciłam się z nim. Okazało się, że koniunkturalizm wypalił mu mózg, a ja próbowałam tylko ratować sytuację. – Agnieszka była tak naprawdę zdenerwowana nie mniej od niego, ale nie chciała tego pokazać. W końcu ktoś musi być spokojny, by zdenerwowany mógł być ktoś.

– Jak ratować sytuację, jak, kurwa, ratować sytuację?! Jaką sytuację? Przecież oni teraz będą przesłuchiwać wszystkich Arabów w Polsce, a to twoje Kadzidło, niczym nieniekójone, będzie dalej zabijać!

– Szybko im się zejdzie – zauważyła komisarz, próbując rozładować napięcie.

– Co? – Szwagier nie zrozumiał żartu.

– Szybko im się zejdzie z tymi Arabami, wielu ich tu nie ma. – Znów spojrzała na paznokcie, a potem na Martę śpiącą spokojnie obok.

– To, kurwa, dowiozą nowych, otworzą granice dla uchodźców, żeby w końcu któregoś z nich zapuszkować.

– Będzie przynajmniej jakaś korzyść.

– Co zamierzasz? – Szwagier odezwał się po chwili tak długiej, że zaczynała myśleć, iż rozmowa dobiegła końca i tylko umknął jej ten moment. Dopiero teraz dotarło do niej z pełną mocą, co tak naprawdę się stało.

– Nie mam pojęcia, Włodek – odparła cicho.

– Odpocznij.

– Ja się męczę, jak odpoczywam. – Zerknęła na Martę, którą obudziła pewnie właśnie ich konwersacja i która teraz przysłuchiwała się, nie do końca wiedząc, o co chodzi.

– Czyli? – Misiak ciągnął rozmowę, tak jakby bał się, że gdy ją skończy, zostanie sam na sam ze wszystkim tym, z czym radził sobie tylko wtedy, gdy miał Agnieszkę u boku.

– Czyli dam ci znać. Na razie idę na pedikiur.

– Ja nie dam rady z tobą, kiedyś po prostu nie dam rady – próbował zażartować.

– A beze mnie?

– A bez ciebie to już w ogóle. Trzymaj się, a ja będę cisnął przez Warszawę, żeby cię przywrócili. Pewnie za parę tygodni, jak kompletnie utkną z tą sprawą, sami pójdą po rozum do głowy.

– Tylko że za parę tygodni będziemy mieli nowe podcinane kończyny.

– Idź na pedikiur. Cześć. – Wściekły na wszystko Misiak rozłączył się.

Marta patrzyła na nią, nie chciała pytać, ale było widać, że chce wiedzieć.

– Możesz wyjechać na parę dni? – Agnieszka delikatnie zsunęła kosmyk włosów z policzka Marty.

– Chcesz zostać sama? – Dziewczyna patrzyła na nią pytająco.

– Nie. – Agnieszka uśmiechnęła się ciepło. – Właśnie dostałam przymusowy urlop zdrowotny, chociaż nic mi nie dolega. No i pomyślałam, że może wyskoczmy razem na kilka dni.

– Super! A dokąd?

Zamyśliła się przez chwilę.

– W góry?

– A może powinnaś zabrać Jolę? – zaproponowała Marta, choć sama miała ogromną ochotę na taką wycieczkę.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Jesteś pewna?

– Nie, ale proponuję i zobaczymy.

Pół godziny po tym, jak rozpoczęła swój przymusowy urlop zdrowotny, zadzwonił Mrówiec.

– Piotrek, ale ja zostałam odsunięta od sprawy – przekazała mu ze smutkiem najnowsze wieści.

– Wiem, i co z tego? Komu mam to przekazać? Woźniakowi z Kielc, żeby pojechał szukać tam Arabów? – Nie dał się zbić z pantofelku. – Poza tym nie sądzę, żebyś odpuściła sprawę. Jakbyś to zrobiła, to rzeczywiście rzuciłoby ci się na zdrowie.

Agnieszka uśmiechnęła się do swoich myśli, a tak naprawdę do Mrówca, który nie mógł tego zobaczyć.

– No to mów, skoro tak dbasz o mój dobrostan.

– Osiemdziesiąt cztery sto dwadzieścia osiem... – zaczął i zawiesił głos.

– Bo się rozłączę! – Pomimo całej sympatii do Piotra jego maniera budowania dramaturgii w najmniej nawet nadających się do tego warunkach doprowadzała ją do szewskiej pasji.

– Oznaczenie kodowe – dorzucił, ale do sedna miał jeszcze kawał drogi.

- Wiem, do cholery! Tylko już ustaliliśmy, że takiego nie ma.
- Ale było... – Mrówiec znów umilkł, ale na szczęście szybko się zreflektował. – Mówiłem ci, że tak się zdarza.
- Gdzie było?
- Miejscowość nazywa się Paruszkowo, ulica Kościelna, w książce kodowej z osiemdziesiątego czwartego roku, numery od osiem do trzydzieści dwa miały oznaczenie kodowe osiemdziesiąt cztery sto dwadzieścia osiem, rok później odebrali im ten kod, teraz mają chyba osiemdziesiąt cztery sto siedem – wyrecytował na jednym oddechu.
- Gdzie to jest?
- Strzelno, Mieroszyno, te okolice.
- Nie wierzę – powiedziała ze zdziwieniem.
- Czemu?
- Znam te rejony.
- Ja też znam czasem jakieś rejony, na przykład zero dwa sto pięćdziesiąt siedem to telewizja na Woronicza.
- Ale ja się tam wychowałam – dodała Agnieszka.
- No to łatwiej się tam odnajdziesz.

Dla Ewy kolejne dni po spotkaniu z Adamem w najmniejszym stopniu nie przypominały tych wcześniejszych. Nigdy nie zdiagnozowano u niej żadnej przypadłości psychicznej, ale gdyby ktoś chciał zakwalifikować ją do przypadków choroby afektywnej dwubiegunowej, to o ile wcześniej pozostawała w fazie delikatnej depresji, to teraz bez dwóch zdań rozhuśtała się u niej mania. Ewa zamiast chodzić, unosiła się właściwie przez cały czas nad ziemią, uśmiech nie schodził z jej twarzy, dobrego humoru nie był w stanie popsuć ani naprzykrzający się wciąż na uczelni Robert, ani nawet wredna przełożona w pracy. Zmianę widzieli wszyscy, ale najbardziej zwróciła na nią uwagę mama. Pytana przez nią Ewa wzruszała ramionami i mówiła, że profesor przyjął jej pracę roczną i stąd zwyczajka dobrego humoru. Z prawdziwej przyczyny swojego zadowolenia, a tak naprawdę euforii, nie zwierzała się nikomu, ponieważ jednym z elementów całej zabawy, która tak bardzo ją ekscytowała, było utrzymanie znajomości z Adamem w tajemnicy. Przyrzekli sobie, że na razie pod żadnym pozorem nie powiedzą nikomu o sobie. Jedyne, co ją niepokoiło, to to, że podczas ostatniego spotkania w Łazienkach nie ustalili, co właściwie dalej się wydarzy, a zależało jej na tym, by coś się stało, i to jak najszybciej. Dni mijały, a ona czekała, choć nie do końca wiedziała na co. Przez cały ten czas mieli wprawdzie kontakt przez komunikatory internetowe, a częściej pocztą elektroniczną, bo Adam przekonał ją, że Facebook jest tak dokładnie zinfiltrowany, że równie dobrze swoje sekretne rozmowy mogliby prowadzić na scenie przed tysięczną publicznością, ale wciąż nie padała data kolejnego spotkania, na które czekała, ale którego za nic w świecie nie chciała sama zaproponować.

Sławomir też czekał, ale w przeciwieństwie do niej miał bardzo precyzyjnie przygotowany plan. Jednym z kluczowych elementów jego realizacji na obecnym etapie było doprowadzenie Ewy do stanu wrzenia, zarówno w sferze duchowej, jak i cielesnej. Jednocześnie przygotowywał kolejną fazę, czyli to, na co Ewa czekała z takim utęsknieniem, a co w jego zamyśle stanowiło preludium do wielkiego finału. Ewa, choć stanowiła w tej chwili najjaśniejszy, a właściwie najgorętszy punkt programu, to nie była jednak tego programu punktem jedynym. Sławomir miał pracę, a przede wszystkim jako człowiek niezwykle uporządkowany miał też już plan na kolejny po Ewie etap, który stanie się zwieńczeniem wszystkich jego dotychczasowych działań, punktem kulminacyjnym. Po zrealizowaniu go, przynajmniej w dziedzinie zabójstw młodych dziewczyn, zamierzał przejść na zasłużoną emeryturę. Ten etap zaplanował już wiele lat temu, zanim w ogóle zabrał się do zgłębiania dziedziny. Perspektywa owego wydarzenia stanowiła dla niego od początku cel sam w sobie i wszystko, co wydarzało się po drodze, było jedynie wstępem, przedsmakiem tego wydarzenia i przygotowaniem do niego. O tym właśnie rozmyślał teraz Sławomir, a zdania padające z ust sympatycznego młodego człowieka o twarzy niemożliwej do zapamiętania docierały do niego jedynie w starannie wybranych przez algorytm jego uważności fragmentach.

– Dlatego poproszono mnie, żebym skontaktował się z panem. – Młody w obcisłym, jak nakazywały kanony hipsterskiej mody, garniturze skończył i poprawił optyczne okulary.

– Jaką ma pan wadę? – Sławomir czuł w tej rozmowie tak ogromną przewagę nad interlokutorem, że zupełnie nie przejmował się kontekstem sytuacji.

– Nie rozumiem? – odezwał się młody polityk, potwierdzając jedynie wcześniejsze podejrzenia Sławomira, iż nie jest specjalnie gibki umysłowo.

– Jaką ma pan wadę wzroku – dopytał, choć doskonale wiedział, że tamten nie ma żadnej wady, a okulary na nosie są elementem garnituru bardziej niż remedium na okulistyczne bolączki.

– Zero pół na zero siedemdziesiąt pięć. – Młody odpowiedział przytomnie, bo być może był już kiedyś o to pytany. – A dlaczego pan pyta?

– Bo ja też mam lekką wadę i waham się wciąż, czy nosić, czy nie. – Uśmiechnął się Sławomir. – A wracając do tego, co pan powiedział, to nie poproszono, tylko kazano panu się ze mną skontaktować. – Zamilkł i popatrzył na polityka z satysfakcją, a potem odwrócił wzrok. – Ale proszę się nie przejmować. – Znow się uśmiechnął, tym razem bardziej do swoich myśli. – Tak już jest na świecie. Odreaguje pan to na tym chłopaczku, z którym się pan spotyka bez wiedzy żony i całego świata.

Mężczyzna chciał się oburzyć, ale zamiast tego tylko się spocił.

– Teraz będzie tak. – Sławomir znow spojrzał na niego, jakby chciał sprawdzić, czy już go wystarczająco zmaltretował. – Raz w tygodniu proszę o kontakt, chyba że zawiadomię pana przez moich ludzi, że trzeba będzie coś w międzyczasie zrobić. Podczas tych naszych pogawędek raz w tygodniu będzie pan otrzymywał wszystkie wytyczne odnośnie do tego, jak pana organizacja... Jak ona się nazywa, proszę mi przypomnieć.

– Młodzieżówka Polskiej Lewicy. – Młody przełknął ślinę.

– No właśnie, słowo „polskiej” usuniemy z czasem, bo nie ma sensu, by pana lewica siedziała okrakiem na kontekstach narodowych przynależnych mojej prawicy, mętnik się od tego zrobi. Pan ma obsługiwać tych, którzy nas nie znoszą, a nie tych, którzy nas lubią. Ale to później, na razie raz w tygodniu dostajecie wytyczne, no i cały wasz przekaz od tej pory idzie przeze mnie. Ktoś to musi ustawiać, regulować, jeśli wie pan, o co chodzi... – Sławomir zamilkł, jakby skończył, a tamten kompletnie nie wiedział, co powiedzieć. – Wie pan czy nie?! – krzyknął prawie, a polityk prawie zemdłał.

– Tak, oczywiście.

Po informacji od Mrówca dotyczącej starych kodów z Paruszkowa Agnieszka postanowiła zmodyfikować nieco plany wakacyjne. Teraz, kiedy ich marszruta miała się z grubsza skrzyżować ze ścieżkami jej dzieciństwa, pomysł Marty o zabranii ze sobą Joli zaczynał nabierać dodatkowego sensu. Był dobry, ale jego realizacja, czyli namówienie samej zainteresowanej, wydawało się kompletnie niemożliwe. Widząc, jak trudno jej podjąć ten temat, w pewnym momencie z pomocą zaoferowała się nawet Marta, która do tej pory trzymała raczej rozsądny dystans wobec relacji matki i córki. W końcu w sukurs wszystkim przyszła sama Jola, która zadzwoniła z propozycją spotkania, co Agnieszka od razu wykorzystwała i złożyła swoją. Dziewczyna zgodziła się od razu i najzupełniej nie zniechęcił jej fakt, iż w wyjeździe brała udział także Marta nazwana przez Agnieszkę przyjaciółką, ale przecież sytuacja nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Jola poprosiła jedynie o chwilę na załatwienie kilku dni wolnych, co żyjąca w poczuciu wiecznego zagrożenia Agnieszka zinterpretowała jako kulturalny wybieg, który miał jedynie oddalić w czasie odmowę. Pomyliła się jednak, jak już nie pierwszy zresztą raz, i następnego dnia Jola zadzwoniła z pytaniem o to, gdzie i o której ma się stawić gotowa do wyjazdu.

Ruszyły następnego dnia po południu. Mimo prawie już zimowej pory aura była nad wyraz sprzyjająca, świeciło słońce, termometr wskazywał osiem stopni w cieniu. Samo pierwsze spotkanie córki z kochanką matki przebiegło gładko. Jola w ogóle nie miała problemu z tą jednak dość nietypową sytuacją, za to Marta, choć nie należała do przesadnie nieśmiałych, wydawała się skrępowana. W drodze, gdy rozmawiały na wszelkie możliwe tematy, Agnieszkę nurtowało jedno pytanie, choć nie odważyła się go teraz zadać. Dotyczyło ono ojca Joli, a raczej tego, czy wiedział o ich wspólnym wyjeździe. W końcu w przeciwieństwie do własnej córki był konserwatywnym i nieszczególnie tolerancyjnym człowiekiem. Do hotelu w Chłapowie dojechały późnym wieczorem, a po kolacji i krótkim spacerze zatopioną w mroku plażą rozeszły się do pokoi. Godzinę później, kiedy Marta leżała już i czytając, gotowała się do snu, Agnieszka postanowiła wyjść znów na krótki spacer, a tak naprawdę zależało jej na tym, żeby jeszcze tego wieczoru pojechać samochodem do oddalonego o zaledwie pięć kilometrów Paruszkowa i rozejrzeć się za czymś, co mogło wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Kiedy już wsiadała do samochodu, od strony wejścia pomachała do niej Jola. Agnieszka nie chciała, żeby córka знаła inny niż wakacyjny cel ich wizyty w tym właśnie miejscu, ale gdy tylko wyruszyły spod hotelu, dotarło do niej, że kłamstwo czy nawet niedomówienie w ich nowo nawiązanej, a tak naprawdę nawiązanej po raz pierwszy relacji nie ma prawa się pojawić.

- Dokąd jedziemy?
  - Do Paruszkowa, to pięć kilometrów stąd – odparła zgodnie z prawdą Agnieszka.
  - Czemu?
  - Dłuższa historia. – Próbowała jeszcze się ratować, licząc, że dziewczyna nie dopyta o szczegóły.
  - Może zdązysz mi opowiedzieć.
- Agnieszka zastanawiała się przez chwilę, od czego zacząć i czy nie lepiej jednak salwować się

ucieczką, ale w końcu zrezygnowała.

– Ścigam seryjnego zabójcę – zaczęła tam, gdzie mogła skończyć po pół godzinie zawołanego tłumaczenia, bo z jakiegoś powodu uznała, że tak będzie lepiej.

– Wiem. Oglądam telewizję – stwierdziła Jola, wprawiając ją tym w osłupienie.

– No tak, ale...

– Ścigasz, ale przez to, że myślisz logicznie, a nie koniunkturalnie, zmusili cię do urlopu. Jeśli wydaje ci się, że się nie domyśliłam, że na urlopie będziesz go ścigała nadal, to mnie nie doceniasz. – Uśmiechnęła się łagodnie, co Agnieszka bardziej poczuła, niż zobaczyła w mroku samochodu rozświetlanym jedynie poblaskiem z deski rozdzielczej. – I co z tym Paruszewem?

– Paruszkowem. Ja się tu wychowałam, jutro pojedziemy do mojego domu do Władysławowa... – Urwała nagle, jakby postanowiła się jednak bronić przed opowiedzeniem wszystkiego.

– Wiem, mamó. – To słowo zaskoczyło je obie, Agnieszkę tak bardzo, że musiała zjechać na pobocze i zatrzymać samochód. Siedziały w milczeniu pogrążone w ciemnościach. – Wiem, że się tu wychowałam, i chcę zobaczyć te miejsca, ale teraz jedziemy gdzie indziej.

– To czysty przypadek – odezwała się dopiero po chwili Agnieszka. – Mój asystent odnalazł stare oznaczenie kodowe, które zgadza się z pewnymi liczbami... To bardzo zawile i czysto hipotetyczne.

– Opowiedz.

Jola wysłuchiwała relacji z dotychczasowych ustaleń śledztwa i wbrew obawom Agnieszki żadne z nich nie okazało się dla niej przesadnie zawile, a wysnuwane przez nią hipotezy wydawały jej się dość przekonujące. Kiedy już zwiedziły pogrążoną w mroku nocy wieś, gdzie oprócz kilku chałup i starego ponemieckiego budynku z cegły, który mieścił obecnie szkołę podstawową, nie znalazły nic ciekawego, wróciły do hotelu, a tuż przed wejściem do środka Jola wyraziła na temat całej tej historii tylko jedną opinię.

– A może to nie przypadek.

– Co takiego? – Agnieszka zdążyła już zapomnieć kontekst ich wcześniejszej rozmowy.

– To, że Paruszkowo jest pięć kilometrów stąd, a my jesteśmy tu razem.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, po prostu przyszło mi do głowy, że to nie jest czysty przypadek.

Tego Agnieszka nie brała wcześniej pod uwagę. Kiedy położyła się obok śpiącej już głęboko Marty, zastanawiała się jeszcze przez chwilę nad możliwymi wariantami tej tezy, ale nie mogąc znaleźć żadnego związku, zapomniała o tym pomyśle Joli.



Ewa czekała na kolejne spotkania, uwielbiała towarzyszącą im aurę tajemniczości i ich różnorodność, bo żadne z nich nie wyglądało tak samo. Jej seksualność, o której do tej pory nie miała pojęcia, rozkwitła tak bardzo, że chwilami dziewczyna zastanawiała się, czy to nie ona przypadkiem stanowiła napęd wszystkich jej poczynań. Martwiło ją to nawet przez pewien czas, ale kolejne spotkanie i rozmowa z Adamem kompletnie odmieniły jej spojrzenie na sprawy dotyczące namiętności, której oddawała się z coraz większą odwagą. On rozumiał jej problem, twierdził, że też niegdyś się z nim borykał, jak każdy wierzący człowiek ukształtowany w świecie podzielonym na *sacrum* i *profanum*. Opowiedział o tym, jak kiedyś uległ olśnieniu i w ułamku sekundy dotarło do niego, że ten podział wprowadziły instytucje Kościoła po to, by sprawniej manipulować ludźmi utrzymywanymi w stanie permanentnego wyrzutu sumienia, z którego tylko Kościół ze swoim sakramentem spowiedzi mógł ich wyzwolić. Adam był człowiekiem wielkiej wiary, i to wiary nie tylko w Boga i Jego Syna Jednorodzonego, ale także w Kościół święty, ale dla niego ów Kościół przestał być tym, do czego został powołany w momencie, gdy pieczę nad nim przejęli możni tego świata, czyli mniej więcej wtedy, gdy Konstantyn uznał go za Kościół powszechny. Kościół prawdziwy stanowili dla Adama wcześnie chrześcijanie, odprawiający msze w rzymskich katakumbach, prześladowani i tuzinami przybijani do przydrożnych krzyży, a nie instytucja odziana w purpurę. Kochali się, rozmawiali o filozofii, o teologii, o ideach towarzyszących ludzkości, a potem kochali się znowu. Tak mijały dni, ona chciała, by tak pozostało już na wieczność, on przygotowywał plan na to, jak przenieść ją do wieczności. Tymczasem świat wokół czujnie jej się przyglądał. Mama dopytywała, co się dzieje, a kiedy nie mogła niczego się dowiedzieć, zaczęła działać na własną rękę. Kiedy Ewa powiedziała Adamowi, że mama przegląda jej komórkę, dostała od niego aparat z kartą prepaidową. Od tej pory do komunikacji miały im służyć wyłącznie mejl i ten właśnie telefon, który chowała w skrytce w piwnicy. Ich relacja zamykała się coraz bardziej przed światem. Ewa to uwielbiała, czuła się jak w kokonie, opleciona zauroczeniem, namiętnością i tajemnicą. Żadnego z tych uczuć wcześniej w życiu nie zaznała, dlatego teraz chciała, by to szczęście trwało jak najdłużej. Była przekonana, że to właśnie jest miłość, na którą czekała przez te wszystkie lata, odkąd ojciec odszedł, pozostawiając ją w poczuciu, że zasługuje wyłącznie na samotność i pustkę. A co bodaj najgorsze, pozostawił ją też w poczuciu, że sama sobie na to zasłużyła.

Kolejny dzień częściowo służbowego wyjazdu wypoczynkowego rozpoczęły od wypadu do Rozewia. Pogoda niezbyt sprzyjała, ale spacer nad wzburzonym morzem zdawał się w doskonały sposób oddawać mroczny klimat, który stanowił tło całej wyprawy. Po wizycie nad morzem pojechały do Władysławowa, gdzie Agnieszka pokazała im starą kamienicę, w której mieszkała z ojcem do siedemnastego roku życia. Wtedy to tata dostał awans i skierowano go na komendę w Skarżysku, gdzie od tej pory miał zarządzać całym wydziałem kryminalnym. Ojciec przyjął tę pracę z dwóch powodów: po pierwsze, był to kolejny szczebel jego wieloletniej kariery w organach ścigania, a po drugie, co może nawet w owym czasie stanowiło dla niego silniejszą motywację, chodziło o to, żeby wyrwać siebie i ją z miejsca, gdzie przez siedemnaście lat czekali na powrót jej matki. Ojciec czekał świadomie, ale starał się tego nie okazywać, często nawet przed sobą, więc przez lata żył w przekonaniu, że sprawa zupełnie nie dotyczy Agnieszki. Niestety, był w błędzie – jego smutek, melancholia i narastające zgorzknienie stały się dla niej czymś całkowicie zrozumiałym. Zdjęcia z pietyzmem przechowywane w pudełku po butach z jednej strony i brak kobiety w życiu tego wartościowego i dobrego człowieka z drugiej łączyły się w całość, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

– Jakie piękne podwórko! A jaki widok... – Jola stała na murku i spoglądała w stronę załamujących się białą fal w oddali. – Po co dziadek w ogóle się przeprowadził?

– Bo w Skarżysku miał lepsze widoki na pracę. – Agnieszka odkryła oficjalną półprawdę.

– Nie wierzę, że tylko dlatego. – Jolę bardzo trudno było zwieść półprawdą. – To co, chyba wracamy do Paruszkowa?

– Do Paruszkowa? A co tam jest, w tym Paruszkowie? – zainteresowała się Marta. Ona jako jedyna nie została jeszcze wprowadzona w mroczne tło ich turystyczno-sentymentalnej wycieczki.

– Paruszkowo... – Agnieszka nie wiedziała, od czego zacząć. – Wyjaśnię ci po drodze.

Marcie niezbyt się spodobało, że częściowo została okłamana, ale perswazja Joli w końcu i ją przekonała. Kiedy kilka minut po drugiej przyjechały na miejsce, z gminnej podstawówki, mieszczącej się w środku wsi, wychodziły dzieci. Do sekretariatu weszły we dwie, bo Marta, choć już w miarę udobruchana, wolała jednak trzymać się od tej sprawy jak najdalej. Ceglany budynek z zewnątrz wywoływał niezbyt pozytywne emocje, ale w wyremontowanym wnętrzu, którego ściany w większości zdobiły dziecięce rysunki, zdjęcia i dyplomy, pierwsze wrażenie zniknęło. Dyrektorka szkoły, trzydziestokilkuletnia zadbana kobieta, była bardzo miła i pomocna. Agnieszka początkowo nie chciała ujawniać, gdzie pracuje, ale w końcu musiała.

– A dlaczego panie tak interesują się naszą szkołą? – zapytała dyrektor, dolewając im obu kawy z dzbanka pełniącego przy okazji funkcję termosu.

– Nie tyle szkołą, ile w ogóle miejscowością, to znaczy Paruszkowem.

– Paruszkowem? – Kobieta zdawała się jeszcze bardziej zafrapowana.

Agnieszka sięgnęła do kieszeni po zawiniętą w kulkowy łańcuszek legitymację służbową.

– Prowadzę... to znaczy prowadzimy dochodzenie w pewnej sprawie. – Zerknęła na siedzącą obok Jolę, a ta się uśmiechnęła. – W toku działań śledczych ustaliliśmy, że jeszcze w latach

osiemdziesiątych szkoła i całe Paruszkowo miało oznaczenie kodowe, które może być tropem w sprawie.

– A w jakiej sprawie?

– Tego nie mogę ujawnić, jest ono objęte tajemnicą śledztwa.

– Nie pomogę paniom za bardzo, bo w latach osiemdziesiątych się urodziłam i, co więcej, nie tutaj, tylko w Gdyni. Wiem, że szkoła powstała na początku lat dziewięćdziesiątych, czyli mniej więcej wtedy, kiedy ja zaczynałam właśnie chodzić do podstawówki. Może dlatego tak ją lubię.

– Pani dyrektor uśmiechnęła się znów, tym razem szerzej.

– Rozumiem, a może wie pani coś o jakimś wydarzeniu z wcześniejszej historii Paruszkowa. Może miało tu miejsce coś szczególnego? – Do rozmowy włączyła się Jola, wywołując tym lekki uśmiech na twarzy Agnieszki.

– Nie, nic mi nie wiadomo, chyba nic aż tak szczególnego się tu nie wydarzyło, bo pewnie bym wiedziała.

Na chwilę cała trójka zamilkła. Jola oglądała zdjęcia wiszące na ścianach. Wśród nich dostrzegła czarno-białe, na którym gmach szkoły wyglądał jeszcze bardziej złowrogo.

– Czy wtedy już mieściła się tutaj szkoła? – Wskazała na fotografię wiszącą pod oknem gabinetu.

– Nie, z tego, co wiem, zdjęcie zrobiono jeszcze przed remontem. Dopiero potem otwarto tu szkołę.

– A co się tu mieściło, zanim nastąpiła szkoła? – zainteresowała się Agnieszka.

– Przez kilka lat na pewno nic, a wcześniej? – Dyrektorka zamyśliła się, a potem spojrzała na kobiety. – Szczerze mówiąc, nie wiem, ale znam kogoś, kto może wiedzieć.

Ewa w ostatnim czasie prawie przestała bywać w zborach. Matka była przekonana, że córka odwiedza je z większą nawet częstotliwością niż wcześniej, bo dziewczyna, gdy szła na spotkanie z Adamem, zazwyczaj mówiła, że jedzie albo do zboru, albo na misję, by głosić zasady wiary, chodząc od drzwi do drzwi różnych domów. Było to jednak wierutne kłamstwo, czego Ewa nie lubiła, więc pomimo emocjonalnego zawirowania związanego z Adamem odczuwała dyskomfort. W zborze nie pojawiała się od tak dawna, że w obliczu kłamstw opowiadanych matce w końcu postanowiła się zabezpieczyć i umówiła się tam z Basią. Przyjaciółka już po kilku zdaniach, a nawet wcześniej, kiedy tylko ją zobaczyła, wiedziała, że coś się zmieniło. Ewa była z jednej strony radośniejsza i zdecydowanie bardziej optymistycznie nastawiona do życia, ale z drugiej – stała się nerwowa. Jej zachowanie przywodziło na myśl osobę będącą pod wpływem substancji psychoaktywnej, która napędza i daje poczucie siły i radości życia, ale zarazem niesie załączek lęku o to, co się stanie, kiedy przestanie działać.

– Teraz chodzimy z mamą więcej do zboru w Garwolinie. – Ewa mówiła szybko, jakby chciała zagłuszyć świadomość tego, że nie mówi prawdy. – Mamie jest łatwiej, a poza tym tam jest tak bardziej domowo, mniej ludzi, starsi zboru mają więcej czasu na rozmowy z wiernymi...

– Ewa, rozmawiałam ze starszym Witoldem z Garwolina...

Basia w końcu przerwała potok jej słów. Ewa milczała, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy, tak jakby nie do końca zdawała sobie sprawę z sytuacji.

– Co się dzieje? – Basia celowo nie patrzyła w oczy przyjaciółce, by jej nie utrudniać. – Widzę, że jest dobrze, że jest fajnie, nie musisz mi ściemniać o zborze w Garwolinie, możesz po prostu powiedzieć prawdę.

Ewa zawahała się, bo tak naprawdę rzeczywiście nie było żadnych przeciwwskazań, by wyznać Basi prawdę. Co więcej, miała ogromną ochotę wreszcie podzielić się z kimś swoją radością. Niestety, nie mogła, ponieważ obiecali sobie z Adamem, że wszystko, co się dzieje w ich związku, zachowają wyłącznie dla siebie. Takie poczucie wspólnoty związanej przez tajemnicę było w tej relacji niezwykle ważne, może nawet ten sekret stanowił główny filar ich bliskości, a poza tym okazał się tak ekscytujący, że nie mogło być mowy, by Ewa z niego zrezygnowała.

– Prawdę? – zdziwiła się tak szczerze, że przyjaciółka prawie jej uwierzyła. – Prawda jest taka, że wreszcie się podniosłam po rozstaniu z Robertem, awansowałam na menedżerkę w pracy i wygląda na to, że bez problemów uda mi się zaliczyć semestr. A w Garwolinie jest naprawdę miło. Lepiej powiedz, co u ciebie.

Basia zrelacjonowała wydarzenia ostatnich dni, potem poplotkowały na różne, mniej ważne tematy i w efekcie trochę się uspokoiła, ale wciąż miała wrażenie, że coś jest inaczej niż do tej pory, nie potrafiła jednak konkretnie wskazać, co to było. Ewa nie chciała, aby zaniepokojona przyjaciółka zaalarmowała matkę, zaproponowała więc, że wkrótce zostanie w Warszawie po pracy i spędzi noc u niej. Wtedy będą miały czas porozmawiać poważniej.

Tego popołudnia, podczas codziennego już, teraz nieomal rytuału spotkań z Adamem, Ewa zwierzyła mu się, że matka i przyjaciółka powoli zaczynają dostrzegać zmianę w jej życiu

i w związku z tym prawdopodobnie niebawem będzie musiała im powiedzieć o ich spotkaniach. Przyjął to ze spokojem, nawet się ucieszył, doskonale rozumiał przecież sytuację, a poza tym dodał tajemniczo, niedługo wszystko się zmieni i wtedy już na pewno nie będą musieli ukrywać swojego związku. Tymczasem jednak zaproponował, by jeszcze cieszyli się tym, że są jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzą o tym, jak wiele ich łączy. Ucieszyła się, a kiedy wracała do domu, zastanawiała się nad tym, co powiedział – niebawem wszystko się zmieni. Gdzieś z tyłu głowy pojawiła się pewna myśl, której jednak bała się dopuścić do świadomości głównie dlatego, że była to myśl radosna i nie chciała zapeszyć tego, co niosła ze sobą.

Adam, teraz już jako Sławomir, jechał na spotkanie z Siewą. Nie zaskoczyła go dzisiejsza rozmowa z Ewą, przechodził to już wcześniej z trzema kobietami. Czasem rodzina i przyjaciele orientowali się wcześniej, czasem trochę później. Zawsze, kiedy sprawy przybierały taki obrót, oznaczało to, że czas *grand finale* zbliżał się wielkimi krokami. Sławomir, który właśnie to *grand finale* lubił najbardziej, uśmiechnął się do swoich myśli, koszmarnych wspomnień i projekcji. Tymczasem za oknami samochodu słońce zachodziło jak co dzień.

Osoba, która miała wiedzieć znacznie więcej od młodej i atrakcyjnej pani dyrektor, czyli szatniarka Elżbieta Radwan, w szkole pracowała od pierwszych dni jej istnienia, czyli od 1989 roku, a jeszcze wcześniej w gminnej spółdzielni mieszczącej się naprzeciwko szkoły, choć wtedy jeszcze szkoły tam nie było.

– Czyli otwarto ją we wrześniu osiemdziesiątego dziewiątego roku. – Agnieszka próbowała rozkręcić rozmowę, gdy ta utknęła w martwym punkcie. – A wcześniej? Budynek ma ze sto lat, więc coś musiało tu być przed nią.

– Pierwszego września osiemdziesiątego dziewiątego pompę tu zrobili, wojewoda był, jeszcze partyjny, ale udawał, że „Solidarność” jako imię dla szkoły bardzo mu się podoba. Oni wszyscy zawsze pięknie potrafili udawać, że później już sami nie wiedzą, co prawda, co fałsz, zresztą nic ich to nie obchodzi. A ja im nie wierzę. – Radwan zawisła w próżni między wtedy a potem, i chyba czymś jeszcze.

– To prawda, kłamią jak z nut, dzisiaj nie jest inaczej. – Jola pokiwała głową. Czasem, by zmienić temat, trzeba go podjąć samemu.

– Świąte słowa. – Szatniarka wreszcie wróciła do teraźniejszości. – Kilka lat to stało, niszczało, aż szkoda było patrzeć, więc dobrze, że w końcu dzieciaki znowu mają z tego jakiś pożytek.

– Znowu? – zapytała czujnie Agnieszka.

– No znowu, chociaż wcześniej to pożytek taki raczej przykry był, dom dla trudnych dzieciaków. Salezjanie prowadzili i to odkąd sięgnę pamięcią, a daleko sięgam, od po wojny jakoś na pewno.

– Od po wojny, a do którego roku? – Komisarz cisnęła, dopóki Radwan zatrzymała się na etapie sierocińca.

– No czy ja wiem, stało i niszczało tak z pięć lat, zanim szkołę zrobili. Tak, chyba ci salezjanie gdzieś do osiemdziesiątego piątego tu urzędowali. Ciężki kawałek chleba mieli z tą młodzieżą, bo te chłopaczki w poprawczakach albo nawet w więzieniach powinny siedzieć. Dla rodziców to była taka ostatnia instancja, żeby ich ratować, tyle że wielu wcale nie chciało, by ich ratowano. Pamiętam, żeśmy się tu nawet czasem trochę bali we wsi, jak jakiś im tam uciekł albo jak rozróby były. No ale Kościołowi nikt się przecież nie postawi. – Kobieta sięgnęła po szklanekę z kawą, w której zostały już właściwie same fusy, co wcale jej nie przeszkadzało. – Ciężkie łobuzy tu mieli.

– A jak ustalić, kto tu wtedy przebywał? Zostały jakieś listy, dokumenty? – dopytywała Agnieszka.

– Nie mam pojęcia, we wsi pani nie znajdzie, wszystko wzięli, w państwowych archiwach też nie będą mieli, bo to kościelne. Może w Gdańsku, w archidiecezji, może ci salezjanie, sama nie wiem. – Nagle spojrzała na nią czujnie. – A po co pani właściwie, książkę pani pisze?

Po obiedzie Agnieszka chciała sama wybrać się do archidiecezji gdańskiej, ale Jola uparła się, by pojechać z nią. Wiele wskazywało na to, że oprócz słabości do podwójnego espresso matkę i córkę łączyło coś jeszcze, co stanowiło jawny dowód na to, że to jednak w genach, a nie

w wychowaniu kryje się sekret podobieństwa. Obie były obdarzone tą szczególną cechą, która powodowała, że gdy na ich drodze pojawiała się tajemnica, natychmiast musiały ją wyjaśnić. W drodze do Gdańska zastanawiały się, co tak naprawdę w tym wszystkim jest zagadką, czego właściwie powinny szukać i czy w ogóle, skoro związek liczb pochodzących z kierunków, jakie wytyczały kolejne morderstwa, mógł nie mieć nic wspólnego z nieistniejącym już dziś oznaczeniem kodowym. Mógł nie mieć, ale przecież co lepszego było do roboty w listopadowe popołudnie od próby rozwikłania choćby i mylnego tropu?

W siedzibie kurii przy ulicy Nowickiego w Gdańsku nikt za bardzo nie chciał z nimi rozmawiać, przynajmniej do czasu, aż Agnieszka sięgnęła po swoją policyjną legitymację. Doskonale wiedziała, że nie powinna tego robić – na urlopie nie miała uprawnień do prowadzenia śledztwa, dlatego zresztą ją na niego wysłano. Tymczasem teraz nie tylko nie szukała zabójcy wśród Syryjczyków, lecz także, nie wiedzieć czemu, w tej samej sprawie znalazła się w siedzibie archidiecezji Kościoła katolickiego.

– Sprawdzę ponownie, ale nie mamy ksiąg wszystkich sierocińców prowadzonych dawniej przez organizacje kościelne. – Kanonik starał się być miły w ten charakterystyczny sposób, w którym głównie nacisk kładzie się na samo staranie.

– Byłabym bardzo zobowiązana. – W rozmowie tym razem nie towarzyszyła jej Jola, która wolała poczekać na zewnątrz, gdy towarzyszący przez chwilę kanonikowi prałat zapytał, czy i ona jest z policji. – Z moich informacji wynika, że ten sierociniec prowadzili salezjanie.

– Tak, tak, to już wiem, sprawdziłem, ale to było trzydzieści lat temu z okładem, więc sama pani rozumie, księgi... – plątał się w wyjaśnieniach kanonik.

– A salezjanie? Może oni mają swoją dokumentację? Gdyby księdzu się nie udało... – Agnieszka starała się być miła, nie eksponując na razie w przeciwieństwie do kanonika nadmiernie elementu starania się.

– Salezjanie są teraz na Oruni, ale tam nie ma pani raczej co jechać. Wszystkie tego typu dokumentacje, o ile się w ogóle zachowały, są w naszych archiwach. – Ksiądz stał się nagle nieco bardziej uprzejmy, co dla Agnieszki oznaczało tylko jedno: będzie musiała odwiedzić Orunię.

Następnie kanonik zniknął w przepastnych kazamatach tutejszych archiwów, a kiedy wrócił, zgodnie z tym, czego się spodziewała, nie miał żadnych nowych informacji. Księgi i cała dokumentacja domu wychowawczego braci salezjanów w Paruszkowie musiały zaginąć, bo niczego nie udało mu się znaleźć. Na pytanie, jakim sposobem w tak krótkim czasie przewertował przepastne archiwa, odpowiedział, że nie musiał przeglądać całych archiwów, bo tam na dole wszystko jest idealnie skatalogowane. Agnieszka chciała jeszcze dopytać, jak to więc możliwe, że nie ma tam całej dokumentacji prowadzonego przez kilkadziesiąt lat domu dla trudnej młodzieży, ale ugryzła się w język, podziękowała serdecznie kanonikowi i wraz z Jolą opuściła gmach archidiecezji.

Nie było do końca prawdą to, że kanonik w przepastnych archiwach nie znalazł nic, co dotyczyłoby domu w Paruszkowie. Rzeczywiście dokumentacji nie znalazł, co go zaskoczyło, choć nie ujawnił tego przed gościem. Jednak w miejscu, gdzie powinna się znajdować, natrafił na krótką adnotację, by w przypadku jakiegokolwiek zainteresowania tym obiektem skontaktować się ze współpracującym z kurią w Warszawie Sławomirem Wolskim. Dalej był podany numer telefonu, który kanonik wybrał chwilę po tym, jak Agnieszka opuściła budynek.



Patrzył na dwie kobiety wsiadające do samochodu i czekał na połączenie.

– Słucham. – Po drugiej stronie odezwał się szorstki, ale miły dla ucha męski głos.

– Mówi ksiądz Wiesław Moliński, dzwonię z archidiecezji gdańskiej – zaczął niepewnie kanonik. – Czy rozmawiam z panem Sławomirem Wolskim?

– Tak, słucham, proszę księdza. – Głos stał się jeszcze bardziej uprzejmy i jeszcze cieplejszy.

– W archiwach znalazłem adnotację, żeby w przypadku, gdy ktoś zapyta o stary dom...

– Salezjanów w Paruszkowie – dokończył Sławomir. – To teren i zabudowania, które staramy się odzyskać dla Kościoła. Kto pytał i o co dokładnie?

– Pytała policjantka, chodziło jej o dokumentację. – Kanonik poczuł się częścią poważniejszego przedsięwzięcia. – Nie pamiętam nazwiska...

– Znam nazwisko. Bardzo dziękuję księdzu za informację, może być kluczowa w tej sprawie. Poinformuję kurię o wyjątkowej czujności księdza, jak ksiądz wie, w kurii taka cecha jest bardzo ceniona.

– Bardzo panu dziękuję. – Kanonik teraz już zapalał do rozmówcy najszczerzą sympatią. – Nie żeby mi na czymś zależało, ale zawsze dobrze, jak zwierzchnicy otrzymują pozytywne informacje.

– Oczywiście. Gdyby pani komisarz albo ktokolwiek inny jeszcze pytał, proszę informować... A swoją drogą, czy przekazał jej ksiądz dokumentację, o którą prosiła?

– Nie, bo nie miała żadnego papieru, a z zasady nic nie przekazujemy osobom postronnym. Poza tym tam nic nie było.

– I bardzo dobrze. Ksiądz jest naprawdę właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, co nie oznacza, że nie ma dla księdza miejsc jeszcze właściwszych i funkcji bardziej odpowiedzialnych. Kłaniam się nisko. – Sławomir uśmiechnął się szeroko. – Jeśli mogę coś doradzić, to może oficjalnymi kanałami proszę zgłosić to najście komu trzeba. Tylko pod żadnym pozorem proszę nie informować o tym, że to ja księdzu doradziłem. Niech cała niewątpliwa zasługa stanie się udziałem księdza... Swoją drogą, proszę mi przypomnieć nazwisko.

Kiedy Sławomir odłożył słuchawkę, był wściekły. Oczywiście spodziewał się, że kiedyś komisarz Polkowska dotrze do Paruszkowa, więcej nawet, w pewnym sensie sam ją tam nakierował, ale nie zgadzał się czas, w którym do tego doszło. Tak naprawdę z jego wyliczeń wynikało, że powinno to nastąpić nie wcześniej niż za miesiąc, może półtora. Gdy dowiedział się o jej przymusowym urlopie, był już więcej niż pewien, że sprawa utknie przynajmniej do czasu, kiedy znajdą zwłoki pięknej, młodej Ewy spod Garwolina. Teraz przez moment nie wiedział, co robić. Miał oczywiście przygotowany plan awaryjny, ale przed wprowadzeniem go w życie musiał jeszcze zrealizować dwa punkty agendy, a te wymagały czasu. Pierwszy z nich wiązał się z Ewą, z którą relacja weszła w fazę zaawansowaną, ale wciąż zbyt daleką od momentu kulminacyjnego. W normalnym trybie pomiędzy zapoznaniem a zrealizowaniem celu upływało kilka miesięcy. Kiedy myślał o tych okresach, zawsze przychodziło mu do głowy porównanie z dziedziny gastronomicznej, czasem monopolowej. Swoje dziewczyny traktował jak wino – najpierw musiały dojrzeć – albo, co może z racji tego, czym kończyły się owe relacje było porównaniem trafniejszym, raczej jak mięso, które musi skruszeć. Mordów dokonywał przeważnie dokładnie w momencie, kiedy erotyczna fascynacja przechodziła w fazę głębszego, bardziej rozumowego zaangażowania. Zależało mu na tym, by w momencie, gdy ofiary zęgały

się z tym światem, były nie tylko w nim zakochane, ale żeby po prostu go kochały. Podniecała go świadomość, że właśnie w tym momencie w swojej wyobraźni zaczynały go obsadzać w roli męża czy ojca ich dzieci. Wiele wskazywało na to, że Ewa nie zdąży do tego dojrzeć, ponieważ na etapie, na jakim obecnie znajdowała się ich relacja, namiętność była tak silna, że zakłócała jeszcze wszelką racjonalność. Jeśli chodzi o niego, to jako Adam przechodził zresztą podobne fazy zaangażowania, początkowo chciał tylko zbliżeń, z czasem i w jego rozdwojonej głowie pojawiały się mrzonki o ślubie, dzieciach, wspólnym domu i temu podobnych rzeczach, z których jako Sławomir oczywiście się śmiał. Cóż, wszystko wskazywało na to, że tym razem będzie musiał złamać trochę rutynę i zabić Ewę w momencie, kiedy myśli Adama zostaną zatopione jeszcze w testosteronowej mgłę.

Ewa zeszła na śniadanie wyjątkowo późno, ale była uśmiechnięta i pełna werwy pomimo deszczowej pogody utrzymującej się od dobrych kilku dni. Wyglądała trochę tak, jakby ktoś regularnie podawał jej dopaminę. Bożena siedziała zmęczona przy stole i po raz kolejny przyglądając się córce, nie wiedziała, co myśleć.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – Ewa podeszła do lodówki.

– Liczę, że twoja radość życia spłynie też na mnie. – Kobieta naląła sobie herbaty z dzbanka.

Dziewczyna wyjęła mleko, usiadła przy stole, zalała płatki nasypane już wcześniej do miski przez matkę i zaczęła jeść.

– Nie przeszkadza mi, że ciągle się uśmiechasz, właściwie sprawia mi to radość, ale może w końcu powiesz mi, dlaczego tak się dzieje? – Bożena wciąż wpatrywała się w córkę. – Czemu tak kwitniesz?

– Mamo. – Ewa przerwała jedzenie. – Znów to samo.

– Znów to samo co?

– Znów zadajesz mi pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. – Oczywiście umiała, ale to, że nie mogła, sprawiało jej przynajmniej na razie jeszcze większą radość. – Uśmiecham się, jestem zadowolona... Nie wiem dlaczego, po prostu tak się czuję, ale w końcu jeśli wszyscy będziecie mnie o to pytać, to pewnie to minie. Wtedy będzie lepiej?

– Wiesz, że nie o to chodzi. – Bożena powoli zaczynała się poddawać, przywykła już zresztą do takiego rozwoju wydarzeń. Schemat od wielu dni się powtarzał, dlatego „znowu” Ewy miało rzeczywiście uzasadnienie.

– A o co?

– O to, że się martwię.

– Martwisz się, że jestem szczęśliwa?

W siedzibie braci salezjanów w Oruni Agnieszce, zgodnie zresztą z jej oczekiwaniami, też nie udało się pozyskać nowych informacji. Faktu, iż prowadzili przed laty dom poprawczy w Paruszkowie, nikt wprawdzie nie ukrywał, ale uzyskanie jakichkolwiek szczegółów, nie mówiąc już o dokumentacji, graniczyło z cudem. Kiedy opuszczała okazały gmach świątyni, z mieszczącego się obok budynku zamieszkiwanego przez członków wspólnoty wyszedł do niej ksiądz w podeszłym wieku. Od razu zwróciła na niego uwagę, bo różnił się od wszystkich, z którymi rozmawiała tego dnia, ciepłym uśmiechem i szczerym spojrzeniem.

– Zdaje się, że rozpytywała pani o dom w Paruszkowie? – Ksiądz patrzył jej prosto w oczy.

– Owszem. – Agnieszka wytrzymała spojrzenie, zresztą nie musiała specjalnie się starać. Oczywiście ksiądz dawał wytchnienie.

– I co? Niewiele? – Uśmiechnął się do niej trochę szelmowsko.

– Prawie nic, w archidiecezji nie wiedzą, nie mają dokumentów. Tu ksiądz proboszcz też mało mi powiedział – odparła z lekką rezygnacją w głosie.

– Proboszcz Antczak trochę za młody, a w archidiecezji nie mają, bo dokumenty zaginęły jakieś kilka lat temu w trakcie przesyłania... – Ksiądz się zadumał.

– W trakcie przesyłania? – zdziwiła się.

– Tak, mieliśmy wtedy remont, trzeba było je gdzieś przesłać, potem miały wrócić, ale nie wróciły, bo zaginęły. – Na chwilę przerwał opowieść i spojrzał na stojącą nieopodal Jolę. – Córka?

Agnieszka pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– Nie wyparłaby się pani. – Stary salezjanin przyglądał się na zmianę to jednej, to drugiej. – Byłem tam jednym z opiekunów.

– W Paruszkowie? – Komisarz od razu wzrosło ciśnienie.

– Tak, przez piętnaście lat, od siedemdziesiątego do zamknięcia. – Ksiądz teraz już na nie nie patrzył. Spoglądał w pustkę.

– Czemu zamknięto? – zapytała po chwili.

– Ciężko tam było z tymi chłopakami, oj ciężko. Ale nie dlatego zamknęli, w takich ośrodkach zawsze jest ciężko. Zamknęli, o ile mnie pamięć nie myli, bo państwo odebrało budynek. Tam jest jakiś spór o własność, poza tym otworzyli nowy zakład resocjalizacji młodzieży, chyba w Swarzewie czy w Łebczu, już nie pamiętam. W każdym razie, o ile wcześniej byliśmy jakoś tam przydatni, to od tego momentu zaczęliśmy być konkurencyjni.

– Konkurencyjni? – zdziwiła się Jola.

– Rodzice woleli oddawać do nas. – Salezjanin się uśmiechnął. – Mieliśmy chyba lepsze wyniki. Z tych państwowych to już tylko kryminal wyjeżdżał, nam się jednak z niektórymi udało.

– Pamięta ksiądz jakieś nazwiska albo może szczególne wydarzenie z czasu, kiedy ksiądz był opiekunem? – Agnieszka szukała punktu zaczepienia.

– Tam były same szczególne wydarzenia, do nas trafiała naprawdę trudna młodzież. Pamiętam

takiego jednego chłopaka, wyjątkowo inteligentnego. Wydawał się doskonałym materiałem, by wyjść na ludzi... Matka go umieściła, chyba był półsierotą, nie radziła sobie z nim kompletnie. Chłopak kradł na potęgę, jakoś tam też zaszedł za skórę władzy ludowej, chyba okradł komisariat czy coś takiego... – Ksiądz na chwilę przerwał swoje wspomnienia. Jola już chciała dopytać, ale Agnieszka powstrzymała ją gestem. Czekają. – Naprawdę wszyscy mieliśmy wrażenie, że go prostujemy, że będzie z nim lepiej. Nie wiem, czy nas zwiódł, czy po prostu w pewnym momencie zagadało w nim dziwne zło. – Popatrzył na nie, jakby sprawdzając, czy wiedzą, o jakim złu mówi. – W każdym razie tam był pies, trochę łańcuchowy, niby groźny, ale tak naprawdę bardzo łagodny, wszyscy go lubiliśmy, i my, opiekunowie, i chłopcy... Pewnego dnia ktoś powiesił go na łańcuchu na drzwiach do komórki i wybebeszył. Dochodzenie było krótkie. Nasz dobrze zapowiadający się podopieczny przyznał się właściwie od razu.

– Jak on się nazywał? – zapytała po chwili Agnieszka.

– Jakby to przyznanie się sprawiło mu największą przyjemność. – Ksiądz popatrzył na nią, jakby dopiero teraz dotarło do niego, o co zapytała. – Nie pamiętam, mówili na niego Śruba... Tak, Śruba, chyba na imię miał Mirek? W sensie Mirosław, ale nazwiska nie pomnę, zresztą nie używaliśmy tam nazwisk. W papierach pewnie były, ale papierów nie ma. Musieliśmy go relegować, nawet nie za to, co zrobił, ale dlatego, że po tym, co zrobił, inni chłopcy nie daliby mu żyć. Nie wiem, czemu Śruba, może dlatego, że tak jak nas wkręcił w swoją świętoszkowatość, wcześniej wkręcał innych? Było tego więcej, też z innymi, właściwie to całe mnóstwo, ale to mi jakoś utkwilo.

Zakład poprawczo-resocjalizacyjny nie mieścił się wprawdzie w Swarzewie ani w Łebczu, tylko w Kaczeńcu, ale prawdopodobnie to o nim mówił salezjanin, bo zakład istniał od osiemdziesiątego piątego roku. Kiedy pojechały tam następnego dnia, dyrektor podjął je kawą i ciastkami, a na widok policyjnej legitymacji otworzył przed nimi podwoje archiwów. Niestety, w roku osiemdziesiątym piątym, podobnie jak w następnych latach nie przyjęto do zakładu żadnego Mirka ani osoby, której nazwisko przywodziłoby na myśl śrubę. Wszystko wskazywało na to, że w tym miejscu trop się urywał. Agnieszka zadzwoniła jeszcze dla spokoju sumienia do Mrówca, by ten sprawdził, czy gdzieś w archiwach policyjnych nie pojawia się przestępca o pseudonimie Śruba, ale bez powodzenia.

Kolejne dni upływały im, zwłaszcza ku zadowoleniu Marty, na odpoczynku, spacerach po plaży i okolicznych lasach oraz jeździe na rowerach, czyli spokojnym spędzaniu czasu. I docieraniu się w swoim towarzystwie. Przez te wszystkie lata, kiedy Agnieszka próbowała sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy w końcu spotka się z Jolą, w jej głowie mnożyły się różne projekcje i scenariusze. Rozpatrywała możliwości, szykowała koncepcje, gotowa właściwie na każdy wariant rozwoju wydarzeń. Teraz, kiedy wreszcie się spotkały i mogły do siebie zbliżyć, nie pamiętała nic z tamtych rojeń oprócz tego, że w żadnym z nich sytuacja nie rozwijała się tak płynnie, bezboleśnie i naturalnie, jak w rzeczywistości. Po siedmiu dniach wspólnego pobytu zarówno ona, jak i Jola czuły się tak, jakby nie było osiemnastu straconych lat. Ich spokój w ciągu tego tygodnia burzył jedynie dzwoniący czasem nawet po kilka razy dziennie Mrówiec albo zastępujący go raz na jakiś czas inspektor Misiak. Kiedy nadszedł czas wyjazdu znad mrocznego, smaganego wiatrem Bałtyku, zastanawiały się przez chwilę, czy w drodze na drugą część zaplanowanych *ad hoc* wakacji zatrzymać się chwilę w Skarżysku, ale w końcu gremialnie podjęły decyzję, że nie ma takiej potrzeby, a co więcej, taki postój mógłby naruszyć harmonię, którą wspólnie udało im się osiągnąć. Do Uniemyśla miały wprawdzie prawie siedemset

pięćdziesiąt kilometrów, co oznaczało co najmniej osiem godzin jazdy, ale to ich nie zrażało. Wyruszyły bladym świtem, co w listopadzie oznaczało mniej więcej siódmą rano. Po drodze zatrzymały się kilka razy, w tym raz na obiad w przydrożnej karczmie. Na drugi koniec Polski, w przesmyku między szczytami Sudetów Wałbrzyskich a Śnieżką w Karkonoszach, dotarły po osiemnastej. Gospodyni, u której zarezerwowały dwa pokoje, czekała na nie z kolacją. Po posiłku Agnieszka wyszła na spacer, tym razem sama, bo zmęczone trasą dziewczyny wołały się położyć. Tak naprawdę nie wiedziała, czego tu szuka. Z koordynatów wynikało, że prawdopodobnie to tutaj doszło do pierwszego zabójstwa, ale zgodnie z tym, czego dowiedziała się wcześniej od komendanta powiatowej policji w Lubawce, na terenie Uniemyśla ani też w jego okolicy w ciągu ostatnich trzydziestu lat, bo tak daleko sięgała pamięć lokalnej policji, nie doszło do żadnego zabójstwa ani zaginięcia młodej dziewczyny. Ostatnie spektakularne wydarzenie miało miejsce na terenie wsi w 1982 roku, kiedy spłonął kościół pod wezwaniem świętego Mateusza. Zresztą nie był wtedy kościołem, tylko pełnił funkcję magazynu zbożowego dla tutejszego PGR-u. Agnieszka przeszła drogą najpierw dwa kilometry w stronę pobliskiej granicy z Czechami. W ostatniej miejscowości, znajdującej się już właściwie na granicy, Okrzeszynie, znajdowało się z dziesięć domostw więcej niż w Uniemyślu. W drodze powrotnej do pensjonatu Agnieszka zajrzała jeszcze w ruiny nieodbudowanego do tej pory kościoła. Dziwny to był obiekt, szczególnie nocą. Częściowo zawalone ściany, sklepienie pokryte zielenią mchu i gałęzie drzew wchodzące do środka przez wybite okna, a teraz poruszane wiatrem – oświetlane latarką telefonu przywodziło na myśl wnętrze z horroru czy może snu, a Agnieszce nagle wydało się, że już kiedyś tu była i to widziała. Czyżby pobielane, nadpalone w wielu miejscach ściany przywodziły na myśl pokryte szadzią wnętrze z jej powracającego wciąż, choć ostatnio już nieco rzadziej koszmaru? To miejsce miało w sobie coś swojskiego i jednocześnie przerażającego.

Kiedy wróciła do pensjonatu, na dole w kuchni natknęła się na starszą kobietę, która przywiodła jej na myśl staruszkę zbierającą chrust, pierwszą przesłuchiwaną przez nią osobę w sprawie Kadzidla. Kobieta musiała być matką albo teściową gospodyni. Agnieszka chciała przejść od razu na górę, skłoniła się więc lekko starszej pani siedzącej na zydlu w półmroku kuchni.

– Pani wejdzie na chwilę – zagaiła kobieta, gdy Agnieszka postawiła pierwszy krok na drewnianych schodach. – Usiądzie. – Uśmiechnęła się delikatnie i ciepło.

Kiedy usiadła na krześle obok, zorientowała się, że staruszka nie widzi, bo jej szeroko otwarte oczy pokrywało bielmo.

– Piękna z pani kobieta – odezwała się staruszka, jakby komentowała jej niewypowiedziane spostrzeżenie.

– Dziękuję.

– Ja zapachem widzę – wyjaśniła niepytana. – Znalazła pani coś w tym kościele?

– Nie, a skąd pani wie, że byłam w kościele? – zapytała coraz bardziej zdumiona Agnieszka.

– Tam wciąż trochę pachnie tym pożarem. – Najwyraźniej bawiło ją zaskoczenie gościa. – Jak ktoś tam chodzi, to nasiąka. Nie tylko pożarem nasiąka. – Komisarz chciała zapytać, czym jeszcze nasiąkała w spalonym kościele, ale nie zdążyła. – Ja pamiętam ten pożar. – Kobieta skierowała niewidzące oczy w stronę okna. – Wtedy jeszcze widziałam, ale i tak najbardziej ten zapach pamiętam... Zapach strachu, a potem palonego ciała. Bardzo nieprzyjemny zapach,

zostaje w murach, zostaje w pamięci... – Przez chwilę obie milczały. – Chodzę tam czasem pomodlić się za dusze tej dwójki, co się tam spaliła, i za swoją, żeby się nie spaliła. Może się herbaty napije albo maślanki? Dobra na noc, demony odgania.

– Nie wiedziałam, że maślanka...

– Czyli jeszcze go nie znalazła, ale już jest coraz bliżej. – Myśli staruszki biegły innym torem.

– Kogo? – Agnieszka nagle się przestraszyła. – Kogo nie znalazłam?

– A skąd ja mam niby wiedzieć, co ja wróżka jestem? – Kobieta zaczęła się dziwnie śmiać.

Kiedy Agnieszka się obudziła, cała spocona, okiennica miarowo uderzała o ramę okienną, na zewnątrz wiało, księżyc stał w pełnej krasie dokładnie naprzeciwko okna, a ona nie miała pojęcia, czy to, co zdarzyło się przed chwilą, było snem, czy czymś innym.

Ranek przyniósł załamanie pogody. W końcu zrobiło się tak, jak w listopadzie być powinno. Za oknem wiało i zaczął deszcz, niebo nad głową zaniosło się tak bardzo, że sprawiało wrażenie, jakby takie miało zostać już na zawsze. Kiedy jadły śniadanie, Agnieszka chciała zapytać gospodynię, czy w domu oprócz niej mieszka jeszcze ktoś, ale takie pytanie byłoby niedorzeczne i zapewne wywołałoby dziwną reakcję wszystkich pań. Powstrzymała się więc i prawdopodobnie nie zadałaby go, gdyby nie to, że wychodząc z pokoju jadalnego, w etażerze stojącej obok drzwi, za szklaną szybką dostrzegła zdjęcie staruszki, z którą rozmawiała w nocy we śnie bądź na jawie, czego nie była wciąż do końca pewna.

– A to pani mama? – Wskazała na zdjęcie.

– Nie, nie, to Niemka, która mieszkała tu przed nami. – Gospodyni sprawiała wrażenie, jakby trochę krępował ją ten temat. – Cała jej rodzina wyjechała do Niemiec po wojnie, a ona postanowiła zostać, chyba nie chciała na stare lata wynosić się z rodzinnego domu.

– Kiedy zmarła? – Agnieszka wiedziała już, że tamtą rozmowę odbyła jednak we śnie. Dziwiło ją tylko, skąd w jej głowie pojawiła się postać staruszki. Może bezwiednie zauważyła już to zdjęcie wcześniej?

– W latach osiemdziesiątych, dokładnie chyba w osiemdziesiątym drugim. – Gospodyni mówiła szybko, jakby nie chciała, by jej teraz przerwano. – Dom przejęliśmy jako niszczący pustostan. Nie było spadkobierców, to znaczy pewnie byli, ale w Niemczech i nie interesowało ich przyjeżdżanie tutaj. To zdjęcie znalazłam na podłodze. Pomyślałam, że warto, by w domu została jakaś pamiątka po czasach minionych, ślad po człowieku, który spędził tu całe życie.

Agnieszka pokiwała głową, miała ogromną chęć podzielić się z nią swoim nocnym doświadczeniem, ale zrezygnowała. Jola z Martą zorientowały się najwyraźniej, że rozmowa dotyczy spraw osobistych i nieco krępujących dla gospodyni, bo wyszły na ganek.

– Hermenegilda Wünshe leży na przykościelnym cmentarzu – dodała po chwili kobieta.

– A ofiary pożaru? – Agnieszka spojrzała na nią, próbując się upewnić, czy ta wie, o jaki pożar chodzi. – One też leżą na tym cmentarzu?

– O ile wiem, tylko ta niezidentyfikowana kobieta ma tam bezimienną mogiłę. Mężczyznę milicja wtedy zidentyfikowała i rodzina zabrała zwłoki ze sobą, ale nie wiem, dokąd. Myśmy się tu sprowadzili z mężem w latach dziewięćdziesiątych, wtedy to już było tylko odległe wspomnienie.

– A ktoś z mieszkańców może wiedzieć coś więcej? – Agnieszka właściwie nie miała pojęcia, dlaczego o to pyta, po prostu podążała za głosem instynktu.

– Nie sędę. – Gospodyni pokręciła głową. – Świadkowie tamtych wydarzeń już przeważnie nie żyją albo się stąd wynieśli. Ta wieś okres świetności ma już raczej za sobą. – Wyjrzała za okno. Za szybą, po której spływały strugi deszczu, widać było kilka domostw.

Na ten dzień planowały wycieczkę w góry, zamierzały przejść granicę i zjeść obiad w jednej z czeskich miejscowości, ale w tych okolicznościach przyrody plan musiał ulec modyfikacji. Wyszły przed dom i usiadły pod dachem, przy wielkim stole z kilkoma ciężkimi, rzeźbionymi na góralską modłę krzesłami, gdzie zajęły się kontemplowaniem sączącego się z nieba smutku. Powietrze było rześkie, wzgórze w oddali zdawały się płynąć wśród osnuwających je chmur. Jak na jesienną porę było zaskakująco ciepło, choć i tak należało ogrzewać domy, ale tylko z komina ich pensjonatu wydobywały się kłęby jasnego dymu. Na dole stało osiem domów i każdy z nich w szumie deszczu czekał na moment, kiedy będzie mógł w końcu odejść w niebyt, w który już lata temu odeszli ich właściciele.

– To co, chyba pojedziemy do Lubawki? – odezwała się Jola. – Zrobimy zakupy, a ty chciałaś tam chyba zajrzeć do komendy?

Agnieszka pokiwała głową i cała trójka odkleiła się od wszechogarniającego, nęcącego chłodem i szumem deszczu bezwładu i ruszyła już bez słowa w kierunku samochodu zaparkowanego na małym, wysypanym szutrem parkingu. Kiedy chwilę później jechały w zaparowanym aucie, które stopniowo nabierało temperatury i wigoru, wszystkie powoli wychodziły z dziwnego, jakby hipnotycznego stanu, w jaki wpadły na góralskich krzesłach wśród gór i deszczu.



W Warszawie nie padało. Ewa ze Sławomirem, który tak bardzo wcielił się w postać Adama, że prawie zapomniał, kim jest naprawdę, siedzieli na balkoniku wynajętego apartamentu i pili kawę. Ona czuła się trochę tak, jakby wreszcie trafiła do jednego z pięknych tokańskich miasteczek, w którym nigdy nie była, bo wymarzona podróż do Włoch wciąż wykraczała poza jej możliwości finansowe. On myślał o tym, że właściwie wszystko mogło się ułożyć inaczej, że gdyby nie pewne okoliczności z dzieciństwa, zaborcza, kochająca nadmiernie, a tak naprawdę niekochająca w ogóle matka, gdyby w końcu nie decyzja, którą kiedyś podjął, choć za nic nie mógł sobie przypomnieć kiedy – gdyby nie to wszystko, mógłby siedzieć tu z tą dziewczyną naprawdę i całym sobą, a nie tylko chwilowo i połowicznie. Mógłby być normalnym Adamem uczącym filozofii, a nie popapranym Sławomirem. Nagle przypomniał sobie ten moment, który wracał do niego przez lata i którego tak bardzo chciał się pozbyć ze swojej pamięci. Wspomnienie to składało się wyłącznie z sekwencji ułożonych w pozornym bezładzie obrazów. Pogrzeb, trumna zjeżdżająca na pasach w dół, matka, która rzuca na trumnę garść piachu, potem podnosi głowę, spogląda na niego, a w jej spojrzeniu jest coś tak złego, że on nigdy nie zdołał się z tym uporać.

– Opowiesz mi trochę więcej o enkratykach? – Usłyszał nagle i trochę się sploszył.

– O enkratykach? – Próbował zyskać na czasie. – Pewnie... A co byś chciała wiedzieć?

– Czemu tak ich sobie upodobałeś? – Ewa uśmiechnęła się ciepło i szczerze.

– Nie upodobałem sobie jakoś szczególnie. – Oczywiście, że upodobał ich sobie szczególnie, ale gdyby powiedział to Ewie, wzbudziłby jej niepokój. Upodobał ich sobie głównie dlatego, że nie tolerowali zbliżeń między mężczyzną a kobietą. Dla nich, podobnie jak dla niego, do zespolenia dwojga w pierwotną rajska jedność mogło dojść tylko po śmierci. Jedyna oboczność, którą Sławomir wprowadził do tego dogmatu, polegała na tym, że gdy zespałał się na powrót z kobietami, tylko one w efekcie tego misterium odchodziły do wieczności, a on wracał do normalnego życia.

– To dlaczego używasz ich nazwy jako nicka w necie? – Nie była dociekliwa, tylko ciekawa, co stanowiło jeden z elementów jej uroku.

– Pracowałem akurat nad esejem o sektach wczesnochrześcijańskich, a że imię Adam nie jest oryginalne i jako login było już zajęte, dorzuciłem tego Enkratyka. – Przez chwilę milczeli, ona czekała na opowieść, a on zastanawiał się, jak ją bezpiecznie przedstawić. – Enkratycy, bardziej enkratyści, czyli z greki wstrzemięźliwi. – Spojrzał na jej teraz odsłonięte do słońca uda i uśmiechnął się aluzyjnie. – Nie jedli mięsa, nie pili wina...

– To akurat zdrowo. – Ewa zerknęła w stronę widocznej w oddali kopuły kościoła Świętej Anny.

– Małżeństwo uznawali za wymysł szatana i powstrzymywali się od prokreacji.

– A to już niezdrowo. A jaką mieli podbudowę ideową?

– Gnozę. Uważali, że pierwotnie kobieta i mężczyzna stanowili jedno. W konsekwencji grzechu pierworodnego Bóg wydzielił kobietę z mężczyzny i odtąd funkcjonowali jako dwie osobne części tego samego, przy czym kobieta była nośnikiem zła. – Adam nie chciał za nic, by

Ewa przyjęła referowany światopogląd za jego, dlatego teraz wykrzywił usta, jakby zniesmaczony tym, co właśnie powiedział, a właściwie zacytował.

– Ale zaraz, przecież najpierw Bóg wydzielił Ewę, a potem był grzech pierworodny i przynajmniej według wielowiekowej wykładni Kościoła grzech pojawił się zdaje się przez nią.  
– Ewa trzymała się żelaznej logiki następstwa czasu.

– U Boga nie ma najpierw ani później, u Boga nie ma pojęcia czasu, wszystko dzieje się jednocześnie. – Adam się zamyślił. – W związku z tym Bóg z góry wie, co będzie w czasie, który my postrzegamy jako potem. Trudno nam to zrozumieć, podobnie jak trudno pojąć dogmat o predestynacji.

– Czym jest wolna wola, skoro Bóg i tak już dawno o wszystkim zdecydował? – podchwyciła Ewa, a Adam, a właściwie bardziej Sławomir przyjął z ulgą fakt, że temat schodzi w inne rejony.

– Właśnie.

– A co w związku z tym, to znaczy, jak sobie ci enkratycy wyobrażali ponowne zespolenie kobiety i mężczyzny w jedno? Dla mnie od tego właśnie jest miłość. – Ewa zamyśliła się, zmierzając znów w niepożądanym kierunku.

– Nie wiem, chyba liczyli na ponowne zespolenie po śmierci. – Sławomir koniecznie chciał już zamknąć temat. – Widocznie opatrzenie rozumieli Ewangelię, która mówi u Mateusza: „A tak już nie są dwoje, a jedno ciało”. U Mateusza tak dzieje się po ślubie, ale dla nich zdaje się jedno ciało następowało dopiero po śmierci.

– Po śmierci obojga czy tylko kobiety, wtórnego wobec mężczyzny siedliska złych mocy? – spytała trochę prowokacyjnie, ale po chwili uśmiechnęła się, jakby od razu próbując zmazać swoją nieco feministyczną niesubordynację.

– Tego nie wiem, nic o tym nie było – odparł, choć uważał, że było dokładnie tak, i nawet przez moment przemknęło mu przez myśl, że Ewa właśnie go rozgryzła i wie o nim znacznie więcej, niż mu się do tej pory wydawało.

– Wielu wciąż tak uważa, ale ty na szczęście się do nich nie zaliczasz. – Uśmiechnęła się i zarzuciła ramiona wokół jego szyi.

Adam podłożył ręce pod jej kolana i plecy, wstał i poniósł ją z powrotem na łóżko, z którego pół godziny wcześniej się podnieśli.

Agnieszka szła do komendy powiatowej bez pomysłu na to, czego miałyby się tam dowiedzieć. Chciała raz jeszcze porozmawiać z komendantem, może trochę zaczynało jej brakować kontaktu z kolegami z pracy, może wolała raz jeszcze upewnić się, czy rzeczywiście w tym rejonie nie doszło do czegoś, co dałoby się w jakikolwiek sposób podłączyć pod sprawę Kadzidła, a może chciała na chwilę pobyc z kimś innym niż z Martą i Jołą.

Wcześniej, kiedy policja nazywała się jeszcze milicją i odgrywała znacznie większą rolę w życiu społecznym, sprawując nadzór nad wieloma jego sferami, komenda zajmowała prawdopodobnie całą przedwojenną willę. Teraz na parterze znajdowała się siedziba banku spółdzielczego, a organy ścigania musiały się pomieścić na dwóch wyższych piętrach, które klatką schodową przeznaczoną dla służby łączyły się z aresztem w piwnicy, gdzie w ostatnich latach rzadko kto bywał przetrzymywany. Lubawka, okoliczne wsie i miejscowości należały do jednych ze spokojniejszych rejonów Polski i jedynie raz od wielkiego dzwonu na dołek trafiał gość weselny, który przesadził nieco z alkoholem, albo drobny złodziejasek, złapany na kradzieży w jednym z lokalnych sklepików. Gabinet komendanta mieścił się na pierwszym piętrze w części stanowiącej niegdyś salon zamożnych niemieckich mieszczan, a obecnie podzielonej przepierzeniami na kilka mniejszych pokoi dla sześciu osób, czyli mniej więcej połowy stanu osobowego całej komendy. Do gabinetu prowadził długi korytarz, którego podłoga, jakimś cudownym zrządzeniem losu wciąż wyłożona ciemną dębową klepką, lekko skrzypiała.

Komendant podjął Agnieszkę z dużą rewerencją, był miły, może odrobinę zbyt szarmancki, co akurat bardziej ją bawiło, niż jej przeszkadzało. Rozmawiali o sprawach ogólnych, stanie policji, błędach popełnianych przez wszystkie dotychczasowe ministerstwa, zaniedbaniach i niedociągnięciach dających się we znaki policjantom w równym stopniu tutaj, w tej małej przedwojennej willi i w supernowoczesnym gmachu policji wojewódzkiej w Skarżysku-Kamiennej.

– Czyli z całą pewnością w Uniemyślu ani w okolicy nie zdarzyło się w ostatnich latach żadne zabójstwo? – Agnieszka w końcu wróciła do sprawy, która ją tu przywiodła.

– Ani zabójstwo, ani zniknięcie młodej dziewczyny. Jestem tu od dwudziestu lat, wcześniej pracował tu mój ojciec, więc gdyby coś takiego się tu wydarzyło, to też pewnie bym wiedział. – Komendant pokręcił głową. – Możemy spokojnie założyć, że przez ostatnie trzydzieści lat nic takiego nie miało tutaj miejsca.

– A ten pożar? – Przypomniała sobie senne spotkanie ze staruszką. – Tam zdaje się były dwie ofiary.

– Chyba osiemdziesiąty trzeci albo drugi, miałem wtedy dziesięć lat. – Mężczyzna zamyślił się, jakby nagle załaza go fala wspomnień z dzieciństwa. – Ojciec już pracował, ale chyba dopiero zaczynał. Wiem, że ktoś zginął.

– Jedną osobę zidentyfikowano, drugiej nie. – Agnieszka nie do końca wiedziała, dlaczego drąży tę sprawę. – Są jakieś dokumenty?

– Może coś jest. Jak pani chce, możemy sprawdzić, sam jestem ciekaw.

Archiwa komendy znajdowały się w tej samej piwnicy, w której mieścił się prawie nieużywany areszt komendy, tylko w jej drugim końcu. Kiedy tam zeszli, okazało się, że są prawdopodobnie jeszcze mniej używane niż sam areszt. Wokół na stalowych półkach stały różnego typu segregatory, od współczesnych plastikowych i kolorowych, po takie z dziurką do zaglądania nie wiadomo w co, zrobione z tektury barwionej na czarno i zakrapianej w dziwne jasne cętki. Ustawiono je chronologicznie – półka zaczynała się od lat pięćdziesiątych, a kończyła na roku minionym. Wszystko pokrywała warstwa kurzu – im segregator starszy, tym była grubsza. Tekturowe teki z początku funkcjonowania komendy niemal zniknęły pod zwałami szarego pyłu. Komendant wszedł między półki, chwilę gmerał, przecierając segregatory dłońią w poszukiwaniu dat. W końcu wyciągnął dwa, jeden z osiemdziesiątego trzeciego, drugi z osiemdziesiątego drugiego roku.

– Nie jestem pewien, w którym roku to było, ale zaraz zobaczymy. – Położył oba na stoliku z płyty pilśniowej, pomarszczonej nieco od panującej tu wilgoci. – Powinny być opisane. – Jako pierwszy otworzył ten z trzeciego. Na wewnętrznej stronie okładki znajdowała się wklejona kartka ze spisem wszystkich spraw. Komendant przesunął palcem, nie znalazł tego, czego szukał, po czym otworzył kolejny segregator. – Jest. Jednak osiem dwa, czyli miałem jedenaście lat. – Spojrzał na Agnieszkę. – Co robiłem, jak miałem jedenaście lat?

– Ja miałam niecały rok i... – chciała dokończyć, ale nie zdążyła, bo mężczyzna dobrnął już do sprawy 112/05/K/1982 i wczytał się w treść raportu.

– „Po ugaszeniu pożaru na miejscu stwierdziłem zwęglone zwłoki dwóch osób, identyfikacja nie jest możliwa, ale widoczne cechy płciowe wskazują, iż jedna z osób była płci męskiej, a druga żeńskiej...”. – Uśmiechnął się do Polkowskiej z taką satysfakcją, jakby znalazł nie raport sprzed ponad trzydziestu lat, a przynajmniej złote runo. Najwyraźniej lubił swoją pracę. – „W toku śledztwa przy zwłokach mężczyzny znaleziono uszkodzony ogniem dowód osobisty wydany przez Wojewodę Gdańskiego na nazwisko Śrubiński Mieczysław, rodzina została odnaleziona i pośmiertne szczątki przekazano żonie...”.

– Zaraz, zaraz. – Agnieszka poczuła na plecach lodowaty dreszcz. – Jak nazywał się ten spalony?

– Śrubiński. Mieczysław Śrubiński – powtórzył komendant ze zdziwieniem.

– Śruba... – Komisarz wciąż nie mogła dojść do siebie. – Śrubiński, ksywka Śruba nie od tego, że kogoś wkręcał, tylko od nazwiska. – Z niedowierzaniem podeszła do stolika z rozłożonymi aktami sprawy pożaru w Uniemyślu z 1982 roku i przeczytała jeszcze raz to, co przed momentem usłyszała z ust komendanta. Patrzył na nią, nie rozumiejąc kompletnie, o co chodzi. – Jest jakaś rodzina, żona? – Agnieszka pochyliła się jeszcze bardziej nad zakurzonymi kartkami pożółkłego papieru, które ktoś zapisał trzydzieści pięć lat wcześniej przez kalkę na maszynie do pisania.

Oboje z komendantem przewędrowali wzrokiem do końca strony relacjonującej okoliczności pożaru, aż do finalnej konstatacji, poczynionej przez sierżanta Witolda Manickiego: „Dochodzenie przeprowadzone przez specjalistę do spraw pożarnictwa podporucznika Straży Pożarnej Wareckiego Zdzisława nie dało finalnych konkluzji, sposób zainicjowania pożaru oraz to, w jaki sposób rozprzestrzenił się ogień, może jednak wskazywać według wyżej wymienionego na celowe podpalenie...”. Nazwisko żony nie pojawiało się na tej stronie, więc komendant delikatnie ją przewrócił, ale kolejna okazała się tak zniszczona przez wilgoć i pleśń,

że dalsza treść raportu była nieczytelna.

– Będę to musiała zabrać do laboratorium do Kielc. – Agnieszka spojrzała na policjanta, nie biorąc nawet pod uwagę jakiegokolwiek sprzeciwu. – Wydaje mi się, że mamy przełom w śledztwie.

Komendant nadal nie bardzo rozumiał, o co chodzi, a ona nie miała w tym momencie czasu na udzielanie zawiłych wyjaśnień na temat odciętych kończyn młodziutkich dziewczyn, koordynatów, kodów pocztowych i należącego do salezjanów domu w Paruszkowie sprzed trzydziestu lat. Zdecydowała się na krótszą, ale nie mniej skuteczną formę załatwienia sprawy.

– Mamy przełom dzięki panu, panie komendancie. Myślę, że nasi przełożeni docenią pański wkład.

Policjant uśmiechnął się szeroko, ukazując wyraźne braki w uzębieniu.

– Jeśli te akta pomogą w odnalezieniu seryjnego zabójcy, oczywiście proszę je zabrać, ale potem muszą do nas wrócić. – Choć mile połączony, nie zapomniał o procedurach i wymogach formalnych.

– Oczywiście, zaraz wszystko pokwituję. – Polkowska zamknęła teczkę i wzięła ją do ręki. – Bardzo panu dziękuję.

Po wyjściu z budynku komendy Agnieszka natychmiast sięgnęła po telefon i wybrała numer Szwagra. Odebrał po kilku sygnałach.

– No co tam, księżniczko, wypoczywasz w końcu? Podobno wyjechałaś, gdzie cię zaniósł?

– Włodek, mam prawdopodobne nazwisko... – Chyba po raz pierwszy w życiu była tak zdenerwowana, że rwał jej się głos.

– Jakie nazwisko, co się dzieje? – przestraszył się inspektor Misiak. – Wszystko w porządku?

– Tak, mam nazwisko Kadzidla, a w każdym razie wiem, jak trzydzieści pięć lat temu nazywał się jego ojciec. – Agnieszka powoli odzyskiwała równowagę i teraz dla odmiany mówiła jak nakręcona, jakby obawiała się, że jeśli coś jej się teraz stanie, a nie zdąży tego przekazać, to nigdy nie złapią cholernego skurwysyna. – Mieczysław Śrubiński, zginął w pożarze w Uniemyślu, do którego prowadzą wszystkie kolejne morderstwa Kadzidla. Znalazłam źródło, przyczynę tego wszystkiego. Wcześniej byliśmy w Paruszkowie, bo tam nas...

– Agnieszka! – Misiak przerwał jej gwałtownie. – Poczekaj, o czym ty w ogóle mówisz?! Jaki Uniemyśl, jakie Paruszkowo? Co ty w ogóle robisz, miałaś być na urlopie i odciąć się od śledztwa!

– I się odcięłam. – Komisarz zorientowała się, że wyszła przed szereg. – Na jakiś czas, ale... A jak śledztwo w Kielcach czy tam w Radomiu, bo już nie wiem?

– Powoli, przesłuchują kolejnych podejrzanych, przetrzepali jeszcze raz handlarza kartami, na razie chyba utknęli. – Szef nie potrafił kłamać.

– A jak tam Arabowie? – rzuciła sarkastycznie.

– Przestań... Jak mam im przekazać twoje ustalenia, skoro kazali cię odstawić od śledztwa? – zafrasował się.

– Powiesz, że sam do tego doszedłeś albo Mrówiec. Tak naprawdę nie był od tego daleko. – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – Coś wykombinujesz. Mam akta sprawy pożaru w Uniemyślu z osiemdziesiątego drugiego roku. Są częściowo nieczytelne, ale laboratorium powinno je oczyścić. Wtedy dowiemy się, jak nazywała się żona tego gościa, co się spalił, gdzie

mieszkała...

- A co nam z tego? – Szef ewidentnie nie nadążał za przyspieszonym biegiem jej myśli.
- To nam z tego, że jego i jej syn, niejaki Śruba, który potem trafił do salezjanów, jest dziś naszym Kadzidłem.

Agnieszka w pierwszej chwili chciała jechać z aktami prosto do Skarżyska, ale potem zdecydowała, że wyśle je do laboratorium kurierem. Dzięki temu mogła jeszcze kilka dni zostać z dziewczynami w Uniemyślu i zarazem zasięgnąć języka. Wiedziała, że taka gra, którą zresztą uprawiała od początku ich wspólnego wyjazdu, nie była do końca uczciwa, ale niewiele mogła w tej sprawie zrobić. Marta z Jolą rozumiały się na szczęście doskonale i kiedy tylko Agnieszka pogrążała się w odmętach śledztwa, zajmowały się same sobą, chodząc na spacer, zwiedzając i rozmawiając o sprawach błahych i mniej błahych. Poza tym Jola z zainteresowaniem tropiła razem z matką ślady poszukiwanego przez połowę policji w Polsce seryjnego zabójcy, a z czasem również Marta się w to wciągnęła.

Po powrocie z Lubawki do Uniemyśla Agnieszka zapytała gospodynię o najstarszego mieszkańca wsi albo mieszkającą tu najdłużej rodzinę. Okazało się, że pomoc w sprawie może jej wcale nie najstarszy członek tutejszej wspólnoty, ale młody chłopak, który jako jedyny we wsi interesował się jej przeszłością. Trzydziestoletni Andrzej Mróz należał do rodziny najdłużej zamieszkującej okolicę. Opierając się na zapamiętanych z dzieciństwa opowieściach, zrelacjonował Agnieszce krążące tu niegdyś plotki na temat związku pracującego w Uniemyślu ornitologa i młodej hipiski. Nikt we wsi jej nie znał, bo zjawiała się nie wiadomo kiedy, nie wiadomo po co ani skąd. Przypuszczano, że przyjechała już na miejsce ze względu na profesora. W każdym razie mieli romans, spotykali się między innymi w magazynie utworzonym jeszcze w latach pięćdziesiątych w tutejszym kościele. Ornitolog zawarł chyba jakiś układ z magazynierem z lokalnego PGR-u, niestety, on już nie żyje. Pewnej nocy ludzi obudził huk płomieni, pożar rozprzestrzenił się bardzo szybko, niektórzy wspominali przerażające krzyki palących się żywcem ludzi. Potem było dochodzenie, a kiedy się skończyło, to, co zostało z profesora, zabrała żona. Przyjechała tu z wybrzeża znacznie wcześniej, właściwie była od początku. Podobno bardzo dziwna kobieta.

– Sporo pan o tym wszystkim wie. – Agnieszka uśmiechnęła się, upijając z kubka łyk kawy zalewajki.

– Tu za wiele się nie działo, odkąd Bolko Surowy kupił wieś od Wacława drugiego siedemset lat temu. – Mróz wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zaproponował jej, ale ona pokręciła tylko głową. Zapalił i wydmuchnął dym w powietrze.

– Dziwna kobieta, mówi pan. – Polkowska była już myślami gdzie indziej, teraz przyglądała się fotografiom wsi z początku dwudziestego wieku, które oprawione w cienkie lakierowane ramki z ciemnego drewna wisiały między meblościanką a oknem przysłoniętym zszarzałymi zasłonami.

– Tak twierdzili. – Mężczyzna zaciągnął się papierosem. – Osobiście jej nie poznałem, urodziłem się sporo lat po tych wydarzeniach.

Kiedy ze Skarżyska-Kamiennej zadzwonił podkomisarz Wilczyński, we trzy schodziły akurat z przysypanej pierwszym śnieżnym puchem Śnieżki. W dole rozciągał się przepiękny widok na skały i żleby prowadzące w kierunku pokrytego cienką warstwą lodu Małego Stawu, w oddali majaczyły zabudowania domku myśliwskiego.

– Co tak sapiesz? – Władziu słynął z bezpośredniości.

– Jestem w górach i nie mam osiemnastu lat. Co tam? – Przystanąła na środku rozległej połoniny. Szła ostatnia, więc dziewczyny nie zauważyły, że się zatrzymała.

– Tam? Rozczytałem ci te akta, to znaczy częściowo, wszystkiego się nie dało, ale chyba mam to, co najważniejsze – oznajmił. – Do ciebie dzwonię jako pierwszej, to w końcu twoja sprawa i ty znalazłaś te kwity.

– Dzięki. Co masz? – Agnieszce jeszcze bardziej wzrosło tętno, które w związku z forsownym marszem i tak było już wysokie.

– Ludwika Śrubińska de domo Wolska, zamieszkała we Władysławowie przy Nadmorskiej szesnaście. – Władzio na chwilę zamilkł. – To ona odebrała szczątki doczesne męża w dniu osiemnastego listopada osiem dwa. Dalej są jeszcze jakieś detale formalne, ale nic, co by cię mogło zainteresować.

– Władziu, jesteś genialny! Przekaż to Szwagrowi i Mrówcowi. Myślę, że będę u was za dzień albo dwa. Przywiozę ci chyba ciupagę! – Ostatnie zdanie wykrzyczała na tyle głośno, że idące przed nią Marta i Jola zatrzymały się i popatrzyły na nią zdziwione.

Szwagier nie postąpił zgodnie z radą Agnieszki i wraz z kompletem nowych informacji przekazał inspektorowi Woźniakowi z Kielc, iż to właśnie ona, a nie Mrówiec czy kto inny dokonał tych przełomowych dla śledztwa ustaleń. Woźniak spędził pół dnia na przełykaniu upokorzenia w związku z tym, że komisarz Polkowska z komendy powiatowej w Skarżysku-Kamiennej na dwutygodniowym urlopie zdołała ustalić sześć razy więcej niż cały jego wieloosobowy, bez wyjątku męski, zespół z komendy wojewódzkiej w Kielcach. Cztery godziny później za pośrednictwem swojej sekretarki zadzwonił do Szwagra, który uśmiechnął się znacząco do siedzącego po drugiej stronie biurka Mrówca.

– Woźniak z tej strony. – Inspektor zaczął groźnie, ale zmiękł już w drugiej połowie tego zdania. – Słyszysz mnie, Włodek?

– Bez zakłóceń, Heniu. – Misiak wprawdzie nie przypominał sobie, żeby przechodzili na ty, ale skorzystał z okazji.

– Ściągnij ją... – Woźniak starał się mówić niedbale, tylko tak mógł ocalić resztki godności. – Może się przydać. Sprawdziliśmy tego Śrubińskiego i jego żonę w wojewódzkiej w Gdańsku. On rzeczywiście zginął w osiemdziesiątym drugim, ona zmarła dziesięć lat temu, mieli syna Mirosława Śrubińskiego...

– Tak? – Szwagier był przekonany, że od ujęcia mordercy dzieli ich góra kilka godzin, ale fakt, iż Woźniak kazał mu ściągnąć Agnieszkę, a teraz jeszcze zawiesił się w rozmowie, wytrącił go z tego przekonania. – I gdzie ten syn?



– No właśnie, gdzie ten skurwysyn? – Inspektor nagle wyskoczył jak filip z konopi. – Nie ma ani jednej adnotacji na jego temat, nigdzie. Chłopak urodził się w siedemdziesiątym pierwszym w szpitalu w Pucku i tyle go widzieli. Nie mamy nic więcej, rozpląnął się, umarł po porodzie, cholera wie.

– Raczej nie umarł po porodzie, bo był w salezjańskim domu dla trudnej młodzieży w Paruszkowie i nawet tak samo się nazywał, a teraz to on morduje te dziewczyny – zauważył Szwagier. – Tylko że tam też nie mają żadnych dokumentów.

– Wiem, sprawdzamy też z kurią, ale nic nie wiedzą, pogubili te kwity czy ktoś im zaiwaniał, chuj wie – zafrasował się Woźniak. – Jak szybko możesz ściągnąć tę swoją... komisarz?

W tym momencie drzwi od gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Agnieszka. Szwagier popatrzył na nią i odetchnął z ulgą.

– Nie wiem, zobaczę, co da się zrobić. – Miał już zakończyć rozmowę, ale nagle przypomniał sobie o czymś, czego nie mógł sobie darować. – A co z tym tropem arabskim w sprawie?

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Misiak wykorzystał moment i nacisnął pomarańczowy przycisk na panelu telefonu.

– Nie wkurwiał mnie, Władek. Ściągnij tę małą, bo nas wszystkich posuną z roboty. – Woźniak westchnął ciężko. – Na razie. I jak coś, to od razu dzwoń bez względu na porę, trzeba dopaść tego gnoja.

W telefonie coś kliknęło i w gabinecie zrobiło się cicho jak makiem zasiał, ciszę przerwał dopiero ledwie słyszalny chichot aspiranta Piotra Mrówca.

– No i co, mała? – Szwagier spojrział z uśmiechem na Agnieszkę. – Dasz się ściągnąć?

– Jeden warunek – odparła, nie odwzajemniając uśmiechu.

– No? – Misiak od razu spoważniał.

– Od tej pory ja dowodzę grupą i całą operacją. – Polkowska zagrała *va banque*, chociaż wiedziała doskonale, że nawet jeśli nie spełnią jej warunku, co zresztą było prawdopodobne, to i tak „da się ściągnąć”, bo priorytet stanowiło teraz powstrzymanie Mirosława Śrubińskiego, jakkolwiek obecnie się nazywał, przed popełnieniem kolejnego morderstwa.

Sławomir Wolski wszedł do lobby hotelowego z mocnym postanowieniem, że tym razem wyciągnie od Siewy obietnicę, iż na wypadek dekonspiracji jego mocodawcy pomogą mu zniknąć z Polski i ukryć się gdzieś na tyle dobrze, by żaden europejski czy nawet galaktyczny nakaz sądowy nie był w stanie go dosięgnąć. Panowie już wielokrotnie rozmawiali o takiej opcji. W końcu Sławomir pracował na usługach obcego wywiadu i wpadka, choć niezwykle mało prawdopodobna w obecnej sytuacji politycznej, zawsze mogła się zdarzyć. Wszystkie dotychczasowe rozmowy kończyły się jednak na tyleż obiecujących, co mało konkretnych ustaleniach. Teraz, kiedy grunt palił mu się pod nogami, musiał w końcu dostać jasne zobowiązanie, że otrzyma awaryjne dokumenty i ścieżkę planowanej ewakuacji.

– *I paczemu nam tarapitsia?* – Siewa jak zwykle bagatelizował wszystko.

– Siewa, rozmawiamy o tym dziesiąty raz, jeśli nie zagwarantujecie mi drogi ucieczki, przerywam współpracę. – Wolski wiedział, że idzie trochę za ostro, ale nie miał wyjścia.

– *Ty mienia ugrażajesz?* – Rosjanin spojrzał na niego spode łba.

Nic nie odpowiedział i przez długą chwilę trwało trudne do wytrzymania milczenie, które nagle rozpadło się na drobne kawałki pod wpływem rubasznego śmiechu Siewy.

– *Niebchadima my dla tiebia najdiom awaryjnyj wychod.* – Garugin skinął na kelnera. – *Na sledujuszczej wstrieczy ty wsio pauczisz. A tiepier my nużny napitsia za awaryjnyj wychod.*

Ewa zgodnie z umową zawartą z Adamem nigdy nie zabierała na ich spotkania telefonu, a w komputerze nie trzymała ani ich korespondencji, ani adresów, ani nawet notatek na jego temat. Lubiła tę aurę tajemniczości i nieistnienia czegoś, co przecież istniało tak bardzo. Była przekonana, że on robił dokładnie to samo – żadnych śladów w wirtualnym świecie, nic. Prawie nic. Kiedy czas między spotkaniami się dłużył, potrzebowała tej jednej rzeczy, która pomagała jej przetrwać. Była nią fotografia zrobiona ukradkiem, gdy Adam palił przy oknie papierosa. Trzymała ją w jednym z ukrytych folderów na swoim komputerze. Gdyby ktoś spróbował je znaleźć w bezliku dokumentów, nie dałby rady, ale poproszony o pomoc przez bardzo już zaniepokojoną zachowaniem córki Bożenę Tomek miał na to prosty sposób, którego niezbyt biegła w komputerowych meandrach Ewa nie mogła przewidzieć. Pod jej nieobecność brat otworzył przeglądarkę zdjęć i po przejściu kilku z „ostatnio otwieranych” natrafił na to o nazwie „życie”. Na ekranie ukazała się fotografia przystojnego mężczyzny z obnażonym torsem, palącego papierosa przy oknie w jakimś mieszkaniu. Bożena popatrzyła chwilę na zdjęcie i pokiwała głową, właściwie wszystko było w porządku, oprócz może jednego drobiazgu – mężczyzna miał na oko trzydzieści lat więcej od jej córki.

– Kto to? – zapytał niezbyt inteligentnie Tomek.

– A skąd ja mam wiedzieć, synku. – Kobieta zerknęła na nazwę pliku widoczną w górnej części ramki. – Życie chyba, tak?

– Życie. – Jak echo odbił tę samą konstatację Tomek.

W tym samym czasie Ewa kończyła właśnie zajęcia na uczelni, a myślami była już na spotkaniu z Adamem, do którego miało dojść za kilka godzin. Matce powiedziała, że po pracy zanocuje u Basi i Marcina i dzięki temu dziś po raz pierwszy miała spędzić z Adamem cały wieczór, noc, a nawet kawałek poranka. Od zawsze marzyła o wspólnym poranku. Tak ułożyła to sobie już dawno temu w głowie, że wspólne wstanie z łóżka, śniadanie i rozmowa przy porannej kawie dawały przepustkę do wspólnego życia. Od spędzonego razem początku dnia zaczynał się w jej wyobrażeniach nowy rozdział w związku. Takiego rozdziału nie udało jej się otworzyć z żadnym z chłopaków, z którymi do tej pory się spotykała, więcej nawet, z żadnym z nich nie miała do tej pory ochoty na wypicie porannej kawy. Adam jako pierwszy dostąpił tego zaszczytu czy może swoistego pasowania na mężczyznę jej życia. Na spotkanie czekała też jeszcze z jednego powodu. Adam wspomniał niedawno o jakimś planie, a Ewa, by nie zapeszyć, starała się nawet nie myśleć o tym, co mianowicie mogłoby nim być, choć liczyła, że ten wieczór i noc przyniosą coś nowego, może nawet przełomowego dla ich związku. Coraz bardziej zależało jej na tym, by móc podzielić się wspaniałą wieścią o jego istnieniu z mamą, Basią, Marcinem i w ogóle z całym światem.

Nadąsany Woźniak z ogromnym trudem i wyraźną niechęcią, świadom jednak tego, co się stanie, jeśli nie uda im się na tym etapie dotrzeć do Kadzidla przed kolejną zbrodnią, zgodził się na warunek Agnieszki, a właściwie zgodził się połowicznie. Nominalnie to on nadal pozostawał szefem grupy, a ona stawała się od tego momentu jego zastępcą, ale zawarli niepisaną umowę, że wszystkie wiążące decyzje o działaniach grupy miała podejmować od tej pory tylko ona. Dla zachowania pozorów inspektor zalecił jedynie utrzymanie kontaktu z mediami, tym bardziej że w jej wykonaniu okazało się to ostatnio mało politycznie poprawne.

Dwa dni później do Władysławowa i równoległe do Gdańska zjechała grupa dwunastu policjantów z komendy wojewódzkiej w Kielcach i warszawskiej komendy głównej. Teraz przynajmniej jej trzon stanowili już nie policjanci, którzy cały dzień zerkają na zegarek, odliczając czas do przejścia na emeryturę. Byli to najlepsi z najlepszych, a na ich czele do miasta swojej wczesnej młodości z uśmiechem satysfakcji przybyła Agnieszka. Rozpoczęła się zmuszona i wnikliwa praca, mająca na celu odnalezienie syna Ludwiki Śrubińskiej, Mirosława, urodzonego w szpitalu miejskim w Pucku dwudziestego czwartego marca siedemdziesiątego pierwszego roku. Na razie wiedzieli o nim tylko tyle, że lata później objawił się jako Śruba w domu salezjanów, by później zniknąć już bezpowrotnie. Z dwóch grup, na które Polkowska podzieliła siły przywiezione na Wybrzeże, jedna przetrząsała wszelkie możliwe archiwa w urzędach w Gdańsku, a druga działała na terenie Pucka i samego Władysławowa. W tej grupie znajdowała się też Agnieszka. Dostyc szybko udało się namierzyć dom pani Ludwiki oraz jej grób na lokalnym cmentarzu. Niestety, sąsiedzi nie przypominali sobie, by kiedykolwiek w jej otoczeniu pojawił się ktoś, kto mógłby być jej synem. Kobieta nie miała żadnej rodziny, a jej pogrzebem musiało zająć się miasto. Ksiądz, który w parafii przycmentarnej spędził ostatnie ćwierć wieku, nie pamiętał, żeby na jej grobie palił się jakikolwiek znicz oprócz tych, które sam w poczuciu troski o ludzi, o których po śmierci nikt się nie troszczył, zapalał. Jej pogrzebu, choć sam najprawdopodobniej odprawiał mszę, nie pamiętał, ale był przekonany, że nie uczestniczył w nim nikt z rodziny zmarłej. Grupa operująca w Gdańsku odnalazła w wojewódzkim urzędzie stanu cywilnego dokumenty ze ślubu Ludwiki Wolskiej z Mieczysławem Śrubińskim. Ślub zawarto w grudniu sześćdziesiątego dziewiątego roku w Gdańsku, na akcie widniały nazwiska dwóch świadków. Roman Kołodziej już nie żył, a jego rodzina nie wiedziała, że był kiedykolwiek świadkiem na ślubie, nikomu też nic nie mówiło nazwisko Śrubińscy. Policjantom udało się jednak dotrzeć do świadkowej, Matyldy Wawszczyk, przebywającej w domu spokojnej starości. Pomimo podeszłego wieku kobieta dość dobrze pamiętała młodą parę. Okazało się, że pracowała razem z Mieczysławem i przyjaźniła się przez lata z rodziną. W jej wspomnieniach Mirek Śrubiński, póki żył jego ojciec, był bardzo spokojnym i dobrze rozwijającym się chłopcem. Po śmierci Mieczysława Matylda próbowała jeszcze parokrotnie odwiedzać Ludwikę, zapamiętała z tych nielicznych wizyt, że atmosfera w domu bardzo się zmieniła, zmienił się też Mirek, który ze spokojnego dziesięciolatka zaczął się stawać bardzo trudnym nastolatkiem. Poza tym odniosła wrażenie, że ani ona, ani nikt inny nie jest już tam mile widzianym gościem. Dom stawał się coraz dziwniejszy, Ludwika zamykała się w sobie, a Mirek pojawiał się coraz rzadziej. Później zasłyszała od kogoś, ale nie mogła sobie przypomnieć od kogo, że gdy chłopak trafił do

domu poprawczego, zaczęły się dla nich naprawdę trudne czasy. Po wielu latach spotkała Ludwikę gdzieś na ulicy w Gdańsku i prawie jej nie poznała, bo tamta zachowywała się jak niespełna rozumu, szła przed siebie, nie widząc niczego ani nikogo i mamrotała coś pod nosem. Więcej pani Matylda powiedzieć nie potrafiła. Niestety, Śrubiński, podobnie jak jego żona, nie miał właściwie żadnej rodziny. On był sierotą wojennym, jej rodzice zmarli jeszcze przed ich ślubem, żadne nie miało rodzeństwa. Słowem, rodzina bez korzeni, jakby zrzucona na ziemię z kosmosu, bez otoczenia, bez bliskich, bez przyjaciół, bez nikogo, kto mógłby pociągnąć dalej dochodzenie, które znów grzęzło w pustce pytań bez odpowiedzi. Agnieszka nie bardzo wiedziała, co dalej począć. Ludwika i Mieczysław mieli syna Mirosława, chłopak urodził się w siedemdziesiątym pierwszym roku, potem chodził do podstawówki we Władysławowie, był miłym, normalnym chłopcem i nagle, prawdopodobnie po śmierci ojca, zaczęło się z nim dzieć coś złego. Trafił do ośrodka wychowawczego salezjanów w Paruszkowie, po czym, a właściwie już w trakcie przebywania tam, zniknął i nigdy więcej o nim nie słyszano, a w archiwach urzędowych ziało pustką. Chłopak nie umarł, a przynajmniej nikt nic o tym nie wiedział. Wieczorem w hotelu Bosman we Władysławowie, siedząc przy podświetlanym barze pokrytym z zewnątrz pikowanym białym skajem, który musiał być niesamowicie trendy trzydzieści lat wcześniej, komisarz wahała się, czy nie zadzwonić do Szwagra i nie zgłosić, że następnego dnia zamierza wrócić do Skarżyska. Upłynął tydzień, część ekipy już rozjechała się do domów, na miejscu zostało kilka osób, a wśród nich Mrówiec, który próbował jeszcze znaleźć jakiś trop w istniejących od tamtych czasów państwowych domach poprawczych, ale i tutaj nic do tej pory nie wskórał. Agnieszka zamówiła jeszcze jedną wódkę z grejpfrutem i wyjęła telefon. Tym razem zamiast do Misiaka zadzwoniła do córki.

– Hej – odezwała się zaspąnym głosem Jola.

– Obudziłam cię. – Agnieszka zerknęła na zegarek w telefonie, było znacznie później, niż myślała. – Przepraszam, zadzwonię jutro,

– Nie, nie, jest okej. Co tam nad morzem?

– Nie za specjalnie, chyba jutro będę wracać, bo stąd już raczej nic nie wyciągniemy. Muszę pomyśleć nad jakimś innym sposobem. Czas ucieka, a ja mam wrażenie, że go marnotrawię.

– Nie marnotrawisz – powiedziała przekonująco Jola. Już w samym brzmieniu jej głosu było coś, co mogło zmienić nastawienie człowieka. Agnieszka nie pierwszy raz zastanawiała się, skąd właściwie w niej taka cecha. Może odziedziczyła ją po dziadku? – Jesteś blisko, bardzo blisko i to nie tylko dlatego, że on tam mieszkał i się wychował. Czuję, że tam gdzieś jest jakieś coś, jakieś pudełeczko, w którym go znajdziesz.

– Czujesz? – Uśmiechnęła się do własnych myśli. Po kim Jola odziedziczyła intuicję, wiedziała akurat ponad wszelką wątpliwość. – Pudełeczko?

– Oj, wiesz, o co mi chodzi. Na pewno to znajdziesz.

– Wiem i zaczynam podejrzewać, że to naprawdę będzie pudełeczko. – Agnieszka nauczyła się już ufać swojej intuicji, bo ta zazwyczaj jej nie zawodziła. A skoro jej córka wspomniała o swoim odczuciu... – Jutro poszukam pudełeczka. Śpij dobrze. Muszę jeszcze zadzwonić do Marty, a nie miałam pojęcia, że jest tak późno.

Następnego ranka zabrała Mrówca na ponowny rekonesans do kamienicy, w której przed laty mieszkała Ludwika, a jeszcze wcześniej jej mąż i prawdopodobnie syn. Nawet jeśli ten ostatni nie istniał, to jednak musiał gdzieś być. Przez moment przyszło jej wprawdzie do głowy, że

może wszystko jest dziwnym zbiegiem okoliczności, a te cyferki i koordynaty doprowadzą ich co najwyżej do odkrycia, że kobieta ukryła przed światem śmierć swojego jedynaka albo sama w odruchu rozpaczony odebrała mu życie. Na to jednak matematyczny umysł Agnieszki nie wyrażał zgody, logika nie dawała przyzwolenia na tak skomplikowany, perfidny i w gruncie rzeczy absurdalny zbieg okoliczności. Na miejscu podzielili się z Mrówcem pionami. On miał odpytać raz jeszcze wszystkich sąsiadów mieszkających po lewej stronie klatki schodowej, ona po prawej. Po trzech piętrach on był lekko wstawiony, a ona ekstremalnie zmęczona. Nikt nie wiedział nic o tym, co stało się z rzeczami po śmierci Śrubińskiej. Nowi lokatorzy wprowadzili się już do opróżnionego mieszkania. Agnieszka nie do końca wierzyła ich zapewnieniom w tej sprawie, ale nie miała innego wyjścia, jak po prostu pytać dalej. Starszy mężczyzna mieszkający na poddaszu jako jeden z niewielu pamiętał jeszcze panią Ludwikę spod siódemki, miłą i czynną, choć trochę specyficzną samotną staruszkę.

– Umarła na pocztę. – Spoglądał w okno, za którym niewiele mógł zobaczyć, bo szyby wyglądały na niemyte, odkąd postawiono kamienicę przed sześćdziesięcioma laty. – To znaczy pogotowie było, nawet ją zabrali, ale chyba tylko po to, żeby tam nie zalegała.

– Skąd pan wie? – zainteresowała się Agnieszka.

– Sąsiadka widziała, jak ją zabierali. Poszedłem na pocztę, spytałem dokąd, a potem pojechałem ją odwiedzić do miejskiego w Pucku. – Mężczyzna wyjął z szuflady brązowe etui ze skaju na suwak, a z niego grzałkę elektryczną i włożył ją do brudnej szklanki. – Od razu trafiła do kostnicy.

Agnieszka pokiwała głową, chwilę milczeli, jakby kontemplując tamtą samotną śmierć gdzieś między pocztą a kostnicą w puckim szpitalu.

– A nie wie pan przypadkiem, co się stało z rzeczami? – Komisarz przerwała w końcu milczenie. Woda zaczynała bulgotać wokół grzałki.

– Wiem. – Przełożył grzałkę do drugiej, też przybrudzonej szklanki i wrzucił torebkę z herbatą. Agnieszka wzdrygnęła się na myśl, że będzie musiała to wypić. – Miasto ściągnęło takiego gościa, co czyści, a w zamian może sobie wziąć, co chce. Tak to chyba działa.

– Miasto? – Polkowska patrzyła na stojącą już teraz przed nią na plastikowej ceracie szklankę, w której woda powoli nabierała brunatnej barwy.

– Miasto, no, urząd miasta czy tam czegoś wezwał gościa, podstawili kontener, sporo wywalił, trochę wziął i tyle. Słodzi pani? – Zerknął na szklankę i dostawił spodek na napuchniętą torebkę z herbatą.

Starła się ograniczać, ale przyszło jej do głowy, że cukier może zadziała jako zabijacz smaku. Niewypicie herbaty byłoby w tej sytuacji grubym nietaktem, więc nie miała wyjścia.

– Tak, poproszę.

Starszy pan znów zapatrzył się w okno, a właściwie w brudną szybę.

– A pan nigdy nie widział jej syna? – Agnieszka zapytała raczej pro forma.

– Widziałem. Miły chłopiec, tylko potem zmienił się w małego bandytę. Dziwne, jak się widzi, że nagle pojawia się zło, którego wcześniej nie było. To trochę jak jakaś choroba zakaźna, tylko nie wiem, od kogo się zaraził, bo przecież nie od niej. Skaranie z nim miała potem.

– Potem... – odpowiedziała z nadzieją komisarz. – Co działo się z nim potem?

– Potem zniknął, pewnie poprawczak, może więzienie, nigdy go już nie widziałem. –

Mężczyzna odwrócił się od okna i usiadł ze swoją szklanką naprzeciwko Agnieszki. – Myślę, że ona chyba też nie. Biedna kobieta, najpierw mąż się kurwił, potem się spalił, a syn zmienił się w potwora.

– Mąż... się kurwił? – zainteresowała się Agnieszka.

– A jak, same młode, taka jedna szczególnie. – Staruszek z przyżółconymi zapewne od prób farbowania siwymi włosami uśmiechnął się do niej trochę dziwnie. – Tam, jak się spalił, to też z jakąś młodą, pewnie podlotką. Może zresztą z tą samą, co tu go z nią widywałem.

Po nocy, najpierw upojnej, jak wszystkie ich dotychczasowe spotkania, potem spokojnej, nastał ranek i śniadanie, o którym tak marzyła Ewa. Adam chciał, by gdzieś poszli, ale ona nalegała, żeby zjedli je w jego małym apartamencie. Nie upierał się, tym bardziej że wolał pozostać tu, niż wychodzić gdzieś, gdzie ktoś mógł ich razem zobaczyć, może zapamiętać. Jej zdjęcie prawdopodobnie za tydzień, może za dwa ukaże się w wielu publikatorach, on wprawdzie wyglądał teraz zupełnie inaczej, ale mimo wszystko. Na stoliku stały talerze z jajecznicą ze szczypiorkiem, a do tego kawa i rogalce – Ewa już wcześniej przygotowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach, pierwsze w życiu śniadanie z mężczyzną życia.

– Chciałbym, żebyśmy w weekend gdzieś pojechali. – Adam-Sławomir wypił ostatni łyk kawy. – Trochę pochodzimy po lesie, może potem zaprosiłabyś mnie do mamy.

Właśnie stało się coś, na co Ewa tak bardzo czekała. Kluczowy z punktu widzenia Adama spacer po lesie kompletnie jej umknął, wizyta u mamy oznaczała, że wreszcie będzie mogła podzielić się swoim szczęściem z całym światem. Uśmiechnęła się, by się nie rozpląkać. Po chwili pokiwała głową.

– Przyjadę po ciebie, pojedziemy na wycieczkę, a jak cię odwiozę, wejdę na chwilę. – Sławomir mówił jak automat, tyle razy powtórzył już dokładnie ten sam schemat, że teraz mógł właściwie myśleć o czymkolwiek innym.

– Ale czym przyjedziesz? – Ewa zapytała, nie wytracając ani odrobiny ze swojego entuzjazmu. – Przecież nie masz samochodu.

– Pożyczę od kolegi. Nie mam auta, bo w mieście samochód jest bez sensu, ale prawo jazdy mam i to, wstyd się przyznać, dłużej, niż ty jesteś na świecie. – One wszystkie były krócej na świecie, niż on jeździł samochodem. Czy to miało jakieś znaczenie? Sławomir zadumał się na chwilę. – Ale najpierw spacer po lesie, długi, beztroski.

– W sobotę? – dopytywała Ewa. Potrzebowała jak najwięcej elementów, by zagospodarować swoje wyobrażenia. – A dokąd?

– Zobaczysz w sobotę.

Pomyślał, że wszystko dzieje się zbyt szybko i na przygotowanie zostało mu zaledwie kilka dni, normalnie do takiej operacji układał plan przez co najmniej dwa tygodnie, ale tym razem nie miał wyjścia, czuł, że komisarz Polkowska jest coraz bliżej.



W urzędzie miasta nie pracował już nikt, kto przed dziesięcioma laty mógł zamówić człowieka do oczyszczenia mieszkania komunalnego. Mimo najlepszych chęci i polecenia od samego prezydenta miasta nie odnaleziono również dokumentów z tamtego okresu. Agnieszka poprosiła o listę osób, które pracowały wtedy w urzędzie w dziale mieszkań komunalnych, wraz z numerami telefonów, a kiedy ją dostała, podzieliła się znów pracą z Mrówcem i zaczęli dzwonić. Dopiero czwarta osoba z kolei, zresztą niezatrudniona bezpośrednio przy obsłudze mieszkań, a na stanowisku tylko pośrednio związanym z tym działem, pamiętała, że tego typu zlecenia trafiały najczęściej do firmy zarejestrowanej gdzieś w Białym Młynie niedaleko Chłapowa. Gdyby komisarz Polkowska miała więcej czasu, zajęłaby się w tym momencie dochodzeniem w sprawie korupcji, z którą stykała się właściwie na każdym kroku, nie tylko tutaj zresztą. Z małymi wyjątkami wszystko wszędzie okazywało się tajne, nikt nic nie pamiętał, ludzie bali się i nie chcieli mówić, ogólnie panowała atmosfera dość mroczna. Agnieszka nie miała jednak czasu, więc od razu po rozmowie z miłą i nieco roztrzęsioną panią pojechała z Piotrem do Białego Młyna.

Na miejscu nie było wcale łatwiej. We wsi znajdowało się kilkanaście zabudowań, a firma, jak się okazało, mieściła się dokładnie pośrodku, obok kaplicy. Nie dowiedzieliby się jednak niczego od napotkanych mieszkańców, gdyby nie natknęli się na jej właściciela. Agnieszka doszła w pewnym momencie do wniosku, że tutaj chyba nadal trwała niemiecka albo co najmniej sowiecko-komunistyczna okupacja, bo wszyscy sprawiali wrażenie, jakby w młodości naczytali się *Małego konspiratora* i przez te wszystkie lata wciąż żyli zgodnie z przedstawionymi w nim zasadami. Tymi samymi zasadami żyli nawet ci, którzy nie mogli czytać *małego konspiratora* i nie liznęli okupacji, bo mieli po dwadzieścia lat. Widocznie tajność, konspiracja i walka z kimś o coś, mimo że już niczym nieuzasadniona, musi trwać jeszcze przez kilka pokoleń.

– Dowiedzieliśmy się w urzędzie miasta we Władysławowie, że był pan kiedyś kontraktowany do opróżniania mieszkań komunalnych po zmarłych lokatorach. – Mrówiec mówił, a Agnieszka kręciła się po wielkiej stodole, gdzie Zygfryd Mosiądz umieścił swój przepastny antykwariat.

– Było coś takiego, no. – Zygfryd miał żółte palce, żółte zęby i żółtą od dymu papierosowego twarz, a w kąciku ust przez cały czas tlił się, jakby wklejony tam na stałe, kiep bez filtra.

– No, a czy pamięta pan może mieszkanie Ludwiki Śrubińskiej przy... – Aspirant wyciągnął z kieszeni notes, by przypomnieć sobie adres.

– Nadmorskiej szesnaście. – Zygfryd zerknął w stronę zaskoczonych Agnieszki, stojącej przy jednej z zawalonych wszelkim dobrodziejstwem półek. – Pamiętam wszystkie adresy wszystkich tych martwych mieszkań, które plądrowałem.

– Plądrował pan? – Komisarz podeszła z zaciekawieniem do mężczyzny.

– Tak to nazywam. – Przypalił kiepa, a płomień z zapalniczki prawie musnął mu bujną czuprynę. – Jak pani chodzi po mieszkaniu, z którego życie uszło przed kilkoma dniami, a wygląda, jakby go tam nigdy nie było, to ja to nazywam plądrowaniem. Ktoś inny by powiedział: sprzątanie albo uzdatnianie czy coś tam jeszcze innego, ale ja nie zakłamuję prawdy, łatwiej mi dzięki temu później się ze sobą dogadać.

– Rozumiem chyba... – Agnieszka nie wiedziała, co właściwie powiedzieć. – No dobrze, a skoro pamięta pan adres na podstawie nazwiska, to może pamięta też, czy znalazł tam coś, co pomogłoby nam odnaleźć rodzinę pani Śrubińskiej. Jakież dokumenty, zdjęcia?

Zygfryd uśmiechnął się trochę tajemniczo, pociągnął nosem i popatrzył jej prosto w oczy.

– Nie pierwsi pytacie.

Mrówiec na moment zapomniał oddychać, a Agnieszkę przeszył dreszcz.

– Kto? – Nie miała już siły ani czasu na budowanie bardziej złożonych zdań.

– Jakiś facet. – Mężczyzna przyknął oczy i Piotr już chciał zadać kolejne pytanie, ale ona powstrzymała go gestem. – Cztery lata temu, wiosną.

– Facet?

– Na oko cztery dychy, elegancki, przyjechał eleganckim autem chyba z kierowcą. Mówił, że jest siostrzeńcem, szuka pamiętek. Zapytałem, czemu nie zjawił się, jak ciocia umarła. Powiedział, że nie było go w kraju. Nie uwierzyłem mu.

– Coś więcej o tym facecie? Rysopis, może numer rejestracyjny, cokolwiek, co pomogłoby nam go znaleźć – cisnęła komisarz.

– Rysopis? Z wyglądu podobny do nikogo i do wszystkich. – Zygfryd znów namyślił się przez chwilę. – Nie, numerów nie pamiętam, aż taki pierdolnięty nie jestem.

– Znalazł coś? – Do rozmowy w końcu włączył się Mrówiec.

– Nie, powiedziałem mu, że nic nie mam. – Mosiądz uśmiechnął się i znów przypalił kiepa. – Nie podobał mi się.

– I rzeczywiście pan nie miał? – Agnieszka powoli traciła nadzieję.

– Miałem.

– Co?

– Różne rzeczy. – Spojrzał na nią tak, jakby dokładnie wiedział, o co zapyta go za chwilę.

– Pudełeczko, w sensie puzderko jakieś, szkatułka, no wie pan. – Trochę było jej głupio, że pyta o coś bez żadnej racjonalnej przesłanki.

Zygryd przyjrzał jej się przeciągle, w jego spojrzeniu pojawił się jakby niepokój, może wręcz strach. Spodziewał się tego pytania, a jednak trochę go zdziwiło, choć przecież tak właśnie miało być. Był przyzwyczajony do obcowania z sytuacjami, których nie rozumiał, akceptował je, ale jednak to, co trzymało go wciąż na ziemi, buntowało się przeciw tego typu rzeczom.

– Może – odparł w końcu. – Musi pani poszukać.

– Ale gdzie?

– Tam. – Wskazał na przepastny magazyn za jej plecami.

Agnieszka nie musiała oglądać się za siebie, by wiedzieć, że sami sobie z tym nie poradzą.

– Zadzwoń do Gdańska – powiedziała do Mrówca. – Niech podeślą ludzi.

Sławomir po raz pierwszy jechał na spotkanie z Siewą pełen obaw. Wynikało to z kilku powodów. Po pierwsze Rosjanin przez telefon nie brzmiał zbyt rubasznie, w jego głosie Wolski wyczuł jakiś rodzaj bardzo dla niego nietypowej powagi. Po drugie stawka, o jaką grał, zaczęła w ostatnich dniach rosnać w postępie geometrycznym. Grunt zapalił mu się pod nogami znacznie wcześniej, niż się tego spodziewał. Tak naprawdę w ogóle nie myślał, że kiedykolwiek to nastąpi. Wyobrażał sobie, a w jego przypadku wyobrażenia prawie nigdy nie różniły się od rzeczywistości, że zdąży powiązać wszystkie nitki, zakończyć sprawy, dopełnić dzieła i wtedy umknie w jakiś przygotowany zawnazsu niebyt. Właśnie tego ostatniego elementu nie udało mu się jeszcze zorganizować. Teraz sprawy zaczęły się toczyć w czasie rzeczywistym, akcja wymagała natychmiastowej reakcji, a tego dopracowany w najdrobniejszym szczególe Sławomir nie lubił. Na szczęście właśnie pod wpływem takich sytuacji uwalniały się w nim spore dawki adrenaliny, a tej miał ogromne zapasy, ponieważ nie używał jej zasadniczo nigdy i do niczego, może tylko w chwilach największych krwawych spełnień. Jego trzecia obawa wynikała z tego, że zamierzał przekazać przedstawicielom obcego państwa tajne i ważne informacje, co stawiało go w znacznie bardziej narażonym na ryzyko kręgu zdrajców kraju, którego bądź co bądź był obywatelem, choć to akurat miał od zawsze w tak zwanym szczerym poważaniu. Miejsce spotkania wyznaczone przez Siewę też nie nastrajało go relaksująco. Kiedy wysiadł z samochodu w środku lasu w pobliżu zakola Wisły i zobaczył przed sobą dwie ciemne limuzyny, w jego głowie pojawiły się pewne skojarzenia, których przecież nie mógł uniknąć.

– *Gaspadin* Wolski. – Siewa nigdy tak się do niego nie odzywał. – *Od poł czasu my was żdiom.*

– Jak to od pół godziny? – Zerknął na zegarek i poczuł nagle chłód. – Przecież umówiliśmy się na czwartą, a jest za pięć.

Rosjanin spojrzał na niego groźnie, a po kilku trwających wieczność sekundach roześmiał się rubasznie.

– *Kanieszno, czetwiortyj czas. No u nas toże drugije wstriecki.* – Nie przestawał się uśmiechać, ale to, co zakomunikował, nie rozluźniło Sławomira. Wszystko wskazywało na to, że panowie w coś z nim grali, a on nie do końca wiedział w co. Miał wprawdzie w samochodzie broń, ale – z czego zdawał sobie sprawę – nawet jeśli coś poszłoby nie tak, do niczego by mu się nie przydała.

– *Eto gaspadin Kaspijskij.* – Siewa wskazał na stojącego obok mężczyznę w niedopasowanym, zbyt drogim garniturze, który czynił zeń osobnika o wyglądzie księgowego mafii. – *Wy poznakomtjes’.*

Kaspijski z całą pewnością tak się nie nazywał, ale mogło być też i tak, że *gaspadin Kaspijskij* sam już nie pamiętał, jak się nazywa, więc nie miało to większego znaczenia. Tak czy siak Sławomir podał mu rękę.

– *Szto ty prinios siewodnia.* – Mężczyzna w garniturze odezwał się ni stąd, ni zowąd i od razu przeszedł na ty, a Wolski zastanawiał się, czy to przejaw fraternizacji, czy może raczej protekcjonalności. Innymi słowy, czy on też miał mu mówić po imieniu, czy wręcz przeciwnie?

– A czego się spodziewasz? – zaryzykował.

– Czegoś ciekawego, co będzie warte tego, co dla ciebie przygotowaliśmy. – Kaspijski odezwał się czystą polszczyzną, co już zupełnie zbiło Sławomira z pantałyku.

– No to mam coś ciekawego. – Sięgnął ręką do przewieszanej przez ramię torby.

Nim jednak ją otworzył, usłyszał kliknięcie zamka w odbezpieczanej broni za swoimi plecami. Gdy się odwrócił, zobaczył faceta większego od nich trzech razem wziętych, z twarzą jakby z innej planety albo z filmu science fiction, którego tytułu nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć. Mężczyzna pokręcił znacząco głową, po czym podszedł do niego i sam zajrzał do torby. Wolski zamierzał wcześniej zabrać broń z auta i włożyć ją na wszelki wypadek właśnie tutaj, ale na szczęście tego nie zrobił. Do torby zapakował tylko kartonową teczkę i komputer. Facet pokiwał głową przyzwalająco, Sławomir wyjął więc teczkę, podał ją Siewie, a ten, nie zaglądając nawet, przekazał ją dalej. Kaspijski położył teczkę na masce bentleya, odwiązał kokardkę i przejrzał zawartość.

– *Charaszo*. – Spojrzał na Sławomira. – Coś jeszcze?

– Rozmieszczenie i plany przemieszczania ruchomych wyrzutni rakiet przeciwlotniczych. – Wolski podał mu pendrive'a. – Ale zaszyfrowane.

Mężczyzna spojrział na niego, po czym się roześmiał. Wreszcie kiwnął głową do człowieka o wyglądzie mebla z twarzą z filmu science fiction, a ten podszedł do drugiego z aut i po chwili wrócił z dokumentami w foliowej koszulce.

– Plan ewakuacji, paszport, numer konta, miejsce kontaktowe w Brazylii, kilka haseł, loginów i kodów, które pozwolą ci zniknąć na następne pięćdziesiąt lat. – Kaspijski mówił czystą polszczyzną, ale z dziwną naleciałością.

Sławomir, odbierając teczkę, doszedł do wniosku, że nie jest to naleciałość słowiańska.

– *Spasibo* – odparł i przekazał pendrive'a goryłowi, a następnie z kieszeni spodni wyjął karteczkę i podał ją Siewie. – Kod. Za kilka dni może zacząć się nagonka na mnie. Będą pewno listy gończe i tak dalej. Wtedy się zgłoszę.

– Zrobisz, co będziesz chciał, *kamrad... Śrubińskij*. – Kaspijski przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. – *My jeszcze wstrietimsia* – dodał, po czym ruszył do samochodu, a człowiek-szafa za nim.

Siewa chwilę stał i patrzył na Sławomira, po czym uśmiechnął się dziwnie, pokiwał głową i ruszył do swojego bentleya. Wolski z foliową koszulką, za którą właśnie przehandlował obronność swojej ojczyzny, przyglądał się, jak samochody zostawiają za sobą tumany kurzu rozświetlone zachodzącym słońcem.

– *Spasibo*, kurwa, *balszoje spasibo* – powiedział do siebie i niespiesznym krokiem ruszył do swojej beemki, takiej samej, jaką jeździł jego znajomy prezydent.

Ku ucieście właściciela antykwariatu, a właściwie zbieracza pozostałości po zmarłych na podwórku kręciło się teraz kilkunastu policjantów. Część z nich była umundurowana, część po cywilnemu, kilku innych miało na sobie białe kombinezony wydziału kryminalistyki, które były raczej zbędne w tych okolicznościach, ale przydawały wszystkiemu atmosfery kosmicznej nieco dziwności. Na dziedzińcu przed stodołą leżało już kilkaset przedmiotów o różnym pochodzeniu i przeznaczeniu. Były tu stare prodiże, lampy, dzbanuszki, magnetofony kasetowe, a nawet szpulowe, gramofony, przybory do golenia i pisania, zapleśniałe gumowe piłki w słoniki – słowem, ogrom obecności przedmiotów odziedziczonych po nieobecnych już ludziach. Między tymi przedmiotami chodził właściciel i ponaglany przez Agnieszkę próbował sobie przypomnieć, czy któraś z rzeczy rozłożonych na płachtach folii na całym podwórku należała do Ludwika Śrubińskiej z Władysławowa. Prace ustały na chwilę. Na razie ze wszystkich kątów stodoły wyciągnięto po kilka rzeczy, by w ten sposób ustalić, w jakiej części magazynu znajdują się interesujące ich przedmioty. Właściciel twierdził, że przywiezione rzeczy składował zawsze w jednym miejscu i później ktoś mógł ewentualnie coś kupić, chodząc między rupieciami, ale jedno mieszkanie, czyli jeden człowiek znajdował się przeważnie w jednym miejscu. W którym miejscu leżały doczesne pozostałości po pani Ludwice, tego nie pamiętał.

– Ta lokówka. – Po kwadransie krążenia między przedmiotami w końcu się zatrzymał. – Tak, ta lokówka, bo nigdy wcześniej ani nigdy później czegoś takiego nie widziałem, chyba enerdowska albo może albańska, chociaż po cholere Albańczycy mieliby robić lokówki? Tak, i ten termos, chyba angielski, wtedy chciałem go nawet wystawić na eBayu, ale w końcu zapomniałem.

Komisarz spojrzała na stojących wokół policjantów, którzy na czas przeglądania rzeczy przez właściciela wstrzymali pracę. Po chwili jeden z ubranych w biały kombinezon podniósł rękę, a Agnieszka irracjonalnie pomyślała, że to oni mają jednak największego czuja. Kiedy podeszła z nim do sterty rzeczy upchniętych pod jedną ze ścian, czuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić.

– Wyznaczcie miejsce przed stodołą i wynieście tam wszystko z tego kąta. – Mówiąc to, starała się już wzrokiem wyszukać coś, co mogłoby być pudełeczkiem.

Wszystkie rzeczy, zweryfikowane przez właściciela jako prawdopodobnie zabrane z mieszkania po Ludwice, wylądowały po pół godzinie na płachcie w oddalonym kącie podwórka, ułożone obok siebie. Mniej więcej pięćdziesiąt przedmiotów leżało tam teraz bez ładu i składu, sprawiając wrażenie chaosu. Nic, żadna estetyczna myśl, idea, żaden porządek ani sens nie łączył starych wydań pisma „Ty i Ja”, książek, garnków, obrusów koronkowych, grzałek i lepów na muchy w całość. W taką całość łączyła je przed dziesięcioma laty Ludwika Śrubińska, ale odkąd odeszła, zniknęło też jakiegokolwiek uzasadnienie ich istnienia. Ale przecież pozostały i starały się prowadzić uporczywą walkę o przywrócenie owego zatraconego sensu.

– Pudełeczko. – Agnieszka weszła między rzeczy, oświetlone już teraz halogenowym światłem. – Czy ktoś wynosił jakieś pudełeczko, nie wiem, kartonik, szkatułkę, cokolwiek? Albo teczkę z dokumentami?

– Dokumentów nigdy nie biorę, od razu wywalam do kontenera, nie chcę wiedzieć – odezwał

się właściciel.

– Czego nie chce pan wiedzieć? – zainteresowała się, krążąc wciąż między zgromadzonymi rzeczami.

– Nie chcę nic o nich wiedzieć, nie chcę się tym obciążać. Umarli i razem z nimi ich historia.  
– Mężczyzna też wszedł między bibeloty. – Tam ma pani pudełko. Może z butami, a może po butach. – Wskazał ręką w kierunku kartonu przykrytego stertą kolorowych magazynów.

Komisarz podeszła bliżej, zdjęła czasopisma, podniosła kartonowe wieczko i uśmiechnęła się do siebie. W środku leżało kilkadziesiąt czarno-białych i kolorowych zdjęć, a na nich była zapisana cała historia, którą nie chciał się obciążać właściciel antykwariatu.

Tego dnia Sławomir pojechał na noc do domu na Skarpie Wiślanej. Ucałował żonę i pożegnał się z dziećmi jak gdyby nigdy nic, obiecał, że wracając za dwa dni, kupi im prezenty w ich ulubionym sklepie zabawkowym w galerii na Sadybie. Monika wraz z upływem lat coraz bardziej lubiła momenty, kiedy wyjeżdżał. Dwa dni to nie było wiele, ale nawet chwilowa przerwa w ciągłym odgrywaniu nieprawdy pozwalała jej zaczerpnąć powietrza. Pomyślała, że może przy okazji wykorzysta ten czas na spotkanie z pewnym młodym mężczyzną, przed którym absolutnie nic nie musiała udawać, tym bardziej że właściwie prawie w ogóle nie rozmawiali. Kiedy Sławomir wychodził z domu, obejrzał się jeszcze, pomachał do nich i uśmiechnął się z pełną świadomością, że już nigdy więcej ich nie zobaczy. Nie bolało go to przesadnie, przez moment odczuł tylko przyływ filmowego wzruszenia, a potem znów delektował się komfortem przebywania we własnym towarzystwie. Dwie minuty później, jadąc w stronę Konstancina-Jeziorny, nie myślał już o tym, jego głowę zaprzętał w stu procentach plan, który musiał teraz zrealizować w najdrobniejszych szczegółach. Postanowił zacząć od przygotowania zestawu rzeczy niezbędnych w podróży ku drugiej części życia. Za dwa dni po południu miał zabrać Ewę z centrum Garwolina na wycieczkę i pokazać jej coś absolutnie niezwykłego. Potem był plan powrotu do jej domu i wieczorne spotkanie z mamą, ale oczywiście tej części Sławomir nie zamierzał już realizować. Prosto z lasu wybierał się w jeszcze jedno miejsce, by zająć się ostatnim i zarazem najważniejszym elementem planu. Chwilę później miał zniknąć w niebycie, żeby za jakiś czas znów objawić się w innym miejscu świata jako człowiek, którego wcześniej nie było.



W tym samym czasie Ewa po raz ostatni poszła na spotkanie świadków Jehowy w Warszawie. Postanowiła już, że kiedy zacznie oficjalnie mieszkać z Adamem, odejdzie od nich, bo ona też, choć zgoła inaczej niż Sławomir, planowała nowe życie. Po spotkaniu długo rozmawiała z Basią, której uchyliła nawet rąbka tajemnicy, jednak – zgodnie z umową, jaką zawarła z Adamem – nie wchodząc w żadne szczegóły. Powiedziała tylko, że za kilka dni jej życie zmieni się diametralnie, co Basia zinterpretowała jednoznacznie jako zapowiedź nowej relacji i miała rację. Nie było jednak mowy o zmianie jej nastawienia do religii, to wraz z całą resztą nowin Ewa zamierzała przekazać już po weekendowym spotkaniu z Adamem i Adama z mamą. Obawiała się trochę tego momentu, bo wiedziała, że tu może nie znaleźć zrozumienia u przyjaciółki, ale liczyła, że z czasem jakoś to się ułoży. Znały się od tak dawna, że na szczęście nie sama wiara stanowiła podwalinę ich przyjaźni. Była między nimi bliskość wynikająca z podobieństwa w postrzeganiu świata, ale religia nie grała tu najważniejszej roli. Potem Ewa pojechała na kilka godzin do pracy. Kiedy stała przy kasie i przyjmowała zamówienia, nagle usłyszała znajomy głos.

– Dawno cię nie widziałem. – Uśmiechnięty Robert patrzył na nią zza lady. – Co tam?

– Raczej... dobrze. – Próbowала ukryć zaskoczenie. – A u ciebie?

Chłopak pokiwał głową, uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Poproszę – zerknął na tablicę z ofertą – latte na sojowym.

– Jasne. – Ewa starała się nazwać uczucia, które się w niej teraz pojawiły, ale nie potrafiła. Pomyślała nawet, że może po prostu ich nie było. – Coś jeszcze?

– Jeszcze chciałbym cię zaprosić na imprezę do kolegi w sobotę wieczorem. – Uśmiech zniknął i zastąpiła go okraszona rumieńcem niepewność. – Nie pojawiaasz się na zajęciach, dlatego tutaj...

Dziewczyna wyobraziła sobie, jak idiotycznie czułaby się na imprezie u kolegi Roberta, na której prawdopodobnie udawałaby jego narzeczoną. Nie, za nic w świecie nie zrezygnowałaby dla niego z wycieczki z Adamem.

– Nie dam rady. Jestem już umówiona.

Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto zamierzał o to kruszyć kopie, ale też nie zamierzał wycofać się od razu. Wskazał znacząco na kasę i zapytał:

– Możesz na chwilę zejść, dosiąść się do mnie, pogadać?

– Spróbuję. – Nie miała zbyt ochoty na rozmowę, ale odmowa wymagałaby od niej w tej chwili jeszcze większego wysiłku.

Po kilku minutach podeszła do niego, gadali, a ona cały czas myślała o tym, jak szczęśliwie się złożyło, że sprawy potoczyły się w ten sposób. W sobotę zmieni się jej życie, które zresztą już teraz miało zupełnie inną jakość. Robert mówił, a ona uśmiechała się, myśląc o Adamie.

Zdjęcia leżały w głównej sali konferencyjnej komendy wojewódzkiej w Gdańsku na wielkim stole, pokrytym wykładziną imitującą jasny orzech. Większość z nich była gdzieś tam ubrudzona proszkiem srebrnym, za pomocą którego kryminaliści z mozołem pobierali nieliczne, ale jednak dobrze zachowane na emulsji fotograficznej odciski palców. Nad zdjęciami pochylało się kilku wybranych przez Agnieszkę funkcjonariuszy. W białych tekstylnych rękawiczkach podnosili zdjęcia, przyglądali im się chwilę i obracali na drugą stronę. Na każdym z nich pojawiały się trzy osoby sfotografowane w różnych okresach ich życia, w różnych konfiguracjach i różnych miejscach. Byli to Mieczysław i Ludwika Śrubińscy i ich syn Mirosław.

– Można by spróbować komputerowo zasymulować jego obecny wygląd na podstawie tych zdjęć – odezwał się Andrzej, który na prośbę Agnieszki dołączył do zespołu kilka godzin wcześniej. – Potem na tym wizerunku zrobić list gończy do prasy, ale to trochę stóg siana.

– Nie mamy na to czasu. – Polkowska po raz któryś z rzędu oglądała te same fotografie.

Wszyscy spojrzeli z powrotem na stół pokryty zdjęciami.

– Raczej synek mamusi. – Agnieszka spróbowała sobie przypomnieć nazwisko rodowe Ludwiki.

– Wolska. – Mrówiec wskutek podróży psychodelicznych, które dotychczas zaliczył, przyswoił zdaje się zdolność czytania w myślach.

– Spróbujmy Mirosław Wolski, może coś wyskoczy. – Agnieszka spojrzała na zebranych.

Ośmiu facetów prawie równocześnie podniosło głowy, czekając, aż ich szefowa rozdzieli między nich zadania.

– Piotrek, sprawdź w KSIP-ie, Andrzej, GUS. Sprawdzamy wszystkich w rocznikach z marginesem powiedzmy, od sześćdziesiątego piątego do osiemdziesiątego, choć pewnie tak w okolicach siedem jeden... No i jeszcze ktoś bierze rejestr zgonów. Chociaż na to bym akurat nie liczyła.

Zawrzało. Po godzinie Mrówiec miał sprawdzony cały KSIP. Znalazł tylko jednego Mirosława Wolskiego, który odsiedział niedawno wyrok za recydywę za kradzieże aut – niestety, miał dwadzieścia pięć lat, a co więcej, nawet przy bardzo odważnym założeniu, że wpadł w jakąś dziurę czasoprzestrzenną albo podrobił metrykę urodzenia, to z załączonego zdjęcia nijak nie przypominał dziesięciolatka z ostatniej kolorowej fotografii rodzinnej datowanej na osiemdziesiąty rok. Wyniki otrzymane z GUS-u okazały się bardziej obiecujące, ponieważ Mirosławów Wolskich w wyznaczonym przez Agnieszkę przedziale wiekowym było aż czterdziestu. Kolejne godziny upłynęły na weryfikowaniu każdego ze znalezionych. Kilku już nie żyło, co potwierdził wykaz zgonów, kilku mieszkało za granicą, i to od dłuższego czasu. Do weryfikacji bezpośredniej policjanci pozostawili dwanaście osób mieszkających w różnych częściach Polski. Dwie z nich przebywały w okolicach Gdańska i to do nich pojechali Agnieszka z Mrówcem, w pozostałych rejonach komendy wojewódzkie wyznaczyły specjalnie grupy, które sprawdzały osobę za osobą, Mirosława za Mirosławem. Cała operacja została przeprowadzona w ciągu kilku godzin, bo teraz nad wszystkim bezpośrednią pieczę sprawował już komendant

główny, który w końcu nakazał potraktowanie sprawy jako priorytetowej. Wieczorem tego samego dnia w kręgu podejrzanych znalazło się dwóch mężczyzn. Sprawa była bardzo delikatna, bo tak naprawdę nie mieli ani czasu, ani podstaw do tego, by wystawiać jakiegokolwiek nakazy. Policjanci opierali się na życzliwości ludzi, na ich empatii, a kiedy ktoś zachowywał się niechętnie, co raczej rzadko się zdarzało, naginali przepisy i robili się trochę mniej sympatyczni. Jeden z dwóch Mirosławów mieszkał na Śląsku i w końcu przedstawił niepodważalne alibi na czas ostatnich dwóch zabójstw, drugi alibi wprawdzie nie miał, ale biegły, porównując jego aktualne zdjęcia ze zdjęciami dziesięcioletniego Śrubińskiego, zweryfikował go negatywnie. Po osiemnastu godzinach grupa była dokładnie w tym samym miejscu. Dla Agnieszki właśnie kończyła się trzecia doba bez snu. Miała wrażenie, że z każdą kroplą skapującego nieubłaganie czasu malała szansa na uratowanie kolejnej ofiary. Sprawa utknęła i chwilami nachodziła ją obawa, że wszystko, co robiła do tej pory, cały ten misterny trop mógł w końcu okazać się mylny, bo tak zwane *petitio principii*, które przyjęła na początku swojej drogi, stojąc pośrodku lasu obok Kamienia Michniowskiego, gdzie znaleźli pierwsze zwłoki, mogło być po prostu nietrafione.

Sobotni ranek był piękny. Pięknie było za oknem pokoju Ewy w Garwolinie, pięknie było w środku brzozowego lasu, gdzie Sławomir wykopywał właśnie pieniądze i kosztowności, gromadzone tu w ostatnich kilku latach. Światło słońca przebijało też ostrymi promieniami pomiędzy zasłonami w pokoju gdańskiego hotelu Gromada, rażąc Agnieszkę, która obudzona sygnałem telefonu usilnie próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest i dlaczego nie śpi obok niej Marta.

– Przejrzałem jeszcze raz wszystkie zdjęcia. – Mrówiec nawet się nie przywitał, czego Agnieszka nie miała mu za złe.

– Kiedy? Miałaś iść spać.

– Nie mogłem zasnąć. – Sprawiał wrażenie, jakby gdzieś się spieszył. – Ale zaraz padnę.

– Piotrek, znowu coś waliłeś? – Agnieszka zaczynała łapać.

– To nie ma znaczenia, potem mnie wyrzucisz dyscyplinarnie, a teraz słuchaj. Na jednym ze zdjęć zrobionym w kuchni może przez chłopaka są uśmiechnięci rodzice, a za nimi lodówka... – Zatrzymał się tylko po to, by nabrać powietrza.

– To pięknie i... – Agnieszka usiadła i prawie po omacku odszukała paczkę papierosów.

– I na tej lodówce są chyba jakieś listy zadań czy coś równie idiotycznego, w dwóch kolumnach. I teraz uważaj: nad jedną listą jest napisane Mietek, a nad drugą Sławek... Rozumiesz, Miro-Sławek, Sławek, Sławomir... Szukamy nie Mirosława, a Sławomira Wolskiego.

– Albo w ogóle kogoś innego. – Komisarz bodaj po raz pierwszy w czasie prac nad tą sprawą wypowiedziała coś tak idiotycznie pesymistycznego.

– Mam w dupie kogoś innego, szukamy Sławomira Wolskiego, bo na kogoś innego nie mamy już czasu. – Mrówiec był zły. – Zresztą już nie musimy szukać – rzucił i się rozłączył.

Agnieszka popatrzyła na telefon, który właśnie zadurzył i na ekranie pojawiło się powiadomienie o nadejściu ememesa od Piotra. Otworzyła zdjęcie, na wyświetlaczu pojawił się portret elegancko ubranego Sławomira. Pociągnęła potężnego bucha z dopiero co zapalonego papierosa, podeszła do stojącego laptopa i dotknęła jednego z klawiszy. Kiedy komputer się wybudził, otworzyła katalog zatytułowany „Śrubińscy zdjęcia”, kliknęła miniaturkę podpisaną najstarszą datą, zbliżyła zdjęcia tak, że cały kadr zajęła twarz dziesięcioletniego chłopca, następnie zerknęła raz jeszcze na zdjęcie przysłane przez Mrówca.

– Ja pierdołę...

Drżącymi palcami wyszukała numer, po czym wcisnęła zieloną słuchawkę. Na ekranie telefonu pojawiło się hasło „Capo di Tutti”.

– Tak, słucham. – Głos, który odezwał się po drugiej stronie, nie był miły, ale przynajmniej wydał się jej spokojny, a tego teraz potrzebowała najbardziej.

– Dzień dobry, panie komendancie, z tej strony komisarz Polkowska ze Skarżyska. – Starła się mówić jak najszybciej, czuła atawistyczny lęk, że jeśli nie zdąży opowiedzieć, o co jej chodzi i zostanie zrzucona z linii, to stanie się coś strasznego. – Numer do pana mam z komendy

wojewódzkiej w Radomiu, prowadzę...

– Wiem, co pani prowadzi, pani komisarz. – Komendant główny policji Jerzy Walicki wcale nie zamierzał jej zrzucić. – Co się dzieje?

– Panie komendancie, wydaje mi się, to znaczy... – Agnieszka ledwo mogła ustać w miejscu. – Mamy go. Znaleźliśmy Kadzidło.

Sławomir wrócił z lasu z przewieszoną przez ramię torbą sportową, w której w różnych walutach i kruszcu niósł około dwóch milionów złotych. Pieniądze te miały zapewnić mu jedynie wydostanie się z kraju, a następnie z Europy w luksusowych warunkach, kolejne sześć milionów dolarów trzymał na kilku kontach zarejestrowanych najczęściej na fikcyjne dane w raju podatkowym na Kajmanach. Zarówno ta zakopana pod brzozą gotówka na drobne wydatki, jak i kapitał główny gromadził od wielu lat, ściśle mówiąc, zaczął na trzy lata przed pierwszym zabójstwem.

Po przyjeździe do domu na skarpie ogolił się, wziął prysznic, zjadł płatki kukurydziane z mlekiem, spakował pieniądze, dokumenty i plany od kolegi Siewy, cztery telefony kupione w komisie, o którego istnieniu nikt nie miał pojęcia, dziesięć kart SIM kupionych tym samym co zawsze sposobem na Allegro, kilka peruk, zarosty do klejenia i mastiks oraz niewielką część swojej przepastnej garderoby. Na koniec w boczną kieszeń eleganckiej skórzanej torby włożył z namaszczeniem buteleczkę olejku z mirrą i nóż do krojenia sushi. Kiedy wszystko było gotowe, Sławomir położył się na kanapie w salonie i popatrując chwilami na pełgający w kominku ogień, usnął. Przed wyruszeniem w drogę potrzebował jeszcze przynajmniej godzinnej drzemki, to, co czekało go później, było bardzo wyczerpujące, musiał więc wypocząć.

Chociaż do przyjazdu Adama pozostawały jeszcze cztery godziny, Ewa była już właściwie gotowa. Jedyne, co pozostawało do zrobienia, to ubrać się i umalować, ale cała reszta, a przede wszystkim jej emocje były już w stanie najwyższej gotowości. Bożena siedziała w salonie i oglądała telewizję. Ona w przeciwieństwie do Ewy miała jeszcze bardzo dużo do zrobienia, zanim wieczorem w domu zjawi się tak ważny gość, ale postanowiła, że przygotowaniami zajmie się dopiero po wyjściu córki. Teraz nie chciała jej wchodzić w drogę, nie chciała też budować swoim krzątaniem się dodatkowego napięcia.

– Co oglądasz? – Ewa weszła do salonu i bezwiednie spojrzała w stronę włączonego telewizora.

– *Barwy szczęścia*. Jakies powtórkowe odcinki. – Bożena spojrzała na nią i uśmiechnęła się, bo dziewczyna promieniała urodą. – Zadzwonisz, jak będziecie już wracać?

– Pewnie. Jak wyglądam?

– Jak moja najpiękniejsza córeczka. – W tym momencie dotarło do niej, że Ewa jeszcze nigdy nie wyglądała tak olśniewająco i, co więcej, być może już nigdy tak olśniewająco wyglądać nie będzie. Właśnie teraz, właśnie dziś jej kwiat zakwitnął najpiękniej. – Nie znam się za bardzo na męskich gustach, ale nie ma chyba żadnego, który by dziś nie spuścił oczu, patrząc na ciebie. Razisz światłem.

– Mamo. – Ewa lekko ją skarciła, ale tak naprawdę to, co usłyszała od niezbyt wylewnej na co dzień mamy, bardzo ją podbudowało.

– Czyli o której będziecie? – zapytała Bożena, żeby jeszcze choć przez chwilę przytrzymać córkę w pobliżu.

– Około ósmej, już czwarty raz pytasz i czwarty raz ci odpowiadam. – Uśmiechnęła się dziewczyna, bo doskonale czuła, jaki był zamysł mamy. – Zapisać ci gdzieś?

Policyjny śmigłowiec z komisarz Polkowską, aspirantem Mrówcem i informatykiem wylądował na warszawskim Bemowie o wpół do drugiej po południu. Agnieszka była przekonana, że z płyty zabiorą ich do Pałacu Mostowskich i dopiero tam odbędzie się narada, podczas której zapadną decyzje dotyczące dalszych działań. Komendant główny, gdy dowiedział się, że potencjalny zabójca jest szefem znanej fundacji współpracującej z Kościołem i jednocześnie człowiekiem niezwykle wpływowym w kręgach partii rządzącej, nakazał wstrzymanie działań, aż komisarz i towarzyszący jej policjanci przekażą mu komplet informacji. Kiedy śmigłowiec podchodził do lądowania, Agnieszka wiedziała już, że nie będzie żadnego Pałacu Mostowskich – pod nimi, przy jednym z lotniskowych hangarów, stało więcej oznakowanych i nieoznakowanych policyjnych aut niż przy jakiegokolwiek komendzie w kraju. Narada miała się odbyć natychmiast i to tutaj, na jeżdżenie gdziekolwiek nie było czasu, a poza tym zgromadzenie tylu policyjnych oficjeli przy pałacu wzbudziłoby czujność dziennikarzy, a tego chciano za wszelką cenę uniknąć.

Dziwna była sceneria tego spotkania. Policja zwróciła się z prośbą do firmy prowadzącej szkołę pilotów o udostępnienie miejsca w jednym z hangarów. Jako że komendzie głównej policji z natury rzeczy raczej się nie odmawia, hangar został zamknięty na kilka godzin i to właśnie tam wśród cesn, ultralightów oraz jednego antonowa AN-24 rozstawiono stół i kilkanaście krzeseł, pozostali uczestnicy zaś stali wciśnięci między śmigła a skrzydła maszyn. Spotkanie operacyjne w szerokim gronie poprzedziło jednak inne, w okrojonej do minimum grupie, które odbyło się w jednym z mieszczących się na tyłach hangaru biur. W spotkaniu tym uczestniczyli tylko komisarz Agnieszka Polkowska i nadinspektor Jerzy Walicki.

– Dziwi się pani, dlaczego są sami policjanci – zaczął Walicki.

– W jakim sensie, panie komendancie? – Agnieszka pomimo okresowego powrotu do brania benzodiazepin była naprawdę bardzo zdenerwowana.

– No, że nie ma nikogo z ministerstwa, że cywilów nie ma... – Nadinspektor najwyraźniej nie chciał do końca nazwać rzeczy po imieniu.

– Że nie ma polityków? Nie, nie dziwię się, panie komendancie. – Od kilku godzin wiedziała już, podobnie jak Walicki i wszyscy obecni w hangarze, kim jest prawdopodobny seryjny zabójca dziewcząt.

– No właśnie, tu są sami zaufani ludzie, ale i tak... – zawahał się. – Lepiej, żebyśmy działali jak najszybciej. Jednak żeby móc zacząć, muszę mieć stuprocentowe przekonanie co do przesłanek.

– Wiem, panie komendancie. – Agnieszka uśmiechnęła się i dodała: – Wiem też, że jeśli pomimo przesłanek, które za chwilę panu zreferuję, okaże się, że nie mieliśmy, że nie miałam racji, to w policji nie będę miała już czego szukać.

– I ja też nie, ale tym się w tej chwili nie zajmujemy. Proszę mi przekazać wszystko, co pani wie w tej sprawie.

Godzinę później na strzeżone osiedle w Wilanowie wjechały dwa nieoznakowane volkswageny transportery. Z przodu siedzieli ubrani po cywilnemu mężczyźni. Dwie minuty



wcześniej do obu budek strażniczych weszli ubrani również po cywilnemu funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego, którzy po wylegitymowaniu się poinstruowali ochroniarzy, że pozorując najpierw krótką wymianę zdań, mają wpuścić pojazdy na teren osiedla. Samochody podjechały pod dom Sławomira z dwóch stron. Kiedy zespół był gotowy do przeprowadzenia akcji, wszystko nagle nabrało rozpędu i trzydzieści sekund później Bogu ducha winna Monika leżała na marmurowej posadzce salonu, przyciśnięta do niej twarzą, a w każdym z dwunastu pokoi ich przepastnego domu znajdowało się już co najmniej dwóch funkcjonariuszy doborowej grupy warszawskich antyterrorystów. Dwie minuty później nad domem zawisł ten sam śmigłowiec, którym przyleciała do Warszawy Agnieszka.

Kiedy Sławomir skończył rozmowę z przerażonym sąsiadem, który z okna obserwował to, co działo się w domu Wolskich, uśmiechnął się do siebie. Po chwili z innego telefonu zamówił taksówkę z Góry Kalwarii, spakował przygotowaną wcześniej torbę ze szczotką do zębów i dwoma milionami złotych do stojącego przed domem samochodu i stanął na środku podjazdu w oczekiwaniu na taksówkę. Kiedy ta się pojawiła, przekazał taksówkarzowi kopertę oraz banknot dwustuzłotowy i poprosił go, by przesyłkę jak najszybciej zawiózł do siedziby fundacji w Śródmieściu. Chwilę później wrócił do budynku, oblał przygotowaną wcześniej benzyną stos dokumentów leżących w kominku, podpalił, po czym wyszedł, wszedł do bmw i odjechał. Kiedy we wstecznym lusterku wśród koron drzew zniknęły już kominy jego domu, usłyszał syreny zbliżającej się policji. Pięć minut później wjechał na podwórko jednej ze starych kamienic w Górze Kalwarii, spokojnie przesiadł się do wstawionego tu przed kilkoma dniami land rovera i skierował się w stronę mostu na Wiśle. Do domu Ewy pod Garwolinem miał stąd nie więcej niż trzy kwadransy. Jechał spokojnie, wiedząc, że przynajmniej na razie tropy policji skierują się w zupełnie inną stronę.

Trzy patrole, które ściągnęły pod rezydencję Sławomira, nie weszły na jej teren od razu. Policjanci otoczyli posesję, pilnując, by nikt jej nie opuścił, ale otrzymali wyraźne rozkazy, żeby czekać na przybycie plutonu AT, co w efekcie opóźniło bieg zdarzeń o kolejne pół godziny. Oficjalny numer telefonu, podany przez żonę podejrzanego i potwierdzony w fundacji, został namierzony po kolejnym kwadransie. Podążał od strony Mokotowa do centrum miasta, całe siły skupiły się więc na ujęciu przemieszczającej się wraz z nim osoby. Dwie i pół godziny po rozpoczęciu akcji Agnieszka otrzymała informację, że Sławomir, widziany po raz ostatni godzinę wcześniej przez taksówkarza, któremu przekazał przesyłkę z telefonem, przepadł jak kamień w wodę.

Sławomir zjawił się we wskazanym miejscu, czyli na parkingu pod drewnianym kościółkiem w Mariańskim Porzeczcu dziesięć minut przed umówioną godziną. Pozostały czas spędził na przełożeniu powrozów, noża, olejków i ampułek z pavulonem do podręcznego plecaka, w którym dla niepoznaki miał też przedruki i mapę. Kiedy chwilę później z busa obsługującego okoliczne miejscowości wysiadła Ewa, Sławomir był na tyle pod wrażeniem jej wyglądu, że przedzierzgnięcie się w Adama przyszło mu bez najmniejszego wysiłku. Adam właściwie wyrywał się z niego sam. Dziewczyna rozejrzała się, a obserwujący ją z wnętrza samochodu Sławomir miał wrażenie, że dostrzegła go od razu, tylko udaje, co w sumie urzekło go jeszcze bardziej. Wokół nie było żywej duszy.

– Tutaj! – Wysiadł z samochodu i zamachał do niej.

Ewa uśmiechnęła się i podeszła do niego, a jej zapach i delikatny rumieniec na policzkach spowodował, że pod Adamem lekko ugięły się nogi.

– Jaka piękna! – powiedział najszczerzą prawdę.

– Jakie duże auto? – Postanowiła udawać, że komplement przeszedł bokiem.

– No wiem, trochę przerost formy nad treścią, ale innych kolega nie ma, a darowanemu...

Chwilę jeszcze stali, patrząc na siebie, w tle zachodziło nisko operujące i słabe już o tej porze roku słońce. W końcu Adam otworzył drzwi od strony pasażera i uklonił się lekko, a Ewa zerknęła jeszcze na swój ulubiony kościółek i wsiadła do samochodu.

Przy stole konferencyjnym w przepastnej sali prezydialnej siedziało w milczeniu kilkoro ludzi. Na niższych piętrach komendy od godziny trwały przesłuchania osób zwożonych tu z różnych miejsc, między innymi współpracowników z fundacji i członków jego rodziny. Agnieszka była przekonana, że wszystkie informacje, jakie uda się od nich wyciągnąć, w tych okolicznościach i tak na nic się zdadzą. Sławomir Wolski alias Kadzidło grał w grę, której zasady sam ustalał i do której zdążył już zapewne wymyślić kilkadziesiąt kolejnych ruchów. Żadna z osób zgromadzonych w budynku komendy nie mogła nic wiedzieć o jego planach, i na tym polegał największy problem. Co więcej nikt, nie wyłączając żony, nie miał pojęcia, kim tak naprawdę po godzinach był ktoś, kogo znali jako męża, ojca i współpracownika. Nikt nie wiedział, że Sławomir był potworem.

– Musimy opublikować jego wizerunek – odezwała się ni stąd, ni zowąd Agnieszka. – Najlepiej jak najszybciej i jak najszerzej. To jedyny sposób, by uchronić kolejną ofiarę.

– Nie spieszyłbym się z tym. – Komendant Walicki odpowiedział bardzo szybko, co z jednej strony świadczyło o tym, że w tej sprawie był przekonany, ale jednocześnie dawało nadzieję, iż nie przemyślał tego do końca. – I tak już dużo zaryzykowaliśmy. Szuka go policja w całej Polsce, na długo nie zniknie.

– On ma plan, panie komendancie. Jeśli zniknął, to zapewne będzie chciał zrealizować go do końca i teraz zrobi to jak najszybciej. – Siedząca po przeciwnej stronie stołu Agnieszka próbowała uchwycić spojrzenie Walickiego. – Osaczone zwierzę zaczyna się zachowywać naprawdę agresywnie.

– Uważam, że jego priorytet w tej chwili to zniknąć jak najszybciej. Pilnujemy przejść granicznych. – Komendant nie ustępował. – Na którymś wkrótce go złapiemy.

Agnieszka popatrzyła przez moment na siedzących przy stole policjantów z sekcji zabójstw i jej ulubieńca, inspektora Woźniaka z Kielc, po czym znów zwróciła się do Walickiego.

– Z całym szacunkiem, nie rozumie pan mentalności psychopaty takiego jak Wolski – stwierdziła i szybko, zanim Walicki jej przerwał, dodała: – On musi dokończyć to, co zaczął, to jest rodzaj natręctwa, którym zaklina los. Poza tym działa jak zaprogramowana maszyna, wyjęcie elementu z programu spowoduje, że wszystko mu się rozsypie. Dlatego musi zrobić najpierw to, co zaplanował, dopiero później będzie próbował uciec. Jeśli temu nie zapobiegniemy... – Popatrzyła po twarzach obecnych, tym razem powołując ich na świadków.

– Prezes kościelnej fundacji... – odezwał się po chwili komendant Walicki. Jako człowiek inteligentny rozumiał to i był wściekły.

– Fundacji współpracującej z Kościołem, który to Kościół za moment jak zwykle umyje ręce – wtrąciła Polkowska.

– Współpracownik, doradca, przyjaciel wielu prominentnych polityków i osób w państwie... – Mężczyzna kontynuował, jakby nie usłyszał jej słów. – Wie pani, co się stanie, kiedy zobaczą jego zdjęcie w *Wiadomościach*.

– Domyślam się. – Spojrzała na zegarek. – Ale bardziej nurtuje mnie to, co się stanie, jeśli go nie zobaczą.

Walicki patrzył na nią długo. W pomieszczeniu zapadła cisza, jakby nagle wyszło z niego wszelkie formy życia. W końcu komendant spojrzał na jednego z siedzących policjantów, a ten jakby skurczył się pod ciężarem jego wzroku.

– Panie Mietku, proszę wezwać rzecznika Kalinowskiego – odezwał się, nie patrząc już teraz na nikogo.

– Ale on już pewno do domu. – Komisarz Mieczysław Odolański nigdy wcześniej nie usłyszał swojego imienia z ust komendanta.

– I chuj mnie to obchodzi. – Teraz Walicki patrzył już na Agnieszkę. – Niech go pan wyciągnie spod ziemi! Natychmiast!

Godzinę później Bożena włożyła do piekarnika placek śliwkowy. Schab był już upieczony, cebulowa zrobiona, pozostawało jeszcze w odpowiednim momencie wstawić ziemniaki i zrobić sałatę, ale tymi drobiazgami zamierzała się zająć w ostatniej chwili, czyli po telefonie od Ewy, tego zaś nie spodziewała się wcześniej niż za dwie godziny. Włączyła telewizor i poszła do łazienki po płyn do szyb, bo kiedy zerknęła przez okno, zauważyła, że widok pomimo pięknej słonecznej pogody był nieco zamglony z powodu kurzu. Wróciła akurat na koniec czołówki *Teleexpressu* i chwilę później na ekranie pojawiła się redaktor prowadząca. Bożena odsłoniła firany, na parapecie postawiła płyn do szyb i ręczniki papierowe, sięgnęła do klamki.

– Dzisiejsze wydanie rozpoczynamy od pilnego komunikatu. Komenda główna policji poszukuje Sławomira Wolskiego podejrzanego o serię zabójstw młodych kobiet...

Chyba to był ten moment. Mózg ludzki pracuje szybko, analizuje naraz dziesiątki informacji, asocjuje, łączy w logiczne ciągi, a przede wszystkim eliminuje. Rzeczy mało istotne przepuszcza bokiem, inne, które mogą w jakikolwiek sposób dotyczyć czegoś ważnego dla danego człowieka, wprowadza na dysk twardy pamięci, pilniejsze obrabia od razu, mniej pilne odkłada na później. Nie ma rzeczy ważniejszej i pilniejszej dla matki niż jej nastoletnia córka. Bożena spojrzała na ekran telewizora, a butelka z płynem do szyb spadła na podłogę. W czarnej ramce kobieta zobaczyła zdjęcie mężczyzny z komputera Ewy. Tamten nosił wprawdzie okulary, miał niebieskie oczy i inaczej się cesał, a w przeciwieństwie do tego o wyglądzie wytrawnego polityka i playboya sprawiał wrażenie totalnego niezguły, ale różnica była tak naprawdę jedynie powierzchowna. Zarówno ten, jak i tamten miał w oczach to coś, co już za pierwszym razem przykuło uwagę Bożeny. Wtedy nie potrafiła tego zdefiniować, teraz zrozumiała to natychmiast – obaj nie tyle coś mieli, ile raczej czegoś nie mieli. W stalowoszarych i niebieskich oczach nie było sumienia.

– Osoby mogące przekazać informacje dotyczące osoby znajdującej się na zdjęciu proszone są o pilny kontakt z...

Co dalej mówiła redaktor, Bożena już nie wiedziała, bo wybiegła z pokoju w poszukiwaniu komórki. Nigdy nie pamiętała, gdzie ją zostawiła, ale tym razem znalazła w kilka sekund. Tak właśnie pracuje ludzki mózg, mózg matki.

Policjanci przyjmujący zgłoszenia w całej Polsce zostali uprzedzeni, że najprawdopodobniej po emisji informacji i wizerunku Wolskiego we wszystkich programach informacyjnych w większości stacji telewizyjnych nastąpi wysyp powiadomień. Do nich należała wstępna selekcja, a wszystkie, które wydadzą im się w jakikolwiek sposób możliwe do zweryfikowania i logiczne, mają przekazywać dalej, bezpośrednio do punktu dowodzenia w warszawskiej komendzie głównej. Telefon od kobiety spod Garwolina wydawał się mało prawdopodobny, ale przyjmujący go oficer dyżurny był młody i niedoświadczony i dlatego przez moment się zawahał. Wszystkie informacje przechodzące dalej w formie krótkich zapisów trafiały na ekran komputera w sali konferencyjnej, gdzie wciąż przebywali Agnieszka, Mrówiec, Andrzej i komendant główny, który stał przy oknie i wypalał właśnie czterdziestego papierosa. Jego telefon służbowy już dawno się wyładował, ale tak naprawdę Walicki obawiał się połączeń przychodzących na prywatny, bo nieoficjalna jeszcze informacja o jego dymisji dotarłaby do niego najpierw tym właśnie kanałem. Na szczęście na razie dzwoniła tylko żona i raz sąsiad. Prawdopodobnie wszyscy jego bliscy i serdeczni koledzy z ministerstwa wstrzymali oddech i czekali, jak dalej potoczą się wypadki.

– Córka spotyka się od dwóch miesięcy z mężczyzną ze zdjęcia, dziś pojechała z nim na wycieczkę. Zgłaszająca Bożena Wałkoń, powiat garwoliński... – Mrówiec odczytywał kolejne zgłoszenie z ekranu komputera. – Widziałem tego mężczyznę na zdjęciu w gazecie stołecznej, zgłaszający Zygmunt Balewicz...

– Zaczekaj. – Agnieszka przerwała monotonną mantrę Piotra pogrążonego w głośniejszej lekturze powiadomień schodzących z całej Polski. – Ta Bożena jakaś, daj mi namiary.

Dwadzieścia minut później wiedziała już, że córka Bożeny, Ewa, jest osobą głęboko religijną, że przez lata czuła się zagubiona, a ostatnio zagubiona być przestała, że pojechała z mężczyzną ze zdjęcia na wycieczkę, a po powrocie Bożena miała go poznać po raz pierwszy, a teraz nie wie, co robić, bo właśnie spaliła placek śliwkowy.

Niestety, Bożena nie miała pojęcia, dokąd Ewa pojechała z profesorem teologii, który przedstawiał się jako Adam.



Adam doszedł z Ewą na śliczną polanę w środku gęstego lasu, z plecaka wyciągnął koc, który rozłożył i gestem zaprosił, by usiadła, po czym nalał herbatę z termosu do kubków. Jeden podał jej, a swój odstawił na bok i z uśmiechem przyglądał się, jak dziewczyna łapczywie pije.

– To czemu tu przyjechaliśmy, jaka jest ta tajemnicza historia związana z tym miejscem? – zapytała Ewa i przełknęła ostatni łyk, myśląc o tym, że jednak woda ciągnięta ze studni pod ich domem jest znacznie smaczniejsza od tej warszawskiej o chemicznym posmaku.

– Jest jeszcze coś, co odkryłem, badając sektę, choć osobiście wolałbym nazywać ją bractwem enkratyków... – zaczął Adam bardzo oficjalnym tonem, którego Ewa nie znała wcześniej, ale który nawet lekko ją rozbawił.

– Co takiego? – Uśmiechnęła się kokieteryjnie i poczuła, że w jej ciele pojawia się dziwna, przyjemna błogość.

Andrzej, idąc po linii trzysta ósmego stopnia, czyli odwrotności wyznaczającego przy każdym zabójstwie miejsce pochodzenia ofiary sto dwudziestego ósmego, bardzo szybko ustalił, że od domu Ewy mieszczącego się między wsiami Wicie i Mariańskie Porzecze w odległości czterdziestu kilometrów znajdował się las obok Sękocina pod Warszawą. Jedna z danych powtarzających się przy każdym z morderstw zgadzała się i w tym wypadku, ale pozostawało pytanie o kolejną, czyli tę wyznaczającą kierunek od poprzedniego morderstwa do kolejnego.

– Czyli co? – Agnieszka spojrzała na informatyka. – A jaki kierunek łączy ostatnie morderstwo z tym lasiem w Sękocinie?

– Tego jeszcze nie sprawdzałem. – Pochylił się nad komputerem i przeprowadził linię między Kamieniem Michniowskim w lesie pod Skarżyskiem-Kamienną a Lasem Sękocińskim.

– Zero? – Spojrzał na wpatrujących się w niego obecnych w sali policjantów.

– Co? – Agnieszka początkowo nie zrozumiała.

– Las w Sękocinie jest równo co do stopnia w kierunku północnym od Kamienia Michniowskiego, czyli jest na kierunku zero.

– Ostatnia ofiara – stwierdził Mrówiec.

– Której nie będzie – dopowiedziała Agnieszka i spojrzała na komendanta.

Półtorej minuty później wszystkie patrole policji znajdujące się w dyspozycji dyżurnego w obszarze południowej Warszawy, a także Raszyna, Nadarzyna, Sękocina i Lesznowoli otrzymały pilne powiadomienie o tym, że w Lesie Sękocińskim właśnie w tym momencie prawdopodobnie dochodzi do próby morderstwa ze szczególnym okrucieństwem. Dalej było o konieczności zachowania szczególnych środków ostrożności, ale już nikt tak naprawdę nie słuchał. Połowa warszawskiej policji ruszyła na odsiecz jedynej córce Bożeny Wałkoń, Ewie.

Śmigłowiec policyjny wylądował na środku zamkniętej już dla ruchu drogi łączącej Sękocin Stary i drogę krakowską z gierkówką między Wolicą a Nadarzynem. Wokół roiło się od oznakowanych i nieoznakowanych wozów policyjnych. Wedle wyliczeń Andrzeja od miejsca czy rejonu, w którym powinno dojść do morderstwa, dzieliło ich jakieś trzysta metrów. Agnieszka wyskoczyła ze śmigłowca, kiedy tylko płozy dotknęły asfaltu, i podbiegła do policjanta pomagającego posadzić maszynę.

– Jest coś?! – krzyknęła, próbując się przebić przez huk silnika i tnących powietrze tuż nad ich głowami wirników.

Policjant pokręcił głową.

– Jeszcze nie, szukają, zaraz psy dojadą – dodał, ale tego już nie słyszała, bo ruszyła biegiem w kierunku drzew po lewej stronie.

W lesie aż roiło się od policjantów. Wśród cienia rzucanego przez gęsto uplecione korony drzew w oddali Agnieszka dostrzegła polanę. Gdyby była mężczyzną, wytrawnym policjantem śledczym, detektywem z wieloletnim doświadczeniem, sięgnęłaby teraz po mapę, przeanalizowała sytuację i porównała koordynaty, ale ponieważ była kobietą, a nade wszystko matką, to nie namyślając się nawet pół sekundy, ruszyła biegiem w stronę polany, przedzierając

się przez gęstwinę gałęzi. Dotarła tam minutę później z podrapanymi do krwi rękami. W pierwszym momencie wśród traw i mchu nie dostrzegła nic szczególnego i dopiero, kiedy już miała sięgnąć po mapę i koordynaty, na brzegu polany zauważyła fragment kolorowej tkaniny. Podeszła bliżej. Kolorowy kawałek wystawał spod ściółki, której nie powinno tu być ze względu na zagłębienie terenu, prawdopodobnie jakąś pozostałość po transzei. Serce zabiło jej jeszcze mocniej, choć i tak waliło już jak oszalałe. Pod ściółką gdzieś tam prześwitywał barwny materiał. Agnieszka padła na kolana i zaczęła szybko rozgrzebywać mech, ściółkę i liście. Kiedy zobaczyła dłoń, zamarła. Jeszcze nigdy w życiu nie bała się tak bardzo jak wtedy, kiedy jej dotknęła. Palce były ciepłe. Dłoń, ręka, wreszcie twarz przysypana ziemią, tętno, oddech, serce... Nie biło, serce pod mchem nie biło, ale wszystko było ciepłe, miękkie, jeszcze żywe.

– Tutaj, kurwa! Dajcie lekarza tutaj! – krzyząc jak oszalała, wyciągnęła Ewę z rowu. Ułożyła ją na mchu obok, rozerwała sukienkę, odchyliła jej głowę i udroźniła drogi oddechowe, następnie zaplotła dłonie i ułożyła na jej piersiach. Zrobiła wszystkie te rzeczy, których nikt nigdy jej nie uczył, a które teraz były absolutnie najważniejsze na świecie.

Tętno, oddech, masaż, ucisk, usta, oddech, masaż, tętno...

Ewa otworzyła oczy i ze zdziwieniem spojrzała na spoconą twarz kobiety nad sobą. W tym momencie Agnieszka usiadła obok i się rozplakała. Chwilę później na polankę dotarli pierwsi policjanci. Na widok leżącej dziewczyny i płaczącej obok niej policjantki spuścili głowy, jakby zawstydzeni. Dwudziestu rosyjskich mężczyzn w mundurach i po cywilnemu stało wokół dwóch kobiet na ziemi, bezradni jak widownia wobec spektaklu, którego nawet nie obejrzeliby.

Kiedy Ewę zabrało pogotowie, Agnieszka najpierw zajęła się sprawą zapewnienia jej bezpieczeństwa. Po tym, co zrobiła, żaden policjant ani urzędnik w Polsce nie podjąłby z nią jakiegokolwiek polemiki. Jej prośba o to, by do momentu ujęcia Kadzidla zapewniono Ewie całodobową ochronę, została spełniona natychmiast i bez dyskusji. Dopiero wtedy komisarz przeszła do podstawionego na miejsce wozu dowodzenia. W środku czekał na nią komendant główny i dwóch mężczyzn z ministerstwa, nie zwróciła uwagi jakiego. I tak najprawdopodobniej pojawili się tu wyłącznie po to, by – kiedy już zjawią się media – odciąć kupony od tego, czego dokonali Agnieszka i ci, którzy jej zaufali. Niestety, dowodzący grupą pościgową komisarz Antoniewicz z brygady antyterrorystycznej nie miał dobrych wieści. Sławomirowi udało się wymknąć z obławy urządzonej natychmiast po znalezieniu Ewy, a osiem kilometrów stąd znaleziono spalony samochód, najprawdopodobniej należący do niego. Wokoło cały czas krążyły dwa śmigłowce policyjne, patrole w okolicy zostały rozstawione co kilkaset metrów, prewencja przetrząsała okoliczne lasy.

– Pewnie jest już daleko stąd. Przypuszczam, że tam, gdzie znaleźliście auto, miał podstawione kolejne – odezwała się Agnieszka.

– Co teraz będzie chciał zrobić? – Komendant już się nawet nie zastanawiał, zdał się na komisarz Polkowską jak na wróżkę ze szklaną kulą.

– Są dwie możliwości: albo będzie pruł jak najszybciej za granicę i dalej poza Unię, albo zaczai się i poczeka, żeby dokończyć z Ewą.

– Z Ewą? – zdziwił się jeden z milczących do tej pory mężczyzn w za krótkich i za ciasnych spodniach od garnituru.

– Pojadę z nią porozmawiać, może nam coś powie. Jest kimś, kogo miało już nie być, więc mógł jej coś zdradzić. – Agnieszka rozmawiała wyłącznie z komendantem, nie zwracając uwagi

na pytanie ani na wysłannika z ministerstwa, choć przecież ten mógłby zafundować jej w przyszłości wspaniałą karierę w policji.

– Ale to już chyba jutro, pani Agnieszko? – Walicki po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, i do tego od razu z troską.

Komisarz się uśmiechnęła. Nie mogła wiedzieć, że istnieje jeszcze trzecia możliwość, którą Sławomir wdrażał w życie w tej właśnie chwili. Po rozmowie jego zdjęcia zostały rozesłane do wszystkich służb granicznych i wszystkich komend w Polsce. Walicki nie tylko zapewnił ochronę Ewie w szpitalu, ale także obstawił cały budynek. Kiedy skończyli spotkanie, było grubo po dwudziestej. Agnieszka wyszła z wozu dowodzenia i zachwiała się na nogach. Nie spała od trzech dni ani minuty i przyjęła przez ten czas góra pięćset kalorii, z których ostatnie pochodziły z ciasteczka podanego do kawy w czasie narady na lotnisku Bemowo tego ranka. Wyciągnęła telefon.

– Przepraszam – powiedziała, kiedy tylko Marta odebrała połączenie.

– Okej... – Na szczęście jej przyjaciółka nie należała do osób łaknących uwagi bez względu na okoliczności. – Mów.

– Uratowałam, uratowaliśmy ją. – Agnieszka dopiero w tym momencie tak naprawdę zdała sobie sprawę z tego, co się wydarzyło.

– Moja bohaterka! Fajnie jest robić w życiu coś tak ważnego, co?

– Fajnie. – Pytanie było retoryczne, ale i tak Agnieszka postanowiła odpowiedzieć.

– A co z nim? – zapytała Marta po chwili milczenia. – Macie go?

– Jeszcze nie. A co u ciebie? – Agnieszka choć przez chwilę nie chciała myśleć o Kadzidle, była naprawdę zmęczona i marzyła o tym, by wrócić do domu, położyć się wreszcie obok przyjaciółki i zasnąć na długo.

– Dobrze, rozmawiałam z Jolą. Zadzwoń do niej, ona też czeka na wieści, tylko ma trochę inaczej niż ja: cały czas analizuje, dedukuje, asocjuje... Niedaleko pada gruszka od gruszy. – Roześmiała się ciepło.

– Zaraz dzwonię. – Agnieszka też się uśmiechnęła. – Myślę, że teraz zaczniesz się już zwykła pościgówka, pewnie jutro będę mogła wrócić.

Po chwili wybrała numer do Joli. Po kilkunastu sygnałach włączyła się poczta głosowa, kiedy zadzwoniła ponownie, poczta włączyła się od razu. Zrobiło jej się trochę przykro, bo pomyślała, że powinna była zadzwonić do Joli już wczoraj, a może nawet dwa dni temu. Teraz być może na nowo odnaleziona córka poczuła się dotknięta brakiem kontaktu. Nie odbiera, a co gorsza, wyłączyła telefon.

Ewa leżała w jednoosobowej, eleganckiej sali szpitala MSWiA, przydzielonej jej na prośbę komendanta Walickiego, i wpatrując się w sufit, próbowała zidentyfikować i okiełznać emocje, które targły nią od chwili, gdy zobaczyła nad sobą twarz kobiety. Najbardziej martwiło ją to, że choć powinna być najszczęśliwszą osobą na świecie, bo żyła, chociaż tak naprawdę nie powinno już jej być na tym świecie, to było jej koszmarnie ciężko i smutno. Cały czas analizowała wydarzenia ostatnich kilku tygodni, irracjonalnie licząc, że w końcu dojdzie do wniosku, że to, co się stało przed kilkoma godzinami, jednak się nie wydarzyło. Albo było tylko błędem w logice, bo może na przykład to nie Adam zrobił jej to, o czym przecież doskonale wiedziała, że zrobił.

– Jak się pani czuje, pani Ewo? – Komisarz Polkowska stała w drzwiach do sali, w ręce trzymała reklamówkę z rzeczami kupionymi na dole w kiosku.

– Dobrze. – Ewa skłamała, bo komu jak komu, ale akurat tej kobiecie nie czuła się na siłach powiedzieć prawdy. Zresztą na jej widok znów wróciło do niej uczucie trudnego do określenia szczęścia, jakie poczuła, kiedy wróciła do świata żywych. – A pani?

– Trochę zmęczona, ale szczęśliwa. – Agnieszka weszła do sali, odstawiła torbę na stołek i usiadła na drugim. – Pewnie za chwilę będzie pani mama, ale przyniosłam kilka rzeczy... Takich najniezbędniejszych i coś do czytania.

– Dziękuję. – Dziewczyna popatrzyła na twarz, której już nigdy w życiu nie będzie umiała zapomnieć, i przez głowę przemknęła jej nawet dziwna myśl, że właściwie urodziła się po raz drugi. Tylko o ile z tych pierwszych narodzin nie pamięta nic, z tych drugich na zawsze zapamięta korony sosen i twarz tej kobiety. – Pani mnie jakby urodziła... Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęła się Agnieszka. – Oczywiście wcale nie czuje się pani teraz dobrze, ale proszę się nie przejmować, to minie, wszystko mija...

– Złapiecie go? – zapytała nagle Ewa, a w jej pytaniu dało się wyczuć jednocześnie nadzieję i obawę.

Polkowska pokiwała głową.

– I pewnie chciałyby pani, żebym pomogła – dodała już z determinacją.

– Może, jeśli coś pani pamięta, co mogłoby nas nakierować, ale jeśli pani nie pamięta, też go znajdziemy. – Komisarz trochę się zawstydziała, jakby ktoś nakrył ją na tajnych knowaniach.

– Proszę pytać, sporo o nim wiem. – Ewa starała się oddychać płytko, bo miała wrażenie, że wraz z głębszym oddechem zanurkuje w mroczną otchłań swoich emocji, a na to nie mogła sobie teraz pozwolić. – To znaczy tak mi się wydawało w każdym razie...

W tym momencie zadzwonił telefon Agnieszki, na wyświetlaczu pojawił się numer Joli.

– Proszę odebrać. – Gdy policjantka się zawahała, Ewa popatrzyła jej prosto w oczy. – Ja się nigdzie nie spieszę.

Agnieszka pokiwała głową z wdzięcznością, wstała ze stołka i wyszła na korytarz.

– Halo – odezwała się z całym entuzjazmem, jaki zdołała z siebie w tym momencie wykrzesać.

– Przyjedziesz sama. Nikt nie może o niczym wiedzieć. Jeśli będą do ciebie dzwonić, odbieraj i zmyślaj, że jesteś w Warszawie – recytował Sławomir, jakby był syntezatorem mowy. – Jedź gierkówką w kierunku Rawy.

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła uruchomić głosu, czuła się jak kiedyś w górach, gdy wiało tak mocno, że nagle straciła oddech. Nie mogła wypuścić powietrza i nie mogła go nabrać, nie mogła się ruszyć, na końcu korytarza zobaczyła kobietę, która szła w jej stronę z uśmiechem na twarzy. Spojrzała wokół, na szczęście pod ścianą stało krzesło, złapała się oparcia. Kiedy siadała, przed oczami miała już tylko tysiące wirujących przezroczystych plam.

– Jeśli ktoś się dowie, to ja się dowiem i więcej jej nie zobaczysz. – Psychopatyczny syntezator uruchomił się na nowo, a chwilę później Agnieszka zemdląła.

Nie było jej może kilkanaście sekund, ale w tamtej rzeczywistości czas dłużył się niemiłosiernie. Pamiętała, że coś musi zrobić, że dokądś się spieszy, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć dokąd. Tymczasem świat wokół niej coraz bardziej pokrywał się bielą szadzi, śnieżne kwiaty zamknęły ją najpierw jak w klatce, a po chwili zaczęły powoli wchodzić na ręce i nogi. Agnieszka nagle się zorientowała, że jest naga. Przyjemny chłód zabierał ją coraz głębiej w otchłań i może nawet pochłonąłby ją całkiem, gdyby nie usłyszała wołania Joli. Ułamek sekundy później otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą trzy osoby w zielonych kitlach.

Lekarze chcieli ją zbadać, zatrzymać w szpitalu przynajmniej na kilka godzin, ale teraz wiedziała już dokładnie, co ma zrobić i dokąd musi się spieszyć. Chwilę później całkowicie skupiona odpalała silnik w saabie na przyszpitalnym parkingu. Nigdzie nie dzwonić, nikogo nie powiadamiać. Którędy stąd najszybciej dojedzie na wylotówkę z tego cholernego miasta? Która jest godzina? Kiedy dzwonił? Skąd? Co z Jolą? Chryste, co z Jolą? Agnieszka sięgnęła po telefon, wybrała numer córki, ale od razu włączyła się poczta, a ona wiedziała już, że zarówno karta, jak i aparat zostały albo zniszczone, albo wyrzucone. Zresztą i tak nie miała w tej chwili żadnych możliwości, by cokolwiek namierzać, miała tylko siebie i absolutną determinację, żeby uratować życie córki. Kiedy dojeżdżała do alei Krakowskiej, telefon znów zadzwonił. Agnieszka odebrała natychmiast, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Co ty robisz? Co się dzieje? – Mrówiec był wyraźnie zaniepokojony.

– Jadę do domu – odpowiedziała szybko i tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

– Ale jak do domu? Dzwonił aspirant z obstawy. Podobno zemdląłeś, a jak odzyskałaś przytomność, wybiegłaś, nie słuchając nawet, co mówili do ciebie lekarze.

– Jestem przemęczona, nie spałam kilka dni, nie dokładaj mi jeszcze. – Agnieszka zaczęła się już gubić, musiała rozmowę zakończyć, zanim Piotr się domyśli. – Chcę iść spać, jadę do domu. Cześć.

– Cześć. – Mrówiec się rozłączył. Przez chwilę był zły za jej obcesowość, ale tylko przez chwilę.

Kiedy mijala Mszczonów, za oknami samochodu zapadł już zmrok. To, co powiedziała Mrówcowi o zmęczeniu, było akurat prawdą, ale w tym momencie nadnercza pompowały do jej żył adrenalinę w takich dawkach, że kompletnie go nie czuła. Od godziny co kilka sekund zerknęła na wyświetlacz telefonu, sprawdzając, czy przypadkiem nie nadchodzi połączenie. Bała się, że go nie usłyszy. Nawigacja na podszybiu wskazywała, że do Piotrkowa Trybunalskiego pozostało jeszcze ponad osiemdziesiąt kilometrów i około pięćdziesięciu minut drogi. W normalnych warunkach pięćdziesiąt minut w nawigacji oznaczało dla Agnieszki mniej więcej

trzydzieści pięć minut jazdy. Teraz jednak pilnowała się, by nie przekraczać dozwolonej prędkości. Zatrzymanie przez patrol drogówki normalnie kończyło się wymianą żartów i wzajemnych uszczypliwości, jednak dziś mogło skomplikować sytuację.

Telefon zadzwonił dziesięć minut później. Tym razem zerknęła na wyświetlacz, numer nie miał identyfikacji, ale nawet gdyby ją miał, nic by to nie zmieniło.

– Rawa? – Głos Sławomira, który wcześniej kojarzył jej się z syntezatorem mowy, teraz był suchy, chłodny i przywodził na myśl wyłącznie głos psychopaty.

– Jeszcze piętnaście kilometrów. – Zerknęła na nawigację. – Czy nic jej nie jest?!

– Zjedziesz na drogę siedemdziesiąt dwa, po lewej będzie sklep, tam staniesz.

– I? – Agnieszka próbowała podtrzymać rozmowę, chciała usłyszeć Jolę, dowiedzieć się, co z nią. – I co dalej?

Po drugiej stronie nie było już jednak nikogo.

Jola siedziała z oczami zawiązanymi kawałkiem szmaty, której końcówkę miała wepchniętą w usta. Była przytroczone do krzesła i nie wiedziała, gdzie jest. Pamiętała tylko, jak sympatyczny kurier w uniformie jednej ze znanych firm przewozowych zaczepił ją, by zapytać o jakiś adres. Pochyliła się nad mapą rozłożoną na siedzeniu w szoferce jego auta i... I to wszystko, więcej już nic nie pamiętała. Ocknęła się dopiero tutaj. Słyszała tylko szum maszyn i robiło jej się coraz zimniej.



Siedziała w samochodzie na parkingu przy sklepie sieciowym i wpatrywała się w drogę przed sobą. Mijały długie minuty, w pewnym momencie zadzwonił telefon. To była Marta. Agnieszka zawahała się i w końcu nie odebrała. O ile Mrówiec nie zorientował się, że coś z nią jest nie tak, Marcie na pewno by to nie umknęło. Faceci są pod tym względem znacznie bezpieczniejsi. Nagle poczuła na sobie czyjeś spojrzenie, i kiedy obróciła głowę w prawo, za szybą auta zobaczyła twarz, której, jak właśnie zdała sobie sprawę, tak naprawdę nigdy nie chciała oglądać. Przemknęło jej nawet przez myśl, że stalowoszare oczy mają moc przeciągania na drugą stronę. Na drugą stronę czego? Tego nie wiedziała. Sławomir uśmiechnął się i gestem palca przywołał ją do siebie. Agnieszka pokiwała głową, wyjęła klucz ze stacyjki, wysiadła z auta, zamknęła je i ruszyła w kierunku brązowej furgonetki. Kiedy wsiadła, obszukał ją pobieżnie, upewniając się, czy nie ma przy sobie broni, po czym odpalił silnik i ruszył, nie odzywając się do niej ani słowem.

– Nic jej nie jest? – zapytała, starając się na niego nie patrzeć.

Nie odpowiedział, ale miała wrażenie, że delikatnie pokręcił głową.

– W końcu się poznajemy – odezwał się po dobrej minucie. – Wyobrażałaś sobie na pewno, że to będzie inaczej wyglądało.

– Nie wyobrażam sobie takich rzeczy. – Agnieszka za wszelką cenę chciała uniknąć jakiegokolwiek osobistego kontaktu z tym człowiekiem. Gdzieś w środku miała dziwne, jakby zabobonne przekonanie, że jeśli nawiąże z nim kontakt, to Jola będzie stracona.

– Nie wierzę. Policjantem, szczególnie tak dobrym policjantem jak ty, zostaje tylko ktoś, kto robi to z pobudek ideowych, a ideowcy zawsze sobie wyobrażają. – Sławomir patrzył na drogę przed siebie. – Nawet ja wyobrażam sobie rzeczy, które lubię... To chyba jakoś tak działa.

– Czego pan chce? – Spojrzała w końcu na niego.

– Nie panujmy sobie, Agnieszko. – On też na moment odwrócił wzrok od drogi i ich spojrzenia się spotkały. – Tak wiele nas łączy, znamy się tyle lat.

– O czym pan mówi?

– Mówię, kurwa, żebyś przestała mi mówić na pan!

– Dobrze, o czym mówisz? – Zbyt wiele razy w życiu miała do czynienia z drącymi się facetami, żeby akurat jego krzyk mógł ją wytrącić z równowagi. Tak naprawdę w ogóle nie bała się tego człowieka, bała się zła, z którego się wyłaniał, a przede wszystkim bała się o Jolę. – Sławku czy Mirku, czy jak cię tam zwą?

– Harda? – Usta mężczyzny wykrzywił grymas uśmiechu. – Władysławowo... Kiedy tam byłaś, nie przyszło ci do głowy, że to nie może być przypadek?

– Nie.

– Na pewno przyszło, ale nie dopuszczałaś tej myśli. – Skręcił gwałtownie z głównej drogi w leśną przecinkę. Przy drodze Agnieszka zdążyła zarejestrować tablicę reklamową zakładów mięsnych. – Kiedy się urodziłaś, miałem dziesięć lat.

– Arytmetyka nie jest trudna. – Komisarz starała się trzymać fason.

– Wiesz, jak to jest, kiedy życie nagle obróci się o sto osiemdziesiąt stopni? I to do tego w pionie. – Sławomir nie zwalniał, choć droga stała się wyboista i rzucało nimi po całej kabinie. – Kiedy wszystko się układa, masz piękne dzieciństwo, zgodnych rodziców, spokój, dobrobyt i nagle z dnia na dzień wszystko ci się rozpadła?

Nie odpowiedziała, ale coraz bardziej zaczynała ją nurtować pytanie, do czego zmierza i jak to, o czym za chwilę jej powie, wpłynie dalej na losy Joli.

– Coś tam wiesz? Na osiemnaście lat straciłaś córkę. – Sprawiał teraz wrażenie, jakby rozmawiał sam ze sobą. – Ale to nie to samo, zresztą sama sobie to zafundowałaś. Dziesięcioletek nie funduje sobie nic, wszystko spada na niego jak strzały znikąd. Piękne dzieciństwo z tatą w góry i na ryby, kanapki do szkoły, troskliwa mama i nagle chuj... nic. A potem gwałcenie przez starych zboków, bicie, syf, próby odebrania sobie życia. Wszystko z dnia na dzień, jakby przez jedną noc, a ty zadajesz sobie pytanie, co, kurwa, zrobiłaś nie tak. Czy to przez to, że nie mówiłaś, kurwa, pacierza przez kilka dni? Czy przez te brudne myśli na temat pani od biologii? Czy przez co?

– Dokąd jedziemy? – Agnieszka wciąż jeszcze próbowała się urwać ze smyczy jego narracji.

– Do piekła! – Znów się wydarł. – Jedziemy, kurwa, do piekła!

Zaczął dziwnie się śmiać, a jej przemknęło przez myśl, że sprawy nie całkiem układają się po jego myśli. W tym momencie zadzwoniła Marta. Sławomir zerknął na wyświetlacz jej telefonu i zastanawiał się przez chwilę. W końcu zdecydował.

– Odbierz! Jesteś w drodze do domu, wszystko w porządku, za godzinę powinnaś być!

– Ale... – próbowała oponować. Podczas ostatniej rozmowy z Martą mówiła, że przyjedzie jutro, więc taka zmiana planów może jej dać do myślenia. Bała się, że jeśli ktoś się włączy z pomocą, to rzeczy naprawdę mogą się wymknąć spod kontroli, a tymczasem łudziła się, że ją ma.

– No odbieraj! Na co czekasz?

– Halo – odezwała się do telefonu, zachowując się tak, jakby nic się nie działo.

– No hej, jak tam? – Marta była w dobrym humorze. – Widziałaś się z dziewczyną?

– Tak. I jadę do domu, powinnam być za godzinę. – Agnieszka starała się mówić jak najbardziej naturalnie.

– Jak to jedziesz? Mówiłaś, że jutro?

– Ale postanowiłam już dzisiaj. Jestem taka zmęczona, że muszę wrócić do domu.

– To czemu nie zadzwoniłaś? Zrobiłabym zakupy, jakąś kolację. Agnieszka?! – W głosie Marty wyraźnie brzmiała kokieteryjna pretensja.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – odparła, żeby już skończyć tę rozmowę.

– Ale... – Po raz pierwszy w czasie rozmowy Marta zabrzmiała trochę inaczej. – Ale ty nigdy nie robisz niespodzianek.

– Chyba tracę zasięg. – Agnieszka wiedziała, że musi się ratować. – Za godzinę będę. Zadzwonię już ze Skarżyska, może ja zrobię zakupy po drodze...

Kiedy rozłączyła rozmowę, Sławomir popatrzył na nią ze złością, po czym wyrwał jej telefon z rąk, zahamował gwałtownie, wyciągnął kartę SIM i przełamał ją w zębach, a potem wypluł przez okno. Ruszył i parę metrów dalej wyrzucił też kawałki aparatu.

Kiedy skończył się las, samochód wjechał na pole. Przed nimi widniały hale magazynowe.

Po dziwnym zakończeniu rozmowy z Agnieszką Marta próbowała się do niej dodzwonić, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Po namyśle zaczęła przeglądać numery w swoich kontaktach, próbując sobie przypomnieć owada, z jakim kojarzy jej się kolega Agnieszki. Jakies pół minuty później znalazła numer Mrówca.

Gdy mama wyszła, Ewa usiadła na szpitalnym łóżku i długo wpatrywała się w okno. Cały czas wracał do niej obraz Agnieszki. Po raz pierwszy zobaczyła ją, kiedy opuściła długi świetlisty tunel, w którym czuła się, jakby leciała wśród chmur, a teraz nie mogła przestać o niej myśleć. Tak samo jak o jej dziwnej wizycie. Ledwie się zaczęła, już się skończyła. Ewa zeszła z łóżka, podeszła do drzwi i wychyliła się na korytarz.

– Proszę pana! – zagadała do siedzącego na krzeselku przy drzwiach policjanta w czarnym moro.

– Nie powinna pani wstawać. – Uśmiechnął się do niej. – Mam zawołać lekarza?

– Nie, nie. – Ewa oparła się o framugę. – Zaraz się położę, chciałam tylko zapytać o tę panią, tę policjantkę, która odwiedziła mnie przed moją mamą. Co się z nią stało, tak szybko zniknęła?

– Nie wiem, przyszedłem później. – Policjant przyglądał się dziewczynie. – Podobno źle się poczuła, chcieli ją zatrzymać, ale poszła.

– Wcześniej zadzwonił telefon – zaczęła się głośno zastanawiać Ewa. – Nic jej nie było, jak ze mną rozmawiała, a potem wyszła odebrać i już nie wróciła.

– Tak bywa. Komuś nic nie jest i nagle...

– To on do niej zadzwonił – przerwała mu nagle, przypominając sobie twarz Agnieszki.

– Słucham? – Policjant znów się uśmiechnął. – Kto?

– On, Adam... Enkratyk. – Nie wiedziała, skąd to wie, ale nie miała cienia wątpliwości. – Morderca, zadzwonił do niej morderca.

– Skąd pani wie? – Policjant wreszcie przestał się uśmiechać.

– Wiem. – Ewa patrzyła mu teraz prosto w oczy. – Niech pan poinformuje swoich przełożonych...

Hale zakładów mięsnych wyglądały na opuszczone. Dwie większe miały otwarte główne drzwi, do których prowadziły podjazdy dla ciężarówek. Agnieszka zdążyła dostrzec, że w środku nie było nic oprócz walających się europalet i innych pozostałości po czymś, co niegdyś się tu znajdowało, ale z jakiegoś powodu przestało. Sławomir szedł przodem, nie oglądając się za siebie. Doskonale wiedział, że komisarz nie wykona żadnego nieprzewidzianego ruchu, bo obawia się o Jolę. Po kilkudziesięciu metrach wszedł do jednej z mniejszych hal, pokrytej niebieską, korodującą już gdzieniegdzie blachą falistą. Agnieszka rozejrzała się wokoło i po chwili weszła za nim. Za ciężkimi stalowymi drzwiami biegł krótki korytarz. Zatrzymała się niepewnie i spojrzała na wyłożone kaflami ściany. Z boku znajdowało się wejście do jakiegoś pomieszczenia, z którego wydobywał się snop światła. Podeszła bliżej i zajrzała do środka czegoś, co sprawiało wrażenie ni to biura, ni kantorka ochrony.

– Zapraszam. – Sławomir włączył czajnik elektryczny i rozejrzał się po wnętrzu. – Przepraszam za ten nieład. Nie miałem czasu posprzątać. Kawę?

– Gdzie ona jest?

– Zaraz, nie pali się, wręcz przeciwnie. – Nasypał do kubka kawę rozpuszczalną i dodał szczyptę białego proszku z plastikowej saszetki. – Najpierw dokończymy rozmowę. Siadaj. – Wskazał na stalowe krzesło stojące przy stole.

Agnieszka spojrzała na nie, a potem na niego. Zastanawiała się, czy nie rzucić się na Wolskiego, kiedy będzie zalewał kawę.

– Nie radzę kombinować, ona jest niedaleko, ale jeśli ześwirujesz, to się do niej nie dostaniesz, a ona zamarznie i chuj. Siadaj. – Mieszał miarowo łyżeczką kawę z cukrem i białym proszkiem.

Woda w czajniku zabulgotała i po chwili dało się słyszeć kliknięcie termostatu wyłączającego grzałkę. Usiadła. On zalał kawę i usiadł naprzeciwko.

– Trochę za szybko dotarłaś do Uniemyśla i do Paruszkowa – zaczął. – Miałaś tam dotrzeć, ale za tydzień, może dwa. Nie doceniłem cię.

Polkowska siedziała pozornie spokojna, nie zareagowała na jego komplement, nie interesowała jej ta rozmowa, jego protekcyjny ton, ironia, cwaniacki uśmieszek. Czekwała, bo wiedziała, że zanim coś się wydarzy, on musi utwierdzić się w tym, jak wielkim jest geniuszem zła.

– Podobało ci się? – Pierwszy mały łyk kawy sparzył mu usta.

– Co?

– No czy podobało ci się w Uniemyślu? – Sławomir nie spuszczał jej z oczu. – Góry, spalony kościółek i w ogóle?

– Tak. – Agnieszka starała się być jak najbardziej lapidarna, przede wszystkim zależało jej teraz na czasie. – Co to znaczy, że ona zamarznie?

– Nie wiesz, co to znaczy, że ktoś zamarznie? – Uśmiechnął się znów ironicznie, a ona nagle przypomniała sobie powracający sen. – Mój tata bardzo lubił tam jeździć.

Zapadła cisza, w tle słychać było jedynie pracujące agregaty. Agnieszka wiedziała już teraz, że gdzieś po drugiej stronie korytarza znajduje się chłodnia, a w tej chłodni jest jej córka.

– Klucz jest schowany. Zanim go znajdziesz albo sforsujesz drzwi, ona zamarznie, więc przestań o tym myśleć i skup się na naszej rozmowie. Zaraz powiem ci coś, co wypierdoli ci życie do góry dnem. – Sławomir upił większy łyk, a Agnieszka pomyślała, że biały proszek zaczyna go nakręcać. – Mój tata był geologiem, jeździł do Uniemyśla badać skały czy góry, chuj wie co. Czasem tam do niego przyjeżdżaliśmy. Wtedy też przyjechaliśmy z niespodzianką. Nie zastaliśmy go. Mama zostawiła mnie na stacji z tą staruchą, potem był pożar, potem wyjechaliśmy... A potem zrozumiałem, co się stało. To znaczy tak do końca nie rozumiałem, może dzisiaj zrozumiem, jak zamknę tę sprawę... – Zamyślił się.

– Jaką sprawę? – zapytała, żeby przyspieszyć tok jego narracji, za ścianą zamarała Jola.

– Jak się zemszczę tak do końca i zamknę koło. – Sławomir patrzył na nią, a ona w jego oczach po raz pierwszy dostrzegła przez moment coś ludzkiego. – Wiesz, ile lat miała ta dziewczyna?

– Jakie koło, jaka dziewczyna? – Naprawdę zaczynała się już w tym gubić.

– Ta, którą moja matka spaliła razem z nim w tym obsranym kościółku – wycedził wypranym z wszelkich emocji głosem.

– Nie wiem. – Agnieszka po raz pierwszy oprócz skrajnego niepokoju o Jolę poczuła nagłe ukłucie jakby metafizycznego lęku.

– Tyle, ile wszystkie te dziewczyny, i tyle, ile twoja córka. – Wstał od stołu i ruszył w jej stronę. – Dziewiętnaście. A wiesz, kim była?

– Nie wiem. – Lęk jak chłód ze snów zaczynał się rozchodzić po całym jej ciele.

– Twoją matką. – Sławomir stał nad nią, a z jego oczu wylazło zło w czystej postaci. – Twoją, kurwa, matką, która uwiodła mojego tatę i przez to moje życie zmieniło się w pierdolony koszmar. Teraz już rozumiesz, jakie koło i jaka dziewczyna?! – Ostatnie zdanie wycharczał jej prosto w twarz. – Wstawaj! – Poderwał ją z krzesła i pociągnął w stronę stalowej szafki na dokumenty. Wywinął jej ręce do tyłu, nadgarstki owinął szarą lasotaśmą i pchnął z powrotem na krzesło. – Gdybyś nie była taka cwana i nie przeszkodziła mi z panną Ewą, mogłabyś przeżyć. Zasadniczo chyba nawet bym wolał, ale liczba musi się zgadzać. Pięć lat w piekle poprawczaka, pięć dziewczyn... Miały być tamte cztery i twoja córka, a tak musisz mi uzupełnić braki... Dożywocie w świecie liczb.

Z wewnętrznej kieszeni wyszarpnął strzykawkę i zdjął pokrowiec z igły, a potem wbił ją w żyłę na jej przedramieniu. Agnieszka po chwili poczuła ciepło, a potem jej ciało ogarnął bezwład.

Telefony służbowe policjantów na szczęście można namierzać bez nakazów czy zabiegania o to u operatora sieci. Ostatnie logowanie telefonu Agnieszki nastąpiło kilkanaście sekund po rozmowie z Martą, po której ta ostatnia zadzwoniła do Mrówca.

Kolejność zdarzeń była taka, że najpierw Piotr pomyślał, że jego rozmowa z Agnieszką odbiegała od normy, ale zrzucił to na karb jej zmęczenia i stresu. Kolejny sygnał, że coś jest nie tak, nadszedł wraz z wiadomością od Marty, która zapytała go o wydarzenia w Warszawie i dlatego Agnieszka tak nagle postanowiła wrócić do domu. Jednak dopiero telefon od pełniącego służbę w szpitalu młodego posterunkowego przechylił szalę niepokoju Piotra i sprowokował go do działania. Policjant przekazał mu słowo w słowo to, co usłyszał od Ewy. Poszukiwania rozpoczęły się natychmiast i dane z ostatniego logowania zostały przekazane do komendy powiatowej w Rawie Mazowieckiej mniej więcej pół godziny po ostatnim kontakcie, jaki Marta nawiązała z Agnieszką. Niestety, w Rawie, choć poinformowani dokładnie o randze sprawy, policjanci nie do końca zdawali sobie sprawę z jej powagi. Dlatego kiedy po trzydziestu minutach Piotr dowiedział się, że „patrol już wyjechał”, dotarło do niego, że jeśli sam nie podejmie natychmiastowych działań, za chwilę może być za późno. W normalnych warunkach aspirant Mrówiec nigdy w życiu nie odważyłby się zadzwonić do szefa policji, zwłaszcza po godzinach pracy, tym razem jednak warunki nie były normalne. Komendant na szczęście myślał i działał szybciej od powiatowej w Rawie i osiem minut później pierwszy batalion antyterrorystów wzniósł się w powietrze z lotniska na Bemowie. Z komendy powiatowej wyruszył jednocześnie patrol, który miał wyjechać pół godziny wcześniej.



Agnieszka obudziła się w dziwnej hali, której ściany pokrywała szadz. Było jej zimno, przez chwilę nie mogła się ruszyć, leżała na lodowatej ziemi, związane z tyłu ręce zgrabiwały od chłodu. Wtedy usłyszała z początku ciche, a po chwili już znacznie głośniejsze wołanie.

– Mamo! – Krzyk roznosił się pod hali, odbijając się po wielokroć echem od stalowych, pokrytych szronem ogromnych podpór, po czym zapadł się w martwej ciszy równie nagle, jak wcześniej się pojawił.

Wszystko to było tak bardzo podobne do snu, że Agnieszka przez chwilę nie wiedziała, czy dzieje się to naprawdę, czy może znajduje się już w innym wymiarze. Powoli przekręciła się na bok, następnie udało jej się najpierw uklęknąć, a po kolejnych kilku nieudanych próbach w końcu wstała. Kiedy ruszyła na poszukiwanie głosu, poczuła, że boli ją każda komórka ciała. Ból upewnił ją, że to dzieje się naprawdę.

– Jola! – krzyknęła, a jej głos podobnie jak krzyk przed momentem odbił się echem w pustej, zmrożonej hali. – Gdzie jesteś, córeczko?!

Odpowiedź nie nadchodziła i Agnieszka zaczęła się zastanawiać, czy może jednak ten krzyk nie zrodził się w jej głowie, ale przecież wiedziała, była tego absolutnie pewna, że Jola gdzieś tu jest. Na środku hali stał ogromny, stalowy filar oblepiony grubą warstwą lodu. Kiedy go obesła, zobaczyła ją. Dziewczyna leżała razem z przewróconym krzesłem, do którego była przywiązana za nogi i ręce. Całe jej ubranie, podobnie jak wszystko wokół, pokrywała już biel. Agnieszka ledwo szła, ale teraz wstąpiły w nią takie siły, że rzuciła się biegiem. Kredowobiała twarz Joli kolorem przypominała otaczającą szadz, tylko usta były sine, a z nozdrzy wydobywały się małe obłoczki pary.

– Jola! – Agnieszka przypadła do niej i przyłożyła policzek do jej policzka. – Córeczko?! Słyszysz mnie? Jola, nie możesz usnąć... nie możesz...

Rozejrzała się dookoła. Na jednej z białych ścian zobaczyła ciemniejszy prostokąt drzwi, a właściwie tylko ich krawędzie, bo resztę pochłaniała szadz. Zerwała się i podbiegła najpierw do stalowego filaru. Tam, zapierając się z całych sił nogami o podłogę, wcisnęła dłonie w jego krawędź i zaczęła miarowo trzeć. Z dłoni i nadgarstków połała się krew, ale Agnieszka nie przestawała dopóty, dopóki nie pękła pierwsza warstwa taśmy, a następnie kolejne. Kiedy miała już wolne ręce, chwyciła klamkę i próbowała otworzyć drzwi, ale były zablokowane. Nie poczuła nawet, jak skóra przymarza jej do lodowatego metalu ani jak odrywa się od dłoni. Nie czuła bólu, nie czuła nic, oprócz skrajnego przerażenia. Bez namysłu podbiegła do Joli i zaczęła szybko się rozbierać aż do bielizny, a potem próbowała ściągać ubranie także z córki. Szarpała się z bluzą dziewczyny, ale taśmy trzymały mocno. Udało się jej jedynie odsłonić plecy dziewczyny, więc położyła się tuż za nią na lodowatej podłodze i przywarła do Joli gołym brzuchem, zaplatając wokół niej nogi i ramiona. Na nagich ramionach Agnieszki zaczęły się pojawiać pierwsze plamy szadzi.

Sławomir siedział w biurze ochrony, które kilka godzin wcześniej opróżnił z ochroniarza, przenosząc go na tamten świat. Wiedział, że kolejna zmiana pojawi się dopiero za trzy godziny, był spokojny. Zużył wcześniej zapas ulubionego pavulonu, więc teraz czekał, aż obie panie wystudzą się na tyle, by nie stawiać oporu. Wtedy zamierzał dopełnić dzieła. Kiedy dopił kawę, zerknął na zegarek, po czym wstał, wyciągnął z plecaka ulubiony nóż do sushi swojego syna i wyszedł na korytarz prowadzący do chłodni.

Agnieszka zapadała chwilami w sen, ale wciąż za wszelką cenę próbowała się budzić. Za każdym razem tym pobudkom po kilkudziesięciosiekundowych drzemkach towarzyszył coraz silniejszy paroksyzm lęku. Początkowo, gdy przywarła do Joli, czuła, jak jej skóra staje się cieplejsza. Teraz nie czuła już nic, nie wiedziała nawet, czy córka żyje, bo miała zbyt zgrabiące palce, by zmierzyć jej tętno. Powoli nadchodził mrok, który – co doskonale wiedziała – miał być dla nich obu mrokiem ostatecznym. Pocałowała Jolę w tył głowy, pogładziła ją dłonią i zamknęła oczy. W tym momencie za jej plecami ze zgrzytem rozwarły się drzwi do chłodni.

– Policja, nie ruszać się! – Do wnętrza weszło czterech ubranych na czarno mężczyzn z noktowizorami na głowach. Po chwili jeden z nich dostrzegł pod ogromnym filarem dwie splecione ze sobą kobiety. – Tam! Kurwa, tam ktoś leży! Dawaj medyka!

Dwa śmigłowce lotniczego pogotowia ratunkowego wystartowały nieomal jednocześnie. W jednym leciała nieprzytomna, ale wciąż żywa Jola, w drugim przytomna Agnieszka, która przez chwilę spierała się nawet z Mrówcem o to, że zamierza zostać na miejscu i dopaść Sławomira, bo ten znów jakimś cudem zdołał się wymknąć z obławy policyjnej. Inna rzecz, że wszyscy policjanci biorący udział w akcji tym razem skupili się na odnalezieniu komisarz Polkowskiej i jej córki, sprawa mordercy na jakiś czas stała się dla nich absolutnie drugorzędna. Kiedy śmigłowiec przechylił się na bok, żeby skrócić i obrać kierunek na północ, w dole, wśród rozpalonych halogenów, Agnieszka zobaczyła jeszcze przeszukujących okoliczne chaszczki policjantów, a na drodze wozy transmisyjne stacji telewizyjnych. Znów zawiadomione przez nie wiadomo kogo zjawily się na miejscu, żeby psuć im szyki.

Sławomir dotarł do lasu w okolicach wsi Zawada, tam w wykopanej naprędce jamie przemocował, a następnego ranka udało mu się złapać autobus do Łodzi. W mieście wynajął pokój w hostelu studenckim. Tutaj w ciągu kilku godzin kompletnie zmienił swój wygląd, przefarbował włosy, zgolił zarost i wysmarował się samoopalaczem. Kiedy był już zupełnie innym Sławomirem, udał się na dworzec kolejowy i stamtąd dotarł do Wrocławia. Trzydzieści kilometrów od tego miasta znajdowała się dziupla rosyjskiego wywiadu, na którą namiar dostał w czasie spotkania w lesie z Siewą i Kaspijskim.

Po opatrzeniu ran na rękach i wyrównaniu temperatury ciała Agnieszka mogła na dobrą sprawę opuścić szpital jeszcze tego samego wieczoru, czego jednak nie zrobiła. Poprosiła za to personel szpitalny o przeniesienie do sali Joli, a Mrówca o to, by przyniósł jej z komendy służbowego glocka. Dziewczynę wciąż utrzymywano w stanie śpiączki farmakologicznej, ale oprócz kilku niewielkich odmrożeń palców u rąk i nóg była stabilna i jej stan z minuty na minutę się poprawiał. Kiedy zapadała noc, Agnieszka, która znów nie mogła usnąć, usiadła na łóżku, wsunęła broń pod poduszkę i długo wpatrywała się w leżącą po drugiej stronie sali Jolę. W końcu podeszła do niej i otuliła szczelnie kołdrą. Pół godziny później usnęła i po raz pierwszy od dawna nie śniła jej się szadz.

Z nowym wyglądem Sławomir nie miał najmniejszych oporów, by wynająć pokój w Radissonie. Zawczasu przygotował sobie dokumenty, na których wyglądał dokładnie tak jak teraz. Zdjęcia do nich robił wprawdzie w ciemnej peruce, a nie w ufarbowanych włosach, więc czupryna delikatnie różniła się odcieniem, ale to nie stanowiło problemu. Po dwóch dniach pobytu w mieście wynajął samochód i ruszył do wyznaczonego na mapie miejsca, skąd miał zostać przerzucony przez granicę Polski i jednocześnie Unii. Nie wiedział, dokąd dokładnie trafi na początek – czy do Rosji, czy od razu do Ameryki Południowej, gdzie ostatecznie zamierzał osiąść, ale nie kłopotał się tym nadmiernie. Czuł się zupełnie spokojny, donikąd już mu się nie spieszyło, właściwie zależało mu jedynie na szybkim wyjeździe z terytorium RP, bo choć bardzo zmieniony, to przecież jednak Sławomir wciąż był Sławomirem, którego zdjęcia regularnie pojawiały się w mediach.

Kiedy dotarł do willi wyglądającej jak PRL-owska dacha, zresztą być może kiedyś nią była, przywitano go przyjaźnie i z dużą rewerencją. Jako że anonsował swój przyjazd pocztą elektroniczną – na skrzynkę, z której nigdy nie wysyłało się wiadomości, a jedynie pisało i zostawiało je tam w wersjach roboczych – godzinę po nim dotarł też Siewa wraz ze swoim dziwnym znajomym. Po krótkiej, przyjaznej rozmowie, która nie wносиła nic do sprawy, panowie przedstawili Sławomirowi plan dalszych działań. Stojąca za domem furgonetka na numerach dyplomatycznych czekała już, by wyruszyć w stronę wschodniej granicy i po przejechaniu w przybliżeniu pięciuset kilometrów przekroczyć granicę z Białorusią. Wychodziło na to, że na sześć godzin zostanie skazany na niezbyt wygodną część ładunkową. Miał tam jednak wodę i suchy prowiant, a na wypadek, gdyby pęcherz zbyt mu doskwierał, były też naszykowane butelki. Po dwóch godzinach suto zakrapianej i zasypywanej kokainą imprezy Sławomir pożegnał się ze swoimi dobroczyńcami, zapakował się na tył furgonetki, pomiędzy worki z pocztą dyplomatyczną, i chwilę później poczuł, że auto rusza, zabierając go w ostatnią podróż po Polsce. Zmęczony substancjami psychoaktywnymi i emocjami ostatnich dni kwadrans później zasnął.

Kiedy furgonetka stanęła, Sławomir obudził się i zerknął na zegarek, przekonany, że właśnie dojechali na miejsce, gdzie wreszcie będzie mógł opróżnić przepełniony pęcherz i napełnić płuca oddechem wolności. Ku jego zdumieniu okazało się jednak, że upłynęły zaledwie trzy kwadransy od momentu, gdy ruszyli spod daczki. W tej samej chwili drzwi otworzyły się i oślepił go snop światła z latarki.

– Wsiadaj – odezwał się znajomy głos Kaspijskiego.

– Ale czemu? – zdziwił się Sławomir. – Dopiero ruszyliśmy.

– Wsiadaj! – Głos był teraz bardziej stanowczy, a komunikat podkreślił charakterystyczny odgłos zamka w przeładowanej broni.

Sławomir wysiadł. Przy samochodzie oprócz Bentleya Siewy zobaczył jeszcze auto, które wypożyczył we Wrocławiu, i kilku rosyjskich facetów. Żaden z nich się nie uśmiechał.

– Siewa? Gdzie jest Siewa? – zapytał zaniepokojony.

– W dupie – odpowiedział Kaspijski i sekundę później zdzielił go kolbą pistoletu w twarz.

Dwóch mężczyzn podniosło go z ziemi bez słowa. Zawlekli go do samochodu z wypożyczalni i przypięli kajdankami do kierownicy. Jeden z nich wytarł kluczyk chusteczką, następnie zacisnął na nim na chwilę palce Sławomira i rzucił w krzaki. Wolski był kompletnie zdezorientowany, ale wyczuwał wokół bardzo silny zapach benzyny, a kiedy dotknął wolną dłoń tapicerki, poczuł, że jest mokra. Drugi z mężczyzn ustawił na tylnym siedzeniu obciętą plastikową butelkę i na jej dno wlał odrobinę rozpuszczonego wosku, a potem wsadził tam świecę. Następnie nalał do butelki benzynę i zapalił knot. Między powierzchnią cieczy a płomieniem był mniej więcej centymetr odstęp. Do samochodu podszedł Siewa.

– Dlaczego? – Sławomir zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

– Konieczność dziejowa, Sław. – Rosjanin uśmiechnął się i zapalił papierosa, a potem wetknął mu go w usta. – Dużo wiesz... A poza tym za to, co zrobiłeś, chyba lepiej będzie, jak do piekła pójdziesz tu niż dopiero w zaświatach. A ty co sądzisz?

Sławomir chciał odpowiedzieć, ale bał się poruszyć wargami. Siewy i tak nie interesowała odpowiedź, bo od razu ruszył do Bentleya, w którym czekał już na niego Kaspijski. Reszta wsiadła do furgonetki i po minucie nie było już nikogo. Został tylko Sławomir z papierosem w ustach i świecą znajdującą się daleko poza zasięgiem jedynej wolnej ręki. Przez chwilę próbował jeszcze się szarpać, ale szybko przestał, oparł się plecami o tylne siedzenie i czekał, aż stanie się piekło. Kiedy płonący knot dotknął powierzchni cieczy, ta zajęła się od razu. Przez chwilę płonęła tylko w butelce. Kiedy usłyszał budzące się płomienie, w lusterku dostrzegł długie światła nadjeżdżającego samochodu.

Mrówiec ostatni raz zerknął na punkt na mapie GPS, który lokalizował wynajętego z wypożyczalni samochodów opla, bo w tym momencie zobaczył przed nimi płonące auto i dodał gazu. Ogień zaczynał już obejmować całe tylne siedzenie, kiedy Piotr zahamował, wzniesając tumany kurzu. Polkowska wyskoczyła pierwsza, wyciągnęła glocka i dopadła do drzwi od strony kierowcy. Jego fotel zajmowały już płomienie, a on patrzył na nią oczami zdziwionego chłopca, którego zabił w sobie trzydzieści lat wcześniej. Agnieszka zawahała się, spojrzała na Mrówca, a ten cofnął się o krok i uniósł ręce w górę. Nie powiedział ani słowa, ale gest był aż nazbyt czytelny. „To twoja sprawa, twój wybór i twoja decyzja, nic mi do tego”, mówiło jego spojrzenie.

Człowiek nie przygotowuje się do tego typu momentów w swoim życiu, nie rozpatruje, jak by się zachował, nie ćwiczy. Ale ćwiczeniem jest całe jego życie. Agnieszka do tej sytuacji przygotowywała się przez trzydzieści kilka lat, każdy wybór dokonany wcześniej, każda decyzja, wszystko prowadziło ją właśnie tutaj. Była gotowa i dlatego pół sekundy później najpierw złapała za klamkę, a jej skóra zaskwierczała oparzona do mięsa, następnie szarpnęła i otworzyła drzwi. Z wnętrza buchnął na nią płomień. Kiedy złapała go za kołnierz marynarki i pociągnęła, zorientowała się, że jego prawa ręka przypięta jest do kierownicy. Szybkim ruchem przeładowała broń i strzeliła, ale łańcuch kajdanek nie puścił, a marynarka Sławomira zaczynała już płonąć. Komisarz przymierzyła i strzeliła po raz kolejny. Wtedy ogniwo łańcucha pękło i z hukiem wybiło przednią szybę, kajdanki wreszcie puściły, a ona wyszarpnęła go jednym ruchem z płonącego auta. Mrówiec złapał go za włosy i palącego się odciągnął na bok. Sekundę po tym, jak Agnieszka odbiegła od samochodu, astra eksplodowała, bluzgając wokół piekielnym ogniem. Sławomir nawet nie krzyczał, gdy własnymi kurtkami gasili na nim płomienie.

Sławomir nie krzyczał, bo nie czuł poparzeń, nie czuł właściwie nic, myślał o tym, że od tego momentu wszystko, co tak bardzo lubił w swoim życiu, odeszło w niepamięć. Od tej pory to nie on będzie kontrolował świat, ale to świat będzie kontrolował jego, i to z dużym prawdopodobieństwem do końca jego dni. I wtedy Mirosław Śrubiński po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, zaczął potwornie się bać.

Kiedy Mrówiec zapiął go w kajdanki, Agnieszka wstała i poszła w las. Po przejściu kilkudziesięciu metrów położyła się twarzą do ziemi, a poparzone dłonie wsunęła w chłód pokrytego szadzią mchu. W oddali za drzewami płonęło piekło, którego Sławomir na swoje nieszczęście jeszcze nie dostąpił.